Migotania

Gazeta literacka

Nr 2 (79) 2023 kwartalnik

POLECAMY w numerze:

- **Maria Jolanta Fraszewska, Świrszczyńska jest**
- **Monika Milewska, Wiersze**
- **Andrzej Talarek, Księga Psalmów Dzisiejszych**
- **Krzysztof Szymoniak, Rozmowa z Wincentym Różańskim**
- **Michaił Jampolski, Wykoncypowane miasto Descartesa**
- **Jerzy Lengauer, „Kartki z historii Polski i świata". Władysław Zawistowski.**
- **Roman Warszewski, Tajemnica manuskryptu z Puri, Rozmowa**
- **Emil Pisarz, Wzruszenie, Esej**

Fundacja Światło Literatury

„Trudno się buntować gdy światło przygasa"
(A.Sołtysiak)

Marian Kisiel

Elegia siódma

Czy możesz mnie pokochać,
zapytał kornik drzewo.

Mogę, odpowiedziało drzewo,
wpij we mnie swoje usta.

Czy zechcesz mnie pokochać,
zapytała rzeka kamień.

Chcę, odpowiedział kamień,
obejmij mnie swoim nurtem.

Czy zdołasz mnie pokochać,
zapytała ziemia ciało.

Tęsknię za tobą, rzekło ciało,
szczelnie mnie sobą przykryj.

Marek Sołtysik

W numerze prezentujemy malarstwo Marka Sołtysika, a także rozmowę z nim
Plakat artystyczny: Marek Sołtysik
Plakat poetycki: Monika Milewska

Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2023

FELIETON

Wit Romanowski

JOSE SARAMAGO NAUCZA W TRZEBINI

W bliżej nieokreślonym mieście szerzy się epidemia ślepoty. Mieszkańcy wzajemnie się zarażają, tracą wzrok. Patrzą, rozglądają się wokoło, ale nie widzą. Wprowadzona zostaje kwarantanna i wyznaczone zostają miejsca odosobnienia.

To początek powieści Josego Saramago pt. *Miasto ślepców (Ensaio sobre a cegueira)* – najwybitniejszego współczesnego pisarza portugalskiego, laureata literackiej Nagrody Nobla. Jego książka jest przejmującą alegorią współczesnego świata i nieuchronnie przywidzi na myśl inne arcydzieło – Dżumę Alberta Camusa.

Częścią owego świata jest oczywiście nasz kraj, a w nim miasteczko w Małopolsce – Trzebinia (nieco mniej niż 20 tys. mieszkańców). Jest na ustach wszystkich, co kilka dni pojawia się także na ekranach telewizorów. Miasto zapada się. Zapada się na naszych oczach. Dlaczego? Bo ktoś pod nim kiedyś fedrował i kuł kilofem, a wyrobiska – w związku z tym, że było ich widać – nie zostały zabezpieczone.

Teraz ziemia osuwa się i tworzy ogromne leje o wielometrowej głębokości. Zapadliska powstają bez żadnej zapowiedzi i ostrzeżenia. Jest ich już kilkadziesiąt, a być może wkrótce będzie kilkaset. Jak czarne, nieobliczalne potwory zbliżają się do domów, ogrodów, garaży. To tylko kwestia czasu, że w końcu dopadną ludzi i ich siedziby (niekiedy z wielkim trudem wznoszone przez wiele lat).

Nazwa miejscowości też jest znamienna. Trzebinia. W oczywisty sposób fonetycznie nawiązuje do trzebienia – niszczenia, ogołacania, tępienia. Co za zbieg okoliczności! Czy czegoś takiego można nie dostrzec?

Można. Bo jesteśmy niczym bohaterowie książki Josego Saramago. Jesteśmy ślepcami. Patrzymy, ale nie widzimy. Są przysłowiowe drzewa, ale nie ma lasu. Trzebinia i jej zapadliska, jej czarne ziemne dziury są jak (znów) przysłowiowe krople wody. Krople, w których odbija się wszechświat, w tym wypadku – Polska.

Na mapie Europy w ciągu ostatnich 7 lat nasz kraj stał się takim zapadliskiem, jak te, które nękają Trzebinię. Ziemia osuwa się pod nogami nie tylko tamtejszych mieszkańców, lecz pod nogami nas wszystkich. Polska przerodziła się w wielkie osuwisko – stała się bolesną wyrwą w ciele Europy: mentalną, cywilizacyjną, gospodarczą. Nastąpiła anachronizacja polityki (Kaczyński), jej pinokizacja (Morawiecki) i banalizacja (Glapiński). Można bezkarnie wypowiedzieć, zrobić każdą bzdurę i jeszcze otrzymać za to sowitą nagrodę. Kisiel przewraca się grobie. Jakby żył, znów mógłby pisać o dyktaturze ciemniaków.

Jedna z największych inflacji w Europie. Najwyższy współczynnik samobójstw wśród młodzieży (ponoć przyszłości narodu). Absolutny brak zdolności do obiektywnego spojrzenia na własną historię. Odmawianie człowieczeństwa wszystkim spod znaku tęczy. Naigrywanie się z osób transpłciowych. To tylko kilka przykładów. Lista jest oczywiście znacznie dłuższa; nie chcę się powtarzać, w tym samym miejscu pisałem o tym przed kwartałem.

Nie wystarczy patrzeć. Trzeba widzieć. Nie bądźmy bohaterami powieści Josego Saramago. Zapadlisko jest tuż tuż. Dopadnie każdego z nas.

Wit Romanowski

Marek Sołtysik

Spis treści 1/79/2023

Wit Romanowski, Jose Saramago naucza w Trzebini, FELIETON.....str.2
Zbigniew Joachimiak, Mózg, wiersz.....str.3
Maria Jolanta Fraszewska, Anna Świrszczyńska jest, ESEJ.....str.4
Monika Milewska, POEZJA.....str.8
Dariusz Pawlicki, O zatajanym wspólnym autorstwie, ESEJ.....str.10
Joanna Sendłak, Wibracje, drżenia, rezonanse, PROZA.....str.12
Adam Bujarski, POEZJA.....str.14
Krystian Medard Manteuffel, Z cyklu: Impresje polskie w niemieckim krajobrazie literackim ESEJ.....str.16
Andrzej Talarek, Księga Psalmów Dzisiejszych, POEZJA.....str.19
Marian Kisiel, POEZJA.....str.23
Bianka Kunicka - Chudzikowska, POEZJA.....str.26
Krzysztof Szymoniak, Rozmowa z Wincentym Różańskim - Wściekle pisać.....str.27
Solomija Mardarowycz, POEZJA.....str.29
Roman Warszewski, Thor Hayerdahl a Popper, ESEJ.....str.30
Dariusz Tomasz Lebioda, Modlitwa wyobraźni Mo Yana, ESEJ.....str.31
Dominika Soler, POEZJA.....str.33
Michaił Jampolski, Wykoncypowane miasto Descartesa, Z tłumaczeń Bogusława Żyłko.....str.34
Filip Bednarz, POEZJA.....str.39
Krzysztof Szymoniak, POEZJA.....str.40
Marek Jagliński, Zamach na szatana, PROZA.....str.43
Lesia Stepowyczka, POEZJA.....str.44
Mirosława Gąsiorowska, Sierpowo - tu był raj, WSPOMNIENIA.....str.45
Maria Jolanta Fraszewska, miniaturki poetyckie str.50
Maria Jentys-Borelowska, Rzecz o lekarzach, WSPOMNIENIE.....str.51
Aleksandra Sołtysiak, POEZJA.....str.52
Andrzej Walter, Wojna, pokój i wolność, ESEJ.....str.54
Urszula Mądrzyk, POEZJA.....str.57
Zbigniew Kresowaty, Na odejście Olka... WPOMNIENIE.....str.58
Miłosz Broniszewski, POEZJA.....str.60
Roman Warszewski, Przede wszystkim szacunek, ARCHEOLOGIA...str.61

OMÓWIENIA

Jerzy Lengauer, „Kartki z historii Polski i świata".
Władysław Zawistowski, „Dobry adres: Dramaty".....str.63
Andrzej Wołosewicz, Peryferie jako poetycki topos, czyli BohdanaWrocławskiego centrum świata.....str.66

KSIĄŻKA KWARTAŁU

Paweł Kuszczyński, Poezja ocaleniem świata.... O książce A. Waltera str.70

RECENZJE str.71
Zbigniew Kresowaty, Jak smakuje chleb od zająca
Mateusz Wabik, Z najważniejszych rzeczy
Andrzej Walter, Podróżni bez biletu
Andrzej Walter, Jak malować mgłę
Andrzej Walter, Opowieść o tęsknocie
Andrzej Walter, Pogodzić życie z podarowanym czasem
Andrzej Walter, Wszystkim osieroconym

Mirosław Majewski, rozmowa z Markiem Sołtysikiem str.81
Leszek Szaruga, WYPRASOWANIE (43).....str.86

MIGOTANIA JESZCZE WIĘCEJ

Emil Pisarz, Wzruszenie, czyli dupa blada ESEJ.....str.87
Mateusz Wabik, POEZJA.....str.88
Roman Warszewski, Tajemnica manuskryptu z Puri, ROZMOWA...str.90
Zdzisław Drzewiecki, POEZJA.....str.93
Marian Bednarek, prozy.....str.94
Marcin Wróblewski, POEZJA.....str.96
Mateusz Wabik. Poetyckie notki biograficzne, ESEJ.....str.98
Migotania Polecają.....str.100

Zbigniew Joachimiak

mózg

otworzyłem szeroko oczy i spojrzałem do tyłu
przede mną stała otchłań morza a może nawet oceanu
długie fale rozkładały szeroko dłonie
na przywitanie, albo po prostu wykonywały swoje
wcześniej zaplanowane zamiary objęcia wszystkiego co się da

stałem na skraju powiek, rzęsy lekko drgały
pod wpływem oddechu morza i mojego westchnienia,
bo widok był naprawdę zapierający:
nieskończoność, nieskończoność,
a na każdej fali
grupy znajomych, grupy nieznajomych,
które wcześnie wpadły mi w źrenicę

dalej na widnokręgu widać było wiele łodzi
niektóre były parowcami a niektóre miały skrzydła,
były też korabie z czerwonymi żaglami
i ileż tam było ludzi, ileż, ileż!

z kąta oka wypłynęła mi łza myślałem na początku, że to ze smutku,
ale była to wiadomość z dna oceanu;
dodawałem mnogości do mnogości, ale nie było więcej,
otwierałem powieki szerzej i szerzej, ale nie widziałem więcej

i nagle zrozumiałem - nieopacznie zacząłem spoglądać do przodu,
do przodu, którego ocean nie ma, nie miał i nie będzie miał,
bo ocean jest mózgiem, kępą galeretowatej substancji trzęsącej się
ze strachu, że wypadnie
z tej małej ograniczonej głowy wszechmocy

ESEJ

Maria Jolanta Fraszewska

Esej o fragmencie życia i fenomenie trwałości

ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA JEST

W moje ręce trafiła książka „*Anna Świrszczyńska. Jeszcze kocham... Zapiski intymne*". Spisanie z rękopisu oraz opracowanie tekstu, wstęp, zakończenie i przypisy: Wioletta Bojda. Wydawnictwo WAB 2019.

We wstępie niezwykłej książki czytamy: „Metafizyka codzienności; z niej wynikały sekwencje liter, część skrystalizowała się w poetyckich tomach, ale wiele zostało poza kontekstem, wolnych, niepokornych (…) na skrawku papieru, który utknął w domowym archiwum (…)".

Spojrzenie na twórczość poetki poprzez jej biografię i szczere wypowiedzi nigdzie dotąd niepublikowane. I ta ostatnia miłość, uczucie autentyczne, pełne zadziwienia nad sobą i światem. Pełne dylematów, wewnętrznych tarć i walk oraz pytań.

Czy można jeszcze i tak zwyczajnie kochać człowieka, mężczyznę mając samej lat sześćdziesiąt? Czy obciążam się moralnie, czy grzeszę pozwalając mężczyźnie żonatemu kochać się we mnie? Pozwalając sobie samej na rozwinięcie uczucia miłości pełnej, tej emocjonalnej, seksualnej i erotycznej względem żonatego mężczyzny? Czy z tego rodzaju emocjonalnego zaangażowania więcej wynika cierpienia niż czystej miłości?

W jaki sposób przesypać przez sito własnej niedoskonałości wielkość i szlachetność własnych doznań.

Zostawię w twoich rękach miłość. Czy to zdanie oznacza, że właśnie w twoich rękach zostawię swoją miłość? Czy zdanie to wyraża moje zaufanie do ciebie? Czy może wyraża moją bezradność, bezużyteczność, poddaństwo właśnie tobie, bo ty zrobisz lepszy, właściwszy użytek z miłości? Czy ja, kobieta, oddaję tobie mężczyzno prawo do decydowania o tym co jest miłością oraz jak ją przeżywać i okazywać? Czy może, oddaję miłość do twojej dyspozycji czytelniku? Czy może: teraz tobie przekazuję miłość, ja już odchodzę, pragnę, abyś ty ją kontynuował – człowieku? Zabezpieczam Cię przed skutkiem zła ukazując różne odmiany cierpienia. Wiem, że mądrze wybierzesz. Przed Tobą MIŁOŚĆ.

Wiele wyjaśnia biografia Anny Świrszczyńskiej i dręczący ją dylemat: czy etycznym jest podjęcie romansu i trwanie w związku z żonatym mężczyzną? Ona mówi sobie: nie wolno, bo takie są zasady i ja tę zasadę chcę przestrzegać. Jednak mężczyzna potrzebuje realizowania swego emocjonalnego zaangażowania jak chleba powszedniego. A ja? Czego ja potrzebuję do życia?

Z psychologicznego punktu widzenia miłość jest pozytywną emocją, z której możemy czerpać energię do dalszego życia.

Być może poprzez powyższe słowa poetka mówi, że jest umęczona analizowaniem: można czy nie można, i dlatego mówi: *Zostawię w twoich rękach miłość*. Zdecyduj sam co jest dobre dla ciebie i dla nas. A być może Anna podjęła już decyzję i tak właśnie ona brzmi: zostawię czyli daję ci moją miłość. Ofiaruję miłość, uczucie najszczersze i wyzwolone.

Istnieją w naszym życiu sensy, które odkrywamy podczas trwania życia, bowiem żyjąc nadajemy własnemu życiu sens. Udowadniamy sobie, że żyjemy po coś. Poszukiwania kardynalnych i węzłowych wartości można prowadzić poprzez sztukę, tak właśnie czyni poetka Anna Świrszczyńska. Stwarza świat, który odpowiada bieżącej rzeczywistości i ogląda go prowadząc dyskurs właściwy nie tylko dla niej, ale także bliski wszystkim ludziom na kuli ziemskiej.

Anna Świrszczyńska już 1956 roku, a więc mając 47 lat (Dziennik Polski 1956 nr 2: Nad czym obecnie pracuję, [w]: Jeszcze kocham, 2019), pisze: „Szukam w tej sztuce odpowiedzi na wiele pytań, jak np.: Jakie są podstawy świeckiej moralności? Co to jest śmierć jako proces psychiczny? Czy postęp nauki przyniesie człowiekowi szczęście? Jaka będzie przyszłość rodzaju ludzkiego? Czy można kochając, zachować niezawisłość psychiczną? Czy milion ludzi ma prawo żądać od jednego ofiary życia? Jak dzisiejsza kobieta naukowiec rozwiązuje problem: mężczyzna – nauka? Itd. itd. Krótko mówiąc jest to sztuka dyskusyjna o miłości, śmierci, sumieniu. W dyskusji obok ludzi biorą udział także postacie fantastyczne: Życie i Śmierć".

Sześćdziesiąt sześć lat temu z ust twórczyni padają podstawowe pytania o standardy życia. Pytania tak bardzo związane z aktualną rzeczywistością i historycznie przeszłą wiecznością, z której kobiety usiłują się wyzwolić, a walka ta czyli rozwój ludzkości, trwa i trwa aż do czasów dzisiejszych i będzie trwała do samego końca. Głos kobiet był i jest w dalszym ciągu pomijany lub umniejszany w ważkich sprawach społecznych i dyskusjach o kształt naszego życia.

Z obserwacji i doświadczeń, również z naukowego punktu widzenia, wynika, że im bardziej ludzkość posuwa się w rozwoju do przodu, tym bardziej zaczyna się cofać. Zgodnie z przysłowiem: „Dwa kroki w przód, trzy kroki w tył". Paradoks tego stwierdzenia polega na tym, że odkrycia związane z prawdziwością i faktycznością, nie mogą stać się oczywistością, ponieważ: „byłoby to zbyt proste". Człowiek ma tak wiele czasu życiowego, że sam czuje się wystraszony rozległą przestrzenią. Jakby zadawał sobie pytanie: odkryłem prostą prawdę i co będę robił dalej? Nie wiem. I tego „nie wiem" człowiek obawia się najbardziej, zakładając, że ruch sam w sobie jest właściwy i rozwojowy. Najtrudniej bowiem jest utrzymać w odpowiednim balansie równowagę bez manipulowania, lawirowania, narzucania innym swojej woli, zwodzić i kluczyć. A w jakim celu? Zostawię w twoich rękach, czytelniku, odpowiedź na postawione pytanie.

Moja babcia mawiała: „ziemia jest najważniejsza, dlatego ją uprawiam. I to jest właściwa kultura, bo mnie wyżywia".

Interpretacja zaklętym źródłem

445. Jak mogę teraz zrozumieć zdanie, jeśli to analiza powinna móc pokazać, co właściwie rozumiem? - Wchodzi tu w grę idea rozumienia jako szczególnego procesu duchowego. (s.106, Kartki, Ludwig Wittgenstein, Wydawnictwo KR Warszawa,1999.)

Interpretacja jest zaklętym źródłem, z którego czerpać znaczeń można do woli. Lecz nie do swobody i swawoli. Z obiektywnością tzw. dowolnej woli bowiem jest problem.

Ale zacznijmy od zdania, które nie jest tak ani prosto ani łatwo ani powszechnie stwierdzić, rozszyfrować w jego znaczeniu. Podobnego rodzaju dylematy jak w filozofii języka mamy czytając poezje.

Wiersz zawiera zdania i słowa. Jak zrozumieć przekaz, jak zinterpretować treść? Z ilu powierzchni, a może głębi, z ilu przestrzeni składa się wiersz? Czy wyobraźnia, która przecież jest przestrzenią, ma granice? Płynąć, tonąć, doznawać? Co odczuwamy czytając poezję? Jak sprawić, aby słowa pobudzały do refleksji, czy dzieje się tak poprzez wywoływania duchów uczuć z przeszłości zdarzeń? Czy każdy człowiek odczuwa to samo? Bo przecież nazwy uczuć definiują je w znaczeniach, ale czy też w odczuciach jednostkowych?

Każdy z nas rozumie znaczenie słowa miłość, jednak odczuwa miłość poprzez własne doświadczenia życiowe i wsobne ustroje organiczne, a więc odmiennie. Uczucie miłości odczuwane i nazywane jest indywidualnie. A to oznacza, że i w systemie wartości zajmuje różne miejsca.

Czy potężniejsza jest miłość do człowieka czy do ojczyzny, pyta poetka Anna Świrszczyńska w swoich wierszach. Czy powinnam kochać człowieka, który jest żonaty? Czy wykazuję słabość akceptując tę miłość, walcząc z tą miłością, pozwalając jej się rozwijać? Czy miłość, w której dylemat: brać dla siebie i radować się, który jest jednocześnie cierpieniem sumienia, wciąż należy rozważać? Czy też cierpieć z powodu własnej słabości czyli potrzeby zaspokajania uczucia miłości? Czy odrzucając jego miłość, miłość ludzką mężczyzny i skazując go również na cierpienie, czynię dobrze i właściwie?

„Wszystko w porządku" z tomkiku „Szczęśliwa jak psi ogon, 1978

Zakochałam się
w nieszczęściu.
Tworzymy razem
szczęśliwą parę.

Niemoralna miłość, a taka piękna! Miłość ludzi, którzy wiedzą, że ich życie nie będzie trwało wiecznie, którzy mają świadomość, że swoje już wycierpieli, że los potargał ich życie i że teraz łączące ich uczucie wznosi ich w trwanie obecnego życia, w bieg codzienny z chwilą przeżytego szczęścia na drogę, jak kawałek chleba, który daje zaspokojenie nagłego głodu.

Czy uczucie pomiędzy dwojgiem wiekiem starszych ludzi stanowi źródło ich życia czy też należy się go wstydzić z samej zasady słów: „w tym wieku nie wypada"?

Żyć zgodnie z konwenansami czy żyć zgodnie z potrzebami ciała i serca? Jak wyważyć tych dwoje? „*… przedzierać się przez ograniczenia i szukać, ciągle szukać szczęścia? Na przekór wszystkiemu!" (s.5, wstęp „Jeszcze kocham...", 2019)*

Czy moja miłość kobiety jest inna niż twoja miłość mężczyzny? Gdy oboje ko-

chamy się, co wówczas w nas razem się dzieje, co się wydarza w akcie spełnienia? Czy dzieje się równocześnie? Czy może moja miłość jest moja, bo należy do mnie i wydarza się tylko i wyłącznie we mnie?

Poezja Anny Świrszczyńskiej ukazuje wartość wsobności przeżycia. Bo miłość niezależnie do kogo i czego, to przecież dzieje się i wydarza w moim mózgu, umyśle, organizmie. I dotyczy najpierw MNIE. Mnie pierwszą dotyka.

„Bóstwo i perwersja" , w: Szczęśliwa jak psi ogon

Kocha się
samo ze sobą.
Zadławi samo siebie
w grzesznym uścisku.

To jest tak, jakbyśmy usiłowali podjąć się odpowiedzi na filozoficznie brzmiące pytanie: Wyjrzyj przez okno i powiedz co widzisz? Najpowszechniejsza odpowiedź, która nasuwa się od razu brzmi: widzę widok za oknem, drzewa, ludzi, auta. Jednak przecież pomiędzy mną a widokiem za oknem jest szyba. A więc prawidłową odpowiedzią powinny być dwa słowa: widzę szybę.

Zdarza się, że podmiot „kochania" jest niezgodny z osobistą skalą wartości. Albo też: silniej działa nasza wewnętrzna potrzeba związana z zaspokajaniem uczucia, które ogólnie, na nasz własny użytek, definiujemy jako miłość. (Dla przykładu w dwutomowej książce: „Kobiety dyktatorów", Diane Ducret, Znak 2012), znajdziemy historie życia szczególnych par. Czytając zastanawiamy się, jak to jest możliwe, że brutalni mordercy znajdują kobiety, które ich kochają? Jak to się dzieje, że okrutni zbrodniarze wojenni trafiali na „drugą połówkę", kobietę, która zaspokajała swoje wewnętrzne potrzeby, które nazywała miłością, niezależnie od wiedzy, że ich partner zabijał setki, tysiące, miliony istnień ludzkich?)

A na dodatek pojawia się pytanie: Co znajduje się pomiędzy kobietą a mężczyzną podczas aktu miłosnego? Jak nazwać „tę szybę" i czym ona jest?

471. Czasowniki psychologiczne widzieć, wierzyć, myśleć, pragnąć, nie oznaczają zjawisk. Jednakże psychologia obserwuje zjawiska widzenia, wiary, myślenia, pragnienia. (s.111, Kartki, Ludwig Wittgenstein, Wydawnictwo KR Warszawa,1999.)

Anna Świrszczyńska jest

Anna Świrszczyńska jest. I warto potarzać te słowa wręcz tarzając się w nich, z rozkoszą oczywiście.

I nie należy dopisywać dalszych słów, bowiem sens pozostaje w jej istocie, ważności i trwałości. Jest. Żyje. Istnieje.

Jej poezja edukuje nas współczesnych, rozbitych na kawałki, i zaprasza do nawiązania współpracy. Teraz jest najwyższy czas, aby zakasać rękawy i wziąć się do roboty. Teraz czyli od razu, bez oglądania się na sytuację społeczną czy historyczną. Feminizm, który ukazuje poetka jest krzykiem nawołującym nie do walki, a do ciszy, bo wówczas słychać najmocniej i najwyraźniej.

Krytycy okrzyknęli Annę pierwszą feministką w polskiej poezji. Jakże łatwo przyszło mężczyznom stworzyć kolejny pakunek i ładować do niego wszystko co z płcią kobiecą związane. Kobiety odpowiedziały mężczyznom z tej wybranej dla nich pozycji. To tak jakby zaakceptowały nadaną im kolejną rolę, tym razem bojowniczek o swoje prawa.

Rozpoczęła się i dotąd trwa dyskusja, a wręcz walka pomiędzy płciami. Im bardziej zagorzałej tym ciekawiej.

A ja twierdzę: jestem połową człowieka i ty jesteś połową człowieka. Pytanie brzmi: czy razem stworzymy pełnego człowieka?

„Miłość Stefanii, Migocą wnętrzności" fragm. w: Jestem baba, Anna Świrszczyńska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1973, s.107

Dałeś mi rozkosz,
dałam ci rozkosz.
Niepokalani
patrzymy na siebie
oczami.

W ciele moim i w ciele twoim
świeci jak bursztyn
czysta płeć.
Pod skórą
migocą wnętrzności.

Dałeś mi czystość,
dałam ci czystość.
Największą czystość
świata.

Fascynacja Anną

Twórczość Anny Świrszczyńskiej i Anna jako kobieta, są tak naturalne i zwyczajne, że aż fascynujące. Jej twórczość ładunkiem emocjonalnym dorównuje wiedzy, która w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku dopiero się rodziła czyli dziedzin nauk psychologicznych, a w szczególności w zakresie psychologii społecznej.

Anna jest wzorem, formą do powielania myśli, do poszukiwania właśnie: form czyli zasad, idei, ustanowień, stawiania hipotez, projektowania, koncepcyjnego kształtowania poglądów. Analizując jej twórczość i życie, Anna jest jednostką, której biografia rysuje wielość biografii.

Jej twórczość warto traktować jako swoisty dokument przeżyć i dziejów epoki jej współczesnej.

A dla nas jest obrazem bólu emocjonalnego i cierpienia wobec złożoności losu, który w dużej mierze jest zależny od nas, ponieważ jest przygotowany teraz przez myśli i działania ludzkie. Bowiem żyjemy w skutkach tego wszystkiego, co wydarza się w każdej teraźniejszości.

„Szczęście przegranych" w: Szczęśliwa jak psi ogon

Depczą nas
nogi ludzi, nogi czasu, nogi
historii.

Depczą nas, rozdeptali,
wdeptali w ziemię,
ukryli
przed ludźmi, czasem, historią.

Wojna i stres pourazowy

Czyż wojny nie rozbijają wiedzy pewnej, stałej, o - nie tylko stabilnym życiu człowieka, ale w ogóle o dostępności do życia? I że sam byt, środowisko, okoliczności życiowe naznaczają przyszłość człowieczą dostarczając mu przeżyć, które kształtują jego sposób życia, wpływa na późniejsze wybory? Samo życie prostuje wiele dotychczasowych poglądów. Okazuje się, że ustalenia władzy czyli grupy ludzi rządzących innymi nie są tożsame z losem pojedynczych ludzi. Idee giną wraz z doświadczaniem rzeczywistości. Zwyczajny człowiek zrobi wiele, aby przeżyć.

Powyższe słowa pisałam przed wybuchem wojny w Ukrainie. Trzydzieści lat potrzebowała poetka Anna Świrszczyńska, aby znaleźć sposób na przekazanie okrucieństwa i bestialstwa drugiej wojny światowej.

24 lutego 2022 roku nasz cywilizowany świat runął. Wiersze zawarte w tomie „Budowałam barykadę" stały się rzeczywiste i obecne w przeżyciach wielu uchodźców przybywających do Polski i ościennych krajów.

Kobieta konała w bramie na sienniku,
w sienniku były dolary.
Druga kobieta siedziała przy niej,
czekała, aż skona.

Potem biegła z dolarami przez ulice,
padały bomby.
Modliła się: ocal mnie, Panie Boże.

I Pan Bóg ją ocalił.

(Anna Świrszczyńska „Świr", Budowałam barykadę, WL Kraków 1979, na bazie Czytelnik 1974)

Wciąż nie wiem co i kto kryje się za procesami, których spostrzeżenie, dojrzenie, zauważenie i wyjawienie zdaje się być faktem okrutniejszym w ich zaakceptowaniu niż danie wiary, że to co spostrzegam teraz – właśnie w tej chwili, jest prawdziwe. W naszej, indywidualnej koncepcji zachowań – nie mieści się takowe w głowie. Prawda, gdy jest zbyt okrutna nie dochodzi do ludzkiej świadomości. Tego rodzaju moce posiada nasz mózg. Nasz umysł chroni nas przed … zwariowaniem. Mózg, a w zasadzie sam umysł, samoistnie odcina nas od nadmiaru informacji, gdyż najzwyczajniej w świecie, zbyt duża i nagła dawka informacji spowodować może jego wybuch jak bomba, obrazując ten stan symbolicznie.

Więc co robi człowiek? Biegnie dalej z nadzieją, że może się nie powtórzy..., ponieważ człowiek ma w sobie wewnętrzną chęć przeżycia i życia niezależnie od trudnych doznań. Im dalej tym łatwiej przychodzi zapomnienie.

Pisałam powyższe i poniższe słowa przed dniem 24 lutego 2022 roku. Jeszcze nie doszło do napadu Rosji na Ukrainę. Po miesiącu zmagań wojennych aktualny stał się wiersz Anny Świrszczyńskiej:

...Ale kiedy wybiegnę z miasta trupów,
kiedy żywy człowiek
otworzy mi drzwi żywego domu,
cisnę w ogień bluzkę razem z wszami,
które jak ja
chciały żyć.

Trauma powojenna

Anna mówi, że czekała w sobie przez lata do możliwości przekazu, opisu ponad możliwego czyli dojrzewała do przedstawienia podłości, upokorzenia, bólu i cierpienia, okrucieństwa i makabry działań wojennych, zabijania jak obowiązku zabijania, „mocowania się ze śmiercią". Znalazła formę, która →

umożliwiła jej poprzez skrótowy opis, wybór charakterystycznych dla konkretnej sytuacji zdań.

„Ziemia i niebo" (tamże)
Tyle tu było krzyku
krzyczały samoloty i ogień i rozpacz
krzyczało do chmur
uniesienie.

Teraz milczy
ziemia i niebo.

Kto z nas obecnie żyjących otarł się o śmierć bez potrzeby i nie z własnej woli?

W naszym dobrobycie nie występują sytuacje, gdy podczas robienia zakupów, kupowania chleba, starań o wodę czy mleko dla dziecka, nagle wyrastają przed tobą inni ludzie z wycelowanymi karabinami, popychają, grupują przywierają do murów i strzelają.

Taką sytuację przeżyła Anna Świrszczyńska. Nie natknęłam się na opis wydarzenia, jednak wiemy, że uczestniczyła w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia. Miała zostać rozstrzelana. Co czuła w tamtej chwili? Czy udało jej się to uczucie zaszyfrować i oddać w swoich wierszach?

I niestety, obecna napięta sytuacja na świecie, a w szczególności na Ukrainie, stanowi przywołanie naszej, polskiej przeszłości pełnej bólu, cierpień i śmierci. Przyjmujemy uciekinierów i przybliżamy w sobie ich dramatyczne przeżycia. Dlatego też treści zawarte w poezji Anny Świrszczyńskiej, są w dalszym ciągu aktualne, na stałe aktualne.

„Ogniotrwały uśmiech", w:„Jestem baba":

Znalazłam w sobie siłę,
żaden człowiek mi jej nie odbierze.
Człowieka
można zastąpić.
Zapłaciłam za tę naukę
cenę, której jest warta.

Przeszłam przez kąpiel z ognia,
jak wybornie
wzmacnia ogień.
Wyniosłam z niego
ogniotrwały uśmiech.
Nikogo już nie poproszę,
żeby mi położył rękę na głowie.
Oprę się
o siebie.

Jak średniowieczne miasto jestem zamknięta,
zwodzony most się podniósł.
Możecie to miasto zabić,
lecz nikt nie wejdzie.

W psychologii istnieje termin: traumatyzacja zastępcza i sens opowieści. (P. Zimbardo, R. Johnson, V. McCann, psychologia. Kluczowe koncepcje. Tom V. Człowiek i jego środowisko). Chodzi o to, że takie wydarzenia, które spowodowane są przez człowieka, np. wojny i masowe zbrodnie posiadają dodatkowy wymiar zagrożenia, ponieważ związane są z „wrogością ludzką", której celem jest wzbudzenie strachu, poczucie zagrożenia, zdezorganizowanie społeczeństwa. Gdy fizyczne zagrożenie mija, ludzie nadal odczuwają udrękę psychiczną, martwią się o swoje i bliskich bezpieczeństwo. Silne długotrwałe emocje, przeżyty wstrząs emocjonalny nie mija od razu, ani z pragnieniem jego niedoznawania. Intensywność emocji opada powoli, żyją w człowieku latami. Człowiek radzi sobie z trudnymi przeżyciami na wiele sposobów chcąc zreorganizować swoje życie i prowadzić je nadal i w ciągłości.

Jeszcze kocham

Anna Świrszczyńska, „Jeszcze kocham... WAB, 2019, zawiera treści nieznane czytelnikowi, dostępne i wyjawione po raz pierwszy. Dlatego też tak bardzo cenne. Tego rodzaju książki nie można i nie należy oceniać, bowiem zawiera prawdziwe listy i wypowiedzi zawarte w osobistym dzienniczku, które stanowią dokumenty myślenia, sposobu myślenia poetki i kobiety. A więc wzbogaca wiedzę o człowieku i daje możliwość wglądu bez oceniania a z uważną pokorą wobec rzeczywistości przedstawionej.

W latach życia Anny Świrszczyńskiej, współcześni jej krytycy zgodnie okrzyknęli jej nowatorstwo w przekazie i formie myśli poetyckiej. Tomik: Jestem baba oraz Budowałam barykadę obrazuje nowy styl opisywania świata i przekazu emocjonalnego. (Culture.pl).

Warto pamiętać o jej poezji nawet w tak ujętym skrócie.

Anna, zwyczajna kobieta, zwyczajny człowiek, choć z niepospolitą wyobraźnią i potrzebą wartościowania, bytuje w każdym z nas, w każdym człowieku, niezależnie od płci, bo płeć stanowi nas jako wspólnotę - jedność, człowieka, ludzi, społeczeństwo, całość.

Pomimo tego, że żyjemy i funkcjonujemy w grupach o różnej liczebności, to w sumie przecież, stanowimy ludzkość. Albo też: ponad wszystko stanowimy ludzkość jako miarę, charakter, cechę, dominantę.

Gdy z tej ogólnej masy zaczniemy przybliżać się do istoty ludzkiej czyli podstaw nawiązania życia, otrzymamy drobinę człowieczego losu i pojedynczą postać ludzką. Z tła wyłoni się człowiek ze swoimi odrębnościami, ale także tożsamymi potrzebami, zasadami, wartościami. Z nimi wiążą się interpretacje zdarzeń i sytuacji, one tworzą przeżycia i nadają wyraz życiu i ukazują jego sens.

Poezja Anny Świrszczyńskiej stanowi jednocześnie artyzm w wyrazie sztuki, a także dokument środowiska społecznego i okresu historycznego. Jest tworzona i pisana w swoisty sposób. W słowach Anny odczytuję jej los, walkę ze sobą, widzę jej szczegółową biografię. Jej wiersze stanowią swoisty dokument życia.

Ostatni tomik wierszy:„Cierpienie i radość" poetka ułożyła sama, wybrała teksty, które prowadzą czytelnika jej drogami życiowymi. Ścieżek było wiele, śledzimy wybory i konsekwencje tych wyborów. Opis ten Anna podaje nam w jakimś konkretnym celu. Myślę, że każdy z nas odczyta treści wyłaniające się z wierszy na swój sposób. Po to przecież istnieje poezja, daje nam dowolność interpretacji i przeżyć. Otwiera wielość w pojedynczym człowieku. A więc *„ciągle szukać szczęścia"*, pomimo iż boli.

Maria Jolanta Fraszewska

Marek Sołtysik

Marek Sołtysik

Monika Milewska

DRZEWO

To jest nasionko
a to jest dziurka
jeśli włożę nasionko do dziurki
wyrośnie z niego drzewo
jeśli zetną je za lat dziesięć
mój sąsiad bednarz
zrobi z niego kołek
by uciszyć młode rozhukane wino
jeśli zetną je za lat trzydzieści
mój sąsiad stolarz
zrobi z niego trumnę
dla mojego sąsiada bednarza
którego na wieki uciszyło
stare przyciężkie wino
jeśli zetną je za lat sto
cieśla zrobi z niego maszt
dla okrętu Santa Maria
tak wysoki że ludzie Kolumba
wypatrzą z niego Nowy Świat
jeśli zetną je za lat dwieście
kat ułoży z niego stos tak wysoki
by zdążyła przejrzeć i ocaleć dusza
heretyka
imieniem Giordano Bruno
jeśli zetną je za lat trzysta
lutnik
imieniem Stradivarius
zrobi z niego skrzypce
których najwyższe tony
oddadzą łkanie wiatru
tęsknotę nagich gałęzi
jeśli zetną je za lat czterysta
lud zrobi z niego gilotynę
by samemu stworzyć Nowy Świat
kilkoma ostrymi cięciami
jeśli zetną je za lat pięćset
drukarz zrobi z niego małą książeczkę
tytuł w gotyckiej czcionce: Mein Kampf
będzie służyć za podpałkę
do wojen wielkich i strasznych
za lat sześćset już go nie zetną
nad dumnie wybrzuszonym pniem
zawieszą mu złotą tabliczkę
Pomnik Przyrody i kłaniać mu się będą
szkolne wycieczki
ono tyle pamięta

wkładam więc ziarenko do dziurki
przyleciał ptak i wydziobał je

RYBY

Trzeciego dnia potopu
ryby wystąpiły z rzek
stało się to tuż po tym
gdy Tygrys z Eufratem zawarły przymierze
a na dnie ich spoczął potężny Babilon
całymi ławicami zajmować poczęły
kamienne pałace o wyzłacanych ścianach
ich srebrne łuski raz po raz
błyskały w polerowanych zwierciadłach
zanim te nie zaszły glonami i śniedzią
i nie przestały odbijać
rybich oczu
swoich nowych władców
ich to było teraz królestwo
i ich panowanie nad światem
panowanie łagodne i nieme
z wiecznym wyrazem zdziwienia
w na wpół otwartych ustach
i krótkie
bo czterdziestodniowe
na wodach potopu
kołysała się drewniana arka
krucha jak łódeczka z papieru
ale to dla niej na niebie
zbudowano tęczę
co wtedy stało się z rybami?
czy pod tęczowym łukiem
ich armie odpłynęły karnie
w koryta dawnych rzek?
czy może raczej ostatni dzień zagłady
był dla nich pierwszym?
zaskoczone
tak jak przedtem ludzie
dyszały ciężko na kamiennych posadzkach
złoconych pałacowych sal
w ich okrągłych wyłupiastych oczach
tkwiło to samo co przedtem
zdziwienie

STABAT MADONNA

Stabat Madonna
z synkiem w ramionach
prosto z krzyża zdjętym
li li li li laj
i rozczuliło się jej serce
bo był bardziej bezbronny
niż owej nocy w Betlejem
li li li li laj
synku malutki
przebodli twoje rączki
przebodli twoje nóżki
li li li li laj
mój rąbek nie starczy za całun
łzy moje cię nie nakarmią
li li li li laj
złożę cię w kamiennym żłobie
sianka podścielę pod twą martwą głowę
abyś dobrze spał
li li li li laj
i tak stała
skamieniała
Madonna pietà

WSKAZÓWKI

Historia zegara
przypomina smutne dzieje księcia Lucypera

Na początku
zegar bił na chwałę Panu
pokłony godzinek
nieszporów jutrzni non
jedyna wskazówka
wskazywała niebo
i godzinę naszej śmierci
z dokładnością do kilku
zdrowasiek na dobę

Ale przyszedł diabeł
i dodał drugą wskazówkę
i tak stała się minuta
i powstał pośpiech

Najpierw spieszył się zegar
aż zegarmistrz kręcił głową
w prawo i w lewo
w lewo i w prawo
gdy dał zegarowi wahadło
zaczęli spieszyć się ludzie

A diabeł zacierał ręce miarowo
a potem dodał trzecią wskazówkę
i światu zakręciło się w głowie

Nareszcie mogli wszyscy
dokładnie mierzyć czas
a im dokładniej mierzyli czas
tym czasu było mniej
aż w końcu nikt nie miał go już na nic

Wtedy diabeł
włożył rękę do kieszeni
i z anielskim uśmiechem
przelewał przez palce
ukradzioną wieczność

ESEJ

Dariusz Pawlicki

O ZATAJANYM WSPÓŁAUTORSTWIE

Pamiętam, jak nasze korektorki poprawiały – i to mocno – prozę Juliana Stryjkowskiego" – taką m.in. informację zawarł w e-liście do mnie Rajmund Kalicki, jeden z redaktorów szacownego miesięcznika „Twórczość".

Od tego cytatu i od uwagi, że nad każdym (chyba) tekstem wspomnianego prozaika zamieszczonym we wzmiankowanym czasopiśmie, widniało wyłącznie jego imię i nazwisko, zacznę rozważania na temat zjawiska powszechnego i powszechnie akceptowanego. Moim zaś zdaniem - szkodliwego. I jakby tego było mało - mającego znamiona kłamstwa. Odnoszę jednak wrażenie, że zdecydowana większość osób bezpośrednio zaangażowanych w tę działalność – może nawet 99 % - jest przekonanych, iż wykonuje wielce pożyteczną pracę. I nie ma sobie nic do zarzucenia. Bo też praca mająca na celu podporządkowanie, takiego czy innego, utworu rygorom języka, w jakim on powstał, uczynienie go klarownym itd. – nie wspominając o poprawieniu błędów ortograficznych - jest pożądana i jak najbardziej wskazana, ale… Chodzi mi właśnie o owo „ale".

*

To, że w utwory pisarzy (szczególnie prozaików, poetów dotyczy to w mniejszym stopniu) ingerowały niejednokrotnie osoby drugie, było dla mnie rzeczą, jak najbardziej oczywistą. I nie chodzi mi o dokonaną przez nie korektę, którą jest „poprawianie błędów, nanoszenie poprawek na próbnych odbitkach drukarskich" (Słownik języka polskiego, 1978). Ta jest niezbędna dla wychwycenia, chociażby, literówek niedostrzeżonych przez autora. Natomiast mam na uwadze adiustację polegającą m. in. na zmianach stylistycznych dokonanych w tekście. W tym wypadku ingerencje, z samego założenia, są o wiele poważniejsze. Gdy jest ich więcej (,,więcej" to oczywiście określenie nieprecyzyjne), wręcz wpływają na ostateczny kształt utworu. Z tego zdawałem sobie sprawę; tym bardziej, że korekty i adiustacje, nie raz i nie dwa, wykonywałem. Nie wyciągałem jednak dalej idących wniosków. Czynię to, niestety, dopiero teraz.

Możliwość dokonanych niewielkich poprawek w pierwotnych maszynopisach, to znaczy wynikających ze wspomnianej korekty, pod uwagę biorą może nawet wszyscy czytający. Zdecydowanie czym innym są jednak, wspomniane powyżej, zmiany ingerujące głęboko w teksty dostarczane do redakcji wydawnictw bądź czasopism. I jestem pewien, że większość czytelników - najprawdopodobniej chodzi jednak o ich zdecydowaną większość - nie jest świadoma powszechności i „intensywności" tego zjawiska. Oczywiście należy brać pod uwagę istnienie i takich utworów, których pierwotne wersje nie różnią się niczym od tych, które doczekały się postaci książkowej bądź czasopiśmienniczej. Napisano je w wersji, którą redaktorzy uznali za bezbłędną lub ich autorzy nie dopuścili do dokonania jakichkolwiek zmian (ranga ich nazwiska mogła im w tym pomóc). Albo też wydając np. własnym sumptem nie musieli brać pod uwagę niczyjego zdania. W grę wchodzą i takie przypadki, gdy nikt nie śmiał wypomnieć mistrzom popełnionych przez nich błędów. Istniała bowiem obawa, że w przeciwnym razie udadzą się do konkurencji.

Informacja o zaangażowaniu korektorek w ostateczną postać tekstów Juliana Stryjkowskiego, jakie ukazały się na łamach ,,Twórczości", wskazuje, że owe utwory zostały uznane za (cokolwiek) ułomne. I choćby z tego powodu – poddane adiustacji, a nie korekcie. Ale wobec tego, czy imię i nazwisko tego konkretnego autora, jak i każdego innego, który był w podobnej sytuacji – a było w niej wielu – nie powinno być uzupełnione nazwiskami tych, którzy wnieśli istotny wkład w powstanie wersji, jaka została ostatecznie zaprezentowana? Moim zdaniem - a uważam tak, przyznaję, od niedawna - takie uzupełnienie powinno mieć każdorazowo miejsce. W grę mogłoby wchodzić zapisanie nazwisk współautorów drobniejszą czcionką bądź wymienienie ich w przypisie. W przypadku niechęci do występowania pod nazwiskiem, formą uhonorowania/docenienia mogłoby być zamieszczenie, po imieniu i nazwisku głównego autora, np. dopisku: plus zespół. Innymi stosownymi miejscami dla tego typu informacji, mogłaby być stopka wydawnicza (w przypadku książek) lub redakcyjna (jeśli chodzi o gazety bądź czasopisma).

W tym miejscu wspomnę, że nie zetknąłem się nigdy, czy to w przypadku książek beletrystycznym, czy eseistycznych z informacją o zastosowaniu względem nich adiustacji. Jeśli już, to mowa była, tylko i wyłącznie, o korekcie. Wnoszę z tego, że terminy: ,,korekta" i „korektor" niejednokrotnie pełnią rolę eufemizmów mających osłodzić pisarzowi/pisarce to, że ich maszynopisy, używając terminologii związanej z kosmetologią, nie zostały poddane zabiegom upiększającym, ale przeszły bardzo poważną operację plastyczną. Chodzi też oczywiście o ukrycie tego faktu przed czytelnikami. Autorzy nie muszą o to prosić, to dzieje się za sprawą albo tradycji,albo… przyzwyczajenia.

Nie mam pewności - w przeciwieństwie do beletrystyki, poezji, eseistyki - czy podobnie dzieje się w przypadku książek określanych mianem naukowych. Ale biorę to bardzo poważnie pod uwagę. Podejrzewam bowiem, że za znajdującymi się we wstępach do tego rodzaju publikacji podziękowaniach za bezcenne uwagi, skierowanych do konkretnych osób, kryją się także ingerencje w tekst (te zaś nastąpiły, gdyż w przeciwnym razie praca np. młodego

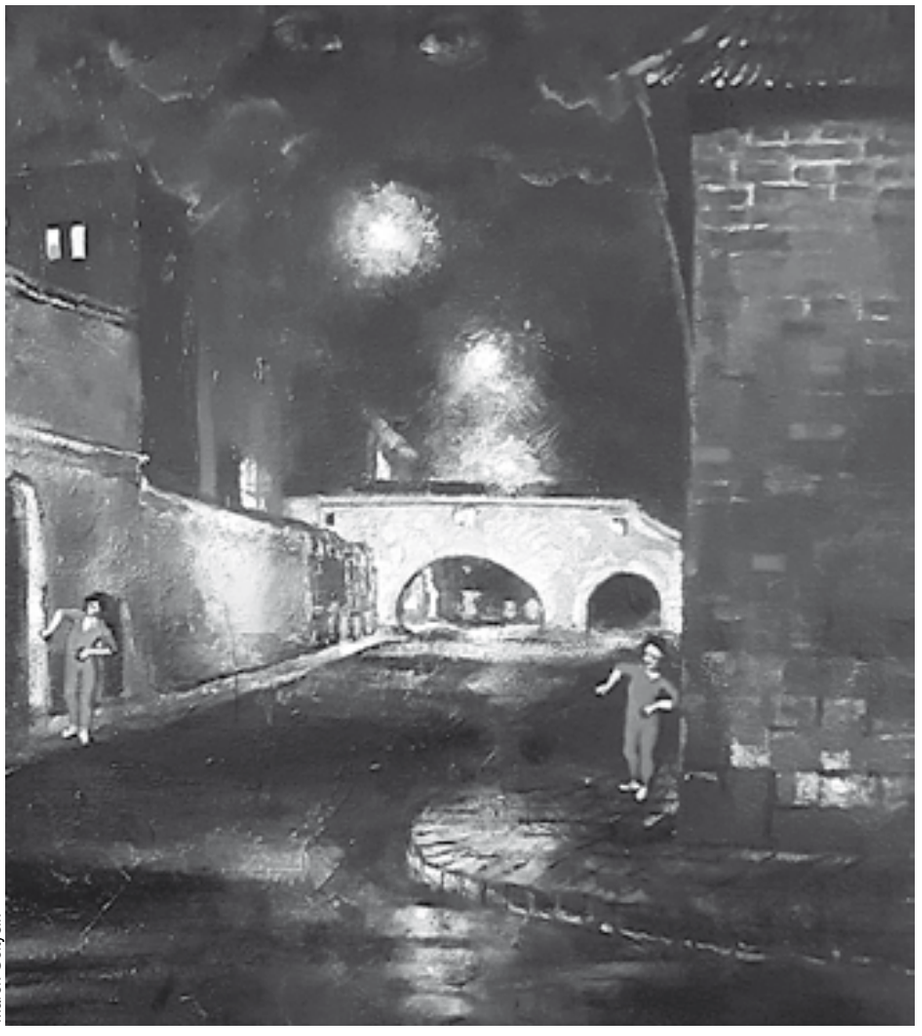

Marek Sołtysik

pracownika nauki, a może nawet uczonego na dorobku, w ogóle by nie ukazała się drukiem). Z tym, że w przypadku tego rodzaju książek, nawet, gdy mają miejsce znaczne zmiany w ich treści, ze strony osób drugich, ale nie przeinaczają one poglądów autora zawartych w pierwotnej wersji, nie można mówić o współautorstwie. Liczy się argumentacja na rzecz tezy przyjętej przez autora bądź przeciw tezie postawionej przez jego oponenta. A wszelkie sugestie mające na celu zwiększenie siły prezentowanych argumentów, są jak najbardziej wskazane.

Lecz w przypadku tej części literatury, którą nazywamy artystyczną bądź piękną, owa ingerencja w tekst, nazywana adiustacją, nie powinna mieć miejsca. Chyba, że, jak już zaznaczyłem, nazwisko adiustatora, czyli w pewnym stopniu współautora, zostanie odnotowane. Postępowanie przeciwne jest, moim zdaniem, oszustwem. No bo jak to przemilczenie ma się do rzeczywistości literackiej? Nijak. Domyślam się, że niejeden z autorów czułby dyskomfort, gdyby zostało zaznaczone, że w powstanie wersji ostatecznej, tej która była wychwalana i wielokrotnie nagradzana, wkład wniosła osoba druga, a może i trzecia. A uczciwość wymaga, aby w tym wypadku mówić o współautorstwie. Tak, byłoby to przyznaniem się, czarno na białym, ze strony nominalnego autora, że jako pisarz nie sprostał wyzwaniu. Ze względu na to, że panujący obecnie obyczaj (nie wiem czy w epokach minionych był on inny) nie wymaga jednak odnotowania takowego współautorstwa, może funkcjonować, jako jedyny i wyłączny. W takiej sytuacji autor winien jednak czuć zażenowanie, gdy wyłącznie on jest chwalony - jeśli jest w ogóle chwalony - za stworzenie dzieła, którego nie jest wyłącznym autorem; choćby wkład jego pracy był obiektywnie najistotniejszy. Rzecz jasna może to wchodzić w grę tylko wtedy, gdy coś takiego jak zażenowanie jest mu znane. Bo cóż z tego, jeżeli kłopotów z zasypianiem nie ma; co najwyżej, niekiedy, sen przychodzi z pewnym opóźnieniem. A on budzi się o poranku rześki i pełen pomysłów na kolejne utwory, do których napisania także będzie potrzebował współautorów.

Zjawisko dziękowania zespołowi redakcyjnemu na forum publicznym za pomoc, jest zjawiskiem nieznanym. Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że wiele utworów, nie tylko tych beletrystycznych czy eseistycznych, doczekuje publikacji tylko dlatego, że gdy stawiane jest ich autorom takie oto ultimatum: zgoda na zmiany w tekście, albo nici z druku, zgadzają się na to pierwsze. I choćbyśmy nie wiem jak oceniali negatywnie formułowanie takiego warunku, jak też wyrażoną nań zgodę, nie zmienia to faktu, że w efekcie mamy do czynienia ze współautorstwem. To, że wymuszonym, nie jest istotne. Zawsze można odmówić.

Nie słyszałem, aby ktokolwiek, kto firmuje swe dzieło, gdy doczekało się ono negatywnych recenzji, winą za to obarczył zespół redaktorski, a konkretnie adiustatorów. A nie wierzę, że pośród książek krytykowanych, są wyłącznie te ,,stworzone" bez udziału adiustatorów. Czyżby działał jednak wstyd związany z tym, że przyznałoby się wówczas do współautorstwa ze strony innych? (Pytanie to niech pozostanie retorycznym.) I to do współautorstwa, które być może zaszkodziło utworowi.

*

Sam pomysł na temat np. powieści, której samemu jednak się nie napisało, to nie współautorstwo. Liczą się bowiem użyte w tekście słowa i zdania, jak też relacje między nimi. To one budują opowieść, one i sprawność w snuciu opowieści. Lecz pomysł, którego kreacją jest utwór, może bądź nie, wpłynąć na jego poczytność.

*

Podsumowując to, co powyżej napisałem, uważam, że ingerencja osób drugich w tekst, jeśli już musiałoby do niej dość, winna ograniczać się do zabiegów korektorskich. Natomiast wszelkie poważniejsze potknięcia – bez względu na to, przez kogo zauważone - winny być usuwane tylko i wyłącznie przez autorów. Wtedy i tylko wtedy poznalibyśmy ich rzeczywistą wartość, jako np. stylistów. A mówiąc bardzo konkretnie: najwłaściwszym rozwiązaniem byłoby odsyłanie autorom ich tekstów z zaznaczeniem, przez osoby odpowiadające w redakcjach za publikację utworów, zdań czy też fragmentów tekstu, wymagających, ich zdaniem, dokonania zmian. Nawet gdyby autorzy dokonali wszystkich sugerowanych poprawek, nikt nie mógłby twierdzić, że miało miejsce współuczestnictwo. Czym innym jest sugerowanie autorowi zmian i dokonanie ich przez niego, a czym innym poprawienie przez kogoś innego. Chodzi o to, aby to nie adiustatorzy doskonalili teksty/czynili je lepszymi (ich zdaniem), ale ci, którzy je napisali, i którzy firmują je swym nazwiskiem. Czas najwyższy, aby tak właśnie się działo. W przeciwnym razie nadal będziemy poruszali się w świecie, nie do końca autentycznych wielkości literackich. Można z dużą dozą pewności stwierdzić, że w przypadku wielu prozaików i poetów, bez względu na to, kiedy tworzyli, z takim właśnie światem mamy do czynienia.

W tym miejscu, odnośnie redagowania przez osoby drugie tekstów, przytoczę taki zapisek Jacka Woźniakowskiego nawiązujący do poglądu Pseudo-Longinosa:

„Wielkość jest prawie nieodłączna od błędów (...); poprawnie piszą tylko twórcy mierni, którzy boją się ryzyka. Nie sposób zawsze przestrzegać norm, gdy «namiętności pędzą jak potok górski»" *(Góry niewzruszone)*.

Natomiast Alfonso Reyes stwierdził:

„Publikujemy, żeby nie strawić całego życia na poprawianiu brudnopisów".

*

Dlaczego teksty poddaje się adiustacji, nie wspominając o korekcie, a nikomu nie przyjdzie do głowy dokonać swoistej adiustacji, choćby rodzaju korekty, w stosunku do np. obrazów olejnych przed ich dopuszczeniem na wystawę? Bez żadnego problemu mogę wyobrazić sobie kilku profesorów tej czy innej Akademii Sztuk Pięknych (też pomysł, aby artystów obdarzać tytułami naukowymi. Chyba, że są oni po prostu nauczycielami) zaopatrzonych w palety i przy użyciu pędzli nanoszących poprawki na obrazach. Dokonanie tych poprawek, ich zdaniem nieodzownych, byłoby warunkiem dopuszczenia prac do prezentacji organizowanych pod auspicjami tychże Akademii.

To, że w rzeczywistości nic takiego nie odbywa się, nie jest żadnym aktualnie obowiązującym w tej kwestii zwyczajem. Nigdy bowiem, od kiedy organizuje się wystawy – to znaczy przynajmniej od 1667 r. (zorganizowanie salonu artystycznego w Luwrze) - nie było inaczej. Pewne obrazy, co najwyżej, nie były udostępniane. Przykładem mogą być prestiżowe wystawy organizowane w latach 1863-1881 przez Salon Paryski kontrolowany przez Akademię. Początkowo nie dopuszczano na nie płócien impresjonistycznych. Natomiast prezentowane były one, ale nie tylko one, w Salonie Odrzuconych. Nie słyszałem jednak, aby komuś przyszło do głowy uzależniać dopuszczenie obrazów na ekspozycję od wprowadzenie konkretnych zmian. Czyżby artyści malarze charakteryzowali się posiadaniem, w tej kwestii, kręgosłupa moralnego? Nie, nawet tego nie sugeruję. Po prostu, kiedy osiągną oni pewien wiek – z reguły jest on współcześnie tożsamy z ukończeniem wyższej uczelni artystycznej – nie wywiera się na nich już nacisków; idą własną drogą. Natomiast na ludzi pióra, naciski, i to rozmaite, wywierane są przez cały czas trwania ich aktywności pisarskiej.

Nad pisarzami ludzie pędzla, rylca, dłuta mają tę przewagę, że właściwości ich profesji sprzyjają zachowaniu przez nich niezależności artystycznej; one, a nie cechujące ich, jakimś zrządzeniem losu, wyjątkowe cechy charakteru. Dlatego nie dokonają zmian (pomijam okres studencki – traktuję go ulgowo w tym konkretnym przypadku), które mogłyby zaowocować przychylną opinią ze strony wpływowego np. krytyką bądź znalezieniem nabywcy. Rzecz w tym, że, przykładowo, obraz, choćby nie został zaakceptowany przez gremia opiniotwórcze, to istnieć będzie. Rzecz jasna w jednym egzemplarzu (reprodukcje są, oczywiście, czymś zupełnie innym). Może nie zyska uznania, nie okryje sławą swego autora (w przyszłości może to się zmienić), ale może zostanie przez kogoś kupiony. To znaczy: doceniony w sposób bardzo konkretny i w naszym świecie ceniony najbardziej.

Ale o ile istnienie dzieła sztuki w jednym egzemplarzu jest normą (wyjątkiem są np. grafiki), to istnienie książki w takiej liczbie, tym już nie jest. I nie chce tego przede wszystkim sam autor (w przypadku pozycji mającej szansę na poczytność, jego ,,niechcenie" zostanie wsparte przez wydawcę). On wręcz pragnie, aby książki opatrzone jego nazwiskiem były wydawane w jak największej ilości egzemplarzy. Jeśli jest człowiekiem zamożnym, nie musi się na nikogo oglądać. Tak jest jednak rzadko w przypadku ludzi pióra. I to w znacznym stopniu sprawia, że w większości nie są tak hardzi, jak wspomniani artyści i biorą pod uwagę opinie wydawców i redaktorów czasopism.

Jeśli chodzi o mnie, to nie życzę sobie, aby ktoś dokonywał – za moimi plecami - zmian w tym, co napisałem. Gdyby takowe, w taki właśnie sposób, zostały w nim dokonane, w żadnym razie, nawet gdyby chodziło o niewielkie zmiany, nie mógłbym powiedzieć: on jest mój. Jeśliby od początku mowa była o współautorstwie, byłaby to zupełnie inna sprawa - osobiście nie wyobrażam sobie jednak takiej współpracy. I mówiąc wprost – nie życzyłbym jej sobie. I to nie tylko dlatego, że jestem przywiązany do tego, co wyszło spod mego pióra. Chodzi także o sposób: zawsze przecież można zaproponować autorowi, o czym wcześniej wspominałem, dokonanie zmian. Jednak, gdy warunkiem druku jest dokonanie poprawek – i ma to postać jednoznacznie ultymatywną – zabieram z przysłowiowej piaskownicy moje zabawki.

W tym miejscu, mając na uwadze to, co poruszyłem powyżej, chciałbym zwrócić się do adiustatorów z takim oto apelem: jeżeli żywicie przekonanie, że posiadane przez was umiejętności predestynują was do wprowadzania istotnych zmian w adiustowanym, ale nie swego autorstwa tekście, lepiej zaprezentujcie swe umiejętności pisząc. I to niekoniecznie na taki sam bądź zbliżony temat. Łatwiej jest bowiem cudze doskonalić, niż samemu coś stworzyć. Na ten właśnie temat Seamus Heaney w Zawierzyć poezji. Wykładzie z okazji przyjęcia literackiej Nagrody Nobla napisał tak:

„Ezra Pound przestrzegał, by w sprawach literackich nie przejmować się opinią tych, którzy sami nie stworzyli wybitnego dzieła".

Ale esej ten zakończę cytatem z Oskara Wilde'a, który zapytany jak spędził dzień, odpowiedział:

„Pracowałem cały ranek nad korektą jednego z moich poematów i usunąłem przecinek. Po południu wstawiłem go z powrotem".

Dariusz Pawlicki

Wibracje, drze

PROZA

Joanna Sendłak

WIBRACJE, DRŻENIA, REZONANSE

Wszechświat i każda jego cząstka wibruje. Owe drżenia możemy zapisać w postaci nut albo liczb. Gdy słucham muzyki czuję, że dźwięki wokół mnie budują przestrzeń, oplatają świadomość. Kiedy utwór dobiega końca wraca zwyczajność jakby muzyka biegnąc w czasie jednocześnie go unieważniała.

*

Uniwersalne „Teraz" nie istnieje, żyjemy na nieskończenie wielu płaszczyznach czasu -- przypomina Einstein. Należymy do teraźniejszości gdy jesteśmy tego świadomi. Odczucie przemijania zależy od ruchu i grawitacji, a podział na przeszłość i przyszłość jest względny. Czas osobisty staje się wiatrem, przybiera na sile lub gaśnie. Łódź dryfuje we wszechświecie niczym boja.

*

Czy struktury matematyczne istnieją tak realne jak fortepian? A może przypominają ulotny pomysł na kompozycję?

*

Kiedy słucham muzyki ogarnia mnie fala doznań. Fenomen dźwięku zdumiewa, a myśl o pięknie i harmonii przychodzi później. Najpierw pływam w doznaniach i dzięki mechanizmowi percepcji, staję się uchem skierowanym ku nieskończoności ale myślę o Kancie, o jego zdolności postrzegania przed oglądaniem, o kontemplacji.

*

Gdy rysuję pejzaż najpierw szkicuję linię horyzontu, potem ustalam wysokość gór. Rysunek pochłania uwagę. Widzę góry, a w ich cieniu rozległe doliny. Każdy dotknięty ołówkiem punkt wydaje dźwięk. Stoję wewnątrz grającego pejzażu otoczona wibracjami, jakbym słuchała koncertu. Jednak nie siedzę w fotelu filharmonii tylko spaceruję u podnóża gór. Moje doznania są inne na wzgórzach, inne w dolinach. Podnoszę wzrok nad horyzont i patrzę w dal, dźwięki gubią się w przestrzeni. Ponad głową brzmią tony wysokie, mgła w dole dudni basami. Na północy dźwięki stają się wyższe, na wschodzie głośniejsze. Orkiestra liczb pierwszych, niczym Warszawscy Filharmonicy uderza pełnią wibracji. Tylko na osi północ-południe zapada cisza, w tych miejscach dźwięki przybierają wartość równą zeru.

*

Schopenhauer, najniższe tony harmonii nazwał basami zasadniczymi. Jego zdaniem odpowiadają one masie planetarnej i przyrodzie nieożywionej. Wysokie tony stanowią alikwoty[1] tonu podstawowego. Z masy planetarnej wyłaniają się wszystkie organizmy podlegające harmonicznym zależnościom.

Skoro bas zasadniczy odpowiada materii nieorganicznej, wyższe tony, niczym stopnie wykute w materii, prezentują świat roślin i zwierząt. Wszechświat rozwija się zgodnie z konkretnymi interwałami. Kolejnym stopniom harmonicznej drabiny towarzyszy określony ruch -- powolny w dolnych rejestrach, poruszający się skokami (w tercjach, kwartach, kwintach), szybszy w wyższych partiach, w świecie roślin i zwierząt. Melodia w wysokim rejestrze przedstawia myśli, ludzkie działanie. W ujęciu metafizyki muzyki, używając metafory Schopenhauera, melodię budowaną przez bas można porównać do wyrzeźbionej w bloku marmuru ludzkiej postaci.

*

Ideę pejzażu brzmiącego dźwiękami wymyślił matematyk, Riemann[2]. Przy okazji ustalił on, że punkty leżące na linii horyzontu mają wartość zerową i nazywał je liczbami pierwszymi. W jego modelu każde zerowe miejsce funkcji, nazwanej przez niego „dzeta", wytworzy falę dźwiękową o czystym tonie. Kiedy połączy się wszystkie czyste tony zabrzmi harmoniczna struktura liczb pierwszych. Ta hipoteza wyjaśnia dlaczego nie istnieją wzorce w zbiorze liczb pierwszych -- bowiem w obrębie jednego tonu dźwięki wzajemnie się znoszą, a istnieje nieskończenie wiele miejsc zerowych …

*

Za radą Kanta rozumiem przestrzeń jako nieskończoną, wiem, że czas stanowi jej kontinuum. „Czysta naoczność" jest źródłem poznania. Nasz zmysł wewnętrzny za pomocą przedstawień, dążeń, nastrojów, poznaje świat, a czas, który umożliwia obserwację siebie, jest formalnym warunkiem zjawisk *a priori* i uniwersalną zasadą mechanizmu poznania.

*

Czterdzieści lat po ogłoszeniu przez gazety teorii względności Einsteina, pewien muzyk owładnięty ideą „Muzyki absolutnej", w wynajętej nowojorskiej kawalerce komponował swoją Symfonię „Kosmiczną".

[…]"Próbuję stworzyć nową teorię twórczości muzycznej, opierając się na filozofii Clauda Bragdona, okultysty – pisał w liście do domu. -- On twierdzi, że muzyka jest najważniejszym elementem istnienia Uniwersu, jako że jest produktem nieustannej wibracji całego wszechświata[…]dźwięk muzyczny staje się symbolem Myśli, Intelektu, Światła Mądrości, a że wszystko ma swoje położenie w Uniwersie, ma cel swego istnienia, do którego dąży, tak też muzyka jako symbol najwyższej Myśli dąży do jądra i źródła istnienia Uniwersu"[…][3].

*

W XXI wieku, czytamy o teorii strun i bram, która zakłada, że struny mogą drgać w przestrzeni o dziewięciu wymiarach. Pozostałych przestrzeni, o wymiarach większych niż trzy, nie widzimy gdyż są ukryte. Może w skali mikroskopowej biegną w nieskończoność? Naukowcy chcieliby odkryć te przestrzenie, w tym celu zderzają cząstki subatomowe. Gdyby któraś cząstka nagle znikła w niewidzialnym wymiarze, realność teoretycznych przestrzeni stałaby się namacalna, jak zapadający za oknami zmierzch, lub chociaż szkic nowej Symfonii.

*

Arystoteles mawiał, że sztuka odtwarza naturę. Jego zdaniem struktury świata są do siebie podobne. Czy prawdziwa sztuka nie podlega generalnym prawom wszechświata? Dlaczego nie szukamy początku muzycznych struktur w układach komórek, w podziale kryształów lub w trajektoriach ciał niebieskich? -- pytał amerykański kompozytor Joseph Schillinger (1985-1943). To on jako pierwszy odwoływał się do teorii względności Einsteina i stworzył graficzny zapis utworu muzycznego[4]. Uważał, że estetyka przedstawia logikę matematyczną.

*

Podszewka świata została utkana z muzyki, jest prawzorem, który opiera się na matematycznej strukturze świata. Dzięki temu możemy zapisać ją w postaci znaków. Proporcje liczbowe i ich zależności odzwierciedlają kosmos. Muzykę czujemy w postaci fal dźwiękowych, jako wibracje, drżenia, rezonans. Gdybyśmy byli wyposażeni w subtelne zmysły, kto wie, czy nie słyszelibyśmy muzyki „Uniwersum". Tymczasem cieszmy się dźwiękami natury, kolorami, światłem, formami postrzeganymi dzięki ubogim zmysłom. Muzyka nie jest tylko kombinacją dźwięków lecz drogą do mądrości, do światła zrozumienia – myślał pewien kompozytor rozpościerając na podłodze kartki partytury zapisanej liniami wznoszących się gór i dolin. Partytura rosła, a nieduża kawalerka, gdyby spojrzeć z góry, zmieniała się w punkt ginący wśród kosmicznych gwiazd.

*

„Dzięki tym wykresom konstrukcja jest wyśmienita – jest to przemijanie się i koordynowanie planet i gwiazd, jest to cała astronomia, całe sklepienie niebieskie, muzyka kosmiczna mojego własnego Uniwersu, jest to wyraz mojej logiki, mej mentalności. Przelewam całą „mądrość" na papier i choć tak wolno, chwilami zdaje mi się, że to ja sam stworzyłem ten cały Uniwers, w którym żyjemy. To złudzenie jest bardzo dziwne". […][5]

*

Jeśli wrócimy do rysunku górskiego pejzażu, zgodzimy się z Schopenhauerem, że sama melodia, niczym kreska szkicu, buduje rytm i harmonię.

„Kompozycje naszych czasów są bardziej nastawione na harmonię niż na melodię; ja jestem przeciwnego zdania i uważam melodię za jądro muzyki, do którego harmonia ma się tak, jak sos do pieczeni"[6]— irytował się Schopenhauer.

*

Muzyka podobnie jak pojęcie abstrakcyjne pozostaje abstraktem rzeczywistości. Melodia odbiega od zasadniczego tonu i do niego wraca jak ludzka myśl biegnie od jednego pragnienia ku następnemu. Kompozytor odkrywa najgłębszą istotę świata w języku, którego nie pojmuje jego rozum.

*

[…]Traktując muzykę jako jedynie kombinację dźwięków bez wyższego celu, liczni kompozytorzy wpadają bardzo często w depresję i nie wiedzą gdzie iść i co dalej pisać, pragnąc odzwierciedlić ducha dwudziestego wieku. W rzeczywistości twórczość jest niezależna od wieków, bo jedni zanurzają się głębiej w ocean muzyki atonalnej, inni płycej".[7]

*

Zdaniem Schopenhauera muzyka jest ukrytą, tajemniczą siłą napędową świata. Wydobywa się z woli i reprezentuje byt jako taki. Wszelkie odniesienia do rzeczywistości pojęciowej nie są ważne, zaś wnętrze utworu możemy badać dzięki intuicji, sądom *a priori* i spekulacji, jednym słowem za pomocą narzędzi metafizyki. My, ludzie, odbieramy ją w formie matematycznie zorganizowanych idealnych proporcji, które czujemy jako drżenia i wibracje, niczym skurcz i rozkurcz serca. Jednak Muzyka jest osobnym ontologicznym bytem. Istniałaby niezależnie od świata.

rzenia, rezonan

*

Ten, który komponuje słyszy więcej niż odbiorca jego muzyki. Doskonałość trudno wyrazić, są chwile, że wyczuwamy ją za plecami. Sztuka, niestety tylko na moment, uwalnia nas od Ja. Ten moment przypomina iluminację. Czy od teraz spojrzymy na życie z kosmicznego oddalenia?

*

[…] *„Tej nocy po raz pierwszy wziąłem się do pisania partytury tego pierwszego utworu „Graphique" i to przeszło wszelkie moje oczekiwania. Utwór dawno skomponowany, powrócił w każdej nucie, dzięki wykresom graficznym. Choć praca idzie tysiąc razy wolniej, niż się spodziewałem, to jednak jest tak strasznie ciekawa, że od tego nie można się oderwać, bo zawsze się wie, co dalej pisać, to jest moje największe zwycięstwo mentalne![…] Na razie napiszę cały utwór bez otaktowania, a później trzeba będzie jakoś to otaktować. Nie masz pojęcia, co to za matematyka, to już nie wyższa matematyka, ale dosłownie astronomia. […]To powinno się nazywać nie „techniką graficzną", ale po prostu „systemem astronomicznym" lub „kosmicznym" lub „uniwersalnym", lub słowo „system" zastąpić słowem „technika". Tego rodzaju polifonii jeszcze nikt nie używał, bo te niezliczone kojarzenia są dosłownie ruchami kosmicznymi ciał niebieskich. Co za muzyka, co za kolory, odcienie, tembry w nieograniczonej, uniwersalnej przestrzeni!"*[8]

*

Muzyka istnieje w czasie, a rytm dzieli go na części, spaja, porządkuje. Takt przypomina kamień, z którego wzniesiemy budowlę. Takty, ich ułamki, matematyczne konstrukcje, które łączą się w symetrie, ich głównym budulcem jest czas.[9]

*

Nie można udowodnić metafizycznych źródeł muzyki. Muzyka uwolniona od treści, pozostaje nieświadoma własnego sensu. Kompozytor w akcie tworzenia posługuje się abstrakcyjnym systemem dźwięków, a proces komponowania nadzoruje jego wola. Język woli nie daje się ująć pojęciowo, pozostaje poza przekazem. Tak rozumiana muzyka staje się absolutna.

*

[…]Dzisiaj abstrakcyjne malarstwo ani dzisiejsza muzyka, która jest dość inteligentna wcale nie jest odzwierciedleniem ducha naszego wieku, który odznacza się powrotem do barbarzyństwa, dekadencją duchową i mentalną i krańcowym materializmem i antymistycyzmem. Co to jest duch danego wieku? Jest to duch żyjących ludzi, ale nie wierzchołków, lecz milionowych mas[…][10]

*

Działanie estetyczne muzyki wypływa z istoty świata i jaźni. Muzyka działa głębiej na naszą jaźń niż inne sztuki. Formę muzyki przekazujemy w postaci nut, reguł liczbowych, co pozwala na prawdziwe odwzorowanie świata. Jednak moment przekładu muzyki na postrzeganie świata jest ukryty.

*

[…]*to, że dzisiaj muzycy oceniają sami siebie i jedni drugich, a malarze także, to nic nie znaczy, bo ta twórczość jako wyższa nie należy do naszego wieku i wcale go, dzięki Bogu, nie reprezentuje. W ciągłym poszukiwaniu „nowego" twórcy znajdują się w wielkim niebezpieczeństwie odbiegnięcia od samych siebie.[…]*[11]

Kompozytor zgarnia zapisane kartki partytury i kładzie je na pulpicie fortepianu. Zaczyna świtać. Gwiazdy na niebie są niewidoczne, a księżyc zmienia się w całą nutę.

Joanna Sendłak

Bobliografia:

Jim Holt „Idee, które zmieniły świat", wydawnictwo Copernicus Center Press Sp. Z.o.o, Kraków 2022.

Artur Schopenhauer, „Parerga i Paralipomena" tom II, wyd. Antyk, Kęty 2006.

Mała encyklopedia muzyki, Warszawa PWM, 1960r.

Małgorzata Janick-Słysz, Vitautas Bacevičius i jego idee muzyki kosmicznej, Akademia Muzyczna w Krakowie, Kraków 2001.

Fragmenty korespondencji Vitautasa Bcevičiusa, archiwum rodzinne.

1 Alikwoty: tony harmoniczne, zawarte w dźwięku tony składowe, których częstotliwości pozostają w stosunkach kolejnych liczb całkowitych jak 1:2:3:4:5:6itd. Alikwoty są wielokrotnościami częstotliwości drgań pierwszego tonu harmonicznego, który decyduje o wysokości dźwięku. Badania akustyczne wykazały, że alikwoty istnieją obiektywnie, co wykazują rezonatory. J.W. Reiss, Mała encyklopedia muzyki, Warszawa PWM, 1960r.

2 W 1859 roku Bernhard Riemann przedstawił funkcję „dzeta", którą rozszerzył na liczby zespolone. Te liczny traktował jako dwuwymiarowe obiekty. Funkcja „dzeta", w każdym punkcie płaszczyzny, określa ich wysokość.

3 Fragment listu Vitautasa Bcevičiusa, 13 III 1960, Bridgeport, USA.

4 Małgorzata Janick-Słysz, Vitautas Bacevičius i jego idee muzyki kosmicznej, Akademia Muzyczna w Krakowie, Kraków 2001.

5 V.B. Ibidem.

6 Artur Schopenhauer, „Parerga i Paralipomena" tom II, str. 307, wyd. Antyk, Kęty 2006.

7 V.B. Ibidem.

8 V.B.Ibidem.

9 Ibidem tom II str. 642.

10 V.B.Ibibem.

11 V.B.Ibibem.

Adam Bujarski

GENIUSZ

Ma nie oddychać
ładnie i składnie chorować w
otworkologii sparingpartnerów
z wyglansowanymi denkami ramion

Żądają cudu. Po sprawie zawsze powiadają, jakoby
bardzo grzecznym był chłopcem.
Przecież on wierzy tylko ich zawstydzać.

Boi się swojego Ducha po tym wszystko - niejednoznacznym, grze logicznej z sobą kulką w roli głównej, nauki, która za wszelką cenę chce mu umożliwić ponowne, choć tym razem mniej
naturalne spojrzenie Sobie w oczy

Odpowiedzialny za wzniecenie prochu
z membrany aymaryjskiej tablicy
Galaktyki rozkładającej się muchołownym policzkiem

Geniusz dziwi się jej
Próżno byłej
nie kichom i fochom już za nim na sali
dowiedzionej w komorach węgla
a owsa
(uśmiech
zadziwienie)
i wycmokanej pointami bajek o Tymitunie

Bo za nim potrzebuje się efektu
- na domiar wciąż trwa pora deszczu -
tj. rozpierdolenia się papierowego talerzyka o ścianę

przecież rzucałby nim wiedząc że nic się nie stanie
nie wystarczyłoby to „w nich samych"

Bo z góry powzięte i
wtajone „Albo- Albo"
jest mu cal ograniczeniem

Rozdzielność kultury marzeń
z niezgodnością doświadczenia papier mâché

Ręce wydłużają się bezsilnie
wzdłuż tułowia jak skrzynki na wykrawki
pocztówek jakby niedowierzały
nogom że można jeszcze
że można wydobrzeć zająknięciem się
parapetu
czy klamki

bo rozumie nie po pięści
tylko w wieszczbach swoich palców

LICZBY

Przeglądamy się w Zawsze i Wszędzie rosyjskości
Liczb. Nasadką termometra wywabiamy
Paciorki z cieni, robimy dziubki od cyrkla
Na wszelką zasadę.
Aż ostatecznie jak one samoprzeciąwszy się
Wyrywką kałuży obejrzą się w nas.

VERBUM DEI

Staczamy się

nieumiejętnie ubezpieczeni
zaokiennictwem miejsc zerowych
jak gdyby cechem naskórka
mimo podchodzimy do tego jakby
nie istnia

- ło

a ja
piło
żyło
możliwie
wy

- woo!

Ano gdy nie wiadomo o co chodzi to
najpewniej o Światło
dzierżone w jednorazowej rączce

chociaż samo z się
zakłada widzialność
ot, z nieco ponad ośmiominutowym poślizgiem ogamu.

Niemniej sprawa wymknęła się
spod kuchni lub też dawno
była wymknięta
w różniczce zmienniej i

De

udziału
odźwiernych
chmur
tych szoferaków swoich posianych
kiedyś gdzieś może ogonów

O ILE

Jeśli pragniesz zostawić mi coś
w spadku zacznij od teraz mierzyć
mnie i ważyć.

W końcu przydziel mi cokolwiek
sprytny stępem
zimnych kaw tyle ile (o)
pokażą ci te twoje próby:

Widzisz, czyli Nic.

CHIŃSKI NÓŻ

Pokochaj swój nóż
sito waginopodobnej dudki
odbitej w rozpaskudzonej wodzie
Oddziel wybujałe ziarenko
Od naci przeciągu

Podpisz nim akcyzę za namiar
biletu
do spędzonych adresów
w naddatku ciemiączek

Niech już zostanie tą schodzoną dachówką

Wyskrob nim (o ile wrócisz) spod
Podłogi to co niegdyś biło czy odbijało ci
W piersi

Dalej daruj to dzieciom do obrony
- w udo i nachylić pod kąt 60° -
niech uwstecznią nim sztubackie rocznice
pod zlewem przemógłszy się z ubrania
wytną zmywaki

Ty wygraweruj jego zapominalstwem nie
istotę
odbijania się od dna

ESEJ

Krystian Medard Manteuffel

Z cyklu: Impresje polskie w niemieckim krajobrazie literackim

POCHŁONIE NAS HISTORIA

1.

Ogarnięci na co dzień pięknem własnej mowy, nie czujemy goryczy, chociaż na rynkach świata nie kupują naszej myśli z powodu drożyzny słów Czyż nie żywimy pragnienia głębszej jeszcze wymiany? Lud żyjący w sercu własnej mowy pozostaje poprzez pokolenia tajemnicą myśli nie przejrzanej do końca.

Słowa z poematu Karola Wojtyły - Myśląc ojczyzna.

Tytuł tego cyklu eseistycznego – kilka tekstów ukazało się na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat w czasopismach literackich w Polsce, ale też w polonijnych w Niemczech, Austrii i na Litwie – mówi o impresjach wychwyconych przeze mnie w *krajobrazie literackim* tego kraju, w którym przyszło mi teraz żyć. Impresje w swojej naturze są ulotne. A choć sprzyjają one zawsze naszym tęsknotom, tęsknoty te tworzy dal. Znalazłem się daleko i to ze świadomością, że dali tej już nie zbliżę. Pierwsze impresje zaczęły pojawiać się jeszcze w malignie pooperacyjnej, gdy nawet najbliższa mi osoba miała wątpliwości, czy wyjdę poza nie.

...tutaj było zawsze coś ostatniego, niepowtarzalne dni;
schody prowadzą w jedną tylko stronę, a drzwi
wiatr historii otwiera w toczące się burze.
Niebo oparło się zadumane; żadne nowych pór barwy -
ledwie zbrodnie zapomniane odeszły bez skargi;
poeta czeka u stopni na nadejście muzy.
Spójrz, jakie wielkie szat tu białych grono!* A wszystkie
w jednym idą rytmie i wszystkie w naszą suną stronę.
Będziemy mieli gości w naszym polskim domu.

...polonez niemiecki: Niemcy, Jura Szwabska, 1995

****Dante Alighieri; Beatrycze w „XXX Pieśni Raju"***

Impresje. Jest ich wiele i pojawiają się ciągle. I są realne. Bo są. Są obrazem, wydarzeniem lub postacią. Jak ten człowiek: „człowiek o prostej biografii".

(…) Biografia moja jest bardzo prosta. Urodziłam się w Łodzi. Jako dziecko miałem już bardzo żywe związki z językiem polskim. Potem ukończyłem polskie gimnazjum humanistyczne, znowu w pełni w obcowaniu z językiem polskim. W tym gimnazjum najbardziej ulubionym moim przedmiotem był język polski i literatura polska. I to właśnie poprzez wojnę i poprzez początki powojennej mojej biografii, która była po prostu poszukiwaniem pracy, urządzeniem sobie i rodzinie jakich takich warunków ekonomicznych, ta świadomość zdobytych w latach młodzieńczych wiadomości o polskiej literaturze, pozostała i działała dalej. I pewnego dnia, jak już byłem urządzony zawodowo, postanowiłem oprócz zarabiania pieniędzy na nagie życie, zająć się czymś pożytecznym dla naszych obuch narodów, społeczeństw, i wtedy postanowiłem Niemcom, moim rodakom, przetłumaczyć pomniki polskiej literatury, które uważałem za ciekawe, ważne, jako przekazanie wiadomości o Polsce, o polskiej historii, o polskiej mentalności...

Mówi Karl Dedecius (audycja cykliczna z archiwum Radia Wolna Europa – 2.07.1980)

Nie wiedziałem jeszcze jak miałbym go szukać. On mówi dwoma językami, ja ciągle tym tylko, z którym się urodziłem. Było więc rzeczywiście nic więcej, poza przypadkiem, że moje wiersze pisane po polsku trafiły przetłumaczone na język niemiecki do „Instytutu Dedeciusa", jak nazywaliśmy między sobą Deutsches Polen-Institut w Darmstacie.

„Biografia moja jest bardzo prosta. Urodziłam się w Łodzi." Czas unicestwia, co tokowi naszej pamięci nie jest wygodne, ale gdy słyszy się tego Niemca mówiącego moim językiem w sposób, który mogę mu tylko pozazdrościć, nie sposób przejść nad jego biografią do codzienności. Czas Dedeciusa. Karl Dedecius urodził się 20 maja 1921 roku w wielonarodowym wówczas mieście Łodzi. Rozbrojenie wojsk niemieckich w Łodzi nastąpiło 11 listopada 1918 roku, po 125 latach niewoli, ale rodziny pozostały. W tym czasie, gdy rusyfikacja i germanizacja narodu polskiego groziła wynarodowieniem, wiele tych rodzin ulegało powolnej asymilacji w społeczeństwo polskie. Czyż nie tak było też z moimi dziadkami? Karl Dedecius uczył się w polskim gimnazjum, które nosiło nazwę Stefana Żeromskiego, wraz z Polakami, Niemcami, Żydami i Rosjanami. I tylko każdy z nich zdawał sobie sprawę, że znaleźli się w Polsce, której nie było od kilku pokoleń, gdy przybyli tutaj ich przodkowie. Już w gimnazjum Dedecius po raz pierwszy zabrał się za tłumaczenia, przekładał na niemiecki wiersze Jana Kochanowskiego. Maturę zdawał w maju 1939 roku, wiadomość o wybuchu wojny zastała go podczas kopania umocnień na granicy polsko-niemieckiej pod Łomżą w polskim ochotniczym hufcu pracy. Dedecius wspomina niemieckie czołgi, które bez problemu przejechały po tych umocnieniach. Hufiec udał się w stronę Lwowa. Jednak gdy tam dotarli okazało się, że miasto jest już zajęte przez Rosjan. Po tułaczce i chorobie Dedeciusowi udało się dotrzeć do Łodzi dopiero pod koniec 1939 roku. Rodzice Dedeciusa nie należeli do zwolenników nazizmu, ojciec odmówił wstąpienia do NSDAP, jednak gdy Karl wrócił do Łodzi pochodzenie niemieckie całej rodziny zostało już zidentyfikowane przez nowe władze i stali się volksdeutschami Trzeciej Rzeszy. Teraz okupant narodowości te rozróżniał i niektórzy koledzy ze szkolnej ławy musieli się ukrywać. Pod koniec 1940 roku powołano go do wojska.

W lecie 1942 roku jego jednostka została skierowana na rosyjski front pod Stalingradem. Z oblężenia w pamięci Dedeciusa pozostały migawkowe wspomnienia; długie tygodnie przeżyte w okopie z którego nie wychodził, potem marsz w wielokilometrowej kolumnie tysięcy, łachmany na grzbietach nie przypominały już dopasowanych kiedyś uniformów. Niewola. Udało mu się przeżyć. Nie spotkał go los tysięcy polskich jeńców, którzy wpierw dostali strzał w nasadę czaszki zanim kopniakiem trafili do dołu. Dedecius dowie się o takiej alternatywie dopiero tłumacząc wiersze polskich poetów. We wspomnieniach Dedeciusa pozostał przecież pewien jasny obraz z niewoli: nauka rosyjskiego i pierwsze próby przekładów na niemiecki wierszy Puszkina i Lermontowa. Został zwolniony z niewoli w roku 1950. W Łodzi nie znalazł już swoich rodziców, a dom też nie był już jego domem. Polska była wówczas ciągle jeszcze oficjalnie w *stanie wojny z Niemcami*. Jego narzeczona, z którą rozstał się w Łodzi przed wyjazdem na front, czekała na niego w Weimarze.

2.

Historia warstwą wydarzeń powleka zmagania sumień.
W warstwie tej drgają zwycięstwa i upadki. Historia ich nie pokrywa, lecz uwydatnia...
Czyż może historia popłynąć przeciw prądowi sumień?

Karol Wojtyła w poemacie - Myśląc ojczyzna

Bardzo pomaga mi mądrość tego wielkiego Polaka w uporządkowaniu myśli o Karlu Dedeciusie.

Z książki autobiograficznej Karla Dedeciusa „*Europejczyk z Łodzi*":

...gdy zbliżała się dwudziesta rocznica wybuchu wojny, ja, jej uczestnik, niemiecki żołnierz ze skamieniałą kromką suchego chleba w plecaku, pragnąłem uczcić moich rówieśników poległych po drugiej stronie barykady. Chciałem dowiedzieć się, jak odczuwali świat, zanim polegli. W swojej niewielkiej biblioteczce znalazłem ich wiersze, przetłumaczyłem je i położyłem ten skromny wybór na grobach nie znanych mi żołnierzy, „wrogów", którzy nigdy nie wyrządzili mi żadnej krzywdy. Zatytułowałem ten cykl „Leuchtende Gräber" („Świecące groby").

Znalazły się tam wiersze Andrzeja Trzebińskiego, Wacława Bojarskiego, Zdzisława Stroińskiego. (Założyciele czasopisma *Sztuka i Naród*, studiowali na podziemnym uniwersytecie w Warszawie polonistykę, slawistykę i historię.) *Trzebiński prowadził dziennik* – pisze Karl Dedecius w swoich wspomnieniach *– a zapisane w nim myśli i nastroje dotyczą całego ówczesnego młodego pokolenia.* Dedecius cytuje dla niemieckich i polskich czytelników za Trzebińskim: *Pochłonie nas historia. Młodych, dwudziestoletnich chłopców. Nie będziemy Mochnackimi, Mickiewiczami, Norwidami swojej epoki. Mogliśmy być Rimbaudami. Ale odrzuciliśmy to, bo szliśmy gdzie indziej.*

Karl Dedecius rozświetla groby poległych polskich poetów. Od tych poetów nie otrzyma już nowych wierszy do tłumaczenia, więc od nich zaczyna i podsuwa pod oczy swoim rodakom obraz brutalny, bo prawdziwy:

Trzebiński, został aresztowany w 1943 roku i publicznie rozstrzelany, Bojarskiego, który pod koniec maja 1943 roku wraz ze Zdzisławem Stroińskim i Tadeuszem Gajcym składał wieniec pod pomnikiem Kopernika, trafiła niemiecka kula, od której zmarł na początku czerwca; Stroiński i Gajcy zginęli jako żołnierze AK w Powstaniu Warszawskim. (…)

Niemiecki tłumacz literatury polskiej przekazuje swoim rodakom nie tylko wiersze. Są to bowiem wiersze poetów, których Hitler wskazał ich niemieckim rówieśnikom, jako wrogów, więc wymagają komentarza. Tłumaczy wiersze, a do wierszy załącza wizytówki mówiące jego rodakom to, czego powinni być świadomi: Krzysztofa Baczyńskiego, Józefa Czechowicza, ale i Władysława Sebyły *(zginął w Katyniu)*, Tadeusza Boya-Żeleńskiego *(rozstrzelany we Lwowie)*, Stefana Napierskiego *(rozstrzelany w Palmirach)*, Tadeusza Hollendera *(uczestnik zbrojnych akcji organizowanych przez w latach 1941 – 1944 przez gen. Stefana Roweckiego, rozstrzelany przez gestapo w roku 1943)* i Jerzego Kamila Weintruba *(przyjaciel Krzysztofa Baczyńskiego; Żyd, żył w ciągłym ukryciu nie tylko przed Niemcami; powód jego śmierci w roku 1943 nie jest do końca wyjaśniony)*, Bruna Schulza *(rozstrzelany w biały dzień przez esesmana na ulicy w Drohobyczu)*. Nie pomija też Tadeusza Borowskiego *(poeta z tragicznym życiorysem, zagubiony i wplątany po wojnie w ideologię komunistyczną, w roku 1951 popełnił samobójstwo)*.

Karl Dedecius, żołnierz, któremu wskazano cel, nie wiedział o tym, co działo się za jego plecami. Nie wiedziała o tym ogromna część społeczeństwa niemieckiego. O Auschwitz nie słyszał, ani w okopach na froncie stalingradzkim, ani w niewoli rosyjskiej, dowiedział się dopiero po powrocie. Ale Dedeciusowi przyszło się zmierzyć z osobistą konfrontacją recepcji jego statusu w Polsce tuż po wojnie, w latach sześćdziesiątych w Warszawie, gdy jako jeden z uczestników Międzynarodowej Konferencji Tłumaczy miał zaprezentować swoje teksty.

Obok mnie – wspomina – siedział polonista, profesor Alois Hermann z Uniwersytetu im. Humboldta w Berlinie Wschodnim. Przed rozpoczęciem uroczystości zapytał:

Bywa pan częściej w Polsce?

Nie jestem tu drugi raz.

– Słyszę, że pochodzi pan z Łodzi? Ja również. Przyjeżdżam tu dość często. Służbowo. Czy mogę dać panu pewną radę?

Owszem, słucham.

– Panuje tutaj zwyczaj, by przed prezentacją wierszy się przedstawić. Niech pan nie mówi, że urodził się w Polsce, jest volksdeutschem, i że był pan żołnierzem niemieckiego Wehrmachtu. To nie będzie tu mile widziane.

Przyszła moja kolej. Przedstawiłem się krótko: urodzony w Łodzi, volksdeutsch, polskie gimnazjum, matura w 1939 roku, potem Arbeitsdienst i niemiecki Wehrmacht, front rosyjski. Stalingrad, niewola. W zdenerwowaniu zapomniałem o radzie znajomego uczonego.

Na sali uprzejme milczenie. Ale żadnych negatywnych reakcji.

Przeczytałem wiersz Sebyły „Pogrzebany". Zapanowała śmiertelna cisza. Następnie – po niemiecku - przeczytałem jeszcze: „Wie wirst du denn wiedergeboren" i wtedy na scenę weszła zapłakana kobieta, objęła mnie, podziękowała i powiedziała:

– Po raz pierwszy po 1945 roku są w Polsce czytane wiersze mojego męża. I to przez kogo? Przez Niemca, po niemiecku."

Wzruszenie żony poety zamordowanego w Katyniu musiało być ogromne. O Katyniu w tym czasie nikt nie mógł w Polsce wspominać. W wierszu Pogrzebany, napisanym w roku 1933, ta traumatyczna wizja własnej śmierci jest tak nieprawdopodobna, że aż prawdziwa, tak w oryginale, jak w tłumaczeniu:

(…) Otoś już zwyciężony,
już przedzwoniły dzwony
płaczliwy śpiew cię prowadzi
ku ostatecznej zagładzie
w granice nieruchome
w te piachy niewiadome (…)

(…) Schon sind die Glocken verhalt,
schon bist du besiegt und kalt,
entführt dem Klagegesang,
zum gültigen Untergang
ins unbewegliche Land,
in nie erfahrenen Sand (...)

Sebyła został powołany do wojska w sierpniu 1939 roku, wtedy, gdy Dedecius w polskim hufcu pracy kopał szańce obronne na zachodzie Polski. Ale Sebyłę trafiła kula w plecy, od zdrajcy ze Wschodu.

Jeszcze tego samego roku w wydawnictwie Carla Hansera w Monachium ukazał się reprezentacyjny almanach współczesnych poetów polskich w przekładzie Karla Dedeciusa zatytułowany *Lekcja ciszy*. Mogę dziś powiedzieć, parafrazując słowa niemieckiego tłumacza: Wielokrotnie czytałem wiersze tych polskich poetów zapisane po niemiecku, ucząc się tego języka w ciszy nad doliną wśród wzgórz Wyżyny Szwabskiej; refleksja nad moim czasem, tym minionym i tym przyszłym, jak tajemnicze światło z niewidzialnego źródła.

Czytając przekłady wierszy dokonane przez Karla Dedeciusa staram się zawsze mieć obok oryginał polski. Mam teraz przed sobą coś więcej: dwa lata temu nakładem ukazał się zbiór esejów Karla Dedeciusa Szkiełko tłumacza i oko poety[1], w których dzieli się on swoim doświadczeniem tłumacza, ale dodając światła do tej trudnej do odczytania dla przeciętnego Niemca poezji pokolenia polskich poetów, *wychodzi naprzeciw trosce Jana Wojtyły. We wstępie do tego zbioru pisze Andreas Lewaty:*

(…) Kto ma swoim słuchaczom i czytelnikom coś do powiedzenia, zastanawia się nad skutkami tego, co mówi. Dedecius dba o wypowiedź jasną, niekiedy także prowokacyjną, ale i stara się wyważyć estetyczne i etyczne oddziaływanie własnych słów. Wyczucie formy, dbałość o przyjemność (nie tylko u tłumacza) płynącą z wieloznaczności słów, wariacje z wariantami zwrotów mowy i myśli chroni go najwidoczniej nawet wtedy przed natrętnym moralizatorstwem, kiedy w ostatecznej konsekwencji chodzi mu właśnie o moralność: na przykład kiedy apeluje o uchronienie kultury przed spłyceniem i dowolnością. (...) Jak to gdzieś napisał Dedecius? Książki powinny być „pożywne i strawne". Tutaj język jest sztuką i informacją, rozpuszczalnikiem i spoiwem jednocześnie. [2]

mnikową w zbliżaniu Niemcom naszej literatury. Pierwszy list datowany jest 22 marca 1958 roku, ostatni 7 stycznia 2000. To okres szczególnie zaangażowanej twórczości polskiego poety i najbardziej ożywionej recepcji. Intuicja znakomitego tłumacza potwierdza jego zainteresowanie nie tylko literaturą polską ot, z racji jej walorów literackich, ale i o obserwacji sytuacji politycznej za wschodnią granicą, oczekując jej odbicia w twórczości. Pojawienie się wierszy i esejów Miłosza w Paryżu stało się alertem. Dedecius podkreślał w swoich publikacjach, także w wywiadach dla RWE, ten wyjątkowy rezonans polskiej literatury czułej na momenty przesileń społecznych. Musiała nastąpić polaryzacja w szeregach twórców i szczególnie w tym kontekście Karl Dedecius wie do kogo pisze w tym pierwszym liście (22.03.1958):

3.

W roku 1980 z inicjatywy Karla Dedeciusa powstał w Darmstadt *Deutsches Polen Institut*, pełniący funkcję centrum polskiej literatury i kultury w Niemczech. Dynamika inicjatyw i osobistej twórczości translatorskiej Karola Dedeciusa przerosła jednakże szybko możliwości samego Instytutu. Przy założonym w 1991 roku we Frankfurcie nad Odrą *Uniwersytecie Europejskim Viadrina*, który rozwinął się do rangi aktywnego i wysoko cenionego członka kręgu niemieckich i europejskich uczelni wyższych, w roku 2010 powstało w Słubicach *Archiwum Karla Dedeciusa*, jako oddział Biblioteki Uniwersyteckiej.

Tej placówce, a osobiście panu Błażejowi Kazimierczakowi, kierującemu Archiwum, wdzięczny jestem za pomoc. Wzbogaciłem się między innymi o bezcenny zbiór korespondencji między Karlem Dedeciusem i Czesławem Miłoszem33 opracowanym przez dr Przemysława Chojnowskiego. Korespondencja ta to więcej niż czytanie rozpraw naukowych, których dziś coraz więcej na temat już nie tylko Miłosza, ale samego Dedeciusa, który sam stał się postacią pomnikową w zbliżaniu Niemcom naszej literatury. Pierwszy list datowany jest 22 marca 1958 roku, ostatni 7 stycznia 2000. To okres szczególnie zaangażowanej twórczości polskiego poety i najbardziej ożywionej recepcji. Intuicja znakomitego tłumacza potwierdza jego zainteresowanie nie tylko literaturą polską ot, z racji jej walorów literackich, ale i o obserwacji sytuacji politycznej za wschodnią granicą, oczekując jej odbicia w twórczości. Pojawienie się wierszy i esejów Miłosza w Paryżu stało się alertem. Dedecius podkreślał w swoich publikacjach, także w wywiadach dla RWE, ten wyjątkowy rezonans polskiej literatury czułej na momenty przesileń społecznych. Musiała nastąpić polaryzacja w szeregach twórców i szczególnie w tym kontekście Karl Dedecius wie do kogo pisze w tym pierwszym liście (22.03.1958): 3

Szanowny Panie,

mam zamiar przygotować obszerniejszą ANTOLOGIĘ POLSKIEJ POEZJI WSPÓŁCZASNEJ w języku niemieckim i byłbym Panu bardzo wdzięczny za pozwolenie na przetłumaczenie Pańskich wierszy i za przesłanie odpowiednich tekstów. (…)

Zależy mi bardzo na tym, żeby Pan osobiście wybrał wiersze, którymi Pan chciałby być przedstawiony w niemieckiej antologii. Także ze względu na Pańską osobę i wybitna pozycję w(e) współczesnej poezji polskiej, chciałbym w antologii Pańskiej twórczości poświęcić odpowiednie miejsce. (…)

Książka powinna ukazać się wkrótce albowiem zainteresowanie (także polityczne) u nas szczególnie aktualne.

Oczekując odpowiedzi (Pańskie wskazówki krytyczne dotyczące wyboru poetów w kraju byłoby dla nas także bardzo cenne).

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Karl Dedecius

Chodziło o antologię poezji polskiej. W tym czasie znane już były w Niemczech przekłady prozy polskiej, także współczesnej, także Czesława Miłosza. Karl Dedecius się-

gał po poezję polską, z którą zapoznał się w latach młodzieńczych, a wielu tych poetów żyło jeszcze. Dla wydawnictw poezja jest zawsze pewnym ryzykiem, a na pewno, gdy ma być wydana poezja nieznana, nieznanego poety. Wymaga to sondażu, jakim jest antologia. Zresztą dla samego tłumacza poezja staje się często ogromnym problemem z powodu nieprzetłumaczalności zwrotów, przenośni i metafor. To nie stanowiło problemu dla tłumacza takiego, jak Dedecius, zżytego z językiem polskim, ale czującego wyraz poetycki w jego języku ojczystym. Nie stanowiło problemu, aby zrozumieć, ale aby przetłumaczyć. Problemu tego nie kryje w swojej korespondencji. Wprawdzie chciałby, aby to poeta polski był twórcą zbioru swoich wierszy, ale Miłosz też jest tłumaczem i problem ten jest wiodącym w ich korespondencji; jednemu chodzi o przedstawienie Niemcom najlepszych swoich utworów, drugiemu o gwarancję ich recepcji.

Dedecius do Miłosza 19 października 1965 roku:

Mnie osobiście Pańskie „proste" wiersze z tych pierwszych bardzo przemawiają do uczucia i do rozumu. Dlaczego nie zacząć przedstawiania Pańskiej poezji w Niemczech od tego akcentu, na który Niemcy są najbardziej wrażliwi?

Wiersze, które się Panu podobają i które Pan wymienia, są w wielu przypadkach nieprzetłumaczalne, albo traciłyby w tłumaczeniu dużo ze swoich walorów językowych i poetyckich. Mówiąc szczerze: nie mam już więcej sił, cierpliwości i spokoju, tłumaczyć większą ilość wierszy rymowanych, które mi pożerają całe tygodnie (których nie posiadam).

Korespondencja ta zbliża wzajemnie polskiego poetę z niemieckim tłumaczem. Miłosz bezpośrednio w tekście listu, jak choćby tego z 22 czerwca 1958 roku, daje niemieckiemu tłumaczowi kompendium z konstelacji współczesnych literatów polskich „po odwilży":

(…) po „odwilży" następujący powinni być brani, moim zdaniem, pod uwagę: Miron Białoszewski (tom: „Obroty rzeczy"), Zbigniew Herbert (tom: „Hermes, pies i gwiazda"), Jerzy Harasymowicz, Stanisław Grochowiak, zapewne Marian Jachimowicz, Stanisław Czycz jest młody jeszcze, nie wiadomo, jak się rozwinie.

Ze starszego pokolenia, które debiutowało bezpośrednio po wojnie, najbardziej utalentowany jest Tadeusz Różewicz. (…)

Dedecius prosi wprost Miłosza o pomoc w skatalogowaniu postaci polskich literatów nie tylko pod względem ich klasy, ale też w kontekście: emigracja – kraj. Co może lepiej świadczyć o klasie samego tłumacza polskiej, właśnie polskiej literatury, jak nie ta troska. Tylko tłumacz znający nie tylko historię narodu, którego język ma zastąpić swoim językiem, ale aktualną sytuacje polityczną i – czy nie przede wszystkim? – mentalność tego narodu.

W innym z listów Miłosz zdradza swojemu tłumaczowi kod pozwalający odczytać ukryte pod zmyślonymi pseudonimami nazwiska bohaterów Zniewolonego umysłu; to był, jak przypuszcza autor zbioru, początek 1967 roku i dyskusja na ten temat w Polsce była ożywiona wśród ludzi, którzy mieli możność ten esej wtedy czytać.

Odszedł Czesław Miłosz odszedł w 2004. A Dedecius sięgnął za jego radą po Różewicza. Jak trafna była ta propozycja, okazało się bardzo szybko. Ale nikt nie mógł przewidzieć, że niebawem mogło być za późno. Tadeusz Różewicz odszedł w kwietniu 2014 roku, jeszcze jeden z naszych wielkich, którego pamięć tłumaczył Dedecius na własną pamięć. Zakończę na tym. Cytuję dwa wiersze Tadeusza Różewicza przetłumaczone potem przez Karla Dedeciusa. Niech ta polska impresja w niemieckim krajobrazie literackim mówi sama za siebie ich słowami:

Do K.D.

Moją pamięć tłumaczysz
na pamięć własną
moje milczenie
na swoje milczenie

słowo
słowem naświetlasz
wyławiasz obrazy z obrazu
wydobywasz z wiersza wiersz
przeszczepiasz
obcojęzycznym
mój język
potem
moje myśli
owocują w twej mowie

An K.D.

Du übersetzt
mein gedächtnis
in dein gedächtnis
mein schweigen
in dein schweigen
das wort leuchtes du aus
mit dem wort
hebst das bild
aus dem bild
förderst das gedicht
aus dem gedicht zutage
verpflanzt
meine zunge
in eine fremde
dann
tragen meine gedanken
früchte
in deiner sprache

Zostawcie nas

Zapomnijcie o nas
o naszym pokoleniu
żyjcie jak ludzie
zapomnijcie o nas

my zazdrościliśmy
roślinom i kamieniom
zazdrościliśmy psom

chciałbym być szczurem
mówiłem wtedy do niej

chciałabym nie być
chciałabym zasnąć
i zbudzić się po wojnie
mówiła z zamkniętymi oczami
zapomnijcie o nas
nie pytajcie o naszą młodość
zostawcie nas

Lasst uns

Vergesst uns
und unsere generation
lebt wie menschen
vergesst uns

wir beneideten
pflanzen und steine
beneideten hunde

ich wollte ich wäre eine ratte
sagte ich damals zu ihr

ich möchte nicht sein
ich möchte einschlafen
und nach dem krieg erwachen
sagte sie mit geschlossenen augen

vergesst uns
fragt nicht nach unserer jugend
lasst uns

Niemcy, Jura Szwabska,
marzec 2015

Krystian Medard Manteuffel

1 Wydawnictwo „uniwersitas", rok 2013, ISBN 97883-242-2275-9; wyd. elektron.: 97883-242-1925-4
2 Andreas Lewaty – ur. 1953 w Bytomiu; Deutsches Polen-Institut Darmstadt. Ze wstępu do zbioru esejów Karla Dedeciusa Szkiełko tłumacza i oko poety. Universitas 2013. ISBN: 97883-242-2275-9
3 Dedecius – Miłosz LISTY/BRIEFE 1958 - 2000 - zebrał, przygotował do druku, opatrzył przypisami i wstępem P. Chojnowski. Śródmiejskie Forum Kultury – Dom Literatury. Łódź 2011.

Marek Sołtysik

Andrzej Talarek

KSIĘGA PSALMÓW DZISIEJSZYCH

Psalm Pierwszy.
Idź zawsze swoją drogą, ktoś ją w ciebie wpisał.

Biblia Tysiąclecia: Dwie drogi życia
Jan Kochanowski: Szczęśliwy, który nie był miedzy złymi w radzie
Księga Psalmów dzisiejszych: Idź zawsze swoją drogą, ktoś ją w ciebie wpisał,

Idź zawsze swoją drogą, ktoś ją w ciebie wpisał,
może matka przy piersi, ojciec gdy kołysał
lub Bóg. Ty możesz jednak na twych skrzyżowaniach
wybierać smaki życia lub Panu się kłaniać.

Jak dziś żyć Bożym prawem pośród praw wielości.
praw człowieka każdego, praw do odrębności?
Gdy trudno znaleźć kogoś, kto Twym prawem żyje
i swoim życiem Ciebie hańbą nie okryje.

I kto mi wreszcie wskaże Ducha Twego Prawa
z tłumu nauczycieli, abym bez obawy
przyjął i jak twe drzewo nad płynącą wodą
owocował miłością i na życie zgodą?

Czy ci co Cię nie znają lub Cię odrzucili,
kiedy doszli do końca, w plewę się zmienili
życia, które umarło nie rodząc wieczności?
Czy może miłość Twoja także w nich zagości?

Wiem, że miła jest Bogu droga sprawiedliwych,
żyjących wolą Boga, w wyborach uczciwych.
I tak chcę żyć, by nie kryć na końcu zdziwienia,
że śmierć mi nie przynosi z życia wyzwolenia.

→

Psalm Drugi.
Dlaczego ludzie współczesnego świata.

Biblia Tysiąclecia: Mesjasz Królem
Jan Kochanowski: Co za przyczyna tego zamieszania
Księga Psalmów Dzisiejszych: Ludzie wprzęgnięci w rytm dzisiejszych czasów

Ludzie wprzęgnięci w rytm dzisiejszych czasów,
od Boga swoje twarze odwracają.
Żądają więcej wolności niż mają,
zamiast się martwić o przyszłość zawczasu.

Dlaczego drogi ludzi oraz Boga,
kiedyś jak części lin z sobą splecione,
dziś się rozchodzą, każda w swoją stronę,
a ku nicości wiedzie ludzi droga?

Także przywódcy, którzy z łaski tłumu
władzę swą dzierżą, przeciw Bogu knują
i prawo Pana swoim zastępują,
tak zakłamując epokę rozumu.

Stargać ich więzy, odrzucić ich pęta.
Okrzyk donośny ponad podziałami.
Każdy kto przeciw, niech się łączy z nami,
o krzywdach swoich zbiorowo pamięta.

Śmieje się w niebie Pan, który nas stworzył.
Śpiewem galaktyk jest głos jego dumny.
Słońcem jaśnieje ponad nasze trumny.
Miłość swą wielką nad nimi otworzył.

Pan postanowił: Tyś jest moim Synem.
Ciebie zrodziłem na dziś przez wiekami.
Dziedzictwo Twoje - ludzie zagniewani.
Tyś miłosierdzia jest dla nich zaczynem.

Nie pokrusz tego, co w całości piękne,
nawet jak rysa jego serce szpeci.
Traktuj ich w łasce swojej tak jak dzieci,
zamiast ich karać, wzbudź w nich myśli tęskne.

Zrozumcie Pana przywódcy tej ziemi,
sędziowie praw jej, Prawa Pana strzeżcie,
oddajcie cześć mu, swe sądy zabierzcie,
On sąd miał będzie nad nieskruszonymi.

Psalm Trzeci.
Dlaczego przemoc, Boże, Twym światem rządzi?

Biblia Tysiąclecia: Modlitwa prześladowanego
Jan Kochanowski: Mocny Boże, jakoż ich wiele powstało,
Księga Psalmów Dzisiejszych: Dlaczego przemoc, Boże, Twym światem rządzi?

Dlaczego przemoc, Boże, Twym światem rządzi?
Silny wojny zaczyna, w szaleństwach błądzi,
z Twym imieniem na ustach pali, morduje.
Czy twarz swą odwróciłeś, bólu nie czujesz?

Jakie nauki Panie z Twojego prawa?
Oko za oko - ciągła życiem zabawa.
Oba policzki spuchłe pod ręką kata.
Lecz czy czeka go za to Twoja odpłata?

Kładę się i zasypiam, znowu się budzę.
Choć pożar step ogarnia, ja wciąż marudzę.
Choć świst rakiet i huk, ja wygodnie leżę
Dopóki w moje okna grom nie uderzy.

A tam się modlą: Boże, wyłam im szczęki,
rozbij ich armie, odsuń nasze udręki.
Tu się modlimy: Panie, to wszystkich wina
i ślemy na front matkę Twojego Syna.

Lecz w krwawym czasie tylko Ty jesteś tarczą,
Tyś ucieczką w nadzieję, gdy czołgi warczą.
Zrób coś, póki tli jeszcze kawałek lontu!
Modlą się ludzie cicho z obu stron frontów.

Wyłoń się Panie z ciszy, me lęki zrozum,
przywróć rozsądek władcom, a ludom rozum,
ocal nas od nieszczęścia piekła w tym życiu,
kiedyś schowaj nas w nieba Twoim ukryciu.

Psalm Czwarty.
Sprawiedliwość wymierzasz Boże w swej mądrości.

Biblia Tysiąclecia: Modlitwa i napomnienie
Jan Kochanowski: Wzywam Cię, Boże, świadku mojej niewinności
Księga Psalmów dzisiejszych: Sprawiedliwość wymierzasz Boże w swej mądrości

Sprawiedliwość wymierzasz Boże w swej mądrości.
Proszę, wyjaśnij jednak moje wątpliwości:
gdy modlę się, lecz Ciebie w mych dłoniach nie czuję,
dźwigasz mnie z utrapienia, czy skrycie biczujesz?

Czy jesteś dla wierzących na ich zawołanie,
czy wciąż za tajemnicą ukrywasz się Panie?
Czy wyrzuty pod innych adresem rzucone,
mogę wspierać, żeś zawsze jest na mą obronę?

Jak wykazać wątpiącym lub tym co nie wierzą,
że oni też do Ciebie, jak i ja, należą,
że możesz im dopomóc przejść ciemną doliną,
bo iść z Tobą lżej będzie i w mroku nie zginą?

I że darów nie muszą ci składać ni hołdów,
bo wystarczy westchnienie i kropelka modłów
ze słów prostych sklejona, co wprost z serca płynie.
Boga wzruszy w niebiosach, w nicości nie zginie.

Ja zaś Cię chwalić mogę słowami najhojniej,
że moje szczęście w Tobie i sypiam spokojnie,
boś w życie wlał mi Boże tak wiele radości,
że bez niej w Twej winnicy bym musiał zagościć.

Andrzej Talarek

Urodzony w 1951 roku, od dwu lat emeryt, inżynier automatyk, ostatnia funkcja: Prezes Spółki z Grupy Cyfrowego Polsatu – InterPhone Service Sp. z o.o. w Mielcu, zajmującej się produkcją elektroniki i logistyką.

Członek ZLP od 8 lat. Jeśli chodzi o moją twórczość pisaną to przede wszystkim jestem felietonistą mieleckich mediów. Napisałem ok. 1500 felietonów, część z nich wydało wydawnictwo Szary Wilk w zbiorze „Msza za miasto Mielec" w roku.
Wydałem 6 zbiorów poezji, .

Marian Kisiel

ELEGIE KĄCKIE

Elegia pierwsza

Przyszedłem po to, aby was ocalić,
zamkniętych w czasie, który dawno minął,
już nie jest wasz, jak się wam zdawało,
już nie jest czasem, bo już dawno minął,
więc ja przyszedłem, aby was ocalić,
zamkniętych w czasie, który czasem nie jest.

Po to się trudzę, jak wielu przede mną,
aby was z czasu ocalić przed czasem,
bo czas was wchłonął, jak zwykł wchłaniać czas,
a kto wchłonięty nie ma czasu, by
żegnać się, więc po to przyszedłem,
po czasie, ale jeszcze, by zatrzymać czas.

Witajcie znowu, siadajmy do stołu,
wy z czasu, który już dawno przeminął,
ja z czasu, który wciąż jeszcze się tli,
siadajmy, mówmy, patrzmy na swe twarze,
na których pleśń i uśmiech, bo przecież
po to przyszedłem, aby razem siąść.

Elegia druga

Jesteśmy tutaj jakby zawstydzeni.
Stoimy na drodze, nie wiemy, gdzie pójść.

Ten dom był nasz, ale już nasz nie jest.
Jak otworzyć furtkę, jak przestąpić próg?

Tamten dom, tak bliski, także nie jest nasz.
Opadł tynk, kamienie szczerzą swoją nędzę.

Jak otworzyć furtkę przez zasieki traw?
Więc już odtąd trawa będzie naszym stróżem?

Patrzę w twe oczy, widzę w nich mijanie.
Podmuch powietrza, jak z elegii drugiej.

Stwarzam piach na drodze i bajory błota.
Kto grzęźnie na wieki w zawięzłych odmętach?

Lecz się uśmiechamy, zdani na swą przeszłość.
Już nic tutaj nie ma i nas także nie ma.

Ten lęk przed domem, żeby go znów dotknąć.
I by wejść w przestrzeń, którą próżno wskrzesić.

I biegać z krzykiem, rękami na przestrzał.
Śmiać się i płakać, i czekać aż przyjdą?

Lecz nikt nie przyjdzie i nie nada sensu.
Nasze spojrzenie zasnuła mgła teł.

Przyjechaliśmy, lecz co to za podróż.
Stoimy martwo, nie wiemy, gdzie pójść.

→

Elegia trzecia

Śniła się zima
Mickiewicz

Nie śniłem już. Nie śniła się zima,
choć zima była, lecz ja już nie śniłem.
W domu, przy stole, mama poszła gdzieś,
ja, pięcioletni, jem śniadanie, sam.

Każdy kąt mówi swą straszną opowieść,
drzwi skrzypią, w okna zaglądają cienie,
ktoś wszedł, trzaski z drugiego pokoju,
i słychać dziwny odgłos ciężkich kroków.

Uciekać! Prędzej, nim nadejdą oni,
o strasznych oczach, upiornym uśmiechu.
Do mamy, boso, przez parzący śnieg,
bo już nie śniłem, zima się nie śniła.

Elegia czwarta

Mój nieocalony
Ficowski

Czytam umarłych, których nie czytałem
za młodu, nigdy, nawet w późnym wieku,
ich mowa niczym smak piołunu, który
rósł kiedyś w kępach, pod płotem, w ogrodzie.

I smak ten dzisiaj odnajduję w wierszach,
tak samo gorzki, tak samo niechciany,
łączy nas upływ, czas, którego nie ma,
jak nie ma wierszy, piołunu, ich, mnie.

Elegia piąta

Dzień jesienny
Rilke, przeł. Mieczysław Jastrun

Panie: już czas. Nabrzmiewają chmury
i szum się wzmaga. Nadchodzi wichura,
drzewa rwą gałęzie, z dala wrzeszczy morze.

Pozwól uspokoić serce,
niech nie lęka się przed burzą.

Powiedz mu: nie lękaj się, to tylko burza,
i może się uspokoi.

Więc kto jest w domu, niech się nie lęka,
a kto do niego zdąża, niech go odnajdzie.

Czytając wiersz, ślepiąc po literach,
pozwól, by wichura i wrzask morza,
uspokoiły się, już.

Elegia szósta

gdzie jesteś
pyta drzewo

właśnie się zazieleniło
by rzucić większy cień

dlaczego nas podlewa
czyjaś obca ręka

niepokoją się piwonie
w tym roku chcą zakwitnąć piękniej.

kot który nas nawiedza
dziwi się:

od dawna nie krząta się
ten śmieszny staruszek

wszystko jest
jak dawniej

jak dawniej?
jak dziwnie brzmią te słowa

Elegia ósma

Nic dwa razy
Szymborska

musi się rozerwać
żeby można zszyć

i musi odejść
by mogło powrócić

musi być łza
by zajaśniał wzrok

i warg stężenie
by rozbłysnął uśmiech

dwie krople wody
jedna zawsze z drugą

Elegia dziewiąta

Czas na mnie
Różewicz

ostatnie słowo?
ostatnie, być może

i już nic więcej?
pewnie nic, niestety

tylko milczenie?
tak, milczenie tylko

i sen?
tak, wyłącznie sen

a przebudzenie?
nie, nic

Elegia dziesiąta

Kto jest poetą
Różewicz

odchodzą
dzisiaj znów

już słabo pamiętam
twarze zdarzenia

czas zamknął się w czasie
który odszedł

już słabo pamiętam
rozumiem

piszę ten wiersz
o kim

o tym co odszedł
i odejść nie może

Elegia dziewiąta

Czas na mnie
Różewicz

ostatnie słowo?
ostatnie, być może

i już nic więcej?
pewnie nic, niestety

tylko milczenie?
tak, milczenie tylko

i sen?
tak, wyłącznie sen

a przebudzenie?
nie, nic

Elegia dziesiąta

Kto jest poetą
Różewicz

odchodzą
dzisiaj znów

już słabo pamiętam
twarze zdarzenia

czas zamknął się w czasie
który odszedł

już słabo pamiętam
rozumiem

piszę ten wiersz
o kim

o tym co odszedł
i odejść nie może

Bianka Kunicka – Chudzikowska

- soczyste wersety -

idąc naszym tropem można dojść do emirskiej alhambry
gdzie karmin spowija noc dzień miłość i nienawiść
spocone cienie andaluzyjskich koni wciąż pędzą na oślep
jak maurowie którzy nigdy nie odeszli stąd na zawsze

nie spłoszmy pamięci o smaku i zapachu pomarańczy
dojrzałe w słońcu wpadały w kołyszące się łódeczki dłoni
słodkie jak skóra opalonych dziewcząt grenady
odgarniających z oczu kosmyki kruczoczarnych loków

zasypiamy pod niebem pełnym westchnień
pomiędzy snami o wierności i uczciwości
warczymy wygryzając grzechy i odmawiając zaklęcia

nigdy nie będziemy tacy sami choć ja jestem tobą a ty mną
moja sierść lśni a ty otrząsasz szron i kładziesz głowę na moich udach
a mówili że dwa tygrysy nie mogą mieszkać w jednej klatce

- bibularz furkoczących słów -

jesteśmy sadem zmieniającym barwy
kawałkami wyszczerbionego żelaza
monodiami w których plącze się wiatr

kiedyś gdy staniemy się ciałem
położysz dłonie na mojej twarzy
a młode feniksy pokochają ogień

na skraju czucia podaruję ci pióro simurga
odda nam swoje trzydzieści imion i zasieje czas
zamieszkamy w gnieździe na drzewie wszystkich nasion
zrzucimy stare liście a słowa powrócą

latające czyżyki wyśpiewują nieskończone piękno
eremici bez skazy nie znają słów nie zadają bólu
na ostrzach noży serca błyszczą jak metal
wspólnym tętnem rzeźbią przepowiednie na dłoniach

zmaż ze mnie szminkę zedrę z ciebie niepokój
tylko tak sprawdźmy czy naprawdę jesteśmy sobie potrzebni

„Umarł bóg, niech żyje Bóg!"

Wy, święci jak Borgia, na rozkładówce świata
złotouste potwory, uświęcone a priori
jęzorami ognia pieściliście te, co wiedziały za dużo
ich krągłe biodra i piersi obracały się w popiół
warzoną krwią spisywały nową ewangelię

Wy, święci jak Borgia, na rozkładówce świata
maszerując do nieba po tęczowym moście
w skromności złota pogańskiego mitu
niesiecie na barkach krzyże waszych ramion
bez Boga, bo go zgubiliście po drodze

- a gdyby nie było całek i nas -

skończona objętości, nieskończone pole
do popisu, choć życie nie jest nieskończone
rozwidlenia, noce, bliskość, drogi, cele
bez wyjścia, kierunki wiecznego profanum
w klepsydrze nieba twarze, dwie ofiary losu
czas ich słowa zmiecie czułość ust zabierze
kobiecie i mężczyźnie - choć pisani sobie
pozostaną metryki - choć pisane po nich
przetrwa kamień imiona wyryte litery
nieskończenie małych sumy nieskończone
nie wspomną ich miłości nigdy nie skończonej
choć to w niej przetrwają wiosennymi liśćmi

Bianka Kunicka – Chudzikowska - wrocławska poetka, prozatorka i publicystka, z wykształcenia plastyczka oraz kulturoznawczyni ze specjalnością historia sztuki.

Zadebiutowała biorąc udział w konkursie organizowanym przez wydawnictwo Psychoskok, w którym zdobyła nagrodę za opowiadanie „Rewers" (2017). Skłoniło ją to do ukazania swoich tekstów szerszej publiczności i założenia strony oraz profilu poetyckiego w mediach społecznościowych zatytułowanego „pobrudzone szminką", co zaowocowało tomikiem poezji pod tym samym tytułem (2017). Niespełna dwa lata później wydała kolejny tomik „poparzone wrzątkiem" (2019), wydany pod patronatem ogólnopolskiej gazety Dziennik Trybuna, w którym kilkukrotnie były publikowane jej wiersze oraz portalu literackiego – Literacki Wolny Eter. Autorka napisała również powieść „Najprawdziwsza Fikcja" (2018 Wydawnictwo Oficynka), która została wyróżniona przez jury oraz otrzymała nagrodę czytelników w ogólnopolskim, niezależnym plebiscycie na powieść roku „Brakująca Litera" 2018. Kolejna powieść „Na wieki wieków, Pani Amen" (2021) zdobyła nagrodę czytelników na najlepszą powieść na wiosnę w konkursie organizowanym przez portal literacki granice.pl. Najnowsza powieść „Charpęć – prawdziwa historia, która się nie zdarzyła" ukaże się pod koniec 2023 roku. Jej teksty publikowane były m.in. w: Helikopter, pisarze.pl. Wydawnictwo Woj, Granice.pl, FanBook, Czarty Wymiar, Presto, Dziennik Trybuna.

WŚCIEKLE PISAĆ O MIŁOŚCI

Ostatnia moja, całkiem już zapomniana, rozmowa z poetą Wincentym Różańskim

Krzysztof Szymoniak

– Jest czerwiec 1994 roku. Rozmawiamy w twoim poznańskim mieszkaniu. Jak cię przedstawić czytelnikom?

– Napisz, że jestem poetą i tak zwanym życiowęzełkiem.

– Zawęźliło się to twoje życie?

– Nie ma co ukrywać. Rozejrzyj się po tym mieszkaniu i pomyśl, czy ja mogę temu wszystkiemu podołać? Nie wszystko mi się udaje, ale jakoś sobie radzę.

– Wielu twoich przyjaciół zmarło.

– Tak się węźlą zbiegi okoliczności.

– Ty, na szczęście, żyjesz i piszesz. Jak to się u ciebie zaczęło?

– Najpierw była fascynacja Stachurą, potem było odejście od niego, a potem było zaskorupienie się we własnym świecie. Najpierw oczywiście zauroczyłem się literaturą w ogóle, a pierwszych swoich mistrzów znajdowałem w Poznaniu. Potem już stale balansowałem między Stachurą, Poznaniem i resztą kraju.

Debiutowałeś w ciekawych czasach.

– To był 1963 rok. Debiutowałem jednym wierszem na łamach „Głosu Wielkopolskiego" w Poznaniu.

– Młodzi poeci zazwyczaj bardzo przeżywają debiuty. Pamiętasz swoje ówczesne wrażenia?

– Pamiętam, że była to budząca się świadomość życia dla literatury.

– Wspomniałeś o Stachurze. Jak się rodziła wasza przyjaźń?

– Poznaliśmy się na Festiwalu Młodej Poezji Polskiej w Poznaniu. Wtedy poznałem także Czernika, Himilsbacha, Nowakowskiego, Śliwonika, Jerzynę, Skolimowskiego i paru innych. Z Edkiem Stachurą spotkaliśmy się oczywiście w restauracji. Tak było. Miałem wtedy chyba ze dwadzieścia lat, a on dwadzieścia jeden. Siedział rozparty w fotelu i patrzył w przestrzeń po jakiejś bójce z łodzianinem. Ja wtedy siedziałem z Wirpszą i panią Pogonowską. Trajlowałem, że to i owo, że jestem po debiucie. Musiałem wyglądać jak mrówka co się przyłącza do słonia. To mnie trochę speszyło, bo chyba nie powinienem był tego robić, ale stało się i w ten sposób wszedłem w Stachurowe życiopisanie.

– Jesteś bohaterem literackim Stachury, wyjętym prosto z życia. Wasza wspólnota zawęźliła się przez literaturę, okrzepła na szlaku i była chyba istotnym fragmentem twojej egzystencji?

– Zgadza się. Życie wyrzuciło nas na szlak. Jeździliśmy tu i tam, tu i tam, tu i tam. Bereza nazywał to Stachurowym życiopisaniem. Według mnie to życiopisanie była naprawdę takim nieżyciopisaniem, bo Stachura chodził, patrzył, zbierał wszystko w sobie, a dopiero potem wywalał to na papier.

– Czyli to nie było tak, że Stachura chodził z otwartym zeszytem i notował.

– Skąd. Tak to on zachowywał się dopiero pod koniec życia. On chodził, jeździł, oglądał, zapamiętywał, żył i w końcu zaczynał pisać. A pisał wieczorami, do późna w nocy.

– W „Całej jaskrawości" narrator mówi, że narąbał z Witkiem drewna i że to był ładny kawał poezji. Pamiętasz, gdzieście rąbali to drewno?

– W Aleksandrowie Kujawskim.

– Można więc założyć i że i ty głęboko wnikałeś w poetyckość, w swoiste piękno banalnych z pozoru zdarzeń i uczynków?

– U mnie to wyglądało inaczej. On to wszystko odbierał niemal machinalnie. Powiedział kiedyś Majdańskiemu, że gdy huśta się na huśtawce, to pisze wiersze. A dla mnie to była ogólna fascynacja literaturą i człowiekiem.. Byłem zapatrzony w Stachurę jak w bożka, jak w mit. I nie byłem przygotowany do tego rodzaju artystycznych i intelektualnych kontaktów.

– A jednak parę ładnych lat spędziliście obok siebie. Czy znajomość ze Stachurą miała dla ciebie duże znaczenie?

– Ani nie miała wielkiego znaczenia, ani nie wywarła wielkiego wrażenia. Raczej było to takie, raz na zawsze, podskórne zainfekowanie poezją mojego ducha i mojego życia. Teraz dopiero przypominam sobie i uświadamiam, że potrafiłem pod jego wpływem przeżywać niezwykłość najzwyklejszych sytuacji i miejsc, bez względu na to, co mijałem – rogatki miasta czy kolejkę u rzeźnika. On potrafił takie wrażenia zapisywać i eliminować ze swojej świadomości, ja nie potrafiłem się od tych przeżyć uwolnić. One mi towarzyszyły stale, aż do bólu.

– Z wczesnych książek Stachury płynie jakaś niezwykła dobroć i niemal namacalna radość istnienia. A u ciebie?

– Tak, u niego to była radość istnienia. On się cieszył, kiedy mógł zapalić skręta, poleżeć na ukwieconej łące czy wyspać się w szałasie nad rzeką. U mnie to samo wywoływało raczej ból egzystencjalny. Wszystko przeżywałem inaczej.

– I dlatego wasze drogi w końcu się rozeszły?

– One się rozeszły, bo musiały się rozejść. Ja już tego nie wytrzymywałem. Byłem u niego na przykład dwa tygodnie, a potem już miałem dosyć i musiałem uciekać do domu. On mi w takich chwilach powtarzał: jak chcesz, to jedź, jak musisz, to jedź, ale pamiętaj, nie czytaj Jesienina, bo to bolesne. Bo to niebezpieczne, bo kiedyś Baudelaire powiedział – matki, nie rodźcie poetów, bo to niebezpieczne.

– W końcu nastąpił ten ostatni raz. Jak do tego doszło?

– To było dwa lata przed jego śmiercią. Spotkaliśmy się w Poznaniu na peronie pierwszym dworca kolejowego. Dał mi dżinsy, wsiadł do pociągu i odjechał. Potem zupełnie o nim zapomniałem. Nie wiedziałem, co się z nim dzieje. Wypadł z mojej pamięci do gładkości skóry. Kiedy dowiedziałem się o jego kłopotach ze zdrowiem, a potem o jego śmierci, było już za późno na jakiekolwiek odgrzewanie przyjaźni.

– Od roku 1963 mieszkasz w Poznaniu. W epoce Stachury ojczyzną były ci polskie drogi i bezdroża. A skąd przyszedłeś? Gdzie twoje korzenie?

– Pochodzę z podpoznańskiej mieściny. Miasteczko nazywa się Mosina i jest kolebką mojego życia i moich fascynacji. Tam zacząłem czytać i poznawać wielkich mistrzów poezji i prozy. Tam poznałem Homera, Kochanowskiego, Bursę, Dostojewskiego… wszystkich, którzy mnie ukształtowali i którzy do dzisiaj robią na mnie spore wrażenie.

– Jesteś i pozostaniesz dzieckiem prowincji, synem małych miast?

– Nigdy nie będę dzieckiem betonu i asfaltu. Nigdy się nie przyznam do zwariowanej cywilizacji wielkich miast. Chciałem być dobry dla Mosiny, bo Mosina była dla mnie dobra, chociaż tam właśnie zaczynałem odczuwać całą bolesność istnienia w latach stalinowskiej ciemnoty i ciemności. Tak było i później, gdy już wiedziałem, że trzeba uciekać w świat, aby zerwać z mizerią małomiasteczkową i być kimś, na przykład poetą.

– Co ci najmocniej utkwiło w pamięci z tamtych czasów?

– W dzieciństwie mieszkałem w domu, który miał strych. Na tym strychu było pełno książek po niemieckim nauczycielu. Tam było wiele pięknej, niemieckiej literatury, wszyscy klasycy. Ja, mimo nieznajomości języka niemieckiego, po otwarciu tych książek czułem jakąś magiczną siłę płynącą z zadrukowanych stronic. Podskórnie czułem, co tam jest napisane. To było dla mnie spore przeżycie.

– A potem, kiedy już dojrzałeś do samodzielnych lektur i pierwszych prób pisarskich, z czym ci się kojarzyła poezja – z uczuciami czy słowami?

– Raczej ze słowami. Ja nie miałem wiele przeżyć i doświadczeń, więc słowa były dla mnie kluczem do tajemnic poezji. Słowa mnie raniły i dawały nadzieję. Potrafiłem dwa dni wędrować po mosińskim parku, a potem dwa dni siedzieć nad dwiema linijkami wiersza. To była dla mnie ciężka praca – szukanie słów najwłaściwszych.

– Podobnie nad wierszami ślęczał Andrzej Babiński. Musieliście się chyba w Poznaniu spotykać, może nawet przyjaźnić.

– Babiński nie był moim przyjacielem. To był taki przygodny motyl, który mnie nawiedzał i strasznie denerwował. On nie przychodził na moje wieczory poetyckie, a ja nie przychodziłem na wieczory z nim. Kiedy już gdzieś przyszliśmy razem, to ja wychodziłem. Nasze osobowości się nie zgadzały.

– A poezja Babińskiego?

– Czytałem. Była odbiciem połamanego człowieka. Była tragiczna i wzniosła, i niepodległa. To mnie fascynowało w tym wszystkim, bo Andrzej był inny od innych. Też walczył o swoją godność. Nawet, gdy nie miał już zębów i jadł kiełbasę, to widziałem, że walczy o swoją godność. Dlatego też myślę, że to był ciekawy poeta, który dobrze uwydatnił mizerię życia swojego i ogólności też.

– Pierwszego czerwca twoi przyjaciele urządzili ci literacki benefis w siedzibie poznańskiego oddziału SPP. Czy to było przyjemne?

– To było bardzo przyjemne, bo na kilka godzin oderwałem się od swoich kłopotów.

– Każde wyjście z domu, między ludzi, jest dla ciebie chwilą radości?

– Jest dużym przeżyciem. Sam nie jestem w pełni sił, a muszę w dzień i w nocy czuwać nad matką, która jest bezradna jak dziecko. To niekiedy przerasta moje nadwątlone siły. Dlatego bardzo przeżywałem to spotkanie, gdzie wszyscy byli ładnie ubrani i tacy życzliwi.

– A zgadzałeś się z tym, co o twojej poezji mówili Balcerzan, Sterna-Wachowiak, Komendant i prześmiewczo zinterpretowany przez kolegów Ogrodowczyk?

– Ja zgadzałem się z Ogrodowczykiem w dużej mierze. A z Balcerzanem to ja się znam od lat i dlatego wyczuwałem co on chciał powiedzieć o mojej poezji.

→

– Więc dobrze się stało, że krytycy spróbowali wniknąć w głębię twojego zawężlającego się życiopisania.

– Dobrze się stało. A najlepiej zrobił to, na przekór wszystkim śmiechom i chichom, właśnie Ogrodowczyk. Potem, wieczorem, jak on tu był u mnie, to ja mu złożyłem hołd za jego wnikliwą kondensację mojej twórczości. Mało znam Ogrodowczyka, widzieliśmy się raptem trzy razy, ale za to, co zrobił dla mnie swoim wstępem, jest mi bardzo bliski.

– Wróćmy na moment do szarej rzeczywistości. Czy można powiedzieć, że poezja nadal jest motorem napędzającym twoje życie?

– Już nie. Teraz napędza mnie trudna egzystencja. Widzisz, co tu się dzieje i w jakich warunkach przyszło mi żyć ze starą matką. Paraliżuje mnie lęgnący się dokoła mnie brud i myślenie o kurzu pod szafą. Los sprawił, że musiałem się zniżyć do najniższych poziomów egzystencji i bytu, o którym nie chcą wiedzieć wielcy tego świata.

– Kiedy wobec tego piszesz wiersze?

– No właśnie nie piszę. Od czasu do czasu notuję jakieś myśli, ale wszystko to chowam do szuflady i czekam na lepsze czasy. Wiele z tego ginie, chyba bezpowrotnie.

– W twoich ostatnich wierszach z tomu „Córeczka Poezja" nie widać tego smutku i mroku, o którym mi teraz opowiadasz.

– Bo poezja powinna być czysta i jasna.

– Uważasz się za człowieka, któremu udało się w poezji osiągnąć coś znaczącego?

– Myślę, że nie…, myślę, że nie… Coś tam naskrobałem, coś napisałem, ale… daleko mi do sukcesów.

– Jednak dla wielu miłośników poezji jesteś poetą niemal kultowym, ostatnim wielkim pewnego odchodzącego pokolenia. Stawiają cię oni na „literackiej półce" obok Stachury, Milczewskiego, Babińskiego. To się nie liczy?

– To mnie bardzo denerwuje. To mi rujnuje życie. To mnie dręczy od rana do nocy. Przecież ja wcale nie mam zamiaru umierać. I myślę, że tak nie powinno być, bo ja jestem człowiekiem pogodnym i radosnym. Bardzo pragnę żyć i dlatego muszę trzymać się krawędzi światła i ram tego świata.

– Gdyby tak się zdarzyło, że miałby kto zajmować się twoją matką, że uwolniono by cię od przerastających twoje siły obowiązków, to wróciłbyś do pisania?

– Pisałbym dużo i pisałbym wściekle o miłości. Nieprzespanych nocy miałem setki, tysiące, więc może bym podołał. Wróciłyby do mnie moje myśli i pogubione wątki.

– Podczas wspomnianego już tutaj twojego benefisu literackiego, a właściwie podczas pierwszej przerwy, jakaś długowłosa dziewczyna pocałowała cię w rękę. Pamiętasz to?

– Nie pamiętam.

– Tak było. Widziałem.

– Coś niesamowitego. Gdybym ja to wiedział, to nie zasnąłbym do dzisiejszego dnia.

– To stało się nagle, w chwili kiedy witałeś się z grupą swoich młodych przyjaciół.

– Całe nieszczęście, że mi to mówisz.

– Dlaczego nieszczęście?

– Bo będę się musiał teraz mobilizować. A w mojej sytuacji nie jest to łatwe zadanie. Ale jednocześnie to mnie cieszy, bo to znaczy, że młodzi jeszcze mnie nie pogrzebali. Mam nadzieję, że jeszcze się do świata uśmiechnę.

– Odwiedzają cię koledzy z całej Polski. Oni też wierzą w twoją dobrą gwiazdę.

– Raz po raz przyjeżdża Darek Lebioda. Pociesza mnie, zaciska pięści. Rozmawiamy o życiu i o byle czym, bo wszystko się wyjaśnia samo.

– Samo się wyjaśnia, ale samo się nie napisze. Gdybyś miał kobietę, pewnie mógłbyś pisać więcej.

– Niektórym udawało się łączyć życie z poezją. Mnie się nie udało.

– Nie spotykałeś kobiet, które by się tobą fascynowały? Nie było takich?

– Były i są, tylko że ja jestem człowiek nieśmiały. A poza tym, to były najczęściej mężatki lub kobiety po przejściach. I jak tu z takimi odkrywać miłość?

– A z jaką kobietą chciałbyś odkrywać miłość?

– Musiałaby to być brunetka, nieduża, uduchowiona… najlepiej, gdyby nie mówiła za wiele, gdyby myślała po cichu i robiła swoje.

– Czasem takie właśnie są poetki.

– Moja kobieta mogłaby być siostrą PCK, krawcową, kimkolwiek, byle chciała mnie akceptować.

– A trudno cię akceptować?

– Bardzo trudno. Mam wybuchy euforii, zachwytu, nostalgii, wzruszenia, które tłumię w sobie jak dziki zwierz. A poza tym, co tu dużo mówić… Teraz mam widok na park, na przechodzących ludzi, na kiosk i ulicę… Z tym mi jest dobrze i źle. A przede wszystkim źle, bo chciałbym to wszystko ogarnąć, wpisać w swoje życie. Chciałbym teraz położyć się na ciepłej ziemi porośniętej trawą, wypić piwko, spojrzeć w niebo i zasnąć. I obudzić się przy rozkwitającej muzyką karuzeli, która niedaleko stąd, na pętli górczyńskiej, bawi starszych i dzieci. Ja tę muzykę stąd słyszę. To mi przypomina, jak mówił Stachura, że żyjemy Witku na blond włosku w wesołym tym miasteczku…

– Chyba się wzruszyłeś?

– Wzruszyłem się i uspokoiłem, bo matka się uspokoiła.

– Teraz jest dobrze?

– Jest dobrze. Możesz pytać o wszystko.

– Dlaczego stajesz się postacią coraz bardziej tajemniczą?

– Kiedyś było inaczej. Kiedyś byłem otwarty, pogodny i życzliwy, ale dostałem za to wiele razy po głowie, więc teraz bardzo uważam z kim i o czym rozmawiam.

– Niedaleko stąd, we Wrześni, mieszka inny dobry poeta, który też jest tajemniczy i samotny. Pamiętasz Krzysia Grzechowiaka?

– Pamiętam go dobrze. To jest porządny człowiek. Słyszałem, że samotnie wychowuje córkę. To jest w dzisiejszych czasach bohaterstwo. Bardzo bym się cieszył, gdyby mnie odwiedził, bo dawno nie rozmawialiśmy.

– Tu, w Poznaniu, jest wielu twoich znajomych, którzy cię zapewne odwiedzają.

– To są moi kochani przyjaciele. Artur Dobosz, Andrzej Sikorski, Piotr Kępiński. To są ludzie, którzy mnie słuchają i mną rządzą. Niekiedy zdaje mi się, że jestem zniewolony przez przyjaźń i przez przyjaciół.

– Oni bardziej ci pomagają, czy bardziej ci zawadzają?

– Bardziej mi pomagają niż zawadzają. Zdecydowanie pomagają.

– A co ci zawadza w życiu najbardziej?

– Zawadza mi ta dramatyczna mizeria mojej egzystencji. Żyję w tym wszystkim jak linoskoczek.

– Więc gdzie w tym rozchwianiu i zawęźleniu jest miejsce na poezję, na miłość, wzruszenie?

– W ciągu dnia nie ma na to miejsca. Najczęściej wzruszam się przed zaśnięciem lub w połowie nocy, kiedy kąsa mnie złoty szerszeń poezji. On mi już krzywdy zrobić nie może, bo jestem od dawna zarażony poezją, ale przylatuje do mnie i przypomina mi, gdzie moje miejsce.

– Gdybyś nie był poetą, to kim chciałbyś być?

– Marynarzem, albo organistą, albo kolejarzem.

– To dlaczego zostałeś technikiem księgarskim?

– Bo kiedy zacząłem w młodości kupować gazety, zauroczyły mnie pięknie układane czcionki. Była w tym jakaś metafizyka. Ponieważ jednak nie udało mi się z technikum poligraficznym, zapisałem się do szkoły, gdzie też gwarantowano mi kontakt z czcionkami, z drukiem, ze słowem pisanym. No i tak zostało. A teraz mówią o mnie – poeta. Choć nie mam czasu pisać wierszy. Ale mam nadzieję, że moja poezja któregoś dnia wreszcie wybuchnie, zapisywana w radości słowo po słowie.

Krzysztof Szymoniak

Marek Sołtysik

Solomija Mardarowycz

Eksplozja

Twarze złamane na pół ukrywają w ziemi serca
przebitych pokoleń, które już dawno zapomniały, jak wygląda słońce.
Teraz taka ziemia.
Gwóźdź...
Za gwoździem, dzrzewo, a dalej – cisza.
Bruk jest pokryty krwią.
Nikt nie uczył ściskać gardła od wstydu.
Nikt nie uczył zatykać uszu od strachu.
Nikt nie uczył tak często pytać, jak się masz.
Automat zamyka dzwi, a za linią – ludzie, którzy grzeją wodę i czekają.
Wiosna przyszła: czy to coś oznacza?
Chyba to, że jesteśmy w swoim domu.
Nauczyliśmy się widzieć wsparcie we słowach, w uścicku dłoni i spojrzreniu w oczy.
Nie ma potrzeby strzelać w ciało.
Wystarczy zniszczyć świat dzieci.
Dusza niewolnika nie jest duszą mojego narodu.
Ściana zburzona, ale w kuchni czeka mama.
Ona już przygotowała zieloną herbatę.
Dzień bez zmian.
Tylko nigdy nie schodziłam do schronu, jakby mnie poraziła wysoka gorączka.
Jeszcze nigdy nie dziękowałam za to, że zyję.

Niepewność

Uciekać na odległość,
nie rozglądając się dookoła

Bać się opuszczać rękę
za krok przed przejściem granicy.

Trzymać mocno walizkę niczym
pamiątkę przeszłego życia.

Płakać w rodzinnych uciskach,
bo nie będzie jak wcześniej.

Cień krwawych iluzji
zapamięta cię na zawsze,

Przyszedł dzień, kiedy wszystko się zmieniło.

Dzisiaj odczuwać strach to oznacza być słabym,
a gra w milczeniu dodaje ci piękności.

Wydaje się, że duch ludzki podniósł się,
a ty nie wiesz, co robić dalej.

Strach i wstyd jednocześnie,

Wszechświat

Wygląda na to, że wszechświat gra z nami w grę.
Obmyty rosą dzień przed zimą,
obmyty śniegiem dzień przed wiosną.

Wygląda na to, że wszechświat rzuca nas w ciemność.
Rozrzedza krew, aż do szaleństwa, jak wulkan.
Sieje strach, paraliżując łzami.

Wszechświat wydaje się pulsować krwią.
Zbuntowane serca na skraju ludzkich ofiar,
rzuca rozpalone do czerwoności losy na miny.

Wydaje się, że wszechświat jest winien wszystkiego.
Kroki pozbawione są pozytywnych nut,
a psy pociągają za sznurki.

Wydaje się, że wszechświat jest swoimi własnymi magazynami,
tylko w przypadku awarii systemu
ludzkość jest odpowiedzialna, a nie planety.

ESEJ

Od otwartego świata po społeczeństwa otwarte

Roman Warszewski

THOR HEYERDAHL.

NIESPODZIEWANY SOJUSZNIK KARLA R. POPPERA

Nazywany był największym **odkrywcą XX wieku i ostatnim romantykiem wśród** podróżników**. W drugiej połowie XX wieku działał na wyobraźnie milionów. Pewnie niejednego Czytelnika *Migotań* z** mojej **wiekowej półki nie pozostawiał** obojętnym**. Dziś winien zyskać jeszcze jedno imię: ODKRYWCA ŚWIATA OTWARTEGO.**

Thor Heyerdahl – bo o nim tu mowa – pozostawił po sobie kilka niezapomnianych książek, do dziś nie doczekał się jednak kompletnej biografii. Nie tylko po polsku. Owszem, istnieją pozycje poświęcone poszczególnym etapom jego życia, ale całościowego dzieła do tej pory nie ma. To ogromny brak.

Stwierdzenie to wydaje się to tym bardziej uzasadnione, że **dzieło życia Thora Heyerdahla**, po tym jak po jego śmierci w 2002 roku, poszło w zapomnienie, **w tej chwili znów zdaje się zyskiwać na znaczeniu i aktualności**. Bo przecież Heyerdahl przez całe życie tropił związki między odizolowanymi od siebie kontynentami, cywilizacjami, kulturami, ludami. Przez to stał się sojusznikiem Karla R. Poppera – niezmordowanego propagatora społeczeństwa otwartego. **Zanim Popperowska idea została w pełni sformułowana i puszczona w intelektualny obieg, on zajmował się jej pierwocinami, tropiąc ideę otwartego świata – wzajemnie otwartych na siebie kultur i kontynentów.**

Heyerdahl szukał szczelin w – zdawałoby się – litych, nieprzeniknionych monolitach, w tym co zamknięte: tam, gdzie wydawało się, że wszystko jest odizolowane i zamurowane na cztery spusty. I owe przesmyki, cieśniny, korytarze – ku zaskoczeniu wielu – odnajdował, eksplorował. W swym dążeniu był nieugięty i niespotykanie konsekwentny. Jak brakowało argumentów, gdy sceptycy śmiali mu się w twarz, zwykł mawiać: a ja wam to udowodnię. W jaki sposób? Zrobię to sam. Nauczę się, pojadę, popłynę, skonstruuję. Pokażę, że to o czym mówię, wbrew stereotypom, przesądom, utartym poglądom, jest jak najbardziej możliwe i wielce prawdopodobne.

I tak czynił. Udowadniał. Wykazywał, że to, o czym mówił (iż kultury i cywilizacje wcale nie pozostawały w izolacji) miało miejsce i że w zamierzchłej przeszłości mogło dochodzić do ich dyfuzji – wzajemnego na siebie oddziaływania. Nie wahał się dochodzić do tego ryzykując własnym życiem i zdrowiem. Oponentów swoją odwagą powalał; zwolenników (bo takich, od początku swojej działalności też miał) – zmieniał w entuzjastów. Można powiedzieć, że tam, gdzie były jakieś luki, nie wahał się ich łatać... własnym ciałem.

Dziś, gdy świat – wbrew rozsądkowi i logice – w coraz większym stopniu rozpada się na powaśnione regiony i monady, między którymi dialog nie należy do łatwych, a niekiedy staje się wręcz niemożliwy, warto na nowo spojrzeć na dziedzictwo Heyerdahla. Pokazać, że chęć do kontaktu, wymiany kulturowej należały do najstarszych ludzkich instynktów, które przez tysiąclecia ludzkość popychały do przodu. Że izolacja i wzajemne odwracanie się do siebie plecami jest czymś wielce szkodliwym i sprzecznym z najgłębszą ludzką naturą. Obecnemu pesymistycznemu stanowi rzeczy można (koniecznie trzeba?) przeciwstawić optymistyczne Heyerdahlowskie rozumienie świata i historii.

To jeden niezwykle istotny aspekt wynikający z działalności Wikinga Trzech Oceanów, jak wielokrotnie go nazywano. Drugi – to fakt, iż był on jednym z pierwszych prominentnych przedstawicieli świata zachodu, który poparł zieloną wizję świata (jeszcze jeden przejaw otwartości świata?) W czasie swych wielomiesięcznych, wielokrotnych oceanicznych podróży jako jeden z pierwszych z całą ostałością zderzył się z narastającym zanieczyszczeniem oceanów. To, co widział, utrwalał na taśmie filmowej i po zakończeniu ekspedycji pokazywał na całym świecie. W intencji czystości środowiska naturalnego wielokrotnie występował na forum ONZ. Kiedyś, wielu sądziło, że jest to przewrażliwienie. Dziś wiemy, że było to widzenie bardzo ważnych spraw w sposób daleko wybiegający w przyszłości.

Jeszcze jeden aspekt to tolerancja (a więc znów otwartość!).. Heyerdahl jak mało kto zdawał sobie sprawę z tego, że siła wynika z różnorodności – z tego, że każdy krąg kulturowy w rozwoju ludzkości wnosił i nadal wnosi jakieś ważkie wartości. Począwszy od pierwszej wyprawy przez Atlantyk, do swych załóg i zespołów badawczych rekrutował osoby wszystkich ras i ze wszystkich kontynentów. W załodze trzcinowej tratwy Ra ramię w ramię współpracował Rosjanin z ZSRR i Amerykanin ze środkowego zachodu, ale także Nigeryjczyk i Japończyk! Dla wielu było to działanie pod publiczkę, fanaberia. Dziś postrzegane musi to być całkiem inaczej.

Te działania (przepuszczalny dla kulturowych impulsów świat, ekologia, tolerancja), mogłyby być działaniami każdego postępowego polityka, który za swego ideowego ojca ma Poppera, a za matkę jego idee. Jako program, mogłoby trafić do manifestów i programów jak bardziej progresywnych partii. Ale jakby i tego było mało, u Heyerdahla wszystko to stanowiło tkankę niepowtarzalnego, burzliwego życia. Swoje idee zapisywał sobą.

Najpierw matka zaszczepia mu zamiłowanie do przyrody, przez co decyduje się na studia z zakresu biologii i zoologii. Przez to, w latach 30.–tych XX wieku, by badać zasiedlanie wysp przez zwierzęta, wraz ze swą młodą żoną wyjeżdża na Fatu Hivę, wyspę w archipelagu Markizów. Tam słyszy mity o ludziach, którzy na te wyspy mieli przybyć ze wschodu – z kierunku, z którego wieją pasaty.

Lata II wojny światowej spędza w Kolumbii Brytyjskiej, a następnie walczy po stronie aliantów (co w przypadku Norwega wcale nie musiało być tak oczywiste). Po wojnie – w roku 1947 – powraca do tego, o czym słyszał przebywając na Fatu Hivie – do myśli o ludziach, którzy wg legend mieli przybyć ze wschodu na wyspy Polinezji. Naukowcy mówią: tak nie mogło być. Polinezję zasiedlały ludy z Azji. Ostatnim argumentem miało być to, iż nikt na wschodzie (Ameryce Południowej) nie dysponował odpowiednimi statkami, by mogło dojść do takich kontaktów. Wtedy Heyerdahl mówi, że istniały tam tratwy z drzewa balsa, o których wspominają hiszpańskie kroniki. Że są to jednostki morskie o dzielności oceanicznej. To nieprawda, odpowiadają oponenci. Prawda, Heyerdahl dalej się upiera. Udowodnię to. Zbuduję taką tratwę i popłynę z Peru na zachód. Dotrę do Polinezji.

Jak powiedział, tak zrobił. Zbudował tratwę, którą na cześć polinezyjskiego (Tiki) i peruwiańskiego bóstwa (Kon) nazwał *Kon-Tiki* (stając się odtąd Misterem Kont-tiki). Wraz z siedmioosobową załogą śmiałków wypłynął z Callao w Peru i... po 100 dniach, po wieli perypetiach, dotarł na polinezyjski archipelag Tuamotu.

Udowodnił, że to, co wydawało się niemożliwe, jest jak najbardziej wykonalne. Dawni Peruwiańczycy mogli docierać do Polinezji. I poszedł za ciosem: po sukcesie książki Wyprawa Kon-tiki i filmu o wyprawie na tratwie przez Pacyfik (Oscar za dokument w 1952 roku) zorganizował wyprawę archeologiczną najpierw na wyspy Galapagos, a następnie na słynna Wyspę Wielkanocną, odnajdując wiele śladów, które jego zdaniem świadczyły o tym, że w przeszłości rzeczywiście istniały kontakty między rejonem Andów, a Polinezją.

Ten scenariusz powtórzył jeszcze dwukrotnie. W latach 70.–tych, gdy na trzcinowej łodzi *Ra* i *Ra II*, popłynął z Maroka ku wyspom Morza Karaibskiego i w latach 90.-tych, gdy także na trzcinowej łodzi Tygrys z Zatoki Perskiej ruszył ku wybrzeżom Somalii, chcąc udowodnić, że właśnie tam znajdowała się legendarna kraina Punt... Za każdym razem udowadniał jednocześnie, że świat starożytny był (lub co najmniej mógł być) bardziej dyfuzjonistyczny (czyli otwarty na kontakty), niż pierwotnie mogło się to wydawać. Że dochodziło do przenoszenia kulturowych wpływów i inspiracji. Że różne, niekiedy odległe, ludy poznawały się między sobą, że dochodziło o mieszanych małżeństw, o czym np. miało świadczyć pojawienie się elementów negroidalnych wśród dawnych Olmeków.

Żeglarskie eskapady podbudowywał wykopaliskami: na Malediwach, na Wyspach Kanaryjskich (na obu archipelagach odkrył nieznane wcześniej piramidy), a także – pod koniec życia w północnym Peru, w Tucume (gdzie natrafił na ślady króla Naymlapa, wysyłającego na zachód, na Pacyfik, tratwy z drzewa balsa – poprzedniczki jego *Kon-tiki*), być może aż na Wyspę Wielkanocną.

W ten sposób zatoczył wielkie koło. Wrócił do punktu wyjścia, będąc jednak o wiele mądrzejszym od tego, co widział w latach 30.-tych na Fatu Hivie i w latach 40-tych, gdy budował swoją pierwszą słynną tratwę, której imię sam nosił do końca życia.

Zmarł w kwietniu 2002 roku, we Włoszech, w miejscowości Colla Micheri, dokąd przed laty przeniósł się z Norwegii, uciekając przed podatkami i... pierwszą żoną. (Potem miał jeszcze dwie towarzyszki życia, pięcioro dzieci i piętnaścioro wnucząt.) Odszedł w aurze mędrca i człowieka w pełni spełnionego. Takiego, który przez swój heroizm i ogromną wszechstronność powinien stać się wzorem dla przyszłych pokoleń, dla których otwartość, ekologia i tolerancja – jeśli świat ma przetrwać – będą musiały stać się jeszcze ważniejsze niż dziś.

W możliwie bliskiej przyszłości powinien stać się barwną i żywą inspiracją dla kontynuatorów myśli Karla R. Poppera w XXI wieku. Bo ten czas takiej odnowionej kontynuacji bardzo potrzebuje. Bez niej, po prostu, świat być może, nie przetrwa. A jeśli przetrwa, nie będzie już światem otwartym, lecz w najlepszym razie jakimś Frankensteinem – hybrydą (modne słowo) zszytą z różnych nieprzystających do siebie fragmentów.

Roman Warszewski

ESEJ

MIGOTLIWA WYOBRAŹNIA MO YANA

Dariusz Tomasz Lebioda

Mo Yan (莫言) urodził się jako Guan Moye 17 lutego 1955 roku we wschodniochińskim powiecie Gaomi, wchodzącym w skład prowincji Szantung. Już w czasach rewolucji kulturalnej musiał podjąć pracę w tłoczni oleju, gdzie miał do czynienia z wieloma prostymi ludźmi, których potem portretował w swoich powieściach, opowiadaniach i wspomnieniach. W wieku dwudziestu lat wstąpił do Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, gdzie pełnił funkcje kancelisty, instruktora politycznego i oficera propagandowego. Pisać zaczął w 1981 roku, a już trzy lata później został wykładowcą na wydziale literatury w szkole wojskowej i uzyskał doktorat za pracę o twórczości najwybitniejszego chińskiego pisarza współczesnego Lu Xuna. Debiutował w roku 1981 opowiadaniem *Rzęsisty deszcz w wiosenną noc* i właśnie wtedy zaczął łączyć swoje dalsze losy z profesjonalnym pisarstwem. W tym celu 1984 roku rozpoczął też studia na wydziale literatury w Wyższej Szkole Artystycznej, a rok później wydał pierwszą powieść pt. *Przezroczysta marchewka*. Spożytkował w niej swoje bolesne doświadczenia robotnika dziecięcego i stworzył przygnębiający obraz życia na chińskiej wsi w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Obecnie dorobek pisarza jest przeogromny, a jego kolejne wielkie powieści są nieustannie analizowane przez krytyków chińskich i międzynarodowych. W uniwersytetach powstają tysiące prac magisterskich i doktorskich na temat jego twórczości, a poważne dzienniki zamieszczają opinie, w których porównuje się go do Faulknera i Marqueza („Washington Post"), wskazuje jego światową klasę pisarską („New York Times") i monumentalizm utworów („AsianWeek"). Od wielu lat Mo Yan kandydował do Literackiej Nagrody Nobla, ale po przyznaniu jej w 2000 roku chińskiemu dramaturgowi i powieściopisarzowi Gao Xingjianowi, nie spodziewano się, że autor *Klanu czerwonego sorga* otrzyma ją już po dwunastu latach. Niewątpliwie przyczynił się do tego film nakręcony przez Zhanga Yimou, nagrodzony na festiwalu w Berlinie Złotym Niedźwiedziem. (1988). To było wielkie ogólnoświatowe rozpropagowanie twórczości pisarza, którego zaczęto masowo przekładać, w tym na pomniejsze i najważniejsze języki światowe. Szybko zauważono też jego niezwykłą wrażliwość pisarską, ostrość refleksji, niepowtarzalność stylu, dosadność językową, dzikość wyobraźni i wybuchowy majestat narracji. Przełożyło się to na prawdziwy deszcz chińskich i międzynarodowych nagród literackich, między innymi we Francji, we Włoszech, w Japonii i na Tajwanie, a także na ogromny sukces komercyjny.

Proza Mo Yana ma charakter pulsacyjny, zataczający szerokie kręgi i stale penetrujący kontrapunktowe rzeczywistości. Pisarz nieustannie zagęszcza opisy, wprowadzając subtelne porównania i dopowiedzenia, nawroty, spojrzenia z góry i wybiegnięcia ku przyszłości. Wielowarstwowość i symbolizm jego powieści kojarzyć się mogą z tryptykiem Hieronima Boscha *Ogród rozkoszy ziemskich*, tyle w nich szczegółów, tyle przeciwstawnych ujęć i metaforycznych nawiązań. To katalog typów ludzkich i ich drapieżnych zachowań, rejestr wynaturzeń i nagłych uniesień, lista historycznych deprawacji i nieustannego dążenia cierpiących jednostek ku światłu i przestrzeniom spokoju, ciszy, zamknięcia konfliktów. Prześwietlając ludzkie charaktery, przypatrując się przywódcom i szeregowym wykonawcom ich zbrodniczych decyzji, autor wnika głęboko w ludzką naturę, odziera ją z upiększeń i odkrywa zwierzęce instynkty, popychające jednostki do morderczych ataków. Jego powieści dają wiedzę o współczesnych Chinach, ale też mają walor uniwersalny i prezentują zdarzenia i typy ludzkie dobrze znane z kart historii. Jego kreacje japońskich i chińskich morderców przypominają przedstawienia zbrodniarzy nazistowskich i stalinowskich w prozie europejskiej, ale też zyskują walor egzotyki i kulturowej odmienności. Podobnie jest z ich ofiarami i dziwakami, którzy nie są ozdobnikami fabularnymi, a raczej jeszcze jednym potwierdzeniem, że natura ludzka może generować zarazem profile diabelskie i anielskie, a także tajemnicze postaci lokujące się pomiędzy nimi. Zdumiewająca jest dynamika kolejnych opowieści, jakby stale mutujących i poszukujących odpowiednich opisów dla tego, co pisarz kiedyś przeżył i twórczo zmodyfikował w swoich utworach. Czytelnik szybko zauważy tę skłonność i podąży za tokiem narracji, z jej meandrami i rekapitulacjami, z pędem wręcz niewyobrażalnym, z symboliczną dynamiką, jak ze wskazanego wyżej tryptyku Boscha. Mo Yan prześwietla ludzkie byty i umieszcza je w konkretnej topografii miasta na prawach powiatu Gaomi, gdzie do dzisiaj zachowało się jego domostwo i żyją członkowie rodziny. Wielu spośród nich stało się protoplastami postaci powieściowych, a i losy samego pisarza są często multiplikowane w wykreowanych charakterach. Użyteczny tutaj staje się kwiecisty styl i poetyckie porównania, ale czasem wręcz porażające są opisy wyprane z dodatkowych dopowiedzeń i upiększeń, biorące wszystko, co najlepsze z osiągnięć realizmu pisarskiego wielu przestrzeni geograficznych.[1] Autor posiadł niezwykłe wyczucie słowa i rozumienie złożonych konstrukcji prozatorskich i tak za każdym razem moderuje opowieść, że czytelnik dosłownie tonie w morzu szczegółów, wyodrębnionych detali, barw i dźwięków, zapachów i wrażeń dotykowych. Krytycy, by okiełznać jakoś te gęstości, przywołują realizm magiczny Gabriela Garcii Marqueza, ale przecież takie porównania mają tylko charakter doraźny, użytkowy, daleki od rzeczywistych głębi próz Mo Yana. Domagają się one opisu źródłowego, z licznymi odniesieniami do kultury chińskiej, w której od tysiącleci zbrodnia graniczyła z delikatnością porcelany, a cierpienie ludzkie z wykwintnymi przedstawieniami żurawi mandżurskich na białym jedwabiu lub papierze. Te powieści przywołują konkretne zdarzenia z czasów konfliktu z Japonią i zderzenia komunistów Ma Zedonga z Kuomintangiem Czang Kaj-szeka, ale w gruncie rzeczy są syntezą wielu wieków mrocznej i chwalebnej historii Państwa Środka, pogłosem batalii z czasów dynastii Han i Trzech Królestw oraz najbardziej wojowniczych okresów – Qin, Tang, Song i Ming.

Migotliwość tej prozy da się porównać z grą świateł na wodzie, z pojawiającymi się na niej szerokimi wstęgami światła słonecznego, księżycowego lub odbijającej się w czarnej toni komety, zapowiadającej nieszczęścia.[2] Czasem jednak zapada zmrok i gęsta ciemność spowija wszystko, powołując do istnienia ludzkie demony i postaci mityczne. To z kolei daje autorowi możliwość wprowadzenia do poszczególnych dzieł przestrzeni magicznych, tak charakterystycznych dla kultury Chin, w której roi się od smoków, gryfów i feniksów. Oczywiście najważniejsza dla Mo Yana jest jednak warstwa realistyczna, opis rzeczywistości, w której bytował i dojrzewał do tego, by stać się tym, kim jest. Był czas, że budził się w chacie z glinianych cegieł i nie miał co włożyć do ust, a teraz pojawia się w wielu miejscach świata jako ważki intelektualista, nie wahający się mówić o sprawach gorzkich dla swojego kraju. Niegdyś musiał kryć się w ziemnych jamach, uciekać przed żołnierzami, a teraz jest profesorem w Normal University w Pekinie i spotyka się z młodzieżą podczas wykładów. Ma jej do przekazania istotne wiadomości na temat ludzkiej natury →

i procesów historycznych, determinujących bieg zdarzeń. Rozwój współczesnych Chin jest imponujący i widać to na każdym kroku, w Pekinie, Chengdu, Kantonie, Shenzhen i Szanghaju, ale także w mniejszych miastach i wsiach, co najlepiej obrazuje podróż koleją wielkich szybkości CRH. Tak jak powstała ogromna sieć żelbetonowych estakad, na których mijają się te pociągi, jak wyrosły nowe osiedla i monumentalne wieżowce, tak państwo pisarza przeobraziło się z zacofanej prowincji światowej w awangardę współczesnego globu. Opisy jego świata, który odszedł bezpowrotnie, mogłyby sugerować, że nigdy nic się nie zmieni w najludniejszym kraju planety, wszak przemoc i gwałt przez stulecia wtłaczały ludzi do niewielkich nisz, w których próbowali się schronić i przetrwać zły czas. Rzecznikiem ich tragedii jest Mo Yan, a szczegółowość jego relacji ma określoną funkcję artystyczną, urealniającą rzeczywistość i wywołującą określoną reakcję u czytelnika. Tak jak nawet najpiękniejsza kobieta, będąca obiektem westchnień wielu mężczyzn, musi udać się do miejsca odosobnienia, by wydalić pozostałości przemiany materii, tak rozwój państwa chińskiego miał swoje ohydne oblicza. Pisarz nie chce maskować niczego, nie potrafi zakłamywać rzeczywistości krwawych bitew i absurdalnych akcji inicjowanych przez Mao Zedonga, wytapiania żelaza we wsiach, zsyłania na nie intelektualistów albo wychwytywania i zabijanie wróbli, jako największych szkodników w kraju. Nie znaczy to, że pisarz wskazuje, iż te wszystkie ofiary były potrzebne, by powstała nowa państwowość i dawni wieśniacy zaczęli żyć w wygodnych apartamentach wysokościowców wielkich metropolii. Raczej chodzi mu o ukazanie kształtowania się nowej świadomości i odpowiedzialności ludzkiej w tak trudnej strukturze społecznej, jaką jest ortodoksyjne państwo komunistyczne. Nie wolno w nim dyskutować z decyzjami przywódców partyjnych, nikt nie odważy się kwestionować wyznaczonych kierunków, a nad wejściem do Zakazanego miasta wciąż wisi wielki portret Mao; ale można się odnaleźć pośród tych, którzy biorą sprawy w swoje ręce i wykorzystują możliwości rozwojowe. Niegdyś nie tolerowano indywidualizmu i bogactwa, a obecnie w Chinach jest wielu biznesmenów, którzy są właścicielami ponad stu wieżowców, ogromnych przedsiębiorstw i fabryk. W takim ujęciu powieści Mo Yana są hołdem dla tych, którzy musieli złożyć swoje życie na ołtarzu postępu – tych, którzy niewyobrażalnym cierpieniem i poświęceniem utorowali drogę następnym pokoleniom.

W wielu utworach Mo Yana najmniejszą cząstką imaginatywną jest niezwykle wyrazisty szczegół, który staje się osią stale rozrastającego się wiru zdarzeniowego. Pisarz każe czytelnikowi penetrować go z uwagą, raz w samym centrum, innym razem na bokach, albo na krańcach, ściemniając lub rozjaśniając obraz, przybliżając lub oddalając cząstki. Szczegół odgrywa też ważną rolę przy opisach postaci i ich zachowań, a dodatkowo wyposażany w kontekst metaforyczny, staje się elementem magii i poezji opisywanych krain. To właśnie on powoduje, że pisarz, który uczył się rzemiosła od Balzaka i Hemingwaya, nie zatracił chińskiej egzotyki i głębi kulturowej kilku tysięcy lat. Słusznie zatem szwedzcy akademicy wskazali w jego prozie halucynacyjny realizm łączący opowieści ludowe, historię i współczesność, bo połączenie dynamiki pisarskiej realizmu europejskiego z gęstością detali i wieloznacznością przedstawień Mo Yana, dało zaskakujące efekty artystyczne. Jego wpatrywanie się w człowieka i analizowanie procesów społecznych nie zna kompromisów i jest chyba najodważniejszą w kulturze chińskiej próbą mówienia prawdy o cierpieniach największego narodu świata. Samo wpatrywanie się nie jednak nie starczyłoby, musiały się zbiec w jego pisarstwie także inne ważkie elementy – przede wszystkim daleko posunięty zmysł obserwacyjny, wiedza psychologiczna i socjologiczna, a także umiejętność snucia i zawiązywania fabuł. Lektura najważniejszych powieści tego pisarza jest jak zagłębianie się w realnych przestrzeniach północnowschodniego Gaomi, oddzielonego od Korei i Japonii tylko częścią Morza Żółtego i przez to narażonego na ataki ze strony najeźdźców. Może to spowodowało, że w dziełach Mo Yana wciąż wyczuwalna jest atmosfera grozy, niebezpieczeństwa, zła czyhającego na bohaterów. Zmagają się oni z żywiołami krainy (powodzie, upały, mroźne zimy), a przy tym muszą walczyć o życie z wojskami japońskimi, oddziałami Kuomintangu i komunistami, chcącymi realizować idee Marksa i Lenina, które w chińskiej odmianie stają się parodią przychylnego dla ludzi systemu. Wiele w światowym literaturoznawstwie napisano o opisowym okrucieństwie tej prozy, która przecież jest realistycznym odzwierciedleniem tego, co działo się w przestrzeniach całego państwa. Nic tutaj nie zostało podkolorowane, a jedynie prawdziwie zrelacjonowane, z wykorzystaniem źródeł historycznych i własnych doświadczeń. Pisarz ma znakomitą pamięć, która wydobywa z zapomnienia typy ludzkie i ich deprawacje, cierpienia całych rodów, okrutne zbiorowe gwałty, mordowanie kobiet, dzieci i starców, często z dewiacyjnym wykorzystaniem zakrzywionych mieczy, ale też i innowacyjnych „zabawek" współczesności – samolotów, czołgów, armat i karabinów maszynowych. Rozerwane ciała i „ludzkie mięso" urastają w tej prozie do rangi symbolu zła, szerzącego się w świecie i znajdującego swoje lokum w umysłach niestabilnych ludzi. Prawdziwa literatura nie może rugować takich obrazów, nie może też bać się realistycznych opisów, bo tylko w taki sposób może stawać do konfrontacji z grozą tego, co wydarzało się w Chinach przez stulecia, a swoją intensyfikację zyskało w wieku dwudziestym. Podziwiać należy strategie Mo Yana, który w trudnej rzeczywistości osiągnął tak wiele i wystawił do wiatru agentów, przewodniczących i szeregowych egzekutorów morderczego systemu.

Dariusz Tomasz Lebioda

1 Zapewne dlatego japoński noblista Kenzabure Oë twierdzi, że twórczość Mo Yana reprezentuje najwyższy poziom w Azji.

2 Por. Mo Yan, Obfite piersi, pełne biodra, przeł. Katarzyna Kulpa, WAB, Warszawa 2012, s. 627: [Shangguan Shouxi] Obudziła się w środku nocy i zobaczyła nad sobą gwiaździste niebo. Kometa roku tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego przecięła Drogę Mleczną, ciągnąc za sobą długi ogon, zapowiadając burzliwe, niespokojne czasy.

Dominika Soler

Mało

Mało mnie
w produkcie marki własnej
szukam
esencji
oczywistości
gatunku
szpetnego czarnego pieprzyka
na nosie świata
wychylam się i wytrzeszczam oczy
aż cienie łączą się w jedno ze światłem
nie ma
probuję odmierzać
szklanką
bo miarka gdzieś się zagubiła
czy kiedyś było więcej?
Patrzę na ciało
mówi, że teraz więcej
że dziś mocniej, że pełniej
ale walczy z czasem
widzę
jak delikatnie dotknięte
dygocze
i sączy się, ucieka z centrum
jakby w lunatycznym tańcu
bez kontrapunktu

Mało mnie
mnie we mnie krzyczę
(cichutko)
i zachodzę w głowę:
błąd systemu
czy wada fabryczna?

***

Równina

Równina była szeroka i płaska
z długim przesmykiem
rozpiętym leniwie
i ciągnącym się w poprzek
suchej krainy
Zdawała się być
uśpiona
zanurzona w jałowym półśnie
Wprawiony wędrowiec
potrafił jednak odczytać
nawet najmniejszą zmianę
w otoczeniu
tak jak żeglarz
czuje
drganie powietrza
śpiew morza
gniewny pomruk nieba
choć wszystko dookoła wydaje się
trwać w bezruchu

Równina także się przeobrażała
na tysiąc subtelnych sposobów
Poruszała się
delikatnie tętniąc życiem
zwężała się i ciemniała
przygnieciona smutkiem, skąpana w przygnębieniu

Przesmyk wydawał się wtedy osuwać pod stopą
stromy i niebezpieczny
jak znak ostrzegawczy
by się wycofać
bardziej niż
podpora, na której możnaby się oprzeć

Mimo wszystko częściej
równina jaśniała i skrzyła się
migocząc figlarnie
w zapraszającym geście
dyskretnie przyzywając i wabiąc
by ją poznać, zgłębić, zbadać
Chodź, mówiła, zobacz na własne oczy
szorstkość ziemi
jej przyspieszony oddech
gdy stroi się
w uniesienie
Przesmyk stawał się wówczas długi i szeroki
majestatycznie rozpięty przez centrum
pofałdowany lekko i nieco enigmatycznie
w poprzek niedoskonałości terenu
które wędrowcowi
zdawały się
cudownie intrygujące
i wyjątkowe

Podniósł palec i powiódł nim
po długim przesmyku na czole matki
Równina delikatnie się poruszyła
Czy znów zmieniła się pogoda?
Zapytajcie wędrowca, będzie wiedział.

PROZA

Michaił Jampolski

WYKONCYPOWANE MIASTO KARTEZJUSZA*

W *Rozprawie o metodzie* Kartezjusz opowiada o pewnym olśnieniu, które nawiedziło go we śnie i które ujawniło mu nowe zasady systemu filozoficznego. Na samym początku opowieści o tym olśnieniu Kartezjusz informuje, że pierwsza „myśl", jaka go naszła, dotyczyła architektury i budownictwa miast:

Jedną z pierwszych myśli było spostrzeżenie, że często dzieła złożone z rozmaitych części i wykonane ręką rozmaitych mistrzów mniej są doskonałe niż te, nad którymi pracował tylko jeden człowiek. Tak widzimy, że budowle, które jeden architekt podjął i wykonał, są zazwyczaj piękniejsze i lepiej rozmieszczone niż te, które wielu ludzi starało się skleić, posługując się starymi murami zbudowanymi w innych celach. Tak owe starożytne grody, które, bywszy z początku jedynie warowniami, zmieniły się, koleją czasów, w wielkie miasta, są zazwyczaj tak licho rozłożone w porównaniu do tych, regularnych proporcji, które inżynier wytycza wedle swojej fantazji na pustej równinie, że chociaż, zważywszy każdy budynek z osobna, znajduje się w nich tyleż albo więcej sztuki niż w tamtych, wszelako widząc, jak są rozmieszczone, tu duży, tu mały, i jak ulice są przez to krzywe i nierówne, powiedziałoby się raczej, iż to traf, a nie kilku ludzi władających rozumem, rozłożyło je w ten sposób[1].

Kartezjusz wyobraża sobie miasto lub budowlę jako pewien produkt jednolitego zamysłu, który cierpi z tego powodu, że rozwija się historycznie. Ideałem dla niego jest fortyfikacja, wzniesiona na równinie, czyli na równej przestrzeni. Znamienne, że miasto jako pewien obiekt przestrzenny pojawia się w świadomości kulturowej dopiero w XV wieku. Przy tym do końca XVIII wieku było ono przedstawiane za pomocą perspektywicznego rysunku jako widok utrwalony ze wzniesienia, podczas gdy twierdza już znacznie wcześniej była przedstawiana w postaci planu geometrycznego[2]. W ten sposób fortyfikację zaczęto pojmować jako figurę geometryczną na długo przed miastem, które do końca nigdy się nią nie stało. Symptomatyczne, że Dürer właśnie w swoim traktacie o fortyfikacjach umieścił projekt idealnego miasta-twierdzy.

Myśl o idealnie zaplanowanym mieście pojawiała się już oczywiście i przed Kartezjuszem. Już w Platońskim opisie Atlantydy mamy opis kolistej konstrukcji jako swego rodzaju twierdzy zbudowanej przez Posejdona dla Kleito[3]. Ale pierwsze rozwinięte projekty urbanistyczne tego typu powstają w epoce odrodzenia[4]. Te idealne miasta zazwyczaj jawiły się jako odzwierciedlenie idei kosmosu. Miasto Słońca Campanelli całe jest przeniknięte symboliką kosmiczną[5], która zresztą nie jest obca także fortyfikacjom. Tak oto Vitry-le-François, miasto-twierdza, zbudowane w 1545 roku według projektu wojskowego inżyniera i w planie przypominające szachownicę, miało 12 ulic nazwanych według miesięcy roku. Centralne osie miasta były zorientowane na strony świata i tak dalej[6]. Ogromne znaczenie w projektach wczesnych utopijnych miast odgrywała symbolika solarna. W Toskanii, na przykład, podczas rozpoczęcia budowy twierdzy pierwszy kamień położono w chwili, kiedy w prześwicie nieba pojawiło się słońce i twierdza otrzymała nazwę Citta del Sole. Anton Francesco Doni pisał, że słońce rysuje na ziemi słońce. W jego centrum powinna znajdować się świątynia, od której rozchodzą się promienie-ulice. Stąd niezliczone fantazje kolistych miast, pierwsze z których – zdaniem Roberta Kleina – wymyślił Filarete[7]. Klein opisuje także komplikacje, związane z koniecznością posiadania w takich projektach urbanistycznych jednego centrum (miasto zazwyczaj posiadało dwa – religijne i administracyjne).

Znamienne, że liczne renesansowe widoki idealnych miast mają w centrum obraz okrągłej świątyni. Jean-Louis Deotte powiązał te okrągłe świątynie z metaforą miasta w *Monadologii* Leibniza:

§ 57. Podobnie jak miasto z różnych stron oglądane wydaje się coraz to inne i stanowi jakby zwielokrotniony perspektywiczny widok, tak dzięki nieskończonej mnogości substancji prostych tyle samo jest jak gdyby rozmaitych wszechświatów, które są wszelako widokami tego samego wszechświata odpowiadającymi rozmaitym punktom widzenia każdej monady[8].

Monady są prostymi substancjami, określanymi przez punkt widzenia. Rozmaite światy, jakie one reprezentują są po prostu różnymi „perspektywami", punktami widzenia na jeden i ten sam świat. Okrągła świątynia w takim kontekście, jak zauważa Deotte, „jest całokształtem wszystkich punktów widzenia, ich uniwersum"[9]. Ale taki całokształt wszystkich punktów widzenia w utopijnym mieście odzwierciedla także społeczną utopię „równości" wszystkich punktów widzenia i w ostatecznym rachunku równości wszystkich ludzi w obliczu prawa. Ta sama symetryczna forma, zorganizowana wokół kręgu, kładzie się u podstaw licznych projektów „uniwersalnego muzeum"[10], powołanego do wchłonięcia całości perspektywicznie rozdrobnionej wiedzy. Muzeum uniwersalne w takim kontekście staje się epistemologicznym ekwiwalentem świątyni i kosmosu.

Utopijne miasto, wzniesione według modelu kosmosu, zewnętrznie było czysto geometrycznym (najczęściej kwadratowym lub kolistym) konstruktem. Ale od idealnego widzenia Kartezjusza odróżniało je to, że było ono związane z ideą miejsca.

Rozumienie kosmosu w kategoriach miejsca było nieustannie dyskutowane od czasów Arystotelesa. Głównym problemem było tutaj rozumienie miejsca w kontekście stale poruszających się ciał niebieskich. Arystoteles w czwartej księdze *Fizyki* utożsamiał miejsce z nieruchomym pojemnikiem ciała. Właśnie nieruchomość miejsca pozwala mówić o kierunkach ruchu (górze i dole), tłumaczy ona, dlaczego „każde miejsce ma górę i dół, a każde ciało z natury dąży do właściwego sobie miejsca, tzn. bądź do góry, bądź na dół i tam trwa"(211a)[11]. Co się tyczy poruszających się ciał, Arystoteles jest dosyć sprzeczny, ale mimo wszystko, analizując przykład z łódką, płynącą po rzece, zauważa: „Miejsce chce być nieruchome, tak iż raczej cały potok [z łożyskiem] jest miejscem, ponieważ jako całość jest nieruchomy"[12](212a).

Na podstawie tych twierdzeń Arystotelesa Awerroes wyraził przypuszczenie, że ruch ciał niebieskich jest możliwy tylko w tej mierze, w jakiej w centrum kosmosu znajduje się nieruchoma Ziemia. Ale prawdziwie teoretyczne uzasadnienie idei centrum jako

Marek Sołtysik

miejsca opracował Jan Duns Szkot[13], którego idee wzbudziły mnóstwo dyskusji.

To, że w kosmogoniach Słońce stopniowo wypiera w charakterze nowego centrum Ziemię, ma istotne znaczenie dla budownictwa miast. Po pierwsze, poprzez temat Słońca do architektury wkraczała klasyczna problematyka neoplatonizmu oraz poglądy, które – jak wiemy – bezpośrednio kojarzyły się ze Słońcem. Umieszczenie Słońca w centrum świata było uzasadnione heliocentrycznym systemem Kopernika. Ciekawe, że zgodnie z obserwacją Fernanda Hallyna szczyt fascynacji centralnym umiejscowieniem ołtarza w kościołach włoskich przypada właśnie na te lata, kiedy Kopernik przebywał we Włoszech (1495-1503)[14].

Alberti lekką ręką rozpowszechnił nowy geometryczny wzór kościołów. W XV wieku we Włoszech stopniowo następuje odejście od tradycyjnego krzyżowego planu kościoła i zastąpienie jego formą, ufundowaną na kole. Taka forma została opisana i skodyfikowana w pierwszym architektonicznym traktacie odrodzenia *De re aedificatoria* (1450) Albertiego. Alberti wskazał w nim na koło jako poszukiwaną formę dla idealnego kościoła, która teraz powinna mieć w planie koło[15], centralny ołtarz i kaplice na obwodzie. Z liturgicznego punktu widzenia kościoły z jednym centralnym ołtarzem były skrajnie niewygodne, tak że Alberti nawet się wypowiedział o zmianie liturgii, która w jego oczach oznaczała powrót do starych zwyczajów: „Powinien być jeden ołtarz, przy którym oni [wierzący] spotykaliby się po to, aby składali nie więcej niż jedną ofiarę dziennie"[16].

Prawdopodobnie formę okrągłej świątyni Alberti zapożyczył od Witruwiusza, który poświęcił okrągłym świątyniom rozdział w czwartej księdze swego architektonicznego kompendium[17]. Rudolf Wittkower wskazuje na to, że wielu architektów odrodzenia sądziło, że koliste starożytne ruiny były pierwotnie świątyniami. Ale dla Albertiego głównym uzasadnieniem kolistej geometrii gmachów, służących kultom była idea piękna, harmonii, ucieleśniona w kolistej formie[18], zdolna do wzbudzenia w wierzących wysokich uczuć. W ten sposób Alberti zorientował formę budynku na odbiór widza, ale forma ta powinna była osiągnąć taką organiczną niepodzielność, żeby – jak zauważa Wittkower – „w takich dośrodkowych planach forma geometryczna występowała jak absolut – nieruchoma, statyczna i całkowicie jasna"[19]. Idealna forma geometryczna odzwierciedla transcendentalność, ale jednocześnie jest materialną kopią subiektywnej formy, która w wyobraźni staje przed duszą, ogarniętą ekstazą. Jest to ta sama idea neoplatoniczna, która stała się widzialna. Wittkower notabene zaznacza, że wzór geometryczny, leżący u podstaw planu kościoła, nie był dostępny dla wierzącego do bezpośredniej kontemplacji. W rzeczywistości był on manifestacją formy czysto spekulatywnej.

Następny etap to architektoniczne traktaty Filarete i Francesca di Gorgio – dwóch zwolenników kolistej formy kościołów. Filarete wprowadza nowy argument dla obrony tej formy: „Wszystko, co w jakimkolwiek stopniu przeszkadza wzrokowi, nie jest tak piękne, jak linia, za którą wzrok podąża bez przeszkód. (…) Kiedy widzicie koło, oko (lub, powiedzmy, wzrok) błyskawicznie ogarnia je pierwszym spojrzeniem, gdyż nie ma w nim przeszkody lub zakłócenia dla ruchu oka"[20]. Argument ten w swoisty sposób koresponduje z poglądami Kartezjusza. Przecież dla tego ostatniego jedność gmachu jest gwarantowana przez to, że nie ma on historii, że nie powstaje stopniowo[21].

Praktyka literatury antycznej bynajmniej nie jednakże ignorowała relacji idealnej geometrii z tym prawdziwym środowiskiem materialnym, w którym wznoszono budynki. Vincent Sculli pokazał, w jakim stopniu miejsce ulokowania świątyni wchodziło w jej kompleks. Scully twierdzi, że mykeńskie miejsca kultu (megarony, tolosy – okrągłe grobowce, zwieńczone stożkowatą kopułą) wpisywały się w krajobraz, jak w pewne ogromne ciało bogini. Tak oto w krajobrazie Myken dostrzega on boginię, wstającą z ziemi, której części ogromnego ciała zaznaczone są budowlami[22]. Sytuacja zmienia się po podboju doryckim. Dorowie znacznie mniej orientowali się na formy samego krajobrazu, który jednakże nadal odgrywał ważną rolę: „Ten fakt, że pierwsze greckie świątynie powstały wiele lat później na miejscu rozmieszczonych na otwartej przestrzeni ołtarzy, jasno dowodzi, że miejsce ciągle jeszcze wskazywało na obecność boga: miejsce, na którego uświęconym ołtarzu składano ofiary ze zwierząt. Świątynia dodawała do miejsca jeszcze jeden element – geometryczną formę, wymyśloną przez człowieka, odmienną od naturalnego krajobrazu, ale komplementarną w stosunku do niego"[23]. Scully sądzi, że architekturę świątynną, pomimo ścisłej więzi z ziemią, na której wznoszono budynki, znamionuje częściowa emancypacja ziemi. Świątynia, i to jest niezwykle ważne, zaczyna orientować się według ziemi. Większość świątyń została ukierunkowana na wschód, a mianowicie na miejsce wzejścia słońca w dniu święta tego boga, któremu była poświęcona w roku rozpoczęcia jej budowy. Ale, ogólnie rzecz biorąc, orientacja świątyni była mimo wszystko rezultatem swego rodzaju kompromisu pomiędzy orientacją w krajobrazie i orientacją według nieba. Chodziło o odzwierciedlenie określonego napięcia pomiędzy chtonicznymi i niebiańskimi, olimpijskimi siłami. Scully podkreśla, że świątynie bogów z przeważającą chtoniczną naturą są znacznie mniej zorientowane według nieba, niż świątynie „prawdziwych" olimpijczyków.

W starożytnych greckich budowlach o formie okrągłej lub kwadratowej w centrum umieszczano ognisko, identyfikowane z boginią Hestią, prawie nieobecną w mitologii[24]. Jean-Pierre Vernant pisze, iż „Hestia nie tylko ustanawiała centrum przestrzeni domowej, zakorzeniającego dom w ziemi"[25]. Hestia nigdy nie porzuca domu i uosabia stabilność oraz niezmienność domowego kosmosu. Edward Casey takie budowle architektoniczne z centralizowanym planem nazywa „hestialnymi". Do nich oczywiście zalicza się idealny kościół Albertiego, ale także bazylika świętego Piotra, zaplanowana przez Bramantego jako budowla „hestialna"[26] z zaakcentowanym centrum.

Centrum to zyskiwało swoje znaczenie poprzez skojarzenie z kobiecym ciałem Hestii[27] (otwartą zewnętrzną przestrzeń uważano za męską). Vernant zauważa, iż „okrągły ołtarz paleniska, symbol zamkniętej przestrzeni domowej, może odsyłać do kobiecego łona, przechowalnicy życia i dzieci"[28]. „Kiedy zaś śni się, że w ognisku lub w piecu szybko rozpala się ogień – pisze Artemidor – to dobrze to wróży i oznacza przyjście na świat dzieci; przecież ognisko i piec są podobne do kobiety, gdyż przyjmują to, co jest zdatne do życia"[29].

Jednak stopniowo ta więź z ciałem słabnie. Arystoteles mówi o sześciu kierunkach, związanych z ciałem: „w górze, w dole, z przodu, z tyłu, na prawo, na lewo"[30]. Wszystkie te kierunki są jeszcze związane z centralnym położeniem ciała ludzkiego w przestrzeni[31]. U Kartezjusza, który mówi już o trzech kierunkach – wysokości, szerokości i głębi – związek tych wymiarów z miejscem i ciałem już prawie zanikł. Kartezjusz na przykład pisze, iż w niekończonej ilości wymiarów, jakie mogą być odniesione do ciała, istnieją takie, które „mają (…) rzeczywistą podstawę w samych przedmiotach", a są też i takie, które „wymyślił (…) dowolnie nasz umysł"[32]. Ale istotnej różnicy pomiędzy nimi nie ma. Rzecz w tym, że choć te wymiary mogą być rozpatrywane jako czysto myślowe konstrukty, w których myśl sama jawi się sobie. Takie rozumienie wymiarów zdecydowanie odrywa je od miejsca[33]. Kartezjusz pokazuje, że chociaż wymiary może i są zakorzenione w rozciągłości ciała, to jedynie umownie wyodrębniamy je zgodnie z wymaganiami naszej myśli. Długość, szerokość i głębia w takim kontekście niczym nie różnią się od wielkości, którymi posługujemy się w geometrii dla zmierzenia trójkąta. Przy tym możemy wybrać w charakterze wymiarów trzy boki, a możemy dwa boki i kąt. Nic realnie nie zakorzenia wymiaru w ciele. Następnym krokiem jest tutaj oczywiście zastąpienie trzech wymiarów algebraicznymi symbolami – X, Y, Z i tym samym całkowite wyeliminowanie wszelkiego związku z ciałem i, co za tym idzie – z miejscem[34].

Miejsce nierozciągłego „Ja" konstytuuje się za każdym razem od nowa w procesie myślenia, kiedy rysuje ono linię swojej myśli i tworzy wyobrażaną konstrukcję, w której pojawia się ono dla siebie samego. Ogarnianie spojrzeniem kolistej formy gmachu u Filarete jest sposobem zaznaczenia swojej obecności. I szybkość tego obiegania bezpośrednio wiąże się z intuicyjną zdolnością do przemieniania dyskursu w figurę.

Jean-Luc Nancy zwrócił uwagę na jedną osobliwość kartezjańskiego pojmowania podmiotu. Pisze on o tym, że w tradycji arystotelesowskiej substancji nie można poznać przez nią samą, ale jedynie poprzez jej atrybuty lub akcydencje: „ten jednostkowy byt posiada czarne włosy, okulary, mówi po francusku i tak dalej". Twierdzenie to jest słuszne także dla Kartezjusza. Myśląca rzecz (res cogitans) nie może być poznana poprzez siebie samą, lecz poprzez jej atrybut – cogitatio. Komplikacja zawiera się jednak w tym, że pomiędzy atrybutem – myślą – i myślącą substancją nie ma różnicy. W rezultacie podmiot u Kartezjusza uznaje siebie w bycie poprzez samouznanie w bycie. Nancy pisze: „Ma się rozumieć, dla Arystotelesa substancja jest to akt, ale w charakterze aktu ona nie poznaje siebie jako substancja. U Kartezjusza, jak kto woli, byt z konieczności uznaje siebie (se suppose nécessairement lui-même), dociera do siebie i poznaje siebie w akcie tego samouznania w bycie"[35]. Rzecz w tym, że w samym akcie samouznania w bycie przejawia się istnienie pewnej substancji, poprzedzającej to samouznanie w bycie. U Arystotelesa, jak zauważa Nancy, wszystko jest już dane – świat, substancje od początku są dane naszej percepcji. U Kartezjusza uznanie w bycie jest jednocześnie aktem tworzenia, przy tym tworzenia ex nihilo, charakterystycznego dla tradycji starotestamentowej. Swoistość metody Kartezjusza zawiera się jednak w tym, że w uznaniu w bycie tworzy się sam twórca, sam demiurg.

Poprzez spekulatywny projekt gmachu lub miasta jednocześnie tworzy się sam architekt.

Związek pomiędzy „Ja" i obiektami architektonicznymi przyciągał uwagę historyków sztuki już w końcu XIX wieku, zwłaszcza w ramach estetyki wczuwania (Einfühlung). Charakterystycznym przedstawicielem tej estetyki był Heinrich Wölfflin, zwłaszcza w jego pierwszej książce *Renesans i barok* (1888). Zgodnie z Wölfflinem architektura jako sztuka masy i ciężaru jest odbierana poprzez znajome człowiekowi odczucie ciała. →

„(…) jest jasne, że architektura, sztuka cielesnych mas, może być skorelowana wyłącznie z cielesnym istnieniem człowieka. Wyraża ona swój czas tylko w tym stopniu, w jakim odzwierciedla ona cielesną istotę człowieka, jego specyficzną postawę i ruch, (…) architektura wyraża 'Lebensgefühl' swojej epoki"[36].

W takiej perspektywie gmach jest odbierany przez człowieka w tej mierze, w jakiej przeżywa on, przechodząc przez niego, odczucie własnego ciała, czyli odczucie tej cielesności, która jest generowana przez daną bryłę architektoniczną. W takim wypadku *Ego* jest związane z doświadczeniem odczucia własnego ciała.

Naturalnie, takie postulowanie „Ja" poprzez cielesne odczucia nie ma nic wspólnego z filozofią kartezjańską. Ale w jednym ze stylów architektonicznych – baroku – Wölfflin znajduje taką przestrzeń, która nie przejawia się poprzez cielesność:

„Istotnie, ważną cechą barokowego stylu jest to, że nie może on być rozpatrzony w terminach ludzkiego ciała. Barok nie zna znaczenia indywidualnych form, z wyjątkiem bardziej przygłuszonego efektu całości. Indywidualna, określona i plastyczna forma przestała mieć znaczenie; kompozycje tworzą masowe efekty światła i cienia, tak że najbardziej nieokreślony ze wszystkich żywiołów stał się prawdziwym środkiem wyrazu"[37].

Ponieważ w baroku przeżycie indywidualnych form i brył jest przytłumione, odczucie cielesności znika. Wölfflin w istocie mówi już o znanych nam efektach *trompe – l'oeil* [38].

W chwili, kiedy cielesne formy ustępują miejsca czystej iluzji, „Ja" traci oparcie w swoim ciele. Jedyne, co pozostaje Ego, to uznanie siebie w bycie w formie wyobraźniowego podwojenia, które było znane Kartezjuszowi. Obecnie tego rodzaju podwojenie najczęściej kojarzy się ze stadium lustra Lacana, kiedy „Ja" prezentuje się w postaci pewnego imago, czyli dysponującego figuratywną całościowością lustrzanego sobowtóra. Lacan zaproponował model samouznawania w bycie ego jako fantazjowania jego *widzialnego obrazu*[39]. Bezpośrednim źródłem takiego rodzaju koncepcji Lacana był, jak twierdzi Mikkel Borch-Jacobsen, wczesny tekst Sartre'a *Transcendentność Ego*[40], w którym między innymi czytamy:

„Wszystko dzieje się tak, jakby świadomość konstytuowała Ego jako fałszywe wyobrażenie o sobie samym, jakby hipnotyzowała siebie tym samym Id, które ona konstytuowała, była przez nie wchłaniana, jakby przemieniała go w swoje zbawienie i prawo. Właśnie dzięki Ego może się pojawić różnica pomiędzy możliwym i rzeczywistym, pomiędzy widzialnością i bytem, pomiędzy pożądanym i doświadczanym"[41].

Model ten jest bliski modelowi narcystycznemu, kiedy podmiot widzi siebie w lustrze.

Jest znamienne, że Hubert Damisch właśnie w Narcyzie Caravaggio dostrzegł alegorię malarstwa barokowego. Tutaj Narcyz pochyla się nad własnym odbiciem i jego ciało w górnej części płótna, mające formę półokręgu, dopełnia się własnym odbiciem w dolnej części, tak że kompozycja tworzy prawie idealne koło. Ale ta idealna geometria koła w obrazie jest ustanawiana tylko za pomocą lustrzanego podwojenia podmiotu. Damisch nawet widzi w osi symetrii – tej samej granicy pomiędzy Narcyzem i jego odbiciem (widzialnością), której nie można przekroczyć - podobieństwo fałdy, opisanej przez Deleuze'a w jego analizie filozofii Leibniza jako modelu baroku[42].

Reprezentacja, a zatem i podmiot, który jest jej podstawą i nieodłączną częścią, być może właśnie powstaje w takim procesie samouznania w bycie jako samopodwojenia. W każdym razie Heidegger jednoznacznie powiązał kartezjańskie *cogitatio* z reprezentacją – *Vor-stellung*. Zdaniem Heideggera cogito zyskuje podstawę tylko w widzialności samego siebie, w zdolności reprezentowania siebie w formach widzenia[43]. „*Każde ego cogito to cogito me cogitare;* każde 'ja wyobrażam cokolwiek' jednocześnie wyobraża mnie samego, tego, kto wyobraża (dla mnie, w moim wyobrażeniu)"[44].

Naturalnie, barok pod względem widzialności jest bliższy Leibnizowi niż Kartezjuszowi z jego stałym dążeniem ku jasności. Można przypuszczać, że także gmach, który wyobrażał sobie Kartezjusz, raczej odnosiłby się do stylu klasycznego niźli barokowego. Ale przy tym rezygnacja z cielesności, rozumienie linii geometrycznej jako czysto spekulatywnej wyraźnie zbliża Kartezjusza do baroku.

W baroku istnieje jeszcze jeden element, który wydaje się ważny w tym kontekście. Kiedy Filarete mówi o tym, że koło jest idealną formą, dlatego że spojrzenie może je obiec niemal błyskawicznie, to pojmuje on formę jako rezultat dynamicznego gestu, a nie lustrzanego odzwierciedlenia, narcystycznego podwojenia. U niego forma „buduje się", a nie powstaje błyskawicznie w rezultacie iluzji optycznej. Nietrudno zrozumieć, że i zakreślanie śladów samego siebie, zabieganie przed swoim „Ja" w procedurze samouznania w bycie też nie jest podobne do lustrzanego podwojenia.

W zasadzie Lacanowski model samouznania w bycie poprzez użycie lustra odrywa *cogito* od procedury samokonstytuowania się jako pewnego dynamicznego gestu. Jak pisze Wolfgang Iser, mając na uwadze współczesne modele wyobrażonego, „zamiast wytwarzać *eidos*, wyobrażane współczesnego dyskursu jawi się wyłącznie jako jego nierealny sobowtór. Ale jeżeli wyobrażane poprzedza swoją formę, nie może ono – w przeciwieństwie do tradycyjnego poglądu – zbiegać się z jego funkcją"[45]. Innymi słowy, wyobrażane nie może być sobowtórem, odbiciem (na przykład Narcyza w rzece) w tej mierze, w jakiej ono samo wytwarza to odbicie. Castoriadis, biorący za punkt wyjścia koncepcję produktywnego wyobrażonego, następująco formułuje to twierdzenie: „Wyobrażone nie może opierać się na obrazie w lustrze lub spojrzeniu Innego. Raczej samo lustro, możliwość jego istnienia i Inny jako lustro są produktami wyobrażonego jako twórczości *ex nihilo*"[46].

Model stożka, o którym tylko wspomniałem, kiedy była mowa o Correggio, prawdopodobnie pełniej odpowiada procedurze samokonstytuowania niż model lustra. Przypomnę, że Deleuze pisał o tym, że pojęcie (le concept) staje się concetto, które podobne jest do ostrza, wierzchołka stożka, w którym nagromadzono (plié), jak w pewnym punkcie, mnóstwo sprzecznych twierdzeń[47].

Pojęcie ostrza, punktu, w którym zwinięta jest reprezentacja przed jej rozwinięciem, było rzeczywiście bardzo popularne w epoce baroku. Główne traktaty o ostrzu i ostrości pojawiają się w druku w tym samym czasie, kiedy aktywny jest Kartezjusz (czyli w latach 1620-1640). Jednym z takich traktatów był na przykład *De acuto et arguto* (1626) polskiego jezuity Macieja Kazimierza Sarbiewskiego, w którym *concetto* pojmowane było jako połączenie przeciwieństw w wierzchołku trójkąta:

„Po to, aby utworzył się wierzchołek – pisał on – trzeba, żeby zgoda i niezgoda zbiegły się i stały się jednym, tak żeby się wydawało, że opierają się one na jednej podstawie; innymi słowy, nawet jeśli rozważanie o jakimkolwiek przedmiocie (podstawa) wydaje się z jednej strony całkowicie sprzeczne z nim, to z drugiej strony będzie (albo, w każdym razie, wyda się) całkowicie zgodne. Tak samo matematyczny i materialny wierzchołek polega na zbieżności dwóch rozchodzących się linii"[48].

Metafora barokowa, ufundowana na połączeniu odległych lub przeciwstawnych elementów, była systematycznie porównywana do wierzchołka. W 1648 roku Baltasar Graciàn publikuje swój wpływowy traktat o ostrzu i dowcipie (*agudeza*)[49]. W 1654 roku Emanuele Tesauro wydał w Turynie *Lunetę* Arystotelesa, w centrum której umieścił pojęcia *concetto i arguzetta* – koncept u i dowcipu. W Lunecie wiele mówi się o prędkości – sam tytuł książki odsyła do optyki i teleskopu, pozwalającym błyskawicznie pokonywać ogromne odległości[50]. Tesauro między innymi mówi o ostrości lub ostrzu charakterystycznych dla malarstwa i architektury, „których specjaliści są nazywani 'inżynierami' z powodu ostrości ich wynalazczych tworów"(gli cui studiosi son chiamati ingeneri per l'argutezza delle ingegnosi lor opre)[51].

Argutezza to figura, obdarzona wyraźnym znaczeniem i tym się ona różni od figur „harmonijnych" i „patetycznych". Jej najwyższym przejawem jest metafora, ale zalicza się ją także do hieroglifów, emblematów, alegorii, łączących w sobie dziwne, sprzeczne komponenty. Właśnie dlatego radykalnie przeciwstawia się ona sądowi. Sąd opiera się na logice dyskursywnej, sylogistyce, podczas gdy *argutezza* błyskawicznie łączy przeciwieństwa w błysku intuicji. Oto dlaczego tak ważna jest dla niej szybkość percepcji. Pozwala ona temu, co dyskursywne konwertować się w figurę.

Sąd został przeciwstawiony błyskowi dowcipnej intuicji (wit) przez Locke'a, który wyraźnie dawał pierwszeństwo dyskursywnemu sądowi[52]. W analizie Locke'a ciekawe jest to, że *wit* był przez niego rozpatrywany jako sposób tworzenia obrazów, przedstawień:

„(…) ludzie o dużym dowcipie i żywej pamięci nie zawsze odznaczają się najbardziej jasnym sądem i najgłębszym umysłem. Gdyż dowcip (wit) zawiera się głównie w dobieraniu idei oraz szybkim i różnorodnym łączeniu tych z nich, w których można znaleźć jakiekolwiek podobieństwo bądź odpowiedniość, aby tym samym narysować w wyobraźni pociągające obrazy i przyjemne widzenia (pleasant pictures and agreeable visions in the fancy)…"[53].

Locke wskazywał, że rozum w *wit* zadawala się przyjemnością powstającego obrazka i na tym zatrzymuje swoje badanie, które osiąga się sądzeniem[54].

Epistemologiczny niedostatek *wit* wiąże się jednak nie tyle z jego niedyskursywnością, lecz z tym, że jego ostrze było skierowane nie na realnie istniejące przedmioty poznania, lecz głównie na sztuczne produkty samego rozumu. I chociaż na przykład Tesauro sądził, że Bóg i natura dosłownie są budowane na fundamencie *argutezza*, najlepszym przykładem ekstrawaganckich barkowych metafor były nie naturalne obiekty, lecz sztuczne i ciemne hieroglify barokowych alegorii. Na związek alegorii i *Witz* zwracał uwagę już Winkelman[55]. W nich rzeczy były wykorzystywane nie w ich „naturalnym" lub „symbolicznym" znaczeniu, lecz jako nosiciele znaczeń, które były do nich na siłę wkładane przez twórców alegorii. Stąd bierze się z jednej strony przekształ-

canie całego świata w pismo, co dostrzegł Beniamin, a z drugiej strony – wewnętrzna pustka i wewnętrzna martwota alegorii. Alegoria staje się sztucznym, chaotycznym nagromadzeniem różnorodnych elementów, podobnych do ruin gmachu, którego forma została utracona.

Ten związek z ruinami cofa nas do tematu architektury. Jedność alegorycznego gmachu rekonstruuje się z ruin jedynie za pomocą obejścia wszystkich fragmentów i zebrania ich w całość. W symbolu, jak pisze Beniamin, cytując F. Kreuzera, „jest obecny jednoczesny całokształt, w analogii – następczość szeregu momentów"[56]. Beniamin uważa za typowy przykład takiej alegorycznej następczości *Opis torsu Herkulesa* w rzymskim belwederze Winkelmana, w którym spojrzenie eksperta zostało przedstawione jako „obchodzące wszystkie części posągu fragment po fragmencie w zupełnie nieklasycznym duchu. Nieprzypadkowo mowa jest właśnie o torsie. Obraz w alegorycznej intuicji to fragment, ruina. Jego symboliczne piękno ulatnia się, gdy tylko pada nie niego światło boskiej wiedzy. Fałszywa widzialność całości znika"[57]. I rzeczywiście, Winkelman zestawia belwederski tors z „największymi osiągnięciami dowcipu i wynalazczości"[58], czyli tego samego *Witz*. Opisuje również to, jak sukcesywne przechodzenie przez poszczególne części tego rzeźbiarskiego fragmentu pozwala odtworzyć obraz brakujących części i w rezultacie iluzoryczny obraz całości: „I gdy przed moim wzrokiem pojawia się taka głowa, pełna majestatu i mądrości, w moich myślach już zaczynają tworzyć się również pozostałe brakujące części ciała: w istniejących częściach gromadzi się pewien przelewający się przez brzegi nadmiar, który wywołuje jakby nagłe ich uzupełnienie"[59].

Ważność tego „uzupełnienia" ma zasadnicze znaczenie, dlatego że określa tę obrazową eksplozję, ku której ciąży *wit*. Błyskawiczne przebieganie wzdłuż punktów, z którego wynika widzialność, obraz, obrazek, stwarza wyobrażany przedmiot (gmach, miasto), który nie może stać się przedmiotem poznania, dlatego że jest stworzony przez tę samą energię wit, przemianą ciał w pismo. Wyobrażane konstytuuje się w momencie takiego przebiegania i poprzez konstytuowanie wyobrażonego (miasta, świątyni, instytucji) człowiek konstytuuje własne „Ja". Nancy w ogóle sądzi, że „*Witz* to struktura wytwórczości". Nie da się w nim wypowiedź odróżnić od tego, kto tę wypowiedź formułuje. Wypowiedź i akt jawią się jako nierozłączne[60].

Witz jest innym modelem wytwarzania podmiotu, ignorującym lustrzaność. Jest to właśnie model dynamicznego wytwarzania, które jest zdolne do przedstawienia nam w charakterze produktu obrazu budynku, którego zarysy błyskawicznie ogarnia oko Filarete. Momentalność tego ogarniania jest właśnie ekwiwalentna w stosunku do Witz. Benito Pelegrin na przykład przypuszcza, że agudeza Graciàna realizuje się w formie wyobrażanej architektury, w której ponad prostym dowcipem nadbudowuje się złożona, składnikowa ostrość, wytwarzająca w końcu symetrię stosunków, określaną jako architektura[61]. Właśnie z tych wyobrażanych spekulatywnych konstrukcji powstają wyobrażane instytucje społeczeństwa. Punkt, wierzchołek, ostrze, w których znajduje się zwinięty świat tego wyobrażanego, rozwijając to wyobrażane jako reprezentację, wytwarzają siebie jako podmiot tej reprezentacji[62].

Michaił Jampolski
przełożył Bogusław Żyłko

**Pierwodruk: Michaił Jampolskij, Tkacz i wizjonier. Oczerki istoriji niepriezientaciji ili O matierialnom i idiealnom w kulturie, Moskwa 2007.*

(Endnotes)

1 R. Descartes, Rozprawa o metodzie dobrego powodowania swoim rozumem i szukanie prawdy w naukach. Przeł. T. Boy-Żeleński, Kraków 1918, s. 15.

2 Fr. Choay, La rčgie et le modčle. Sur la théorie de l'architecture et de l'urbanisme, Paris, Seul, 1980, P. 65.

3 „(…) pagórek, na którym mieszkała, ogrodził pięknie i odciął od reszty lądu naokoło, bo porobił z morza i z ziemi na przemian szereg większych i mniejszych kół współśrodkowych. Dwa z ziemi, a z morza trzy jakby cyrklem obrócił ze środka wyspy" (Platon, Timaios. Kritias. Przeł. W. Witwicki, Warszawa 1951, s. 118.

4 Nie biorę pod uwagę takich teologicznych utopii, jak Państwo Boże, gdzie miasto nie jest pojmowane jako miasto materialne, a tym bardziej nie mam na myśli polis z Państwa lub Praw Platona, w których idea polis figuruje.

5 Miasto na przykład dzieli się na siedem pasów lub kręgów, nazwanych według siedmiu planet i tak dalej. Alfred Sztekli szczegółowo omawia związek utopii Campanelli z heliocentrycznym modelem Kopernika, astronomią Galileusza i kosmologią Ptolemeusza (A. E. Sztekli, „Gorod Sołnca", utopija i nauka, Moskwa 1978, s. 166_207).

6 R. Klein, L'urbanisme utopique de Filarete ŕ Valentine Andreae. W tegoż: La forme et l'intelligible, Paris, Gallimard, 1970, P. 314.

7 Ibid. P. 319.

8 G. W. Leibniz, Wyznanie wiary filozofa. Rozprawa metafizyczna. Monadologia. Zasady natury i łaski oraz inne pisma filozoficzne. Przeł. S. Cichowicz, J. Domański, H. Krzeczkowski, H. Moese. Opr. i wstęp S. Cichowicz, Warszawa, PWN, 1969, s. 308.

9 J.-L. Deotte, L'Humanisme heroique. W: Jean-Louis Deotte, Eric Van de Casteele, Michel Serviere, Portrait, autoportrait, Paris, Ed. Osiris, 1987, P. 61.

10 Chram Znanij w idiealnoj architiekturie XVIII wieka. W: XVIII wiek. Assamblieja iskusstw, Moskwa, Pinakotieka, 2000, s. 79-91. Zob. tamże: N. A. Osminskaja, Pod sien'ju chrama Apołłona: kollekcionirowanije kak mirowozzrienie, „Pinakotieka" 2000, nr 12, s. 52-59.

11 Arystoteles, Dzieła wszystkie, t. 2, ks. IV, 211a. Przeł. K. Leśniak, Warszawa, PWN, 1990, s. 88.

12 Tamże, s. 91.

13 Jan Duns Szkot twierdził, że dla istnienia miejsca, lokum nie wystarczy bycie prostym pojemnikiem, czyli zbiegać się z powierzchnią ciał. Sam proces lokalizacji powinno się rozumieć jako proces wzajemnego oddziaływania pojemnika i ciała. Wchłanianiu ciała (locare) powinna odpowiadać lokalizacja samego ciała w pojemniku – locari. I odpowiednio do tego, miejscu jako atrybutowi wchłanianego ciała powinno odpowiadać to, co Jan Duns nazywał ubi – atrybut wchłanianego ciała. Z nim bezpośrednio wiąże się trzeci element w teorii Dunsa Szkota – positio. Positio oznacza rozkład części wchłanianego ciała, które organizują się wokół ubi. Nieruchomość miejsca w systemie Dunsa Szkota realizuje się wówczas, kiedy nie następuje wzajemna zmiana relacji pomiędzy miejscem i ubi. A to w pełnej mierze odnosi się do niebieskiej sfery, która nie została pomieszczona w żadnym miejscu. Obrót, który w niej następuje, ma absolutny charakter, całkowicie skorelowany z nieruchomym centrum (zob.: P. Duhem, Medieval Cosmology, Chicago, University of Chicago Press, 1985, P/ 183-188).

14 F. Hallyn, The Poetic Structure of the World. Copernicus and Kepler, New York, Zone Books, 1990, P. 138.

15 L. B. Alberti, On the Art. of Building in Ten Books, Cambridge, The MIT Press, 1988, P. 195-196.

16 Ibid. P. 229.

17 Vitruvius, The Ten Books on Architecture, New York, Dover, 1960, P. 122-125.

18 I tutaj Alberti podążał za Vitruviusem, który sądził, że harmonia gmachu powinna odzwierciedlać reguły proporcjonalnej harmonijności członków ciała ludzkiego, które wpisuje się w koło (Vitruvius, The Ten books on Architecture, P. 23).

19 R. Wittkower, Architectural Principles in the Age of Humanism, New York, Random House, 1965, P. 73.

20 A. Averlino, Il Filarete. Treatise on Archtecture. In: A Documentary History of Art. Ed. by Elizabeth G. Holt, Garden City, Doubleday, 1957, 1957, P. 249. Filarete pisał o tym, że w starożytności nie znano krzyżowej formy kościołów: „Istniały okrągłe świątynie, jak Santa Maria Rotonda w Rzymie, niegdyś nazywająca się Panteonem lub ośmiokątne świątynie, jak San Giovani [Baptysterium] we Florencji…" (ibid.. P. 246.

21 Tutaj prawdopodobnie odzwierciedla się istotny dla Kartezjusza problem wzajemnej relacji dyskursywnego i figuralnego, który znalazł u niego wyraz w konwersji form geometrycznych w formuły algebraiczne i odwrotnie. Konieczność przechodzenia od dyskursywnego do figuralnego zawiera się w kardynalnym problemie podmiotu kartezjańskiego. Ponieważ myślące „Ja" zostało oderwane od ciągliwej substancji, to formą istnienia „Ja" okazuje się myślenie. Przy tym „Ja" powinno zarazem zdawać sobie sprawę z tego, że myśli, odnotowuje akt swojego myślenia.

22 V. Scully, The Earth, the Temple and the Gods, New York, Praeger, 1969, P. 37-39.

23 Ibid., P. 43-44.

24 Hestia kojarzy się z kolistą formą architektoniczną, w szczególności z jedynym greckim budynkiem w formie koła – Tolosem (Tholos).

25 J.-P. Vernant, Mythe et penseé chez de Grecs, Paris, La Découverte, 1988, P. 157.

26 Casey wskazuje na to, że forma koła – idealna zamknięta forma – miała uchwycić Świętego Ducha. Centralne ognisko Hestii znaczył oś świata – axis mundi, łączącą ziemię z niebem. Kopuła w takiej budowli była modelem nieba, a cała budowla pomieszczeniem dla Ducha Świętego. „Tutaj – pisze Casey – ludzki duch wznosi się do góry, nawet wówczas, kiedy boska istota schodzi w dół" (E. S. Casey, Getting back into Place. Toward a Renewed Understanding of the Place-World, Bloomington, Indianopolis Indiana Press, 1993, P. 134).

27 Władimir Toporow zauważa: „Sam ołtarz (okrągły lub czterokątny) nierzadko jest przedstawiany jako rodzące dzieci ciało poprzez które otrzymuje się, rodzi się (…) bogactwo, obfitość, potomstwo. (…) W tym kontekście (…) łono kojarzy się z ołtarzem, a płomień w centrum z jego membrum virile…" (W. N. Toporow, Zamietki po riekonstrukcji tiekstow. Tiekst goroda-diewy i gorola-błudnicy w mifołogiczeskom aspiektie. W tegoż: Issledowanija po strukturie tieksta, Moskwa, Nauka, 1987, s. 129).

28 J.-P. Vernant, Mythe et penseé chez de Grecs, P. 180.

29 Artemidor, Sonnik (II, 10), Sankt Pietierburg, Kristałł, 1999, s. 160. Przekład I. A. Lewinskiej.

30 Arystoteles, Dzieła wszystkie, t. 2, ks. IV (205b), s. 76.

31 „Każde ciało elementarne dąży do właściwego sobie miejsca, jeśli tylko nic nie stanie mu na przeszkodzie: jedno do góry, inne na dół. A oto części, czyli rodzaje miejsca: do góry, na dół i pozostałe z sześciu kierunków" (Fizyka, t. 2. Ks. IV (208b), s. 83.

32 Descartes, Prawidła kierowania umysłem. Poszukiwanie prawdy poprzez światło przyrodzone rozumu. Przeł. L. Chmaj, Warszawa, PWN, 1958, s. 93-94.

33 Kartezjusz pisze: „A należy zaznaczyć mimochodem, że trzy wymiary ciał: długość, szerokość i głębokość różnią się od siebie tylko nazwą, nic bowiem nie zabrania, gdy mamy dane jakieś stałe ciało, obrać którąkolwiek jego stronę rozciągłą za długość, inną za szerokość itd. A chociaż te trzy jedynie mają realną podstawę w każdym przedmiocie rozciągłym, jako po prostu rozciągłym, rozpatrujemy je tu jednak nie inaczej niż inne niezliczone, które tworzy umysł lub które mają inne podstawy w rzeczach. Tak np. jeżeli chcemy zmierzyć doskonale trójkąt, musimy od strony przedmiotowej poznać trzy rzeczy, a mianowicie: albo trzy boki, albo dwa boki i jeden kąt, albo dwa kąty i powierzchnia itd." (tamże, s. 94).

34 Zob. o tym: E. S. Casey, Getting Back into Place. Toward a Renewed Understanding of the Place-World, Bloomington, Indianopolis Indiana Press, 1993, P. 75.

35 J.-L. Nancy, Un sujet? W: Homme et sujet. La subjectivité en question dans les sciences humanines. Conférence (…) réunies par Dominique Weil, Paris, L'Harmatian, 1992, P. 74.

36 H. Wölfflin, Renaissance and Baroque, London, Collins, 1964, P. 78.

37 Ibid., P. 85.

38 Oczywiście, zniknięcie cielesności w budowlach ujawnia się znacznie wcześniej, niż w epoce baroku, na przykład w okresie późnej antyczności, w epoce Dioklecjana, kiedy na przykład L. Orange zauważa przejście od „piękna cielesnego" tradycji klasycznej do transcendentnej kontemplacji. Pisze on: „Następuje odejście od wszystkiego cielesnego w gmachu – kolumn, fryzów, ornamentu architektonicznego, całego tego dekoru, który Witruwiusz nadal uważał za dignitas architektury, w imię zanurzenia w przestrzeń pozacielesną, w niesubstancjalny nieodczuwalny interier, wypełniany światłem i cieniem" (H. P. L'Orange, An Forms and Civic Life in the Late Roman Empire, Princeton, Princeton University Press, →

1965, P. 21). L'Orange opisuje to samo przejście od świata „cielesnego" klasycyzmu do świata iluzji.

39 Lacan wprost pisze o związku Cogito z Freudowskim rozdwojeniem osobowości – Ichspaltung i topikami osobowości, na przykład podziałem na Ego, Superego i Id (J. Lacan, La science et la vérité. W: Ecrtis, Paris, Seul, 1966, P. 856).

40 Mikkel Borch-Jacobsen, Lacan: The Absolute Master, Stanford, Stanford University Press, 1991, P. 261.

41 J.-P. Sartre, La transcendence de l'Ego, Paris, Vrin, 1966, P. 82.

42 Damisch pisze: „(…) istnieje problem 'fałdy obrazu': nie tylko fałdy na obrazie, ale i problem fałdowania, fałdy samego obrazu jako sposobu działania (en tant qu'il procčde) jako takiego" (H. Damisch, Narcisse Baroque? W: Puissance du Baroque, Paris, Galilée, 1996, P. 33.

43 W ten sposób ustala się związek cogito, widzialności oraz idei: „Słowo 'idei' oznacza to, co jest widoczne w widzialnym, ten widok, który ono przedstawia. Przedstawia się zaś widzialność, eidos tego, z czym się stykamy. Widzialność rzeczy – to, w czym się ona jawi, przedstawia siebie, umieszcza siebie przed (vorstellt) nami i jako taka znajduje się przed nami, w czym i jak jest obecna, jest tutaj, w greckim sensie jest. To stanie – co powstało z siebie, z physis" (M. Heidegger, An Inroduction to Metaphysics, Garden City, Doubleday, 1959, P. 151).

44 M. Heidegger, Nietzsche, San Francisco, Harper Collins, 1991, Vol. 4. P. 106.

45 W. Iser, The Fictive and the Imaginary. Charting Literary Anthropology, Baltimore, The John Hopkins University Press, 1993, P. 207.

46 C. Castoriadis, Woobrażajemoje ustanowlenije obszczestwa, Moskwa, Gnozis-Logos, 2003, s. 9.

47 W tym sensie concetto przypomina wierzchołek piramidy z amfilady pokoi ze snu Teodora w Teodycei Leibniza. Na ten związek wskazywał Jean-Luc Nancy (Preséntation de: Jean Paul, Sur le trait d'esprit (Witz), „Poetique" 1973, Nr 15, P. 373.

48 La métaphore baroque d'Aristote ŕ Tesauro. Presenté par Yves Hersant, Paris, Seul, 2001, P. 45.

49 Graciń tak określa agudeza: „(…) mistrzostwo dowcipu polega na wytwornym połączeniu i harmonijnym zestawieniu dwóch lub trzech odległych pojęć, powiązanych jednym aktem roumu" (B. Graciń, Ostroumije ili Iskusstwo izoszczrennego uma. W: Ispanskaja estietika: Rieniesans. Barokko. Proswieszczenije, Moskwa, Iskusstwo, 1977, s. 175. Pieriewod Je. Łysienko). I w innym miejscu: „Połączyć siłą rozumu dwa sprzeczne pojęcia – oto najwyższa sztuka dowcipu" (s. 213.).

50 Goleniszczew-Kutuzow mówi w związku z Tesauro „o systemie szybkiego rozumu" (I. N. Goleniszczew-Kutuzow, Boileau i barokko. Emanuele Tesauro. W tegoż: Romanskije litieratury. Stat'ji i issledowanija, Moskwa, Nauka, 1975, s. 326-333).

51 Ibid. P. 86. Tesauro gra słowem ingegno, które do XVI wieku tłumaczono jako „maszyna", a w XVII-XVIII jako „genialność", wynalazczość, ostrość umysłu.

52 J.-L. Nancy zauważył, iż Locke po krytyce wit poddał krytyce także sądzenie, które dostarcza jedynie 'prawdopodobnej wiedzy', niebędącej prawdą. Rzecz w tym, że sąd opiera się na analogii, która jest chwiejną epistemologiczną podstawą. Ale przecież i wit opiera się w istocie na ekstrawaganckich analogiach. W końcu, jak sądzi Nancy, w oczach Locke'a sąd jest niewiele więcej wart niż wit, ale jest bardziej uporządkowany i jest regulowany przez racjonalne poznanie. „Wit natomiast nie jest regulowany. I chociaż to rozróżnienie powinno się było okazać (w swojej zastosowalności) niepewnym, to jednak mimo wszystko oddzielało poważne od rozrywkowego" (J.-L. Nancy, Présentation de: Jean Paul. Sur le trait d'esprit (Witrz), „Poetique" 1973, nr 15, P. 369). Znamienne jednak, że Beniamin nazywa barokową analogię, ucieleśniającą zasadę wit, „jedynym i potężnym divertimento, dostępnym melancholikowi" (. W. Beniamin, Proischożdienije niemieckoj barocznoj dramy, Moskwa, Agraf, 2002, s. 194. Pieriewod S. Romaszko).

53 J. Locke, Rozważania dotyczące rozumu ludzkiego. Przeł. B. J. Gawęcki, Warszawa, PWN, 1955, t. II, rozdz. 21, § 2.

54 Jak wiadomo, parodię tych rozważań Locke'a stworzył Laurence Sterne we Wstępie do Tristrama Shandy (zamieszczonym w trzecim tomie książki w dwudziestym jego rozdziale). Zob.: J. Traugott, The Shandean Comic Vision of Locke. W: L. Sterne. Ed. By John Traugott, Englewood Cliffs, Prentice-Hall, 1968, P. 126-147. Sterne śmieje się z Locke'a, twierdząc, że dowcip i sąd w jednakowej mierze są potrzebne człowiekowi: „(…) nawet wielki Locke, którego rzadko udawało się zwieść fałszywymi dźwiękami, był tutaj zbity z tropu. Nagonka na biednych dowcipnisiów była prowadzona naturalnie z użyciem takich mocnych i uroczystych głosów i przy współdziałaniu wielkich peruk, ważnych fizjonomii i innych narzędzi oszustwa stała się tak powszechna, że wprowadziła w błąd filozofa" (L. Sterne, Życie i myśl JWPana Tristrama Shandy. Przeł. K. Tarnowska, Warszawa, Czytelnik, 1958.

55 „Przeciwieństwo [narzucająca się sama sobą porównaniom] przedstawia sobą to, co nazywamy dowcipem, a Arystoteles nazywa nieoczekiwanymi pojęciami: takich właśnie wyrażeń wymaga się od oratora. Im więcej nieoczekiwanego znajdujemy w obrazie, tym bardziej on nas dotyka; te obie rzeczy osiąga on za pomocą alegorii" (J. J. Winkelman, Mysli po powodu podrażanija grieczeskim proizwiedienijam w żiwopisi i skulpturie. W jegoż: Izbrannyje proizwiedienija i piś'ma, Moskwa-Leningrad, Academia, 1935, S. 163).

56 W. Berniamin, Proischożdienije niemieckoj barocznoj dramy, s. 170.

57 Tamże, s. 183.

58 J. J. Winkelman, Opisanije bielwiedierskogo torsa w Rimie. Tamże, s. 186.

59 Tamże, s. 184.

60 J.-L. Nancy, Menstruum Universale. W tegoż: The Birth to Presence, Stanford, Stanford University Press, 1993, P. 251.

61 B. Pelegrin, Ethique et esthétique du Baroque. L'espace jésuitique de Baltasar Gracian, Arles, Actes du Sud, 1985, P. 52-73.

62 Sartre na początku swojej kariery mówił o Ego jako o „konkretnej powszechności stanów i działań, które niesie ono na sobie". Ego unifikuje wszystkie te stany i jest zarazem transcendentalne w stosunku do nich. Sartre porównuje Ego ze „Światem", „rozumianym jako nieskończona syntetyczna powszechność wszystkich rzeczy" (J.-P. Sartre, La transcendence de L'Ego, Paris, Vrin, 1966, P. 57-58). W istocie Ego u Sartre'a okazuje się taką samą monadą, w której zawiera się nieskończona liczba stanów, podobnie jak świat, w którym zawiera się nieskończona mnogość rzeczy. I Ego, i Świat to ostrze.

Michaił Jampolski – urodził się w Moskwie w 1949 roku. Ukończył filologię germano-romańską na Uniwersytecie Moskiewskim. W 1977 roku obronił pracę doktorską Образовательные и воспитательные функции курса философии в средней школе Франции. Od 1974 roku związany zawodowo z Wszechzwiązkowym Instytutem Naukowo-Badawczym Sztuki Filmowej. Publikuje w serii semiotycznej Uniwersytetu Tartuskiego i uczestniczy w Konferencjach Tynianowowskiej w Rzeczycy na Łotwie. W 1991 roku habilitował się w Instytucie Sztuki Filmowej na podstawie rozprawy Проблема интертекстуальности в кинематографе. W latach 1991–1992 przenosi się do Instytutu Filozofii Rosyjskiej Akademii Nauk i zostaje współpracownikiem postmodernistycznego filozofa Walerija Podorogi. Od 1992 roku jest profesorem Uniwersytetu Nowojorskiego. Opublikował ponad 20 książek z zakresu filmoznawstwa, semiotyki kultury, historii reprezentacji i fenomenologii obrazu. Najważniejsze z nich to: Память Тиресия. Интертекстуальность и кинематограф (1993), Демон и лабиринт. Диаграммы, деформации, мимезис (1996), Наблюдатель. Очерки истории видения (2000, 2012), Язык – тело – случай. Кинематограф и поиски смысла (2004), Пространственная история. Три текста об истории (2013), Без будущего. Культура и время (2918), Изображение. Курс лекций (2019).

Książka Ткач и визионер. Очерки истории репрезентации, или О материальном и идеальном в культуре (Moskwa 2007) jest, jak wskazuje jej tytuł, fragmentaryczną historią reprezentacji w kulturze i sztuce europejskiej. Pojęcie reprezentacji jest niedawnej proweniencji, które w ostatnich paru dekadach zrobiło wielką karierę, zastępując wcześniej używany termin „przedstawienie", wywodzący się z Arystotelesowskiej kategorii mimesis, rozumianej jako „naśladowcze przedstawienie rzeczywistości" w literaturze i sztuce. U Michaiła Jampolskiego to kluczowe pojęcie jest określane następująco:

Klasyczna reprezentacja to szczególna forma przedstawienia rzeczywistości. Jest ona ufundowana na zastąpieniu pewnego obiektu jego iluzorycznym obrazem. Nieobecność przedstawianego obiektu zastępuje się w niej iluzją obecności. Przy tym iluzja nigdy nie osiąga takiej intensywności, żeby dosłownie oszukać widza lub czytelnika. Iluzja prawie zawsze nie ukrywa tego, że nie posiada prawdziwego bytu. (…) Reprezentacja lokuje się pomiędzy realnością i światem idei platońskich. Dlatego jej sferą jest wyobraźnia.

Zdaniem autora idea reprezentacji pojawia się w okresie odrodzenia, kiedy to akcent przenosi się ze sztuki, rozumianej jako techne, na osobę artysty obdarzonego wyjątkowymi zdolnościami „widzenia" przedmiotów wewnętrznym okiem wyobraźni. Tej problematyce poświęcona jest pierwsza część książki. Bohaterem drugiej części książki jest miasto i jego reprezentacje, przy czym uwaga autora skupia się na Petersburgu, tym wyjątkowym mieście w historii Rosji w przeciwstawieniu do innego wyjątkowego miasta, jakim jest Rzym – Roma aeterna. Trzecia część traktuje o portrecie i ikonie z nawiązaniem do prawosławnej teologii ikony i jej roli w duchowej kulturze rosyjskiej. Ikona z jej poetyką jest stałym punktem odniesienia w krytyce „świeckiego" wizjonerstwa. Publikowany w tym numerze fragment pochodzi z tej ostatniej części, gdzie stanowi jej centrum.

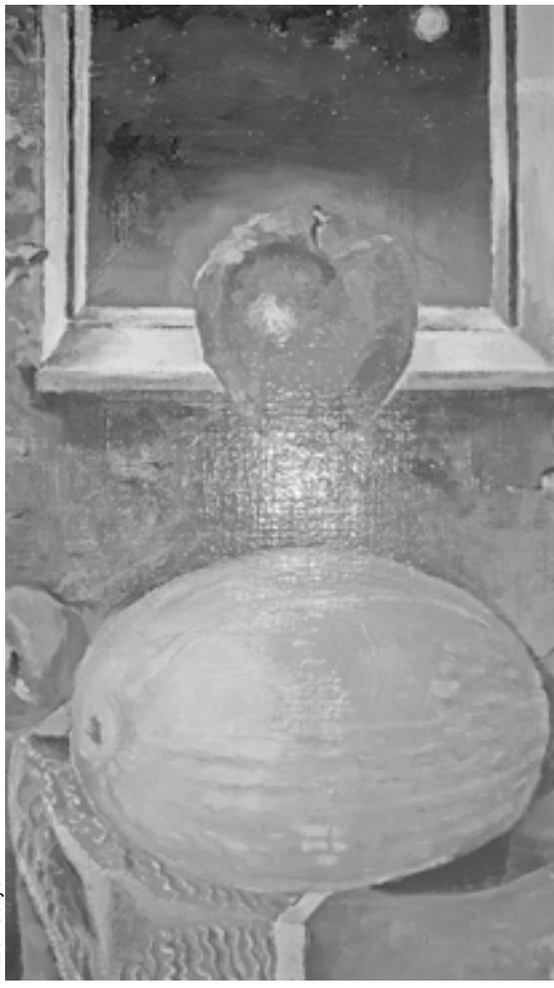

Marek Sołtysik

Filip Bednarz

Odejmowanie

odjęło mi mowę
na widok twych ust
wypowiadających
zakazane słowa
odjęło mi wzrok
gdy przypadkiem
ujrzałem twą
udawaną troskę
odjęło mi słuch
czule opatuliłeś
go kłamstwem
odjęło mi rozum
kiedy tylko
zobaczyłem że nie
jestem jedyną różnicą
twoich działań

gdybym

mógł poznać kimono
uczuć zrzucone podczas
tańca piekielnego w
rytm nienawiści
gdybym mógł dotknąć
twych spierzchniętych
ust balsamem
codziennych
namiętności gdybym
mógł spojrzeć ci w oczy
– z pewnością gdybym
mógł pisałbym to
w czasie przeszłym

Scena życie

nieudolne próby
setki scenariuszy
scenografia
wystarczy reżyser
był kiepski aktorem
byłem ja z
przypadku z
powołania
próbowałem
wydobyć z siebie
sztukę
wypowiadałem setki
niezrozumiałych
słów wykonywałem
nic nie znaczące
gesty patrzyłem na
widownię której nie
miałem teraz muszę
umrzeć z miłości do
przypadkowych
ludzi

Wezwanie

kolejny list
napisany trudnym
językiem
bełkotliwego
(bez)praw(i)a
otwieram z
niepokojem radością
mordercy oczekuję
rozgrzeszenia
przebaczenia nie
oczerniania czytam
niedowierzając
własnym oczom
o kim tu piszą nie
znajduję
winnego widzę
oskarżającego
pieczęć podpis
nic nie warte
poczekam na pana
przeprowadzi
wywiad bez
obecności kamer – j
a niewinny to świat
jest zły

I po co ta Warszawa?

przeprowadziłem się do
Warszawy miasta krwi
miliona marnych istnień
gdzie getto stało się symbolem
walki nie niewoli gdzie z kawą
dostaniemy pączka gratis gdzie
człowiek pnie się na szczyt
wieżowca by usiąść w swym
boxie gdzie pańcia wsiura nie
dotknie gdzie ja wciąż
zagubiony pośród kart historii i
krętych ulic zakamarków
umysłu stoję ja zgubiony
szukając twej woni zgubionych
kluczy zgubionych myśli
zastanawiam się

wyprowadziłem się z
warszawy nadal nie
odnalazłem drogi swego
umysłu płaczę jedynie
nad rozsypanym
blaskiem skruszonych
pereł

Bez dwóch słów

umierałem
nieświadomością struty
własna głupotą ratuję
się zniszczeniem byłem
wczorajszym jutrem
uderzając pięściami
krzycząc do
przypadkowych
przechodniów próbuję
wrócić do czasu do
twej ery do twych
ramion usłanych
bukietem mych
kłujących słów

Krzysztof Szymoniak

trzy poematy oda oraz inne bajki

Prolog

chodzą przystojni chłopcy
i zapładniają
czasem coś wypiją
pobiją się czasem
i żyją

chodzą śliczne dziewczyny
i pchają wózki
czasem gdzieś popłaczą
obudzą się czasem
i tyją

a świat zajęty sobą
gna przed siebie i się nie dziwi
czasem tylko warknie:
o co wam kurwa chodzi
tak się rodzą i cierpią
ludzie prawdziwi

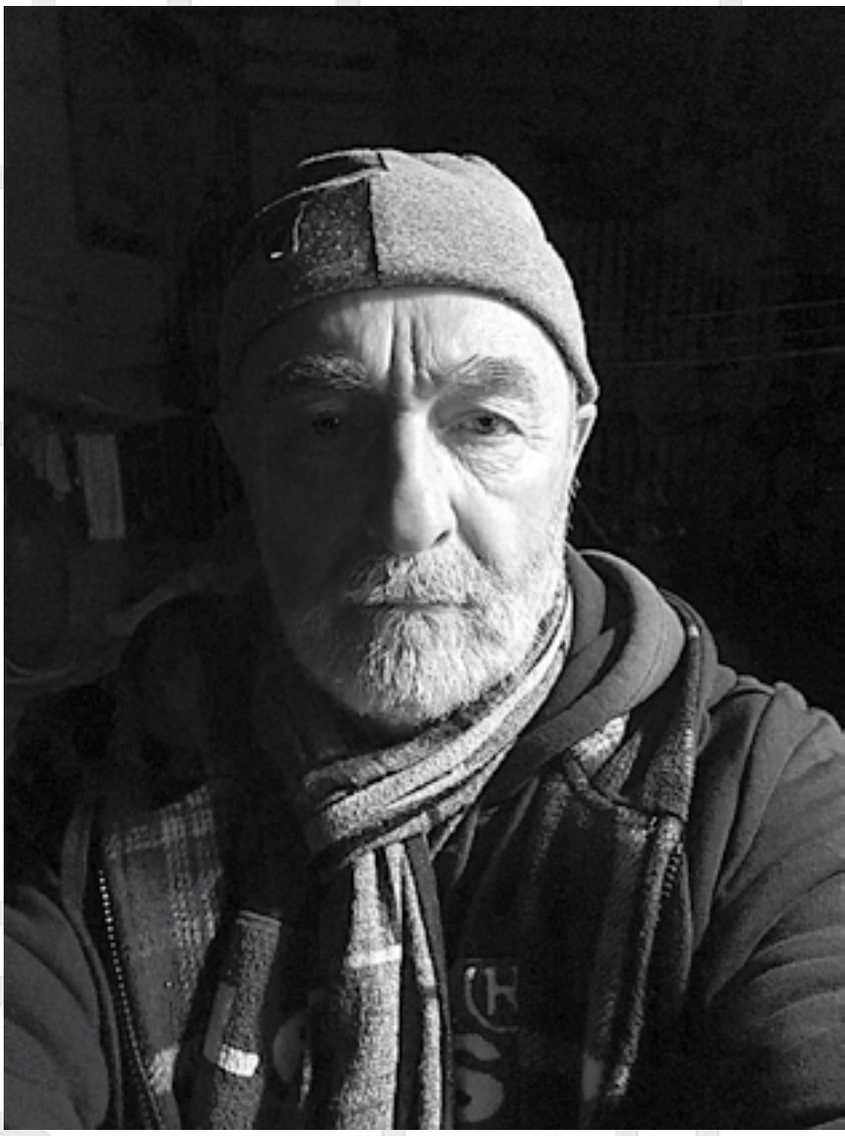

100 % niespełnienia

patrząc na twoje pośladki
wszystko rozumiem
jestem przecież oczytany
i świadom
ale to nie zmienia faktu
że gdy odchodzisz
moje zmysły ogłaszają żałobę
proszą o powstanie
i minutę ciszy

twoje pośladki
są jak wiersze amerykańskich
poetów
jest w nich cała prawda
o akcie stworzenia
walka światła z ciemnością
i lapidarność
policyjnych raportów

Oda do fiata 126p

(przypomnienie z roku 1997)

jadę
to znaczy
przebijam się nocą
przez mrok deszcz i wiatr
trzymam kierownicę z uporem maniaka
auto nazywa się fiat 126p
PWR 8039
w sumie to kochany pojazd
od paru lat dostarcza mnie wszędzie
jest niezawodny
niczym żona po trzech porodach
której nie znudziła się rodzina
i mąż sterany harówą
w zadymionej hucie
(odpala nawet przy
piętnastostopniowym mrozie)
tak fiaciku królu polskich szos
od paru lat
(nie mając innego wyjścia)
żyję dla pracy
ale to nie twoja wina
ty jesteś dzielny niczym osiołek
uwożący do Egiptu Maryję z dzieciątkiem
niczym szalupa pod żaglem sztormowym
dająca nadzieję zmarzniętym rozbitkom
i dlatego rdzewiejemy razem
być może i karierę swą
(każdy swoją)
zakończymy razem
w czymś co policyjne kroniki
nazywają faktem
nadzwyczajnym
a to sprowadza się do trupa i
garści pogiętego żelastwa

jadę
przede mną deszczowa i wietrzna noc
prowadzę cię fiacie oślepiony zmęczony
i pewien że
w takich warunkach
na koślawych fałdach jezdni każda mijanka
z TIR-em to niemal wyrok śmierci
a już na pewno zderzenie ze ścianą wody
nie daj Bóg
w tym momencie awarii wycieraczek
lub sflaczałej gumy na feldze...
ale ty fiaciku nie zawodzisz
przedzierasz się przez dżunglę zalanych wodą
kolein z uporem godnym terenowej toyoty
twoje dwa spracowane gary
bez jęków połykają zakręty podjazdy krzyżówki
wiozą moje ciało
(i mnie)
do miejsca w którym każdy z nas
(ja ty i on)
otrzyma parę godzin wytchnienia

jadę
trasa Poznań-Krotoszyn-Ostrów-Gniezno
od początku do końca deszcz wiatr ciemność
zdziczałe ciężarówki
nie przebierają w środkach pędząc z tonami
towarów na plecach
dla nich ja i mój fiat 126p
miotający się jak tratwa na wyjącej fali
szarpany marcową wichurą
i spychany do rowu
podmuchami oświetlonych fantazyjnie mastodontów
jest nędzną blaszanką
(niczym kopnięta w krzaki puszka po piwie)
która z niewiadomych powodów gna przed siebie
wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi
a nawet pędzi ku sprawom
które nie mieszczą się w głowie
kierowcom mocarnych dwuśladów
ty jednak fiaciku nie załamujesz rąk
po prostu robisz swoje
robisz to co potrafisz najlepiej
sącząc 94 oktany
jesteś jak indiański
(lub mongolski) konik któremu nie groźne pampasy
i stepy który gdy trzeba sam dowiezie do domu
jeźdźca omdlałego ze zmęczenia i głodu

jadę
choć to nie są żarty bo
na wąskiej jednopasmówce
gdy wiatr deszcz i noc
gdy trzymam zdrętwiałe ręce na sterze
śmierć pojawia się za plecami
niczym piekielny anioł stróż
(widzę ją w lusterku)
podśpiewując znane melodie udaje
turystę któremu nigdzie się nie spieszy
bo dla niej wynik tej walki jest z góry
przesądzony
cała reszta to tylko kwestia czasu
i kwestia szczęścia
(lub jego braku)
a kiedy już nadchodzi ta chwila rozlega się
(miły jej sercu)
łoskot zgniatanego żelastwa
i jakiś krzyk wypruwanych flaków
głowa w tym czasie zmienia się
w krwawą miazgę

jadę
ale dusza w oparach benzyny
już ulatuje ku nicości
ku światom które nijak się mają do mitów
i legend z kultowych książek Kerouaca
easy rider za kierownicą „malucha"
jest po prostu śmiesznym dupkiem skazanym
na zagładę na własne zresztą życzenie
zwłaszcza gdy w jedną noc robi 320 kilometrów
pod wiatr z ulewą i TIR-ami w zawody

jadę
ale wiem że ktoś taki jak ja
prędzej czy później musi marnie zginąć
wszystko jest tylko kwestią czasu i kwestią
szczęścia lub jego braku
(a kwestia smaku nie ma tu nic do rzeczy)
w razie czego fiaciku
gdy już (w ramach braku szczęścia)
trafisz do składnicy złomu (a ja do dołu)
opowiesz towarzyszom niedoli
o naszej wspólnej walce z żywiołem któremu
na imię:
gówniana (pełna dziur i pułapek) droga asfaltowa
czyli... najkrótsza droga na cmentarz
- -
[a wszystko to dla kobiety
która w połowie opisanej tu drogi siedzi
w cichym mieszkaniu na dużej kanapie
i... nie ma ochoty]

Marek Sołtysik

Marek Jagliński

„ZAMACH NA SZATANA”

Zaraz po porannej pobudce, kiedy już wszystkie anioły wyczesały skrzydła i wypolerowały swoje aureole , Bóg zwołał Anielskie Biuro Polityczne. W jego skład wchodziło dwunastu apostołów i siedmiu świętych z najdłuższym niebiańskim stażem.

Obrady rozpoczęto od wspólnej modlitwy, po czym każdy z nich złożył tajną przysięgę na wierność , kładąc oba skrzydła na Wielkiej Księdze Przeznaczenia i wypowiadając przy tym mistyczne zaklęcie. Kiedy wszyscy dokonali już tego misterium, głos zabrał sam stwórca. Przemówił ciepłym , acz zdecydowanym głosem, iż najwyższy czas, aby wybrać z tego zacnego grona jednego , który dokona ostatecznego unicestwienia Pana ciemności. Plan Boga, był genialnie prosty, a sensem jego był skuteczny zamach na samego szatana. Wybrany śmiałek miał narodzić się w człowieczej postaci noworodka. Następnie tak narozrabiać na ziemi , aby żaden z diabłów nie domyślił się, że ów jest tajnym zamachowcem. Następnie , gdy jego ziemskie życie dobiegłoby końca , bez problemów przekroczyłby piekielne wrota, aby wykonać wyrok śmierci. Do tej tajnej i odpowiedzialnej misji wybrano ministra spraw zagranicznych. Prowadził on od początku świata negocjacje z piekłem i wciąż były one łamane jednostronnie przez diabełki. Miał więc osobiste porachunki, które dopingowały go, aby z powierzonej misji wywiązać się szybko i skutecznie.. Do wykonania wyroku, by był humanitarny i bezbolesny, otrzymał kieszonkowy dematerializator biologiczny. Aby go skutecznie użyć , należało znaleźć się w odległości około 50 metrów od wybranego , żywego celu i nacisnąć spust, wypowiadając przy tej czynności słowo „Amen”. Teraz już tylko należało zrealizować zamierzenie. W tym celu wybrano ciało męskiego noworodka, który już jutro miał opuścić matczyne łono. Zamachowiec teleportował w nie swoją osobowość wraz z ukrytym w duszy dematerializatorem. Nazajutrz, był już mieszkańcem planety zwanej ziemią. W kilka miesięcy później, odbył się z wielką pompą jego chrzest w parafialnym kościele na którym to obrzędzie otrzymał imię. Było ono tak pospolite, iż mógł w młodych latach swojego życia, gryźć, kopać i pluć na wszystko do woli, co nie wzbudzało jego aprobaty. Z wiekiem jednak jego grzeszki nabierały coraz większego kalibru i piekielne bramy zaczęły stawać przed nim otworem. Wreszcie przyszedł moment, kiedy musiał się już pożegnać z ty światem. Zamknęło się za nim z wielkim hukiem ziemskie życie. Wpadł w wielką czerwoną dziurę, w którą wsysały go jęki i krzyki potępieńców. Wreszcie, po długim spadaniu w dół z wielkim bólem wylądował na dnie piekła. Rozejrzał się wokół bardzo uważnie. Zauważył, że po prawej stronie znajduje się Ucho Igielne, po lewej zaś Madejowe Łoże, a na wprost ogromnych rozmiarów basen wypełniony po brzegi ludzkimi ekstrementami. Olbrzymia siła wepchnęła go w ów zbiornik. Nurkował w nim, by na moment wypłynąć i zaczerpnąć przesiąkniętego siarką powietrza. W końcu udało mu się przepłynąć na drugi brzeg i wygramolić na suchy ląd. Stał teraz oślizgły i cuchnący przed wielkim wężem kusicielem. W tym samym czasie zgraja rachitycznych i obrzydliwych diabłów , wyrywała mu z piersi duszę. Ostatkiem dobroci dobył z porozrywanej na strzępy duszy dematerializator. Wycelował w węża i wymówił umówione słowo. Płaz począł się kurczyć, przybierając przy tym najbardziej podstępne kształty. Ostatnim z nich, było prawdziwe oblicze szatana. Po chwili pozostała po nim mała kupka zła, lecz i ona została wkrótce zdematerializowana, pozostawiając po sobie tylko puste miejsce. Zamachowiec natomiast , ostatnim wysiłkiem woli wyteleportował się w niebiańskie przestworza, wprost w dobrotliwe objęcia Boga. Od tego momentu , zaś wszystkie myślące, ziemskie istoty żyły po wsze czasy w zgodzie i harmonii.

Marek Jagliński

Marek Sołtysik

Lesia Stepowyczka

WOJNA I MIŁOŚĆ

PROROCTWO

Światem zawładnął jeden maniak.
Kim ona jest ta dzika istota?
Stoi z granatem ten makak
i w naszą stronę patrzy tępota.

Teraz hołdujesz swej odwadze
w podziemnym bunkrze swym!
A wkrótce będziesz w Hadze
przed ludźmi i Bogiem, sądzony z win!

Swoje podłe siedemdziesięciolecie
byś obchodził gdzie wrzący krater!
Płonąć ci w piekle wiecznie
za rozpacz naszych matek!

UCHODŹCZYNI

Nigdy nie sądziłem
że będę mogła zasnąć
na składanym łóżku w dużej hali sportowej
wśród pięćdziesięciu takich składanych łóżek,
skrzypiących, chrapiących i płaczących.

I że w nocy przyśni mi się Paganini.

A rano będę zadowolona
z zupy ogórkowej z garnka Caritas,
i walizka posłuży mi
jako stół, krzesło i pulpit.

Nigdy nie sądziłem,
że moje skrzypce będą tak tęsknić
w obcym kraju za sąsiadem fagotem,
z którym nie pożegnaliśmy się,
uciekając przed pociskami orków nad Filharmonią.

Nigdy nie sądziłem,
że łagodny powiew Ogrodu Saskiego*,
schodzący z drzew, rozplącze mi warkocz,
gdy przyjdę tu trochę pog a smyczek zadziwi się,
że przechodnie wrzucą mi złotówki prosto w zasłonę…

*Ogród Saski - Park w Lublinie

Portret poetki ukraińskiej Lesi Stepowyczki wyk. Zbyszek Kresowaty

* * *

Posadziłeś mnie na igle
uczyniłeś mnie narkomanką
twoje listy to jak narkotyki
bez których nie mogę istnieć

podaj szybko dawkę
wstrzyknij mi do żyły
twoje słowo
gdzie trochę łaski

* * *

Czytasz w moim sercu
jak Freud – senne marzenia swoich pacjentów
rozdzierasz moją duszę
jak Rostropowicz swoją wiolonczelę

Tłumaczenie wierszy z języka ukraińskiego - Tadeusz Karabowicz

SIERPOWO – TU BYŁ RAJ WSPOMNIENIA

Mirosława Gąsiorowska

Pociąg ruszył. I znów za oknem zalesione zielone okolice, poprzecinane polami i drogami. Wiosna przyszła tu wcześniej, niż do nas na północ. Mijamy wnioski i miasteczka i to bardzo szybko, bo to pociąg pospieszny. Trasa dalsza, ale teraz jesteśmy na odcinku Kościan–Leszno. Trasa jak trasa, ale nie jest to zwykła trasa. Nie chcę by ten pociąg tak szybko mknął, a on pędzi coraz szybciej. Serce kołacze też coraz bardziej niecierpliwie. A ja chcę po prostu wszystko dokładnie zobaczyć, prawie dotknąć. Tak, to ta droga, droga do dawnego raju. Zamieniam się w jedno wielkie oko. Jest już bardzo blisko. Patrzę i patrzę. Jest. Jest już napis na drodze – oczekiwana nazwa mojego dawnego raju: Sierpowo. Te znane domy, zagrody i wreszcie szkoła. Moja, nasza szkoła. Przecież tu się wszystko zaczęło. Początek mojego życia i tyle potem darowanych dni. Czuję bicie serca i radość że to widzę, ale i smutek, że ten widok z pędem pociągu tak szybko minął, że to był tylko moment i że go już nie ma.

Znów pola, lasy, łąki i drogi do innych wiosek, też mi znanych. Tu było moje szczęśliwe dzieciństwo w tych spokojnych okolicach z falującym zbożem na polach, rozległymi lasami i ukwieconymi łąkami. To zostało w pamięci mimo upływu tylu lat. Sierpowo to tylko wioska, ale dla mnie, na zawsze już, mój dawny raj. Tak to wspominam i tak to czuję. A jeśli raj, to wiadomo. Musiało być dobrze, nawet wspaniale, właśnie rajsko i bezpiecznie. Jak mogło być inaczej w pięknym otoczeniu przy kochających i pełnych życia moich troskliwych Rodzicach? To oni sprawili, że mógł to być raj na ziemi. (…)

Sierpowo

(…) Pamiętam je jako rozległą wieś o niewielu ulicach. Przebiegała [przez nią] droga prowadząca do 3 km oddalonego Starego Bojanowa, a w drugą stronę do Górki Duchownej. Na poprzecznej drodze, blisko przejazdu kolejowego, było kilka gospodarstw i szkoła. Przeciwne odgałęzienie biegło przez całą wieś, mijając rzeczkę Samicę, aż do lasu. Dalsza droga przez las prowadziła do Śmigla. Okolice wsi kojarzą mi się właśnie z lasami, ale też z przestronnymi łąkami i polami. Pamiętam też z nazwiska wiele osób zamieszkujących wtedy tę wieś. Byli wśród nich Polacy i Niemcy. Żyli zgodnie, ci bogatsi i ci biedni, nieraz nawet bardzo biedni. Status ludności był różny, ale pomagali sobie nawzajem i spotykali się w wiejskiej gospodzie u pana Kasperka. Rodzice umieli się ze wszystkimi porozumieć i cieszyli się wielkim szacunkiem. Starania Rodziców szanowali wszyscy i doceniali, a jak trzeba było pomóc, pomagali, a nawet się prześcigali w różnych uprzejmościach.

Pan nauczyciel [– czyli mój Ojciec] był ważną osobą dla całej społeczności wiejskiej. Był obecny w codziennym życiu wsi, dla każdego miał dobre słowo, a jak było trzeba, dobrą radę. Organizował życie kulturalne młodszych i starszych. Częste były przedstawienia z różnych okazji w wykonaniu dzieci, spotkania towarzyskie i potańcówki. Powstał chór „Lutnia", który zasilali młodzi z okolicy i wkrótce dyrygent (oczywiście mój Ojciec) i wykonawcy zyskali rozgłos i uczestniczyli w konkursach powiatowych i otrzymywali pochwały i różne nagrody. Piękny obraz „Przysięga Kościuszki na Rynku Krakowskim", kopia dzieła Wojciecha Kossaka, otrzymany w nagrodę do dziś zdobi mieszkanie mojego syna Romana. Ojciec chętnie wspominał tamte czasy, bo dyrygentura była jego marzeniem. Chwalił też młodzież, która chętnie garnęła się do nauki, życia pozaszkolnego i była wdzięczna za dane jej możliwości. Nie było żadnych większych kłopotów, bo rozwiązaniem ewentualnych incydentów były rozmowy, nigdy groźby. Wszyscy to bardzo cenili. Drugą ważną osobą we wsi był sołtys, pan Ignacy Franek. Był sympatycznym energicznym człowiekiem i poważanym gospodarzem. Z czasem stał się przyjacielem Ojca, z czym wiąże się pewna późniejsza wojenna historia. Pamiętam wiele nazwisk mieszkańców Sierpowa mimo że miałam wtedy niewiele lat. Wymienię co pamiętam Rauhut, Beissert, Dworczak, Skrzypczak, Mikołajczak, Kaczmarek, Noga, Kajoch, Grycz, Błocian, Sieradzki, Kasperek, Włodarczyk czy Urbański. Wrosłam też w sposób wyrażania się i w dialekt wielkopolski, co dziś mnie bawi a nawet śmieszy. Używaliśmy specyficznych określeń np. niski stołek zwany był – ryczka, twaróg – to był gzik, ziemniak – pyra (jadaliśmy nieraz pyry z gzikiem), torebka papierowa – tytka, wiadro – to wemborek, i tak dalej. Smaczna była „szneka z glancem" – dzisiejsza drożdżówka. Można ją było zjadać „chapsami" – czyli kęsami, a w żartach można było kogoś „pogiglać" – czyli połaskotać.

Wydaje mi się, że mówiliśmy czystym językiem, ale wiele z tych słów z pewnością było używanych na co dzień. Trzeba to przyjąć jako normalne, bo w różnych regionach kraju do dziś są w użyciu regionalne języki, nawet często hołubione jako skarb tamtej kultury. Ciekawi mnie, na ile to w Sierpowie się zmieniło. Do wspomnień o wsi należy też cała przyroda, otaczająca szkołę i wieś natura, zieleń i ptaki. Kiwałam podniesioną ręką do wszystkich przelatujących bocianów, a było ich dużo. Gniazd bocianich było co nie miara; do dziś lubię je wypatrywać, np. w drodze do Gołubia. Najciekawszy był moment, gdy pojawiały się młode, po niedługim czasie przyuczane do lotu. Ciekawiły mnie też jaskółki i ich gniazda, których było dużo na zewnątrz i w stodole. Nieraz prognozowaliśmy pogodę według ich zachowania. Ale w tamtych latach dzieciństwa, każda pogoda była dobra. Po deszczu bosymi nogami robiliśmy z błota „masło".

Szkoła i życie w szkole

Była to szkoła jednoklasowa, sądzę że dla młodszych dzieci. Starsze, jeśli podejmowały dalszą naukę, dojeżdżały do Starego Bojanowa lub do Kościana.

To moje miejsce urodzenia. Szkoła była już wtedy dobrze zagospodarowana, po ponad trzyletniej pracy i wysiłku moich Rodziców. Nazywam to szkołą, ale był to dość duży budynek z czerwonej cegły przeznaczony na mieszkanie dla nauczyciela, a klasa zajmowała tylko boczną część budynku od boiska szkolnego. To mieszkanie było moim gniazdkiem po przyjściu na świat. Rodzice życzyli sobie wprawdzie syna, ale urodziła się trzecia córka. Dali jej imię Mirosława, Maria. Moje imię nie podobało mi się w dzieciństwie, ale potem się z nim pogodziłam i zostałam Mirką albo jak wolałam Mirą. Rodzice byli pewnie zawiedzeni, że to nie syn a znów córka. Mimo tego nie dali mi tego odczuć i wiem, że byłam tak samo kochana, jak starsze siostry. Im niestety przybyło więcej obowiązków i często musiały mnie zabawiać, bo według ich opowiadań dużo płakałam. Na szczęście z tego szybko wyrosłam.

Szkoła i jej otoczenie, to był nasz pewny azyl, bezpieczny byt. Tam było to, co nazywałam później rajem. To „moje" Sierpowo, to „moja" szkoła. Od ulicy było wejście główne, po kilku murowanych schodach. Po obu stronach tego wejścia był zewnętrzny ogródek z rabatami kwiatów z furtką prowadzącą z jednej strony na podwórze szkolne, z drugiej do stojącej żeliwnej pompy. Wszędzie wkoło był ogród. Cały płot od strony ulicy porośnięty był gęstym dzikim winem, co było częstym schowkiem podczas zabawy „w chowanego". Również od strony ulicy była brama, którą się otwierało dla przyjeżdżających bryczką w odwiedziny gości. Po obu stronach bramy rosły białe i fioletowe krzewy bzu. Wejście główne to były duże podwójne drzwi z ciężką klamką z głową lwa. Od ulicy budynek miał dwa okna naszej tzw. jadalni, czyli pokoju stołowego, i dwa okna klasy. Na lewej bocznej ścianie były następne dwa okna należące do klasy i na piętrze dwa okna strychu. Po tej stronie rozciągało się wzdłuż naszego ogrodu aż do łączki przed uprawnym polem, podwórze szkolne. Graniczyło ono z prywatnym podwórzem naszego małego gospodarstwa, w którym rej wodziły kury i dorodny kogut. Może z tamtych czasów pochodzi moje upodobanie do kur i kogutów? Przy budzie był duży pies o nazwie Neron. Wydawało mi się zwykle, że jest mało przyjazny, więc unikałam go. Gdy był spuszczony z łańcucha, a działo się to codziennie o odpowiedniej porze, nie wychodziłam z domu, tylko podglądałam go przez okno. Do gospodarskich zabudowań należał kurnik, nieduży chlewik i stodoła. Było tam jakieś siano, nie wiem komu potrzebne, ale jako dzieci wykorzystywaliśmy je, by skacząc z belki w stodole, mieć odpowiednią asekurację. Nie zawsze to się udawało i wtedy była obawa, co Rodzice powiedzą na nasze skaleczenia.

Obok stodoły było wyjście na pole, jedna brama i jedna furtka. Podwórze było okolone krzewami morwy białej i czarnej. →

Piec chlebowy, nieużywany do wypieku służył też do zabawy. Przesiadywało się na nim okrakiem z garściami pełnymi morwy. Piec służył też jako schowek, tak samo jak dzikie wino. Tu był już drugi bok budynku z oknem pokoju klubowego. Rosły tu duże drzewa a wśród nich stała wspomniana już pompa, z której czerpaliśmy wodę. Była chyba czysta i zdrowa, bo piliśmy ją prosto z pompy, przystawiając buzie do wylotu. Służyła też do opryskiwania się w gorące letnie dni. Lubiłam te igraszki a także tę pompę i w późniejszych latach zwiedzając różne miasteczka, także w [dawnym] NRD, albo skanseny, najwięcej zainteresowania okazywałam tym urządzeniom. Kury, pompa – co za zainteresowania! Ha, ha, ha!

Od strony podwórza budynek miał trzy okna. Jedno od kuchni; było przez nie widać nasze prywatne podwórze z dużym drzewem orzecha; dwa od pokoju dziennego i od sypialni Rodziców. Ze wszystkich okien było widać nasze prywatne podwórze. Z obu stron było oddzielone wysokim płotem od pomieszczenia na opał. Było tam dojście dla nas i dla uczniów do ustępów. Tak nazywaliśmy toalety. Dwie lub trzy były dla uczniów, a jedna dla nas. Nie było wtedy na wsi łazienek czy toalet w dzisiejszym wydaniu. Kobieta sprzątająca klasę miała też pieczę nad tymi urządzeniami. Na tamte czasy było to całkiem normalne, ale później opowiadała Mama, że Rodzice cały czas planowali jakieś zmiany i udoskonalenia, które przydałyby się całej rodzinie.

Z podwórza było wejście do kuchni. Była przestronna i połączona drzwiami ze spiżarnią. Oj, jak tam pachniało! Była pełna zapasów na bieżące potrzeby i na zimę. Lodówki przecież nie było. Sklepy daleko, albo w Bojanowie, albo w Śmiglu. Przechowywaniu owoców i warzyw służyła też podobna do pokoju piwnica. Pamiętam półki pełne jabłek odpoczywających na słomie, a pachnących pysznie i zachęcających do sięgania po nie.

Część kuchni była zagospodarowana w roli łazienki, bo osobnej łazienki nie było, ale budowa jej była w planach Ojca. Meble jak to w kuchni, na środku duży stół dla całej rodziny, obok krzesła, pod ścianą duży kredens kuchenny, półki i szafki. W jednym kącie było zawsze ciepło, bo był tam piec na węgiel czy drewno. Potem była kuchenka tzw. angielska. Z kuchni było wyjście do korytarza przy klasie, do piwnicy, na piętro i do głównego wejścia od ulicy, którędy wchodzili uczniowie. Jeszcze inne drzwi prowadziły z kuchni do pokoju dziennego, a stamtąd wchodziło się do sypialni Rodziców. Sypialnia była okazała. Dwa duże małżeńskie łóżka w kolorze orzecha, dwie nocne szafki z blatem z marmuru, duża szafa odzieżowa z lustrem, tzw. umywalka z lustrem i krzesła. Nad łóżkami wisiał duży obraz w złotej ramie, przedstawiający

Chrystusa z dziećmi, pod nazwą „Pozwólcie dziatkom przyjść do mnie". Ten obraz w czasie wojny zaginął.

Jako mały bobas miałam też w sypialni swoje łóżeczko. Potem to się zmieniło. Z pokoju dziennego, gdzie była też maszyna do szycia marki „Singer" wchodziło się do dużej, chłodnej jadalni. Była starannie umeblowana ciemnymi meblami. Na środku stał duży, rozciągany stół z krzesłami obok, duży bufet czterodrzwiowy z rzeźbami, taki sam nieco mniejszy kredens, pianino, obok stojak z nutami, a między oknami duży, stojący i bijący godziny zegar, również rzeźbiony. Było to eleganckie, ale nam dzieciom sprawiało kłopot, bo trzeba było często ścierać z tych mebli kurz, a nie było to łatwe. Mama lubiła sprawdzać czy kurz zniknął ze wszystkich zakamarków, a jak było nie po jej myśli, trzeba było powtórzyć tą robotę. Pamiętam ładne tiulowo–koronkowe długie firany w obu oknach. W narożniku stał wysoki, jasny, kaflowy piec. Na ścianach było kilka obrazów. Jeden z nich „Owoce" zachował się i towarzyszył Ojcu do czasu jego odejścia. Był jeszcze obraz nazywany „Pantofelek" z rysunkiem, wierszem i podpisami kolegów, który ojciec otrzymał w prezencie ślubnym od swoich przyjaciół nauczycieli. Według Mamy, miał przepowiedzieć Jej dominację w przyszłej rodzinie. I pewnie tak było. Tapeta na ścianie ocieplała ten pokój. W tym i w następnym pokoju zwanym „klubowym" wisiały na ścianach mniejsze i duże rogi, prezenty od kolegów myśliwych. Ojciec, jako osoba stroniąca od wszelkiej przemocy, nie polował, ale uczestniczył w spotkaniach po polowaniu.

Marek Sołtysik

Ostatni pokój tzw. klubowy był ciemny i trochę ponury, może to była strona północna. Za oknem rosły duże drzewa i dawały dużo cienia. Trochę się bałam tam wchodząc, bo nad biurkiem wisiał duży, ładnie obramowany obraz, przedstawiający rozpartego w fotelu starca, wpatrującego się w ogień tryskający iskrami w kominku. Starzec był przystojny, zamyślony i trochę groźny. Trzeba było mieć trochę odwagi, by podejść do biurka, w którym kryły się książki, i różne zapiski ojca. Jeszcze nie umiałam czytać, ale to mnie interesowało. Siadałam na dywanie na podłodze, bo tak było najwygodniej i brałam nieraz do rąk encyklopedię zdrowia, bodajże słynnego Arcta, odchylałam okładkę, a za nią w pierwszym tomie była cała anatomia kobiety – rozkładana na poszczególne części, także wykresy systemu nerwowego itd. Drugi tom tuż za okładką ukazywał mężczyznę i jego wszystkie wewnętrzne narządy. Można było wyjąć jakiś narząd i się jemu dobrze przyjrzeć. Stamtąd pochodziły pewnie moje pierwsze wiadomości o różnicach między kobietą a mężczyzną. Niejeden raz wracałam do tych grubych tomów, by jeszcze coś ciekawego zobaczyć. A starzec na obrazie, gdyby mógł, pewnie by mi pogroził palcem. Musiałam z nim żyć w przyjaźni. Było tam dużo książek, a ja przeglądałam obrazki. Niektóre tytuły zachowały się do dziś, np. Zebrane Dzieła Mickiewicza, „Kwiaty i kłosy" M. Brodowskiego, „Madagaskar" Kazimierza Lepeckiego, przewodniki „Wielkopolska", „Morze i Pomorze" czy „Geografia Powszechna". Te i inne książkowe zabytki, na nowo oprawione, przechowuje dziś pieczołowicie w swoim domu mój syn Romek, który do tego rodzaju pamiątek przywiązuje wielką wagę.

Swoją nazwę pokój miał od znajdujących się w nim mebli. Stały tam dwa duże klubowe fotele, taka sama kanapa, a w środku okrągły, brązowy drewniany stół na jednej grubej nodze z progiem i czterema rzeźbionymi nóżkami. Stół był przykryty nakryciem – serwetą z frędzlami z tego samego rypsowego wzorzystego materiału co fotele i kanapa. To były solidne, miękkie meble, zrobione na zamówienie w Śmiglu w warsztacie – pracowni pana Reksa, przypadkowo – ojca mojej przyszłej bliskiej koleżanki ze studiów Marysi Reks. Nad kanapą wisiał duży obraz „Przysięga Kościuszki na Rynku Krakowskim", który przetrwał wojnę i ocalał, a teraz, jak już wspomniałam, zdobi ścianę w domu Romka i Luz w Gdyni. Zegar stojący z pokoju stołowego też przetrwał zawieruchy i też jest w Gdyni. Niewiele rzeczy się zachowało, ale kluby z kanapą i stołem służyły moim Rodzicom do samego końca ich życia.

Urządzenie mieszkania było gustowne i wygodne. Piętro też było zagospodarowane. Był obszerny strych z oknami na ogród. Tutaj o różnych porach roku suszyły się zebrane zioła na herbaty i napary. Zbieranie ziół na łąkach i polach było miłym zajęciem, bo rosło ich dużo i nie wymagało to wielkiego wysiłku. Najczęściej zbierałam do koszyczka rumianek, miętę i skrzyp. Wszystko przydawało się, gdy dopadła kogoś choroba czy przeziębienie. Wtedy nie było antybiotyków, a lekarza trzeba było sprowadzać z miasta. Najczęściej Rodzice z chorobami i przeziębieniami radzili sobie sami. Pamiętam, że kilka razy chorowałam na zapalenie ucha i było to bardzo bolesne.

Niedaleko schodów była wędzarnia. Ładnie tam pachniało wędzonką. Za schodami był duży pokój dla nas dziewcząt. Była to nasza sypialnia i pokój zabaw. Ten pokój najbardziej mi się kojarzy z wieczorami kiedy już leżałyśmy w swoich łóżkach, a siostry opowiadały zmyślone bajdy (w które ja niestety wierzyłam) i mnie nimi straszyły. Nie było to dla mnie zbyt przyjemne, czego dowodem jest to, że pamiętam to do dziś. Najmilej było, gdy leżąc spokojnie słuchałyśmy dochodzącej z dołu muzyki w wykonaniu Rodziców. Mama lubiła grać na pianinie, a grała dobrze i z rozmachem. Często przy tym śpiewała. Miała dużo nut, więc repertuar był szeroki. Uczyła się gry na fortepianie w minionych latach i miała szansę na dalsze doskonalenie gry w wyższej szkole w Poznaniu, ale ojciec był temu niechętny, bo wiązałoby się to z dłuższymi wyjazdami. Sam zresztą też zrezygnował z proponowanej mu dalszej nauki. Grał na skrzypcach chętnie i miał dobry słuch. Tak więc od najmłodszych lat przesiąkałyśmy muzyką i później każda z nas lepiej czy gorzej grała na pianinie. Lekcji początkowych udzielała nam Mama i pilnowała abyśmy codziennie zasiadały do ćwiczeń. W Sierpowie uczyły się gry tylko moje siostry, zgodnie z ich wiekiem, ja uczyłam się później. Teraz byłam tylko słuchaczem. Mieszkający blisko Szkoły często prosili, by Rodzice otwierali okna i pozwolili im także słuchać koncertowania.

Klasa w szkole była przystanią edukacyjną dla całej wsi. Prócz regularnej nauki służyła wszystkiemu co było przydatne w nauce. Były tu różne mapy, atlasy i książki, które można było wypożyczać. Ojciec sprowadzał też różne czasopisma i udostępniał je osobom, które chciały je czytać. Wzdłuż ściany stały półki i oszklone gabloty. Za szkłem straszyły różne preparowane węże, robaki, jaszczurki, motyle i nie wiem co jeszcze. Oglądałam to chętnie, ale nie dotykałam.

Z przodu stała na podwyższeniu katedra z krzesłem i tablica. Pamiętam to wszystko dokładnie, bo Ojciec pozwalał mi uczestniczyć w lekcjach, chyba tych najmłodszych uczniów. Siadałam wtedy w pierwszej ławce, obok mojego kolegi z podwórka, Józia Sieradzkiego, mojej pierwszej miłości.

Klasę sprzątała codziennie specjalna pomoc. Była to kobieta ze wsi nazywana Maryna Gutalina. Przezwisko wzięło się stąd, że nosiła zwykle czarne dziurawe pończochy posmarowane dla niepoznaki czarną pastą do butów, chyba nazywaną gutaliną. Nie wiem, czy wiedziała o tym przezwisku. Ale sprzątała pewnie dobrze, bo nieraz pomagała też Mamie w pracach domowych i w ogrodzie, gdzie zawsze było coś do zrobienia. Wieczorami klasa była nieczynna, bo nie było jeszcze odpowiedniego oświetlenia. Lampa naftowa i świece – to było – nie wiem czy wystarczające oświetlenie, ale takie były realia i nikt nie narzekał. Bajki można było wieczorami opowiadać po ciemku lub przy świecy. Baba Jaga i wilk co połknął babcię w półmroku byli wtedy groźniejsi i bardziej niebezpieczni. Nieraz wtulona w ramiona Mamy cicho płakałam, a jak było małe odstępstwo od treści, protestowałam i żądałam poprawki.

Pogodne wieczory spędzało się często w ogrodzie, lub w ogrodowej altanie. A ogród był wzorcowym dziełem całej rodziny i dorywczej pomocy znajomych bliżej sąsiadów. Wchodziło się do niego z podwórza szkolnego przez dużą żelazną furtkę. I tu zaczynał się raj. Byłam jeszcze mała i wszystko było dla mnie wielkie i ogromne. Rosły tu duże drzewa owocowe, jabłka, gruszki, wiśnie i śliwy różnego rodzaju. Drzewa zastali Rodzice już w ogrodzie, ale zasadzili wzdłuż wielu pielęgnowanych ścieżek dziesiątki krzaków owocowych, mówiło się, że jest ich w sumie sto. Nie liczyłam tego. Były też maliny, a wzdłuż płotu jeżyny. Było też pole truskawek. Za warzywną częścią ogrodu było małe poletko z ziemniakami, czyli pyrami. Część ogrodu zajmowała pasieka pszczół, z 24 rojami, a 12 ulami. Ojciec był zapalonym pszczelarzem i czytał dużo na ten temat. W biurku miał specjalne miejsce na książki Gustava Metterlincka, który – jak wiadomo – był specjalistą w tej dziedzinie. Miodu było w domu zawsze dużo i o każdej porze roku. W kredensie w największym pokoju stały duże kamienne garnki z zapasami na całą zimę. Mama posyłała mnie nieraz z miseczką i łyżką do tego kredensu, więc wydłubywałam stężały miód, choć z trudem, i zanosiłam do kuchni. Mama była przebiegła i przypuszczała, że sobie przy tej okazji podjem, a to miało służyć zdrowiu. Tak też robiłam. Później mówiłam, że jestem wychowana na miodzie i kiszonej kapuście. A kisiliśmy ją co roku. Dorośli kroili ją i wsypywali do beczki, a mnie pozwolono ją ubijać gołymi stopami. Przechowywaliśmy ją w piwnicy, gdzie panowała odpowiednia temperatura. Kapusta kiszona często wędrowała na górę do kuchni. Smaczna była zupa kartoflanka z majerankiem i miseczką kapusty. Nawet dziś mi to smakuje.

Miód i kapusta kiszona – zdrowe i smaczne produkty. Ale warto też wspomnieć o chlebie, o wiejskim chlebie. Ten smak wiejskiego chleba już się nie powtórzy. Jego zapach niósł się, gdy piekarz podjeżdżał swoim wozem podobnym do dużego kiosku i niósł cały zapas do kuchni. Nieraz udało się zaraz ugryźć kawałek lub odłupać piętkę, którą chrupało się ze smakiem i przyjemnością. Do tego nie trzeba było ani masła, ani miodu.

Miodu było dużo, bo okolica była miododajna. Starczyło go też dla chętnych sąsiadów. Przy pasiece pracował tylko Ojciec, ale przy wybieraniu miodu, przy odsklepianiu ramek i uzyskiwaniu nektaru za pomocą miodarki z korbą, pracowaliśmy wspólnie. Pszczół bałam się (i do dziś mi to zostało) okropnie, bo zdarzało się, że mnie goniły i dopadały. Szczególnie podobały im się moje gęste włosy. Przeraźliwie wtedy krzyczałam, a Mama ratowała głowę, przykładając okład z octem. Czy siostry się tak samo bały, nie wiem, bo pomagały dzielnie. Całe wyposażenie pasieki, ule i ramki wykonał Ojciec samodzielnie w swoim małym warsztacie stolarskim obok podwórza szkolnego. Każdy ul miał inny pastelowy kolor, więc pasieka prezentowała się ładnie. W ogrodzie był jeszcze mały wymurowany stawek, gdzie pływały jakieś małe rybki. Później stawek zamienił się w klomb.

Ten ogród z urozmaiconymi drzewami, krzewami i roślinami był częstym miejscem naszych zabaw. Bawiliśmy się w chowanego, a najchętniej wdrapywaliśmy się na wybrane sobie ulubione drzewa, by sobie oglądać nasz świat z góry. Moje drzewo jabłoń – było rosochate i udawało mi się wdrapać trochę wyżej, ale i to było często powodem ukrywania przed Mamą podartej sukienki. Z sąsiedztwa, przez płot najczęściej, przychodził wspomniany już klasowy kolega Józiu Sieradzki i zabawiał się z nami w to, co akurat było dla nas aktualne, najczęściej wymyślone przez siostry. Najczęściej była z nami Gizela, bo Genia dojeżdżała już do Kościana do szkoły. Widocznie nie było w naszej szkole odpowiedniej dla niej →

klasy. Co do zabaw, to były one wymyślane na bieżąco wg uznania. Nie przypominam sobie, byśmy prócz lalek i piłek miały jakieś inne zabawki. Ale to nie był żaden problem. Krowami prowadzonymi na sznurkach mogły przecież być grube patyki, a kozami te cieńsze, białe, z gałęzi brzozy. Dla tych „krów i kóz" budowało się z trawy i chrustu chlewy i zagrody. Współzawodnictwo trwało w wychwalaniu się, ile mleka udoiło się dziś z krów, a ile z kozy. Trzeba je było też wypasać na łące, a miejsca w ogrodzie na to było dużo.

Ogród wykorzystywali Rodzice też w wielki czwartek przed Wielkanocą, kiedy to tzw. zając przynosił w gniazdkach kolorowe jajka i smakołyki. Chowali te gniazdka pod krzakami i nieraz trudno było je znaleźć, ale radość była tym większa. Słodyczy na co dzień nie jadałyśmy dużo, więc było to dla nas święto.

Tenże duży ogród wymagał dużo pracy, szczególnie wiosną, gdy trzeba było wszystko uporządkować. Zbiory z krzewów były zwykle obfite. Widzę jeszcze dziś jak siadałyśmy pod krzakami i zrywałyśmy agrest i porzeczki. Zwykle ktoś spoza domu jeszcze pomagał, ale dzieci były na równi zaangażowane. Unikałam zrywania agrestu, bo niezręcznie i kłująco mi to wychodziło. Myślę, że byłam jako najmłodsza traktowana ulgowo. Lubiłam podlewanie i asystowałam chętnie Ojcu w nawożeniu krzewów. Dziwi mnie to dziś, bo był to nawóz naturalny i zapach nie musiał być przyjemny. Ogród i praca konieczna do jego utrzymania zajmowała mojej rodzinie dużo czasu we wszystkich porach roku, prócz zimy. Przed zimą zabezpieczał Ojciec odpowiednio ule, by pszczoły mogły przetrwać, a zimą je dokarmiał.

Najszczęśliwsze lata

Życie codzienne było poukładane, proste, ale jednocześnie urozmaicone. Każdy wiedział co do niego należy. Mama dbała o dom i dzieci, uczyła także dzieci wiejskie haftować i szydełkować. Nas też tego uczyła. Moje starsze siostry były sprawne w pracach ręcznych, co im się przydało w dorosłym życiu.

Mama dbała bardzo o porządek. Od nas też tego wymagała. Na półkach, w szufladach czy w szafie, musiało wszystko być ładnie poukładane. Rzeczy z siebie zdjęte przed spaniem też musiały ułożone leżeć na krześle, a co brudne lub poplamione było odnoszone do kosza. Te porządki weszły nam w krew i muszę przyznać, że do dziś są u mnie stosowane . To niezły nawyk, bo ułatwia codzienne życie.

Obiady jadaliśmy razem, przy stole kuchennym. Najczęściej były trzy dania, w tym obowiązkowy deser. W każdej chwili można też było sięgać po owoce. Pamiętam kolorową miskę pełną winogron. Rosły one na całej ścianie między oknami klasy i pięły się wysoko w górę. Do zrywania była potrzebna drabina, bo wysoko rosnące były najlepsze, najsłodsze. Gdy Rodzice wyjeżdżali do rodziny do Śmigla lub do znajomych, zabierali na rower pokaźny koszyk pełen świeżych owoców. Przyjeżdżali też nieraz goście, służbowo i prywatnie. Służbowo, to odbywające się u nas konferencje z udziałem okolicznych nauczycieli; jeden z nich, jak mi się wydaje, szczególnie mnie lubił. Wydaje mi się, że nazywał się Olszewski, podobnie jak wieś, Olszewo. Mama przygotowywała na dzień spotkania specjalny obiad, który wszyscy jedli w naszej jadalni. Dziś nazwano by ją salonem. Piękna zastawa i smaczny obiad okraszony czerwonym winem., podobały się i zapowiadało następne spotkanie. Dzieci szkolne przygotowywały się też do takiej konferencji, recytowały wiersze zebranym, lub przedstawiały jakieś scenki. Gdy Rodzice z gośćmi zasiadali w szkolnych ławkach, by w tym uczestniczyć, my wszystkie trzy dziewczyny, zakradałyśmy się do pokoju jadalnego i wypijałyśmy resztki wina z kieliszków. Nie było tego wiele, ale sam fakt wywoływał u nas podniecenie, i nam smakowało. Nie wiem, czy nas na tym przyłapano, bo nie pamiętam skutków. Przyjezdni nauczyciele oglądali też ogród, a nieraz chodzili z Rodzicami do pobliskiego lasku, lub większego lasu. Zwykle przesiadywali u nas do wieczora, więc był jeszcze czas na muzykę. Mamę nie trzeba było zmuszać, by zasiadła przy pianinie, a i skrzypce miały swój udział.

Mama grała prawie codziennie na pianinie, wtedy i w całej swojej przyszłości. Repertuar miała szeroki, bo miała całe albumy nut utworów polskich i niemieckich, z muzyką poważniejszą i lekką, także kabaretową, z dowcipnymi tekstami. Podśpiewywała nieraz przy graniu i wtedy było naprawdę wesoło.

Wcześnie nauczyła grać starsze córki, między innymi kolędy i w Wigilię i Święta Bożego Narodzenia, nazywane w Wielkopolsce „Gwiazdką" zastępowały one Mamę przy pianinie. Miała wtedy więcej czasu na dopatrzenie tego, czego oczekiwaliśmy. W kącie pokoju jadalnego na podłodze stała bardzo wysoka choinka. Jako dekorację przygotowywało się przed świętami wystrój z kolorowego papieru, łańcuchy, gwiazdki, dużą gwiazdę na sam czubek choinki i bałwanki. Do tego należała lameta, cukierki, małe jabłuszka i pierniczki. Nie pamiętam byśmy kupowali jakieś bombki. Pierniki i makowiec były też pieczone w domu w piekarniku, który nazywaliśmy „framugą". Świąteczne posiłki jadaliśmy w jadalni przy pachnącej choince, na której paliły się zwykłe choinkowe świeczki w różnych kolorach. Miały one specjalne uchwyty, które przypinało się do gałązek choinki. W Wigilię odwiedzał nas nie Mikołaj, tylko Gwiazdor. Przebierańcy pochodzili z sąsiedztwa. Gwiazdor zwykle miał za zadanie nas wypytywać o nasze sprawowanie, pouczać i nawet grozić swoim patykiem. Przynosił też prezenty, ale o ile pamiętam, nie były to duże niespodzianki. Przeważnie były to rzeczy praktyczne, szyte czy wydziergane przez Mamę, skarpety, szale, czapki lub rękawiczki. Może był to rok 1938, kiedy dostałyśmy zrobiony przez Ojca pokój dla lalek, z ładnymi atłasem wybitymi mebelkami. Była tam kanapa, dwa fotele i okrągły stół, oraz oświetlenie z żarówki. W fotelach siedziały dwie małe, uśmiechnięte, z różowymi policzkami laleczki, a na kanapie taka sama laleczka, ale czarna. Siostry wybrały sobie te białe, a mnie przypadła w udziale ta czarna. Podobała mi się, bo była chyba najładniej ubrana, ale siostry się ze mnie śmiały, a może raczej z tej lalki. Wołały potem za mną „Murzynek", a ja oczywiście płakałam. Święta Wielkanocne też były pachnące. Nie pachniały świerkiem, ani piernikami, tylko wędzonkami i białą kiełbasą. Pamiętam ten stół w jadalni, długi, rozciągnięty do końca, pełen pachnących przysmaków wielkanocnych. Brzeg białej serwety zwisający ze stołu, witał wchodzących napisem „Wesołego Alleluja" wyszytym przez Mamę za pomocą gałązek z bukszpanu. To było piękne i poza Sierpowem nigdzie się już nie powtórzyło. Na śniadanie świąteczne byli przeważnie zapraszani goście. Była to rodzina z pobliskich miejscowości, albo bliżsi przyjaciele rodziny. Pamiętam, że przywieźliśmy kiedyś bryczką, po rannym pobycie w kościele w Górce Duchownej przyjaciół Rodziców pp. Walachowskich i razem ucztowaliśmy. Byli to zasobni posiadacze majątku, a nasi ulubieni goście. Mieli dwójkę dzieci, które chętne były do zabawy z nami. Kościoła nie było w Sierpowie, a oddalona o 2 km wieś Górka Duchowna słynęła z dobrego księdza. Jeździliśmy tam albo szliśmy pieszo co niedzielę. Nie wiem czy także zimą, bo porę zimową pamiętam najmniej. Nieraz były dalsze wyjazdy saniami z końmi. Sankami wyruszaliśmy na pobliską górkę, robiliśmy orły i rzucaliśmy się śnieżkami. Baraszkowaliśmy z Rodzicami na śniegu, ale nie było z powodu mrozów takiej swobody, jak w innych porach roku. Nasz wielki ogród spał zasypany białym puchem i czekał na wiosnę. Wieczory zimowe były pełne bajek i opowiadania lub głośnego czytania. Niewiele można było robić przy słabym oświetleniu. W jednym z pokoi stało radio, zresztą jedyne w całej wsi. Należało do wyposażenia szkoły, ale nieraz zabierał je ojciec z klasy, by rodzinie umilić zimowe wieczory. Pies przy budzie też pewnie czekał na wiosnę, mimo że buda była na zimę specjalnie ocieplana. Gdy wszystko na wiosnę ożywało, raptownie przybywało pracy na podwórzu i w ogrodzie. Wolnego czasu miałam jako najmłodsza najwięcej. Umykałam wtedy z domu do pobliskiego lasku obok którego była linia kolejowa. Pociągi jeździły dość często. Osobowe i towarowe. Według słów Mamy, jeździły tak punktualnie, że można było według nich regulować zegarki.

Był tam, jak na dziecięcy wzrost, wysoki nasyp kolejowy. Wchodziłam na samą górę razem z innymi dziećmi, przykładaliśmy ucho do szyn i nasłuchiwaliśmy, czy już wkrótce nadjedzie pociąg. Do tego się nigdy Rodzicom nie przyznawałam i nie wiem, czy się kiedyś o tym dowiedzieli. Przypomniałam sobie to kilka razy później, gdy w tym miejscu jako pasażerka pociągu na trasie Kościan–Leszno wypatrywałam znanych mi miejsc i tą szkołę, moją szkołę. Wszystko wydawało się bliskie, ale było już inne. C`est la vie! Rodzice nie byli rygorystyczni i niejedne psoty nam wybaczali, ale niebezpieczne igranie z pociągami na pewno by im się nie podobało. Musiałam przestrzegać czasu, dawanego mi na letnią kąpiel w małej rzeczce, tworzącej małe jeziorko za polem sąsiada.

Chodziłam tam ubrana w kąpielówki szyte przez Mamę – ciemnoniebieskie z białymi obwódkami. Towarzyszyła mi zwykle córka tego sąsiada, Niemka Agnes Beissert, czyli Agnieszka. Rozmawiałyśmy po polsku. Chodziła razem z innymi dziećmi do szkoły mojego Ojca. Jej ojciec mówił w obu językach, ale wolał mówić po niemiecku. Liznęłam już wtedy tego języka, i jak przychodził do nas z mlekiem lub masłem wołałam do Mamy: „Mutti, Herr Beissert ist da". Tak samo mówiłam, gdy przychodził pan Rauhut. Mama znała niemiecki z domu i ze szkoły, był on dla niej jakby drugim językiem. Ojciec niechętnie go używał mając pewnie w pamięci swoje czasy szkolne i mówił z wyraźnym polskim akcentem. Język francuski też nie był obcy mojej Mamie, ale ten w Sierpowie nie był jej potrzebny. Książki były u nas stale w obiegu, kupowane dla siebie i dla biblioteki szkolnej. Często były wymieniane z rodziną. Mnie interesował wtedy najbardziej elementarz, bo powoli zaczęłam się uczyć czytać i pisać. Siostry potrafiły już wiele, nie dość że dużo czytały, to organizowały chyba śladem Ojca różne przedstawienia, przeważnie na podium w klasie.

Raz były to jasełka, innym razem wymyślone inscenizacje. Uczyły mnie wierszyków i piosenek na pamięć, bo uczestniczyłam też jako wykonawczyni. Przypominam sobie fragment inscenizacji o weselu zwierząt. Miałam zapraszać na wesele i mówiłam:

– Zapraszamy na wesele!

– A na jakie?

– Chudej żabki z wilkołakiem

Więcej nie pamiętam. Boże kiedy to było? Ponad 80 lat wstecz. Pewnie mi się kolana trzęsły, ale musiałam recytować i słuchać szczególnie najstarszej siostry Geni.

Mówiłam też okazyjnie wiersze np. przy poświęceniu nowo postawionej figury Matki Boskiej lub z innej okazji. W szkole trzeba było wyjść przed kotarę i recytować. Kotarę stanowiła zasłona, pewnie z prześcieradła. Jako audytorium zasiadali Rodzice, pamiętam też Babcię wciskającą się w ciasną ławkę, a specjalnie chciały się siostry popisać przed właśnie goszczonymi znajomymi. Widzowie wkładali do skarbonki parę groszy, które były potem dzielone, dla każdej z nas po trochu. Dzieci z pokrewieństwa, które u nas nieraz dłużej przebywały też były angażowane do naszych imprez. Gdy zmarła Mamy najstarsza siostra, jej dzieci przygarnęła na jakiś czas nasza rodzina. Była to trójka dzieci; Zygfryd, zwany Fredziem, Halina i Genia (Genowefa). Podobno Fredziu lubił nasze jabłka, szczególnie te smażone w duchówce kaflowego pieca. Był to nie tylko wspaniały smak, ale i rozchodzący się po pokoju zapach. Niepowtarzalny zapach.

Częste były zabawy na dworze, na podwórzu i w ogrodzie. Będąc w większej grupie psociliśmy więcej, a potem były reprymendy i uwagi Rodziców. Przepraszaliśmy może szczerze, albo z konieczności.

Rodzice uczyli nas też różnych pieśni i piosenek, a także wierszy. Umiałam wtedy recytować wierszyk: „Kto ty jesteś? – Polak mały; Jaki znak twój? – Orzeł biały" itd. Niektóre pieśni robiły wrażenie. Śpiewaliśmy „Przybyli ułani pod okienko" albo „Szumią jodły na gór szczycie" i inne. Jako dzieci poznałyśmy też dużo pieśni religijnych jak np. „Pod Twą obronę", która mi się kojarzy z tym co nastąpiło po 1. IX.1939 roku.

Ale przedtem było jeszcze wspólne zdjęcie przed szkołą na zakończenie ostatniego przed wojną roku szkolnego 24.VI.1939. To zdjęcie przechowuję pieczołowicie i jest ono dla mnie ważne i bliskie sercu. Nieraz w ciągu minionych lat je oglądałam. Jest na nim grupa szczęśliwych dzieci i młodzieży, nie przeczuwająca jeszcze kataklizmu, jaki miał wkrótce nastąpić. Większość nazwisk lub imion identyfikuję do dziś i patrząc na to zdjęcie kojarzę wiele zdarzeń. Z boku przy dzieciach stoi mój przystojny Ojciec, a z drugiej strony moja Mama. Na murku obok niej stoję ja, a obok Ojca w mundurku marynarskim – Gizela. Genia była już uczennicą szkoły w Kościanie. To zdjęcie jest [swoistym podsumowaniem] (…) lat spędzonych w sierpowskim raju, bo dosłownie chwilę potem raj zamienił się w piekło wojny.

Mirosława Gąsiorowska

Poniższy fragment pochodzi z tomu wspomnień Mirosławy Gąsiorowskiej pt. Zamykając kręgi, które w roku 2023 ukazały się nakładem Fundacji Światło Literatury

Marek Sołtysik

Maria Jolanta Fraszewska

MINIATURKI - MURKI

***

kazał mi
policzyć żebra
nie wiem ile ich mam
nakazał jedno oddać
Adamowi

***

zanim
za nią
zdecydują
ona za nimsię opowie

***

mój dom bez dachu
niebo rozpostarte
nade mną żałością
jak ramiona bezmiaru
walące pięściami w nieboskłon

***

najpierw jest
dobrze
a potem nie jest
dobrze
upraszczam?

***

niedługo
dojdzie do tego
że oddech
nie ukryje się
nawet w powietrzu

***

ziemia objęta
pasem horyzontu
chudnie w oczach
wędrujemy w chmurach
po cienkiej lince

***

pędzę
do ciebie
w cztery światy
które
masz ze mną

***

po co nagiemu
guziki
nie schowa ich
przecież
do kieszeni

***

księżyc owoc wieczoru
pręży noc do skoku
siedzimy oboje nad krawędzią
podpierając się horyzontem
zapadamy w panoramę znaczeń

***

o wiele łatwiej
jest zmienić
pojedynczą
interpretację
niż całą historię

Maria Jentys - Borelowska

RZECZ O LEKARZACH-SPOŁECZNIKACH

PAMIĘCI MAMY I OJCA

Pacjenci mówili o Niej „nasza mama". Ufali Jej, jak ufa się rodzonej matce, przychodzili do Niej ze swoimi zgryzotami, jak przychodzi się do kogoś bliskiego, o kim się wie, że nie zaniedba niczego, by pomóc, wesprzeć lekarsko, psychologicznie, moralnie, materialnie. Bo nie tylko badała ich systematycznie i leczyła najnowszymi środkami farmakologicznymi w Poradni Przeciwgruźliczej lub na Oddziale Płucnym Szpitala Powiatowego w Wyrzysku, ale nie szczędząc sił ani czasu zabiegała też o to, aby w domowych i zawodowych środowiskach mieli warunki sprzyjające zarówno ich zdrowieniu, jak też bezpieczeństwu otoczenia (pozyskiwała dla najbiedniejszych zapomogi, renty, dodatki specjalne oraz przydziały na środki odżywcze, higieniczne, a nawet ubraniowe, wystawiała niezliczone skierowania na leczenia sanatoryjne lub prewentoryjne, nierzadko podejmowała starania u władz o przyznanie większego mieszkania dla chorego prątkującego z wielodzietną rodziną, itp., itd.). Miała tych swoich poradnianych i szpitalnych „dzieci" – prócz trójki własnych − setki, a chyba i tysiące: z Wyrzyska i okolicznych wiosek oraz miasteczek, bliskich i dalszych, nieraz dość odległych. Poradnia Przeciwgruźlicza w Wyrzysku bowiem, zorganizowana w tym małym, powiatowym miasteczku w roku 1954 przez doktor Kamilę Jentys, była wówczas jedyną w powiecie i jedną z niewielu w województwie (wówczas) bydgoskim. A choroba po wojnie szerzyła się wręcz epidemicznie.

Moja Mama, po ukończeniu w roku 1931 studiów medycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim (z dyplomem doktora nauk medycznych), do wybuchu drugiej wojny światowej pracowała wraz ze swym mężem, doktorem Jerzym Jentysem, na Górnym Śląsku, najpierw w szpitalu w Mysłowicach, potem w Katowicach, wreszcie w Rybniku. Mąż, chirurg, chciał z żony zrobić swoją asystentkę, ale Mama nie lubiła chirurgii, wybrała internę, pediatrię i samodzielność. Podczas wojny i okupacji nie pracowała zawodowo – miała dosyć zajęcia przy trójce własnych dzieci, które uparły się, aby przyjść na świat w mrocznych latach 1940, 1942, 1943. Jednak zaraz po wyzwoleniu, jeszcze w roku 1945, mimo iż dzieci były małe, podjęła pracę w przychodni lekarskiej w Zielonej Górze z uwagi na dramatyczny brak lekarzy. Pieczę nad nami powierzyła obcej kobiecie. Gdy brak Mamy za bardzo nam doskwierał, szłyśmy we dwie, ja i moja starsza siostra, do poradni, w której pracowała. Była to długa droga, na drugi koniec miasta. Pamiętam też nasze wspólne z bratem wyprawy do ojcowego szpitala. Szło się przez cmentarz, z duszą na ramieniu, siadało na krawężniku przy podjeździe szpitalnym i czekało.

Zielona Góra była kolejnym miejscem, w którym ojciec mój, lekarz wojskowy w randze podpułkownika, zgodnie z rozkazem dowództwa zakładał szpital wojenny. Wcześniej takie same szpitale organizował kolejno w Chełmnie i w Bydgoszczy, gdzie miał pod swoją pieczą setki chorych i rannych, a do pomocy rosyjskich felczerów i polskie sanitariuszki oraz pielęgniarki ochotniczki. Brakowało wszystkiego, trzeba było dokonywać cudów, by wyposażyć owe placówki w podstawowe sprzęty, narzędzia i farmaceutyki. Ojciec harował dzień i noc, widywaliśmy go rzadko, lecz podążaliśmy za Nim wytrwale i wiernie, na wojskowych ciężarówkach, od miasta do miasta. Wiem, że w Chełmnie mieszkaliśmy kilka miesięcy w nieczynnej fabryce, w Bydgoszczy w jakimś baraku. Dopiero z Zielonej Górze dostało nam się wielopokojowe mieszkanie w poniemieckiej kamienicy, z kuchnią, łazienką i wanną, tyle że puste. Dla Mamy był to kłopot, dla nas, dzieci - raj: w pustych pokojach mogliśmy harcować bez obaw, że coś uszkodzimy, zniszczymy.

W roku 1949 Ojciec mój przeszedł do cywila i podjął pracę w Miejskim Szpitalu w Strzelnie koło Mogilna. (W tym Strzelnie, gdzie znajduje się słynna Rotunda św. Prokopa z XII wieku.) Mama zatrudniła się w Przychodni Dziecięcej. Musiała to zrobić: pediatry w Strzelnie nie było, a chorych dzieci przybywało. Dawały o sobie znać skutki wojny: powszechna bieda i związane z nią niedożywienie społeczeństwa, brak mieszkań, brak leków i opieki lekarskiej, i tysiąc innych braków. Panoszyły się choroby zakaźne, a wśród nich najpowszechniejsza - gruźlica. Do dziś pamiętam, jak bardzo wzburzona, zgoła wstrząśnięta, wróciła Mama do domu po pierwszym dniu pracy w swojej dziecięcej poradni. Umywszy się od stóp do głów i przebrawszy - zdjęte ubrania poszły od razu do wrzątku, co nas niepomiernie zdumiało - opowiedziała o swoich pierwszych pacjentach - siedmioosobowej rodzinie przesiedleńców zza Buga (czyli z ZSRR): dwojgu rodzicach i pięciorgu dzieciach. Wszyscy byli skrajnie wychudzeni i wyniszczeni - mówiła prawie ze łzami w oczach, choć nie była skora do egzaltacji - dzieci anemiczne, wątłe, rachityczne, krzywicze, mężczyzna pokryty jakimś wrzodami, kobieta, niestara jeszcze, lecz przedwcześnie zwiędła, kaszlała jak gruźliczka, a na policzkach miała niezdrowe wypieki. Mama zmierzyła wszystkim temperaturę, następnie osłuchała im kolejno serce i płuca, wreszcie pobrała od wszystkich plwocinę i posłała ją do laboratorium. Potem przeprowadziła wywiad z obojgiem rodziców. Okazało się, niestety, że matka piątki malców ma gruźlicę, i to najpewniej otwartą (temperatura powyżej 38 stopni, krew w plwocinie, szmery w płucach, duszności, słabość). A czy i dzieci ją mają, okaże się jutro. Oby nie, oby nie! - westchnęła Mama. Ze świadomością, że musi zadać bolesny cios całej rodzinie, nakazała kobiecie udać się bezzwłocznie do szpitala. Chora zapytała, czy umrze, bo przecież na gruźlicę się umiera, więc Mama zapewniła ją, że będzie żyła, jeśli podda się szpitalnemu leczeniu, bo od trzech lat mamy leki na tę chorobę, bardzo skuteczne leki: PAS (kwas paraaminosalicylowy) oraz streptomycynę. Jeżeli jednak nie podejmie leczenia, umrze nie tylko ona, ale i któreś z jej dzieci, bo gruźlica w tym stadium jest bardzo zakaźna. Mama umilkła, a potem rzekła do naszego Taty: „Może powinnam zostać ftyzjatrą? Czuję, że to jest moje powołanie! Tak mało jest ludzi, którzy chcieliby się narażać na zakażenie gruźlicą. Co o tym myślisz, Jurku?" „A ty nie masz takich obaw? O siebie, o nasze dzieci, o mnie wreszcie?" - odrzekł. „Nie mam. Zrobię, co trzeba, by nikt z nas nie uległ zarażeniu".

Od tego dnia Mama z wielką gorliwością zaczęła dokształcać się w zakresie ftyzjatrii, dziś nazywanej pulmonologią. Jeździła na odprawy organizowane przez płucników w Bydgoszczy oraz na kursy ftyzjatryczne do Warszawy, Krakowa, Poznania. Sprowadzała książki specjalistyczne, prospekty informujące o nowych lekach p/gruźliczych i uczyła się, uczyła, uczyła. A jednocześnie leczyła gruźlików z całej okolicy, w tym sybiraków, których w latach tzw. pierwszej repatriacji (1944-1948) przybyło do Wielkopolski kilkadziesiąt tysięcy. Nigdy nie zobojętniała na niedolę tych biedaków, których Historia potraktowała tak okrutnie.

Naszą trójką znowu musiała zająć się płatna opiekunka. Ale problem był już mniejszy, gdyż wszyscy chodziliśmy do szkoły i częsta nieobecność rodziców nie była dla nas tak dojmująca jak dawniej. Tym bardziej że po pracy byli Oni bez reszty dla nas. Mama więcej niż Ojciec. Bo On wciąż, w dzień i w nocy, był na służbie lub w gotowości do służby. Nie pamiętam nocy, którą pozwolono by Mu przespać w spokoju. Ledwo się położył, a już walenie do drzwi podnosiło go na równe nogi. Do dziś mam w uszach ten krzyk: „Panie doktorze, krwotok…", „Panie doktorze, poród…", „Panie doktorze, zawał…". Zrywał się, sarkając za każdym razem głośniej, ale nie miał wyboru. Było ich, lekarzy, w szpitalu tylko dwóch. A gdy pojawił się trzeci, Ojciec mój musiał szukać sobie innej pracy. Zgubił Go „niewyparzony język" i „oficerski" sposób reagowania na propozycje nie do przyjęcia. „Trzeci" zajął Jego miejsce oraz mieszkanie w domku z ogrodem.

Doktor Jentys po kilku miesiącach bezrobocia znalazł posadę w Powiatowym Szpitalu w Wyrzysku, małej mieścinie nad rzeczką Łobzonką, w województwie (wówczas) bydgoskim. Mieszkania dla pary lekarzy z trójką dzieci tam nie było, ulokowano nas w Ośrodku Zdrowia, w trzech rozłącznych pokojach, bez łazienki i toalety, za to z gwarną poczekalnią dla pacjentów Ośrodka pod naszymi drzwiami. Choć trzeba było myć się w kuchni i zbiegać z piętra na parter z wiadrami pełnymi zlewek, nie przyszło nam do głowy narzekać. Był rok 1953, Ojciec mój, rocznik 1900, sterany wojnami (1920 i 1939-1945) i pracą ponad siły, zaczął niedomagać, a stopniowo ciężko chorować. Kochał swoją pracę, pacjentów traktował jak członków rodziny, a szpital jak drugi dom, chodził tam więc (lub jeździł karetką pogotowia), dopóki starczało Mu sił. Miał przyjaznego szefa oraz trzech młodych asystentów, których przysposabiał do pracy. Zmarł 1 stycznia 1960 roku o godzinie 6 rano w separatce na oddziale męskim w szpitalu, w którym przepracował siedem lat.

Był, kiedy należało, niezależny, hardy, nieugięty; i odwrotnie, kiedy sytuacja tego wymagała, czuły, troskliwy, opiekuńczy. Przykład: Gdy w latach 50. ubecy zażądali likwidacji szpitalnej kaplicy, doktor Jentys sprzeciwił się temu kategorycznie, twierdząc, że jedynie tam może należycie →

przygotować się do operacji. Czy trafił im do przekonania, nie wiadomo, faktem jest, że kaplica „obroniła się". Gdy z kolei wydali polecenie usunięcia ze szpitala zakonnic, doktor Jentys, jako główny chirurg, oświadczył: „Usunę zakonnice, jeżeli dacie mi równie dobre instrumentariuszki". Nie dali mu żadnych, więc zakonnice zostały.

Jeżeli chodzi o moją Mamę, to właśnie w Wyrzysku rozwinęła ftyzjatryczne skrzydła niczym orlica. Jej dzieła to: Oddział Płucny Szpitala Powiatowego w Wyrzysku oraz Poradnia Przeciwgruźlicza tamże. Byłam przy ich narodzinach, obserwowałam z podziwem pracę mojej Matki, zwłaszcza w poradni, do której mogłam zachodzić niemal codziennie, gdyż miałam ją pod ręką. Założona w 1954 jako skromny gabinet przyjęć z dwuosobową obsługą chorych, trzydzieści lat później, gdy Mama odchodziła na emeryturę (w wieku lat 79), była wysoce profesjonalną i dobrze wyposażoną placówką leczniczą: prócz gabinetu przyjęć miała tzw. mały obrazek, kartotekę oraz archiwum, a do tego trzyosobowy, świetnie wyszkolony personel. Niestety, nie miała lekarza: żaden pulmonolog nie dał się namówić na zamieszkanie w „zabitej deskami dziurze". Po kilku latach poradnia obumarła. A za czasów doktor Jentysowej obejmowała ftyzjatryczną opieką kilka powiatów województwa bydgoskiego, czyli kilkanaście tysięcy osób (licząc pacjentów z rodzinami). Jeszcze wcześniej z tej samej przyczyny został zamknięty szpitalny Oddział Płucny. Wielka szkoda, bo - opanowana wówczas ogromnym wysiłkiem podobnych mojej Mamie lekarzy-społeczników - gruźlica znowu atakuje. Ale teraz prawie nikt się tym nie przejmuje. Wiem, co mówię: kilka lat temu dość długo szukałam placówki (poradni, szpitala), w której zechciano zająć się moim znajomym gruźlikiem.

Doktor Kamila Jentys za wszystko, co zrobiła dla rzeszy gruźlików w Polsce, została odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Jej imię - wraz z imieniem Jerzego Jentysa - figuruje w *Księdze dokonań i ludzi 40-lecia Wyrzyska*. Zmarła 7 marca 2001 roku w Wyrzysku. Spoczęła obok swojego męża na tamtejszym cmentarzu.

Wśród pamiątek po Niej mam list doktora Stanisława Górskiego, z 11 maja 1996, który otrzymała od Niego wraz z publikacją pt. *30 lat walki z gruźlicą w województwie bydgoskim 1945-1975*, wydaną w Bydgoszczy rok wcześniej. Przytaczam go *in extenso*, ponieważ dla Mamy znaczył nie mniej niż oficjalne odznaczenia. A dla mnie jest bezcennym świadectwem Jej jakże chwalebnego istnienia.

Bydgoszcz 11.05. 1996 r.
Szanowna Pani Doktor,

pozwalam sobie przesłać moje opracowanie „30 lat walki z gruźlicą" dotyczące m.in. powiatu mogileńskiego, a szczególnie wyrzyskiego, w którym praca Pani Doktor była tak wielka jak i trudności, które trzeba było pokonywać. Proszę mi wierzyć, że zawsze podziwiałem i byłem pełen szacunku i zrozumienia dla wysiłków pani Doktór.

Od 1975 roku, kiedy skończyła się nasza współpraca, zmieniło się wiele. Ważnym jest jednak spojrzenie z odległości czasu na minione lata, w których działalność Pani Doktor przyniosła tyle dobrego cierpiącym.

Niech te proste słowa oraz skromny upominek będą wyrazem wielkiego i szczerego szacunku dla pracy Pani Doktor i osobistej wielkiej życzliwości. Może nie będzie się Pani Doktor zgadzać ze mną w ocenie opisywanych faktów, ale tak je wtedy widziałem. Proszę mi tego nie brać za złe. Chciałbym pozostać w pamięci Pani Doktor dobrze zapisanym, gdyż moje intencje były zawsze nacechowane wielką życzliwością i zrozumieniem. Proszę przyjąć życzenia najlepszego zdrowia, spokoju i radości po wszystkie dni.

Z poważaniem -
Stanisław Górski.

I na zakończenie: Zachętą do napisania tego tekstu był dla mnie opublikowany bodaj dwa lata temu apel „Gazety Wyborczej" do czytelników, by pisali wspomnienia o ludziach, którzy w Polsce Ludowej, a więc zniewolonej, mimo wszelkich przeciwności i zagrożeń pozostali wierni sobie i swoim zasadom, a pracując dla Ojczyzny, byli wolni, bezinteresowni, moralnie czyści. Wtedy nie zdobyłam się na reakcję, ale myśl, by napisać o moich Rodzicach-lekarzach społecznikach, nie dawała mi spokoju. No i dziś skreśliłam tych kilkanaście zdań, maleńką cząstkę tego, co chciałabym o Nich powiedzieć.

Maria Jentys-Borelowska

Marek Sołtysik

Aleksandra Sołtysiak

...

Trudno się buntować
gdy światło przygasa
przeczucie osiada
między liniami wiersza.

W zasięgu oka
niepojętność tkanki egzystencji
momenty płyną pod prąd
sztywnieją palce łasząc się do pióra
kartki w bieli płoną zniecierpliwieniem
pogryzione wargi do krwi
oddają wymowę całości.

Tęsknota za minionym niczym
nostalgiczne fado wyzwala
ułudę samozadowolenia
starczość nie lubi się płaszczyć.

Jak ukorzyć się przed samym sobą
gdy jutro wymyka się z jakichkolwiek
reguł?

CREDO

Wyobraźnia zawodzi niesytością

W środku materii linie graniczne
źródła przebudzenia

Wewnątrz misterium życia ruch
Sprzeciw wyrósł ze stopni próby
Krzyk w zastępach świateł

Morze Martwe ujściem łez

Nieokreśloność Ciebie- SŁOWO

poza czasem

poza schematami myślenia

Nie pobrzmiewa requiem na

Paschę

DUSZA

Pełna oddania
potokiem ciszy
skrzydła rozprowadza

Znak z głębi kontinuum...

na przecięciu przestrzeni
westchnienia słabości

unosi wieko prawdy
w godzinie głodu

wyostrzona w błysku
aż po wyżyny galerii

wszechświata

W MINIONYM STULECIU

nasze wnętrza przypominały pieczarę
którą z trudem można rozpoznać
pokusa częstokroć zwodziła mglistym
przeświadczeniem że zróżnicowanie
jest przykrywką prostoty
zasmakowania pierwocin żywota
rozstrojonego zamętem żółci
wyklutej z kłamstwa i ofiar
umysły niosły zapis historii intelektualnej
w sobie przypudrowane papierowością
słaniały się od połykanych haseł
przed uchem igielnym na nieznanym
lądzie

ESEJ

Andrzej Walter

WOJNA, POKÓJ I WOLNOŚĆ

Zaczepił mnie ostatnio w jednym z komentarzy nasz bodaj jedyny obecnie poeta eksportowo maturalny czyli nie kto inny jak sam Józef Baran:

„ciekawe jest to, co piszesz o wolności", co mnie panicznie zmroziło i jednocześnie postawiło do pionu – mój Boże, a cóż to ja takiego napisałem o tej wolności. Moja bardzo wielka wina, a jednak, napisałem. Jednak zbłądziłem, zgubiłem się, zgrzeszyłem pisząc – wolność (…) wolność – słowo najważniejsze, słowo klucz, sezam naszych dusz, jeśli takowe jeszcze mamy… wolność, słowo jakże współcześnie wyświechtanie, naobrażane, spostponowane i zniszczone mentalnie przez szyderców. A jednak słowo wolność, dla mnie i mnie podobnych, to wciąż słowo, a raczej pojęcie będące busolą sensu, terapią względności czy nadzieją ponad nadziejami. To słowo i pojęcie, przy którym dusza się rozgrzewa, nabiera otuchy, odnajduje cel.

Com napisał, napisałem, przeczytajcie sobie sami *esej o osieroconych poetach*. Czegom nie napisał, może jeszcze kiedyś napiszę (!?) Ważniejsze chyba, to jest to czego nie napisałem, albo czego może jeszcze bałem się napisać, bo wolność to: (też) *(z tomu „Pokój i wojna", Józef Baran, PIW, 2022)*

Przypowieść o wolności absolutnej

chciałem mieć wszystko

więc
nie przywiązywałem się
na stałe
do niczego

w ostatecznym rozrachunku
cierpię na
chroniczny stan nieważkiej
samotności

Co to jest wolność? Co to prawda? Co to samotność?

Kto wie?

może ci tylko ocaleją
co nie kalkulowali
lecz
kochali

i po tamtej stronie
czekają na nich
gorejące serca

a ci którzy
żaru serca nie zaznali
sami wtrącą się
do zimnicy
otchłani?

To właśnie wiersze z ostatniego tomu Józefa Barana „Pokój i wojna". I On mnie zaczepia o wolność?! O wolności samemu pisząc i to dobrze, mądrze pisząc, no cóż. Wolność nie jedno ma imię.

Być może o wolności możemy tylko rozmawiać poezją. Być może wolności nie ma, a absolutna jest tylko ideą – mglistą przestrzenią wymyśloną przez Platona oraz innych filozofów, bogów myślenia. Być może wolność to nasz … nakaz sumienia, jeśli sumienia mamy, a może to kategoryczny imperatyw naszego istnienia i naszych dążeń, a może wolność to sen, nasz najczęściej śniony sen, nasze marzenie, stan wyższy, nierealny naprawdę do przeżycia trwalej. Być może to właśnie fatamorgana naszego życia. Wolność. Przeciwieństwo niewoli, w którą wtrącił nas dobry Bóg umiejscawiając nas pomiędzy życiem i śmiercią. Tylko przypomnę – w tę śmierć wtrąciliśmy się sami częstując się tym nieszczęsnym jabłkiem w tym nieszczęsnym raju… Dzisiaj to już tylko bajki. Biblię, od której poczynałem edukację odstawiono do lamusa ludzkości. Wiemy lepiej. Absolutnie wolni. W klatkach samotności.

Otóż nie. Po stokroć nie. Wolność to wiara. To odwaga wiary. To moc wyjścia poza nieskończone, moc przekroczenia granic, siła wyobraźni, ciekawości świata, zachwytu, potrzeba poczucia sensu, nadziei, pokory wobec potęgi wszechświata i rzeczy, o których nie śniło się filozofom. Wszystko to co dziś wyśmiane, zdeprecjonowane, zdeformowane i odłożone do tego samego lamusa. Lamusa świata, historii, dawnych zasad człowieczeństwa.

Bo przecież dziś kategoryczny imperatyw przemodelowano do postaci li tylko zasady, już bez Boga, bez absolutu, w miejsce Boga podstawiono nas samych – nie jako wspólnotę (czytaj jakakolwiek Solidarność, słowo bliskie wolności), a jako samoistne jednostki, którym przecież wszystko wolno. Podobno ta nasza nowa wolność kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność innego, ale gonimy sami siebie krok po kroku nakładając ograniczenia i hamulce, aby tylko dawać wolność absolutną jednostce zwłaszcza w jej buncie wobec Boga. Przecież bogiem jesteś ty sam. Sam ustanawiasz reguły, sam się rozgrzeszasz, sam wyznaczasz granicę. Czy to jest wolność? Czy już jej karykatura…

Ale po cóż się nad tym zastanawiać?

Wyrzuć książki, rozterki, wątpliwości, namysł, roztrząsania problemów religijno-etycznych, wyrzuć myśl, komplikację i jakiekolwiek skupienie. Wyrzuć głębię, duchowość, skupienie, wyrzuć jakieś nieszczęsne sumienie i żyj, pełną piersią, radością życia, baw się, sobą, innymi, ciałem i rozkoszą, bez tchu, bez granic, bez stresu i bez dylematów (moralnych, etycznych, filozoficznych, bez ciężkich Norwidów i ciężkich Baranów) bez Walterów, Hellerów, Kołakowskich i innych mącicieli, konstruktorów wiary i dusz. Konstruktorów? Wolne żarty. To psujące hedonizm mendzioły rzeczywistości, głosy wołające o coś, czego już nie ma, nie było i nie będzie…

Wolność? Czym dziś jest ta wolność. Kochaj i rób co chcesz? Augustiańskie zawołanie wypaczono już dziś w sposób jakże pełny i wyrafinowany. Odzierając je z wymiaru boskiego osiągnięto idealnego imbecyla rzeczywistości, który już nie wie czy kocha czy używa, czy nadużywa, który nie wie kim jest i po co jest, nie wie dokąd zmierza, a zwłaszcza skąd przyszedł. Nomada idealny. Łatwo sterowalny. Plastycznie ukształtowany do postaci marionetki czasów, z którą można już zrobić niemal wszystko. Wojnę, i pokój, i pandemię, i ekstazę emocji wywołaną totalnie medialnie poprzez setki możliwych technicznie bodźców idealnie rozprowadzanych całą tą użytkową techniką komunikacji i technologią wszechogarniającego atakowania nas obrazem, emocją, dźganiem naszej jaźni impulsami lepszymi niż poezja, którą trzeba przecież zgłębić intymnie, nie stadnie, dyskretnie i w ciszy swojej izdebki. A dziś jedynie stadne ekscytacje porywają miliony. Budzą respekt i podziw, ba, szacunek, autorytet, … zachwyt?

Czy zabrano nam wolność? Ależ nie. Otrzymaliśmy jej znacznie więcej. Aż po wolność do samobójstwa, bez grzechu, bez wyrzutu, bez dylematu i zbytniego zastanawiania się nad wyrazem etycznym takiego kroku. *Paszoł won*, bez ciebie więcej miejsca dla innych, zdrowych, pięknych i bogatych, jak z reklamy whiskas, człowiek hodowlany 4,0 hiper mega szczęśliwy, kiedy kupuje.

To wolność absolutna. Wolność silniejsza … od wolności. Wolość ponad celem i sensem, wolność idealna, ale jakby zamulona, bezkształtna i nie wiadomo po co? Za dużo już mamy tej wolności. W pełni wyzwoleni umieramy z samotności.

No i teraz pojawiają się ci wszyscy rycerze Ciemnej Strony Mocy. Ci, którym wolno wszystko, ci, którzy nami gardzą, którzy prą do przodu, kochają władzę, ordery, oklaski i podziw, którzy długo patrzą w lustra podziwiając cud stworzenia, jego cel i ideał – samych siebie. Człowiek, to brzmi dumnie, wokół niego przecież krąży cały wszechświat, planety, galaktyki, czarne dziury, supernowe i odległe obce światy. Entropia to szalony pomysł złych Bogów, to złudzenie – ja, jestem sam sobie - sterem, żeglarzem, okrętem.

Taki świat boli. Doskwiera. Przytłacza ludzi wątłych, wrażliwych, pokornych, ludzi wielkich serc, którzy wiedzą co znaczy: kochać, cieszyć się, w coś wierzyć i płakać po stracie. Ludzi świata, którego już nie ma…

Dziatkowie i dziadki

najpierw dziadkowie
pomagają dziatkom
w stawianiu pierwszych kroków
na wirującej kuli ziemskiej

potem dziatkowie
uczą dziadki
chodzenia
po księżycowym
wirtualnym globie
gdzie wśród pinów i kodów
poruszają się

niezgrabnie
jak Armstrong
na Księżycu
i stale zachciewa im się powrotu
na Starą Ziemię

jednak Stara Ziemia
usuwa się im
coraz bardziej
spod nóg
i coraz częściej
śni się dziadkom po nocach
że całkiem zniknął
wymieniony przez złego czarodzieja
na supernowoczesny model
cyberświata

z którego ich wyeksmitowano

dreptają pukają w drzwi i w okienko
lecz żaden ze starych kluczy
nie pasuje
do żadnego z zamków
w ich serdecznych skrytkach

Nieuchronnie odnoszę wrażenie, że dziatkowie już nie doceniają pomocy w pierwszych krokach, o wirującej kuli ziemskiej wiedzą tylko tyle, że jest wokół niej „ocieplenie klimatu" i zmierzamy ku jakiejś bliżej nieokreślonej katastrofie zatruwając naszą zieloną planetę, przy czym katastrofa ta to nie żadne wojny, kryzysy finansowe czy pandemie, a bardziej hipotetyczny armageddon zalewających nas wód, a nad tymi wodami przecież … brak ducha, duchów przecież nie ma, ani żadnych rzeczy i spraw nadprzyrodzonych, bo jest przecież owa przyroda – w niej ukrył się i Bóg, i wolność, i piękno i poezja… a może i gorzej, bo po życiu tylko nicość i bezgraniczna pustka. Bezgraniczna? Wolne żarty. Świat to granice.

Spełnia się zatem *Nikifor* cyberświata. Wystrugano oto nowych ekoludzi, niezbyt lotnych, mało oczytanych (żeby nie powiedzieć w ogóle nieoczytanych), łatwo łykających dobrze spreparowane „poruszacze" emocji i odpowiednio reagujących na … wolność i jej imperatyw – już nowy, nowoczesny, by nie powiedzieć cyfrowy.

Ten wiersz, wiersz o dziatkach i dziadkach jest właśnie dowodem na wolność, ale to ta wolność starodawna, wolność, której już nie ma. On jest właśnie napisany wolnością. Wolnością, której już nikt prawie nie rozumie, albo ci, co rozumieją wymierają w zastraszającym tempie. Jest napisany wolnością, bo właśnie to narracja dziś niezrozumiała, posiłkowanie się staromodną wizją świata, jakiegoś następstwa pokoleń, u podłoża którego leżą: miłość, szacunek, następstwo kolei rzeczy. Czy może nawet, w domyśle, jakieś nieuchronne przemijanie. To za skomplikowane, za normalne, za mało zdeformowane. Lepiej napisać taki wiersz / jak Sebastian Brejnak/

FK

I.JAMA NOSOWA

Sam opis to wystarczy żeby przestudiować twarz w trybie zaocznym
(za uszami niczego nie widać pod światło)
Aparatury działają w poprzek historii
prężni maszyniści klecą fantomy zamiast bólu
To wciąż za mało jak na czas
który się ma albo posiada
za dużo na literaturę bez dotacji
(przerwami na papierosa fingującej wypróżnienie)
Zaczerpnięcie głębokiej ziemi prosto do płuc
płycieje przy punkcie K języka

On tnie na kawałki sprośne dykcje
i zabija brudne szyby gładką dyktą

Skądinąd niezły wiersz tej naszej nowej polskiej poezji, ale dla kogo są te wiersze ja się tu pytam? Dla tych niczego nie czytających kretynów? Co oni z tego pojmą? Nic z tego nie zrozumieją. My rozumiemy, ale co z tego. Jak rozmawiać z czytelnikiem przeciętnym, chcącym czytać dla informacji, rozrywki i poszerzania światów? Sądzę, że lepiej rozmawiać i pisać Baranem, nie Brejnakiem, a ponieważ ten wiersz, wiersz awangardy językowej, tak dziś usilnie lansowanej przez elitarne środowiska poetyckie dowodzi tylko tego, że … chyba lepiej i prościej przemawiać Baranem do ludzi i świata żeby jeszcze choć cząstkę (tej poezji) ocalić – ale i cząstkę: normalności, ciepła i wzajemnego zrozumienia, aby ta samotność coraz powszechniejsza trochę mniej bolała.

Dla jednych będzie Baran, dla innych pojawi się Brejnak. To wciąż jedna i ta sama poezja. Nasza poezja. Dlatego chyba uznałem, że Baran jest pisany wolnością, a Brejnak modą, że Baran nie musi już nikomu niczego udowadniać, nawet sam sobie i ma w poważaniu mody i efemerydę języka, a kreuje prawdziwe proste przeżycie, a nie wypróżnienia zbuntowanych młodych napalonych… Brejnak, jak mu latek przybędzie sam napisze Baranem – jak go trochę los przeciągnie pod nowotworem i śmierć w oczy spojrzy… a każdemu spojrzy…

Przestrogi starego poparzonego dla młodego napalonego

to prawda
że prawda i tylko prawda
może wyzwolić

lecz z prawdą trzeba się ostrożnie obchodzić

prawda
mój drogi
bywa ostra
jak lancet chirurga
moment nieuwagi
i już ktoś jest poraniony
lub okaleczony

widziałem człowieka
który gdzie się pojawiał
wymachiwał szabelką prawdy
i brzytwą Ockhama
siejąc popłoch
aż stał się groźny
dla otoczenia
i zamknięto go
w szpitalu dla szczerych idiotów

najlepiej przechowywać ostrą prawdę
w futerale
i używać tylko w razie konieczności
żeby
nie podcinać skrzydeł
nie gasić w krąg ducha

zaś na podręczny użytek
mój napalony
noś ze sobą
plastykową prawdewkę
jednorazowego użytku
z poduszkowatym zaokrągleniem
zamiast ostrza

tłumaczył stary młodemu
lecz ten patrzył w inną stronę
i był poza jego zasięgiem

Dożyliśmy tak oto czasów, kiedy wszyscy wydajemy się być już poza zasięgiem. Bo cóż to znaczy zasięg? Może dziś *zasięg = wolność*? Pytanie jest o tyle retoryczne o ile zdefiniujemy ów zasięg. Tyle, że zasięg ten wydaje się być niedefiniowalnym punktem odniesienia czasów bez treści, bez sensu i bez przemyśleń. Tak jak i wolność. Martwe pojęcie dla … lekkoduchów.

Żyjemy jakby w innych światach. Ani z nas konserwatyści, ani postępowcy. Ani z nas bohaterowie, ani tchórze. My, z tamtej epoki, chcemy coś ocalić, ci nowi, młodsi czy nawet nieco starsi, nie za bardzo wiedzą, czują i rozumieją co my tak naprawdę chcemy ocalić. Samotni w efekcie są i jedni i drudzy. Samotność i alienacja stały się chorobami wieku na równi z nadkwasotą (efekt chemii), alergią (efekt higieny) czy depresją (efekt korpo – szeroko pojęty). Ten świat, co zespala nasze odległe wszechświaty jest wynaturzeniem rzeczywistości. Jest takim ponieważ zburzono już wszystko to, co można było zburzyć. Pozostały fantomy znaczeń i wartości, wszystko to, co ważne i istotne amputowano bądź zastąpiono algorytmem poprawnej politycznie półprawdy wygodnej w pojmowalności i obsłudze. Na tym ciężko coś wznosić i budować, można jedynie wspominać świetności minione, a ponieważ „wszystko już było" pojęcia podstawowe, elementarne – jak dla naszego przykładu sztuką nazywamy dziś coś, co tą sztuką już nie jest, a jest komercyjnym produktem, który się sprzeda albo nie, a jeśli nie to wyląduje na śmietniku tej naszej hiper-rzeczywistości.

„Poezja mi wszystko wyjaśniła" ? No cóż. Niczego mi nie wyjaśniła, ale już wiem, że mnie (też już dziadka) przynajmniej ocaliła. Ocaliła przed skundleniem, ocaliła przed samym sobą, przed pędem stadnym i przed nową wolnością dając mi w nadmiarze poczucie tamtej, minionej wolności, wolności twórczej, jako podstawy wszelkiej sztuki i wszelkiego zachwytu.

Owszem, sto lat temu, kiedy chciałem się narodzić, ale się nie narodziłem, bo ominęły mnie atrakcje XX wieku. Uczyłem się o nich tylko w szkole. W szkole, w której książka była wówczas czymś najważniejszym. Była **podstawowym dokumentem kulturowym społeczeństwa**. Wtedy wszystko wyjaśniały: miłość, sztuka, poezja i wymiar nadprzyrodzony, wszystko wyjaśniały: wiara, nadzieja i miłość, albo też poezja i dobroć. A dziś: po co to komu? Piękno? →

Ta niby kusząca alternatywa rzeczywistości. Dobro? To efekt uboczny nieprzystosowanych. Liczą się: pięść, moc i władza, emocje i ten ciągły teatr dla pokręconych, który pozwala komercji coraz lepiej funkcjonować w merkantylnym mikroświecie prawideł podaży i popytu. Nawet zasady ekonomii, studiowane na Uniwersytetach, było, nie było, przedefiniowano przesuwając wagę i znaczenie zysku z miejsc poślednich na miejsca zasadnicze i priorytetowe. Jak w takim świecie mają się odnaleźć: słowa, wrażliwość i jakiekolwiek skrupuły? Świecie, w którym priorytetem jest zarobić za wszelką cenę, a na drugim miejscu zaszokować za cenę również wszelką. Potem długo, długo nic, a potem… to już bez znaczenia.

Powróćmy do wolności. Wolność? A cóż to takiego?

Może to jedynie nasz sen, sen o wolności, o wartości z minionego świata, wcale dziś nie cenionej i nie uznawanej za istotną, jedynie wypisaną na sztandary, aby lśniła ozdobą i mirem mitu, który być może jeszcze nieźle się sprzeda.

Długo myślałem nad tomem Józefa Barana „Pokój i wojna". Arcydziełem literatury światowej była kiedyś tamta, przewspaniała „Wojna i pokój" Lwa Tołstoja. Podstawowy dokument kulturowy i tak dalej… Prowadzono nawet spory, co demonstrował Lew Tołstoj tym tytułem? a zwłaszcza owym mirem wielu znaczeń, zwłaszcza ówczesnej Rosji. Sądzę, że właśnie dziś, w XXI wieku otrzymaliśmy na to pełną odpowiedź - pełną zwłaszcza po 24 lutego 2022 kiedy rozpoznaliśmy od razu *russkij mir* chcący pożreć … wolność.

Jestem przekonany, że Józef Baran celowo zatytułował swój tom odwracając kolejność w tytule owego arcydzieła na swój „Pokój i wojna". Ja jednak poszedłbym w poszukiwaniu wolności jeszcze dalej i zatytułował ten tom „Wojna", choć to pewnie banalne. Wojna jest jednak dziś czymś czego nie zaznaliśmy, albo jedynie najstarsi z nas i to mało świadomie. Siedemdziesiąt siedem lat pokoju to szmat czasu. Wojna na wschodzie nie jest żadną wojną regionalną. Też banał. To wojna zamordyzmu z wolnością. Ważne są niuanse i konteksty. Zamordyzm głosił wcześniej obronę wartości, które Zachód w imię wolności przedefiniował i skierował nas ku miejscu, w którym dziś mentalnie jesteśmy. Zatem pandemia, wojna, eksperyment na społeczeństwie i co dalej? 1984? Orwel and Huxley 4,0 Pro?

Dobry tytuł … „Pokój i wojna". Był pokój, jest wojna, ale u nas jest pokój, każdy zajęty sobą udaje, że wie, że jest wojna … pokój i wojna i co dalej? Dalej bussines as usual, słowem dzień jak co dzień, a wojna to jest w wiadomościach, alby się dobrze i masowo oglądało. Taki wojno poligon. Show must go on … jak śpiewał Freddie Mercury. Dziadek z tamtego świata.

Dalej porozmawiajmy o wolności, bo dziś to rozmowa podstawowa. Najważniejsza. Elementarna. Jeśli chcemy poznać odpowiedź na pytanie „co dalej" porozmawiajmy o wolności – prawdziwie i szczerze. Jeśli jest to jeszcze możliwe.

Na szczęście

wszystko przemija
na szczęście
śmierć też
nie jest
nieśmiertelna
przeświruje przez nią wszystko

Dziś smutna sobota. Musieliśmy z Żoną podjąć decyzję uśpienia psa, naszego Stefana, który był z nami już 17 lat. To bardzo trudna decyzja, teraz pomimo, że jest nas tu wciąż tak wielu, jest jakaś pustka, jakiś brak, kogoś już więcej nie będzie… żegnaj Stefciu, byłeś słodkim psem, pozostaniesz w naszej pamięci. To wolność – mieć odwagę się wzruszyć. Wolność – potrafić się pożegnać. Wolność – odejść z godnością. Wiele jest smaków wolności.

Tom Józefa Barana „Pokój i wojna" to nowe wiersze, piętnasty tom poety, jak mawiają „na salonach" cenionego poety. Profesor Anna Legeżyńska napisała ostatnio: „nie chciał nigdy być czyimś uczniem, iść po śladach noblistów, awangardystów, lingwistów, klasyków (…) pozostał sobą, twórcą wierszy do czytania przez szeroki krąg odbiorców (…)"

Czy to jest wolność? Chyba tak, albo cóż to mogłoby być innego jak nie wolność, ta wolność twórcza. Pojawia się jednak i inne pytanie – kim są awangardyści i lingwiści? Skoro Józef Baran jest twórcą wierszy do czytania – to jakim twórcami są owi awangardyści i lingwiści? Wierszy nie do czytania? No, chyba logika konstrukcji zdania Pani Profesor mówi sama za siebie. Ja zadam na koniec i inne pytanie. Ile mamy dziś tych „wierszy nie do czytania"? Po co są one tworzone, pisane, publikowane? Dla kogo? Kto to lansuje, wpada w podziw i komu to służy? Mogę Wam na te pytania odpowiedzieć, ale przecież odpowiedź znacie. Czy to jest wolność? Czy jedynie snobizm salonów, albo tak naprawdę słabość tych salonów, które kompleksy zatykają nowatorstwem efemerydy – zbędnej i nikomu niepotrzebnej, lecz silnej swoją wydumaną niezrozumiałością i wtedy można lać do woli wodę słowotoku pseudointelektualnego wpędzając w podobne kompleksy całe rzesze kolejnych nowych adeptów poezji niszcząc przez to samą poezję, jej społeczny odbiór, jej społeczną percepcję i jej image – jak się to dziś mówi. Przykre jest, że nikt nie odważa się (w swej wolności) krzyknąć jaka jest tego prawdziwa wartość i jakie jest tego przesłanie. No cóż. Wróćmy do wolności.

Nie wiem czy ciekawe jest to co piszę o wolności. Wiem, że wolność to słowo i pojęcie najważniejsze. Wolność to przede wszystkim odwaga. To moc stanięcia naprzeciw przeważającej sile wroga i bronienia prawdy. To niezależność, to bycie pełni nadziei, to wreszcie stan euforii tworzenia dla samego tworzenia, a nie dla kogokolwiek. To wyjście poza samego siebie i może dlatego wolność to największa wartość jaką znam i jaką zna cała ludzkość. Jeśli będziecie prawdziwie wolni na pewno rześko spojrzycie w przyszłość, ceniąc, że to kondensacja przeszłości, teraźniejszości i wciąż fascynującego oczekiwania na nieznane. Ono jest fascynujące jedynie wtedy kiedy towarzyszy mu zachwyt, a zachwyt posiada się wtedy kiedy odróżniamy piękno od brzydoty. Kiedy zabiorą nam wstyd, cóż nam pozostanie?

Andrzej Walter

Marek Sołtysik

Urszula Mądrzyk

Do mych przyjaciół najpierwszych…

Nie wiem, jak o was mówić,
słowa są dziwnie kalekie,
a długi wdzięczności tak wielkie, że czasem aż nie do spłacenia.
W dodatku sklerotyk Czas dawno już spaprał tę sprawę…
Została szczupła zdjęć talia,
ta czarno-biała namiastka
czasu
dokonanego.

Psów moich z dzieciństwa zgrajo…
Najczulszych w złych chwilach przyjaciół,
gdy moja i wasza psia głowa,
ta sama gdzieś w głębi sonata,
dwie łapy wparte w ramiona,
dwa małe współtrwania jak jedno…

To wspólne wgapianie się w oczy: te czarne, jak miód płynny, jak bursztyn.
I małych wszechczasów eony…
Aż stawał podparty kijaszkiem zdziwiony staruszek Chronos,
bo serce psie i dziecięce biło tym samym rytmem,
dzieląc te okamgnienia
na krótsze lub dłuższe wieczności…
Cud mały niespodziewany
w szczerbatej historii
dwóch istnień.

Towarzyszyliście mi, mili, zapewne mądrzej niż ludzie.
Wypełniliście samotność,
aż lęk stał się niemal złudzeniem…

Te łzy to krople wdzięczności,
to także drobiny żalu,
że nie ma już Was, a ja jestem.
Znów źle wychowana
i w kontrze.

Pewno posłucham rad Waszych.
Zamerdam ogonem na szczęście.
Poczekam wpatrzona w Syriusza.

Z gwiazd mrowia niechybnie usłyszę:
„Dasz, mała, radę!
Dasz radę.
Poczekaj.
Będzie ok…”

Fotografia

Doprawdy,
nie wierzę w uśmiech tej małej
z warkoczem i krzywą grzywką,
w jej wszechświat spójny i gładki,
w gliniany dzbanek ufności.

W istocie
ta mała w bluzeczce w groszki
już umie zakłamać próżnię.
Samotnym lotem puszczyka
buduje kokon jak wiersz.

Potrafi -
kanciasta, obca, osobna -
odrzucić grosik jałmużny.
Nie dość pokorna, by prosić,
przędzie kolczugę jak len.

Jednak
dziękuję nam, moja mała,
za wspólną zieloność oczu,
bogactwo szmat naszych spódnic,
szaleństwa przepaść i nimb…

WSPOMNIENIE

Zbigniew Kresowaty

NA ODEJŚCIE OLKA W ZAPACHU FAJKI

Nie pamiętam dokładnie daty, ale było to chyba pół roku po wprowadzeniu "stanu wojennego" w Polsce na przełomie 82/1987 roku jesienią(?). Odbywały się w Kawiarni Artystycznej KALAMBUR we Wrocławiu spotkania comiesięczne z serii „*Gość z Polski*". Byli tu zaproszeni, m. innymi poeci nowego Pokolenia, ale nie tylko: Stanisław Stabro, Piotr Cielesz Kasia Suchcicka, inni… z Antologii Jerzego Leszina - Koperskiego i Zbigniew Jerzyny „Pokolenie które wstępuje" – Odbywało się to przeważnie na jesieni. I tak odbyło się tu spotkanie autorskie z poetą, (kolorystą literackim), późniejszym dziennikarzem, żydowskiego pochodzenia, Aleksandrem Rosenfeldem, który wrócił z emigracji.

W dniu 03 marca 2023 roku Aleksander Rosenfeld odszedł. Urodzony w 1941 roku w Tanbowie ZSRR. Okazja to do wspomnienia Olka na Jego odejście w obłoki... Alek lub Olek, jak Go wszyscy nazywali, urodził na terenie byłego Związku Radzieckiego. Wiele lat mieszkał i tworzył w Lublinie. W latach 1980-81 działał w NSZZ Solidarność. Natomiast w latach 1982-1987 przebywał na emigracji w Izraelu, nie podobało mu się tam, skąd wrócił do Polski przez Rzym w 87 roku. Olek, poeta, gawędziarz, tłumacz, wykładowca łaciny, zawsze przez swój charakter i trudne życie był „skazany na koloryzowanie literackie" – Nigdy nie wspominał swego miejsca urodzenia, czyli że urodził się w byłej Rosji. Być może wstydził się wspominać o tym kraju? – Kto wie! - To podsumowanie wieloletniej Jego twórczości literackiej bywa czasem trudne... Wtedy na spotkaniu autorskim dowiedzieliśmy się, że poeta porzucił życie w Izraelu w kibucu, i przyjechał z powrotem do Polski. To orzekł także, na początku swego spotkania w „Klamburze", że ***przybył teraz już na stałe*** do kraju z rodzinką - córką i żoną. Spotkania z ciekawymi twórcami odbywały się wówczas w kultowej znanej Kawiarni Artystycznej we Wrocławiu **Kalambur**. Spotkanie Z Rosenfeldem o godz. 19.oo (ja nie pamiętam daty) otworzyła Halina Litwiniec. Poeta na początku oświadczył, że szuka lokum dla siebie, może być gdzieś na wsi?. I już po chwili zaczął mówić o swoim, tu i ówdzie, pobycie i życiu, jakby wygnany(?), a później swoimi intrygującymi słowami, w duchu ignorancji, powiedział jaki to ma żal do samego generała Kiszczaka, zaatakował go, mówiąc o nim, że: ***jest całym winowajcą „stanu wojennego" i wraz z Jaruzelskim kłamią niedorzecznie i paskudnie o ruskich...*** Opowiedział o Kiszczaku, co on publicznie gdzieś tam oświadczył, chyba dla ambasady Izraelskiej?, że: ***„ prędzej mu na otwartej dłoni kaktus wyrośnie niż Rosenfeld będzie w Polsce..." - I widzicie! – Nie wiem, czy ma teraz na ręce kaktus – może i ma, ale chyba tak się nie stało?! – widzicie jestem!*** „ – Później po zapoznaniu się z Jego innymi przygodami w świecie i Izraelu, opowiadał dokładnie o życiu w kibucu, gdzie przebywał, i o swej fizycznej pracy w Izraelu, etc. Mówił trochę o obyczajach, następnie o Ameryce, gdzie ***w Berkeley odwiedził Miłosza, a teraz pisuje z nim listy***, koloryzował spotkanie powrotu do Polski, które odbyło się przez Rzym, ciekawie opowiedział, jak to został przyjęty przez papieża w stolicy apostolskiej w Rzymie… zapewniając, że:

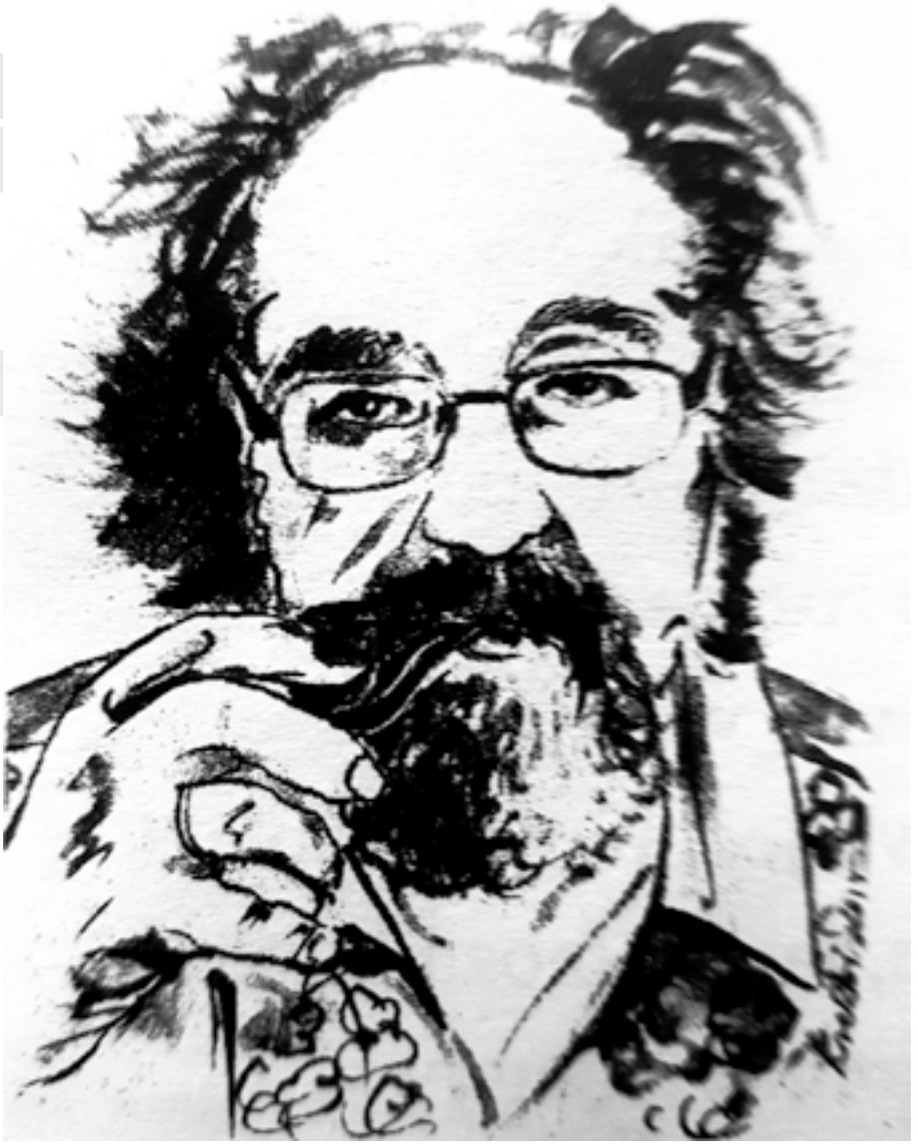

Portret charakteriologiczny Aleksandra Rosenfelda – Olka poety żydowskiego wykonał w 2015 roku - Zbyszek Ikona Kresowaty dla czasopisma „OP"– Krezbi

„papież ma i czyta moje wiersze, a tomik mój leży na nakasliku świątobliwości w sypialni - papież ma moje wiersze wciąż pod ręką..."

– Natomiast ja Olka poznałem po tym spotkaniu nieco bliżej właśnie w Kalamburze, zastałem go przy czytaniu jakiejś literatury, bywałem tam czasem - oczywiście wiedziałem o nim już dużo, że dużo kolorował i, jak to bywa z gawędziarzami artystami ma to we krwi, że zna tego i tamtego znanego artystę poetę – Rosenfeld, pytał mnie – bo myślał o pochodzenie, i czy jesteś Żydem? - i od razu potraktował mnie przyjaźnie i choć zapewniałem, że nie jestem Żydem - nie chciał wierzyć, ale tak już z nim zostało. Przeszliśmy na „TY" , bo on wszystkim mówił na „ty"– Olek w każdej rozmowie, przy innej okazji, wymieniał także znanych aktorów i dziennikarzy, że ich zna i wie co znaczą dla środowiska, podkreślił swoją znajomość z Cz. Miłoszem, o spotkaniu z Waclawem Hawlem w Pradze, a wcześniej poznał K. I. Gałczyńskiego, J. Stryjkowskiego w Warszawie, Jerzego Grotowskiego, Wisię Szymborską, a z Wojaczkiem i Stedem oraz innymi poznał się okazyjnie, np. w Poznaniu - wymienił tych, z którymi pisze listy, etc… mówił o złych kontaktach w środowiskach, *że nie lubiani są Żydzi, etc*... Znał wielu obecnych poetów i artystów polskich, zwłaszcza z Krakowa. Natomiast wracając do spotkania w Kalamburze - przyszło mu tutaj czytać to co zadeklarował, czyli swoje tłumaczenia wierszy, a były to teksty Achmatowej, i Brodzkiego. Olek wlazł wówczas na stolik kawiarniany, stojący po środku kawiarni, i zaczął czytać głośno te swoje przekłady. Powiało nieco konsternacją. Nie wiem do dziś, czy to była adrenalina po wcześniej wypitym piwie, które było dostępne w barze, czy ktoś ze zgromadzonych postawił mu drinka? - Kawiarnia artystyczna Kalambur była wypełniona do ostatniego miejsca,

nawet antresola przy szatni na pięterku. No i wówczas byli tu obecni poeci, pisarze i krytycy wrocławscy oraz kilku przyjezdnych. Olek tak się poruszał na blacie stolika, że o mało nie spadłby z niego... Oburzył się na to Marek Garbala – stały krytyk i bywalec kawiarni, był Janek Stolarczyk - krytyk literacki i dyrektor ówcześnie istniejącego jeszcze Wydawnictwa Wrocławskiego oraz Marianna Bocian – poetka, która zawsze pierwsza zabierała głos po prezentacji danego poety, był Stanisław Stabro z Krakowa, Józek Łoziński – wrocławski pisarz, Wojtek Izaak Strugała z Lwówka Śląskiego, inni…, było wielu znajomych i znanych poetów i poetek oraz studenci. Natomiast, pod dużymi zasłoniętymi oknami kawiarni, chodnikiem ulicznym w kierunku, *tam i z powrotem*, w stronę Uniwersytetu im. Bolesława Bieruta, spacerowały patrole „stanu wojennego" – Nazywałem ich wtedy zawsze po stalinowsku: „stupajki" – Otóż, pamiętam jak strasznie się piekliła wówczas szefowa Kawiarni Artystycznej i organizatorka tych spotkań Halinka Litwińcowa: ***„…Olek ja cię zabiję… błagam cię – zejdź ze stolika i trochę ciszej czytaj Achmatową – tym bardziej go nakręciła, bo czytał jeszcze głośniej i nie słuchał – „Olek! - zaraz tu wejdą i nas wszystkich spałują!*** „ – O to samo prosił obecny wtedy dyrektor Teatru **OTO Kalambur** Boguś Litwiniec - jej mąż. Prawdę mówiąc wszyscy, którzyśmy przyszli na to spotkanie, też nieco drżeliśmy w boksach, żeby nie wynikło z tego jakieś zamieszanie z wojskiem i w efekcie pałowanie! – poeci i outsaiderzy siedzieli popijając kawę, piwko i drinki, wierząc, że za chwilę tu nie wejdą zieloni i nie zaczną pałować, ale chyba oni nie wiedzieli kto to Achmatowa, Brodzki. Inni goście uczestniczący pili spokojnie herbatę, patrząc na ten niecodzienny spektakl. Olek czytał, z fajką w ręce, pociągając z cybucha co chwilę miedzy wierszami, po tych słowach Haliny nabrał jeszcze większej adrenaliny i wigoru - nikogo nie słuchał, można tylko przypuszczać jaki był zły na ulicznych stupajków i ich stan wojenny, że gotów ich do czegoś sprowokować – Czytał swoje teksty tłumaczone w sposób charakterystyczny dla siebie kręcąc się i przytupując na stole, pykając ulubiona fajkę. Jak pamiętam był to iście spektakl, którego dziś nie powstydziłby się ktokolwiek pracujący w teatrze... Niektórzy myśleli, że to jakiś akt teatralny OTO Kalambura! - Na szczęście, jak wspomniałem, obyło się bez interwencji, ale legitymowali nas przy opuszczaniu tego lokalu (przy ul. Kuźniczej) mieszczącego się blisko uniwerku im. Bolka Bieruta. Było już po godzinie policyjnej, przemykaliśmy z Marianną Bocian bocznymi uliczkami, (Bocian nigdy nie lubiła Żydów, ale Rosenfelda bardzo honorowała) przemykaliśmy w kierunku jej mieszkania na ul. Ścinawskiej (boczna ul. Legnickiej i Małopanewskiej) – udało się, nikt nas, ze stupajków, nie zaczepił, nawet nie widział. Ja musiałem przebić się później w okolice Nowego Dworu na nogach, gdzie mieszkałem – trwało to dodatkową godzinę, ale też mi się udało!

Jeżeli już wspominam Olka Rosenfelda, bo warto, gdyż było to bardzo dobry człowiek i poeta i tłumacz – i on o tym wiedział! - a nawet później był wziętym dziennikarzem. Był to bardzo dobry przyjazny twórca, bardzo żywy i uczuciowy, lubiący zwłaszcza towarzystwo wszelkich ludzi sztuki i kultury.

Następna dygresja: Kiedyś wynurzył się przy „Przejściu świdnickim we Wrocławiu" i od razu napotkał mnie. ***„ o! - jak dobrze, że cię widzę, co robisz?*** – ***zapraszam cię na kawę do*** **Empiku** – idziemy. Po drodze widzę przed ówczesnym PDT-em idzie aktor Ryszard Kotys z żoną i dzieckiem w wózku. Olek bez pardonu odskakuje i dobiega do nich – ja odszedłem na bok, a on ich zagaduje i gestykuluje, jak dobrych swoich znajomych. Rozmowa trwała może ponad 8 minut? - Doszedł znów do mnie – pytam - znasz Kotysa? – ***„A skąd, tak podszedłem i coś mu wspomniałem, a on na to przystał – widziałeś, że się przywitał i śmiał się - lubię go!…"*** – Po chwili byliśmy w pobliskim Empiku, który wówczas serwował kawę i ciastka, słyszę - **„weź kawę i ciastko"** – wziąłem i zapłaciłem, (ja zaproszony) po czasie w trakcie rozmowy Olek chciał mi już dać adres i telefon do Miłosza, choć o to nie prosiłem, ale… nie wziąłem! – pośmialiśmy się, choć jego ciężko było rozśmieszyć, ale sam sypnął jakąś kabałą. Co teraz robisz? – pytam ***– A wiesz wykładam łacinę i trochę hebrajskiego tu i ówdzie nawet na uniwerku. Jak z mieszkaniem? – Coś się klaruje w Urzędzie – nawet cieszę się na to, ale to pod Wrocławiem – nie szkodzi, byle coś było nad głową… Słuchaj weź jeszcze kawę i może jakieś ciastko, ja skocze do ubikacji*** – wziąłem- przyszedł i znów pijemy – on dużo opowiada o kontaktach, np. z malarzami - mówi: ***" Tchórzewski, którego znałem dobrze – to dobry wybitny malarz, ale schizofrenik, Kantor – znerwicowany, ale fajny artysta modernista"…*** „po chwili cały Kraków Olek wymieniał… Zorientowałem się, że lubi sztukę, obrazy, etc. Wypił kawę, ciastko zjadł do połowy – ***„wiesz śpieszę się - patrzy na zegarek, teraz – mam spotkanie z córką tu przed Empikiem, muszę iść do niej***" – Po chwili wyszedłem i ja. Olek już stał z córką – ładna dziewczyna, czarna o rysach żydowskich - przedstawił mi ją i za chwilę pożegnaliśmy się uściskami dłoni, poszli na zakupy do PDT. Tak ostatni raz widziałem po stanie wojennym Olka. Później spotkałem go znów we Wrocławiu, chodził po śródmieściu – ciągle śpieszył się gdzieś – Ale on zawsze się śpieszył, wiem, że robił w dziennikarstwie dobre rzeczy – wciąż spóźniał się i nie chciał o tym rozmawiać.

Cześć Jego ciekawej Pamięci!

Zbyszek ikona - Kresowaty

ROZENFELD ZMĘCZONY - wyk. Z. Kresowaty

POEZJA

Miłosz Broniszewski

Miłosz Broniszewski

DAJCIE CHLEBA Z PÓŁKI A NIE Z ŻUKA

na wsi naszej nigdy nie było sklepu
każdy odbywał pielgrzymkę poza granicę rowu aby żyć
każdy po stodołach orał jak mógł ziemniaczany humor
a nie depresja czy jak to zwał
chlebowy klakson skoro świt za grosze
prowidłowy spokój gorącego glutenu z okolicznych pól
tulił od zasiewu do żniw

próżnia deską cegłą smołą łatana
huczne otwarcie pierwszego sklepu przy kapliczce
popyt
podaż
wieś tańczy wieś śpiewa wieś się modli
nastała ta polska nieszczęsna wieś i tu

JA, OJCIEC, DZIAD, PRADZIAD.

przez ciemną wieś do domu idzie mimo że latarnie mają dziś urlop
trzeba iść bo jak nie iść
ojciec dziad pradziad szedł
kiedy po oczach smagał deszcz czy grad

w domu ziemniakiem pachnie na szybkim ogniu gotowanym
piątka dzieci odbiera witalność
brzydkiej kiedyś dziś brzydszej żonie

po ziemniaku conocny obowiązek pobożnej rodziny
dzieci słysząc
drżą
przed kolejnym bratem siostrą
drżą

przez ciemną wieś do domu idzie mimo że latarnie mają dziś urlop
trzeba iść bo jak nie iść
ojciec dziad pradziad szedł
kiedy po oczach smagał deszcz czy grad

STÓŁ JEST DO WSZYSTKIEGO

stół w głównej izbie był największy
we wnętrzu w razie potrzeby skrywał jeszcze więcej
drzazg żuru czy chleba z lat zapomnienia

do wigili go bebeszono
do ślubu bebeszono
do chrzcin bebeszono
wtedy do dziadka też go wybebeszono

tam gdzie talerze parować powinny nie parował dziadek
dębina ojcowska do dębiny dziecka przytulona
leżał tak i leżał nie pił nie jadł
leżał
baby wyły aż glina zmiękła
wyły aż dziadka wynieśli i zakopali
potem nikt nie wył

izba wywietrzona
talerze parują
jemy

Roman Warszewski

PRZEDE WSZYSTKIM SZACUNEK

Po szczegółowym przebadaniu, mumiom urządza się nowy pogrzeb. Schronienie znajdują w kamiennych szybach z okresu Starego Państwa

Bezkres piasków skąpanych w lejącym się z nieba żarze. Pofałdowanych, tu i ówdzie podszytych nieśmiało wystającymi na powierzchnię skałami. O stu odcieniach. Od bladej szarości, po intensywny żółcień, niczym świeżo rozlane żółtko. Ciągnących się kilometrami, a właściwie dziesiątkami kilometrów. Po horyzont. Jeszcze dalej.

– To największe cmentarzysko świata – mówi prof. **Karol Myśliwiec** wskazując na pustynię przed nami. – Jedna z najstarszych nekropolii, jakie zna historia. Rozciąga się po zachodniej stronie Nilu, między Gizą, a oazą Fajum. Pochówków, w różnych okresach i z różną intensywnością, dokonywano tu przez tysiące lat – przez całą historię starożytnego Egiptu: od Starego Państwa po okres ptolemejski, a więc po czasy po podbojach Aleksandra Wielkiego. Najprawdopodobniej są tu miliony grobów i mumii. Co najmniej dziewięćdziesięciu procent z nich nigdy nie odnajdziemy. Nie będzie ku temu ani możliwości technicznych, ani pieniędzy. Można powiedzieć: na szczęście. Bo... większość z nich jest bardzo podobna do siebie i z naukowego punktu widzenia – nieciekawa. Poza tym, co mielibyśmy z nimi robić?

Jesteśmy w Sakkarze na południe od Kairu., u stóp pierwszej kamiennej piramidy schodkowej – Piramidy Dżesera. Dla faraona o tym imieniu cztery i pół tysiąca lat temu wzniósł ją legendarny Imhotep – genialny architekt, inżynier, lekarz i artysta, któremu z czasem zaczęto oddawać boską cześć. Cztery i pół tysiąca lat to okres, który naprawdę trudno sobie wyobrazić. Gdy w piątym wieku przed nasza erą okolice te odwiedził grecki historyk Herodot, piramidy i te w Gizie, i w Sakkarze uchodziły już za stare jak świat. A dziś są przecież więcej niż dwukrotnie starsze niż wtedy.

Sakkara to jedna z najbardziej interesujących części pradawnej nekropolii memfickiej. To właśnie tu rodziły się piramidy. Tu powstał ich schodkowy „prototyp", który w nieco dalej na południe – w Dahszur, faraon Snofru – ojciec Cheopsa, poddawał dalszym eksperymentom. Snofru chciał rozstrzygnąć, w jaki sposób z piramidy schodkowej można uczynić piramidę o gładkich, skośnych ścianach. Była to bardzo mozolna praca, najeżona co najmniej kilkoma katastrofami budowlanymi, których ślady można do dziś odczytać z ruin wznoszących się pośród piasków pustyni. Ostatecznie jednak próby zwieńczone zostały sukcesem. Snofru wzniósł stumetrową tzw. Czerwoną Piramidę, która w porównaniu z Piramidą Schodkową oznaczała wielki postęp w architekturze i była utorowaniem drogi ku piramidzie największej – Piramidzie Cheopsa. Ta miała powstać niedługo potem - w następnym pokoleniu, pod rządami jego syna.

– Czewona Piramida w Dahszur jest w zasadzie Piramidą Cheopsa w miniaturze – mówi prof. Myśliwiec. – To niejako próba generalna przed podjęciem się dzieła największego – budową piramidy, którą później nazwano wielką. Bardzo podobne jest nachylenie jej ścian, bardzo zbliżone ukształtowanie wnętrza. Choć można przypuszczać, iż sami Egipcjanie za jeszcze większe osiągnięcie niż Piramidę Cheopsa byli skłonni uznać Piramidę Chefrena. Mimo że nieco niższa od Piramidy Cheopsa, jest bardziej strzelista, zgrabniejsza i jej ściany pną się w górę pod znacznie większym kątem, co dla jej budowniczych stanowiło duże utrudnienie.

Profesor Karol Myśliwiec zna te okolice jak własną kieszeń. Jest jednym z najzdolniejszych uczniów profesora **Kazimierza Michałowskiego** i kontynuatorem zapoczątkowanej przez niego chlubnej tradycji. Posiada znakomitą intuicję, która dla archeologa jest czymś niezbędnym i bardzo szczęśliwą rękę. Od lat, przez kilka miesięcy rocznie, pracuje tu i prowadzi wykopaliska. Ze staroegipskimi grobami, grobowcami i mumiami jest za pan brat. A stanowisko w podkairskiej Sakkarze, które eksploruje od połowy lat 90-tych, jest w nie szczególnie bogate.

– Nikt nie chciał tu kopać – mówi i pokazuje na teren przylegający do zachodniej ściany Piramidy Dżesera. – Wszyscy byli przekonani, że po tej stronie nie będzie można znaleźć nic godnego uwagi, że w starożytności był tu po prostu wielki śmietnik. Ja nie dawałem jednak temu wiary. Miałem ku temu konkretne powody. Po pierwsze - przemawiało do mnie to, że jest to strona zachodnia, czyli ta, po której starożytni Egipcjanie szczególnie chętnie chowali zmarłych. Po drugie – swego czasu trafiła do moich rak dziewiętnastowieczna mapa, na której były zaznaczone miejsca, w których kopali rabusie grobów: po tej stronie Piramidy Schodkowej było ich całe mnóstwo. Po trzecie – gdy w latach osiemdziesiątych przeprowadziliśmy w tym miejscu zwiad georadarem, pomiary wykazały bardzo wiele anomalii, które mogły oznaczać liczne puste przestrzenie pod ziemią. Puste przestrzenie, czyli... – groby.

Groby dla starożytnych Egipcjan zawsze były czymś niezwykle istotnym. Były jak zwierciadło, w którym z ogromną precyzją odbijał się ich dzień powszedni. Egipcjanie wierzyli bowiem w życie pozagrobowe i w to, że jeśli pomyślnie przekroczą próg śmierci, liczyć mogą na życie wieczne. Dlatego w podróż bez końca, która rozpoczynała się zaraz po śmierci, pragnęli zabrać ze sobą możliwie jak najwięcej – czy to w postaci malowideł zdobiących wnętrze grobowca, czy to sprzętów składanych u boku mumii. Pod płaszczykiem wiary w to czego nie widać, krył się ich skrajny materializm: pragnienie by mieć jeszcze jeden zestaw biżuterii więcej, jeszcze jedną przepiękną zastawę stołową, jeszcze jedną łódź...

Dlatego to – i jeszcze więcej - można odnaleźć w ich grobowcach.

Po uzyskaniu zgody władz egipskich prace na nekropolii w Sakkarze profesor rozpoczął w połowie lat 90. Dosłownie od pierwszego ruchu łopatą potwierdziło się, że przeczucie i intuicja ani trochę go nie zawiodły. Miejsce okazało się nadzwyczaj bogate w znaleziska. Tak bogate, że kolejne odkrycia, do których dochodziło praktycznie codziennie - z uwagi na konieczność ich starannej dokumentacji - paradoksalnie hamowały postęp prac.

– Od samego początku po zachodniej stronie Piramidy Schodkowej natrafialiśmy na ogromną ilość pochówków – wspomina profesor Myśliwiec. – Było tu ich zadziwiająco wiele, nawet jak na Egipt. W najwyższych warstwach stanowiły je mumie pochodzące z okresu ptolemejskiego – niektóre bardzo kunsztownie zdobione i o niezwykłej wartości artystycznej; niżej, czyli głębiej – mumie w kamiennych szybach, typowych dla okresów wcześniejszych. Niesamowita mnogość tych grobów nie dawała nam jednak spokoju. Chcąc nie chcąc musieliśmy zadać sobie pytanie: dlaczego jest ich tu aż tak wiele? Można było odnieść wrażenie, że ludzie po prostu chcieli, by grzebano ich właśnie w tym miejscu. Że Sakkara jest pod tym względem szczególnie uprzywilejowana.

W Egipcie są takie miejsca. Egiptolodzy o tym wiedzą. Jest nim na przykład miejscowość Abydos nad Nilem, gdzie – zgodnie ze staroegipską mitologią, miał znajdować się grób boga Ozyrysa. Z tego powodu, ośrodek ten z czasem przekształcił się w ogromne, bardzo prestiżowe cmentarzysko: kto tylko mógł, chciał po śmierci tam znaleźć miejsce ostatniego spoczynku. Kogo zaś nie było na to stać, na swoim sarkofagu kazał malować swoje zmumifikowane ciało na barce lub łodzi, odpływającej do upragnionego Abydos...

– W Sakkarze nie mieliśmy jednak takich mitologicznych konotacji – mówi profesor. – Musiał być jakiś inny powód, dlaczego tak wielu ludzi przez tyle setek, a jak się miało wkrótce miało okazać – tyle tysięcy lat, po śmierci chciało spocząć właśnie w tym miejscu... Zastanawiając się nad tym, doszedłem do wniosku, że prawdopodobnie w tej okolicy musiał w przeszłości zostać pochowany ktoś bardzo wybitny, znakomity, znany. Ktoś o kim pamięć wśród potomnych żyła i trwała bardzo długo. Ktoś, w kogo sąsiedztwie, miejsce spoczynku chcieli znaleźć także inni.

Kto to mógł być?

Nietrudno domyśleć się, jak brzmiała odpowiedź na to pytanie. W związku z bliskością Piramidy Schodkowej, kandydatura mogła być w zasadzie tylko jedna. Mógł to być Imhotep – ów genialny lekarz i architekt, wezyr faraona Dżesera. Człowiek, któremu przypisywano boskie przymioty i którego po śmierci, w dawnym Egipcie, otaczano boską czcią.

– Była jeszcze inna możliwość – opowiada profesor. – Mogło chodzić o grób samego Aleksandra Wielkiego, którego ciało po śmierci – jak wiadomo - zostało zmumifikowane i przewiezione do Egiptu. To jednak mogłoby tłumaczyć wielość pochówków z okresu ptolemejskiego, natomiast niewyjaśnione pozostawałoby „powodzenie" tego miejsca w epokach wcześniejszych.

Odkrycie tak jednego, jak i drugiego grobowca byłoby bez wątpienia sensacją na skalę światową – być może porównywalną z odkryciem w 1922 roku miejsca wiecznego spoczynku Tutanchamona w Dolinie Królów. A gdyby jeszcze któryś z owych grobowców okazał się nie splądrowany, lub przynajmniej okradziony nie do końca, byłaby to jeszcze większa gratka.

– Ja jednak starałem się o tym w ogóle nie myśleć – opowiada profesor Myśliwiec. – Nie chciałem niczego zapeszać. Widziałem, że jedyne, co mogę uczynić, to wsłuchać →

się w głos ziemi i za nim pokornie podążać. Doświadczenia, które zebrałem przez tyle kampanii wykopaliskowych uczyły mnie, że nie można niczego sobie życzyć, z góry zakładać, ani niczego stanowisku wykopaliskowemu „sugerować". Nie tędy droga. Po prostu trzeba robić swoje: najpierw odsłaniać, dopiero potem interpretować. Nigdy na odwrót.

Sezon archeologiczny w 1997 roku okazał się szczególnie owocny. Ekipa profesora stanęła wtedy u wrót dużego grobowca z okresu Starego Państwa. Wszystkim żywiej zaczęły bić serca. Czyżby... Imhotep? Szykowała się niemała sensacja. Jeszcze raz okazało się jednak, iż życie potrafi kreślić znacznie bardziej nieprzewidziane scenariusze niż wyobraźnia. Po odczytaniu hieroglifów znad wejścia okazało się, że właścicielem przepięknej świątyni grobowej był całkowicie dotąd nieznany wezyr z przełomu V i VI dynastii – Meref-nebef, zwany również Fefim. Historia wzbogaciła się o nową, nietuzinkową postać, polscy archeolodzy o znalezisko, którego do dziś zazdroszczą im egiptolodzy z Francji, Wielkiej Brytanii i Niemiec.

– To było naprawdę niezwykłe odkrycie – mówi profesor. – Przede wszystkim wyjątkowa była polichromia, która znajdowała się na ścianach pomieszczeń, w których składano ofiary bóstwom. Malowidła przedstawiały Fefiego na polowaniu i na dworskich przyjęciach. Mimo kruchego podłoża, na którym położono farby, kolory zachowały się wprost fenomenalnie. Z dnia na dzień staliśmy się odkrywcami najwspanialszych fresków z okresu Starego Państwa, z czasów gdy epoka budowy największych piramid zwolna chyliła się już ku upadkowi.

Sześć lat później, w roku 2003, tuż obok grobowca Fefiego, profesor Myśliwiec odsłonił wejście do bliźniaczego grobu. Tym razem jego gospodarzem okazał się kapłan o imieniu Ni-anch-nefertum.

- I tym razem mieliśmy niesamowite szczęście – kontynuuje profesor. – Teraz także znalezisko okazało się unikatowe. Grobowiec Ni-anch-nefertuma nigdy bowiem nie został wykończony, a na jego ścianach zachowały się malowidła i zdobienia w różnej fazie zaawansowania. Dzięki temu zyskaliśmy wgląd w poszczególne stadia pracy malarskiej. Tego jeszcze nie było. To przykład, z którego w przyszłości uczyć będą się wszyscy adepci egiptologii i historii sztuki.

Na samej górze stoku, na którym prowadzone są wykopaliska, czeka następna niespodzianka. Tuż obok muru, który należy już do okręgu grobowego faraona Dżesera, znajduje się komora grobowa, która do tej pory nie została odpieczętowana. Musi to być jakiś ważny grób, ponieważ odnawiano go przez przeszło dwa tysiące. Czyje ciało spoczywa we wnętrzu? O kim pamięć trwała aż tak długo? Oto pytania, które same się cisną. I odpowiedź, a właściwie – podpowiedź: Może tym razem będzie to Imhotep?

-Logika podpowiada, że to niewykluczone – mówi profesor Myśliwiec. – Bo jego grobowiec powinien znajdować się w sąsiedztwie grobu faraona, któremu służył, a więc w pobliżu Piramidy Schodkowej. Czyli – właśnie tu. Ale z drugiej strony, równie dobrze może to być miejsce spoczynku kogoś innego – kogoś, o którego istnieniu do pory w ogóle nie mieliśmy pojęcia. Tak jak było to w przypadku Meref-nebefa.

– Jego mumia została odnaleziona?

– Tak, znajdowała w szybie sąsiadującym z odkrytą przez nas świątynią grobową. Znajdowała się na wieku sarkofagu, który został obrabowany. Złodzieje, szukając kosztowności, rozpłatali jej głowę. Nie mieli zahamowań. To jeszcze jeden dowód na to, w jak iluzoryczny sposób starożytni Egipcjanie wierzyli w świat duchów i jak bardzo interesowała ich doczesność.

Ekipa profesora Myśliwca postępuje inaczej. Z odnalezionymi mumiami obchodzi się niezwykle ostrożnie. Mumie, mimo że w Sakkarze jest ich tak wiele, dla archeologów nie stały się przedmiotami i składnikiem krajobrazu. Nie, dla nich to szczątki ludzi, a bardzo długi czas jaki minął od ich śmierci, poczucia tego w żaden sposób nie stępił.

–Archeologia, wbrew temu, co mogłoby się wydawać, niesie wraz sobą również niemałe moralne dylematy – opowiada profesor. – Miałem je już wtedy, gdy czytałem papirusy, lub zapiski, jakie wykonano na kawałkach potłuczonej ceramiki. Były to teksty inne, niż te umieszczane na stelach, czy posągach.. Zapiski te miały ściśle prywatnego adresata. Było to więc trochę tak, jakby czytać czyjąś korespondencję, jakby rozrywać kopertę i zaglądać do jej wnętrza. Mimo że starałem się tłumaczyć to względami naukowymi, często czułem się z tym nieswojo.

– Tu, w Sakkarze, pod tym względem jest jeszcze gorzej – kontynuuje profesor. – Bo tu nie chodzi już tylko o teksty, zapiski, o prywatne myśli i emocje. Tu, dzień w dzień natrafiamy na ludzkie szczątki – pozostałości ludzi, którzy byli niegdyś tak samo żywi, jak my teraz. Nieraz, mimo upływu tysięcy lat, do dziś jesteśmy w stanie rozpoznać ich twarze lub nawet odczytać uśmiech, jaki gościł na ich ustach w momencie odejścia. Gdy wpatruję się w te oblicza, często przechodzą mnie ciarki po plecach.

Szacunek dla przedmiotu badań Profesor wpaja również swoim studentom i współpracownikom. Tak jak on, w setkach mumii, jakie w ciągu tych lat zostały przez nich odkopane w Sakkarze, widzą przede wszystkim niegdyś żywych ludzi. Tylko naprawdę nieliczne z tych szczątków trafiają do muzeów, natomiast pozostałe, po tym jak zostaną przebadane, zmierzone i sfotografowane, nie wędrują na śmietnisko*. Nie, z całym pietyzmem urządza im się powtórny pogrzeb, w którymś z pustych kamiennych szybów z okresu Starego Państwa.

To zwyczaj, który od polskiej ekipy zwolna przejmować zaczynają też inni archeolodzy pracujący w okolicy. Kłopot jest tylko z zapaleniem kaganka. Wiatr pustyni, mimo że taki gorący, często jest na to po prostu zbyt porywisty.

Roman Warszewski

Fragment powstającej książki „Skorpion w grobowcach faraonów"

* W latach 30-tych XX wieku, w paleniskach parowozów pociągów kursujących między Kairem i Luxorem, palono masowo odnajdowanymi wtedy mumiami

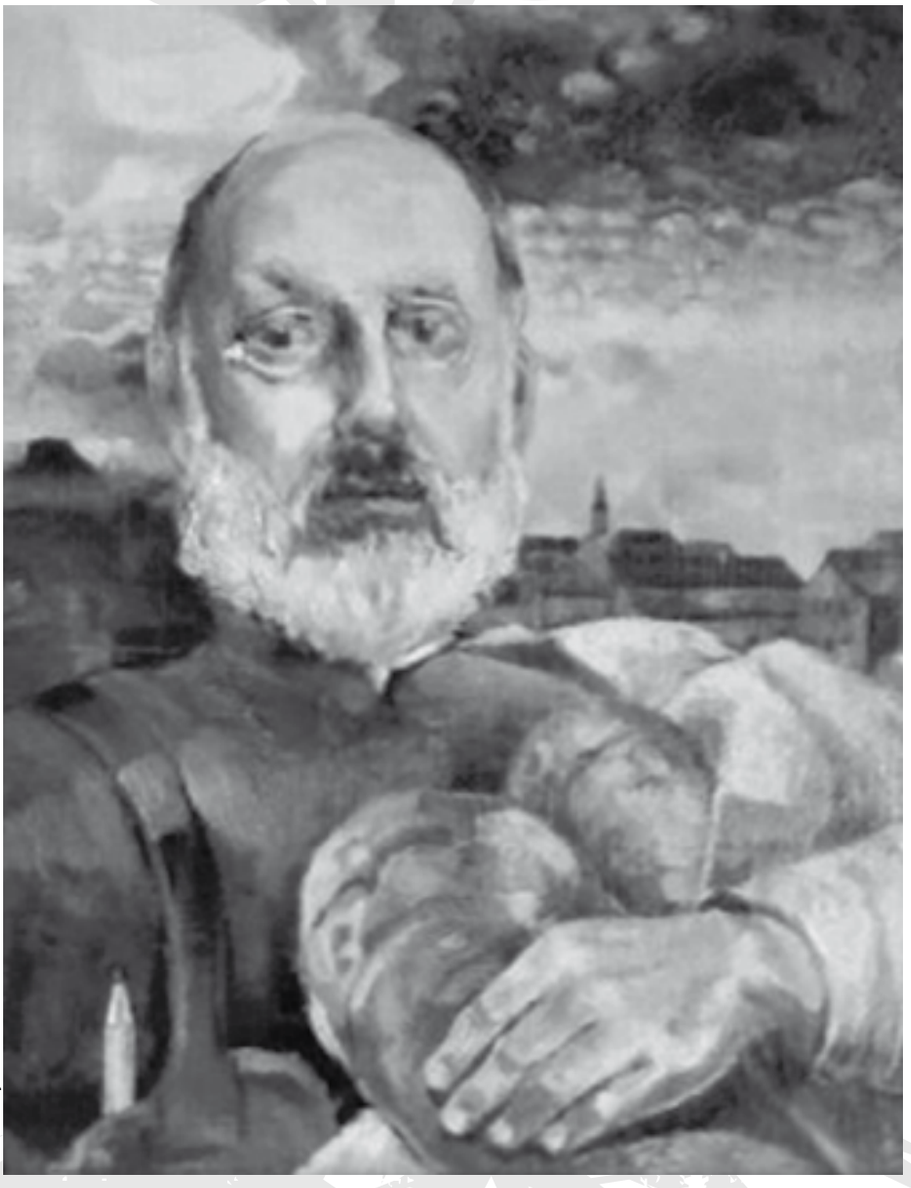

Marek Sołtysik

Jerzy Lengauer

„Kartki z historii Polski i świata"

WŁADYSŁAW ZAWISTOWSKI, „DOBRY ADRES: DRAMATY"

W roku 1980, kiedy Władysław Zawistowski zaczynał pisać „Podróż do krańca mapy", Polska była częścią zamkniętego obszaru nazywanego Układem Warszawskim, ewentualnie Radą Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Kraje rodziny socjalistycznej, której matką i ojcem była Moskwa, swoje granice, przynajmniej dla większości społeczeństwa polskiego, opierały na wyobrażonej Żelaznej Kurtynie i zdecydowanie materialnym, zmilitaryzowanym, pełnym zasieków, drutów kolczastych, wież i bud strażniczych Murze Berlińskim, z którego wystawały lufy karabinów maszynowych niczym wszędobylskie na ulicach w dwudziestym pierwszym wieku kamery. Za chwilę nie tylko mityczny Zachód, ale i państwa Bloku Wschodniego stały się dla Polaków przestrzenią tajemniczą, w której zachodzą procesy i zmiany dla nich nieosiągalne, pozostające poza możliwościami tutejszego społeczeństwa, ale niezwykle je interesujące. Jedynym sposobem eksploracji, który przyniesie wiadomości zza kopuły, jest przekaz państwowy. Aby doszedł do skutku, wysłana zostaje ekspedycja z ramienia rządzących. I tak zaczyna się właśnie „Podróż do krańca mapy: Sztuka sceniczna w dwunastu obrazach". Skład wyprawy wygląda niczym wysłana w kosmos wiadomość dla obcych cywilizacji, zawierająca przekaz kulturalny, filozoficzny i matematyczny, . Władysław Zawistowski dobiera członków według właśnie takiego klucza. Na czele ekspedycji stawia profesora geografii, dołącza zaś filozofa, lekarza, wysoko postawionego wojskowego, poetę oraz kapelana, uzupełnia służącymi i ordynansem. Znamienne jest, że postaci sprawiają wrażenie archaicznych, będące reprezentantami państwa o rozwoju cywilizacyjnym odbiegającym od tego, co może je spotkać poza granicami mapy. Na teatralnej scenie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie ich groteskowe stroje, zachowania i gesty wywodzące się z epoki zastałej w stosunku do świata wokół, który uciekł technicznie, przeobraził się społecznie, przeszedł już dawno kolejne rewolucje i ewolucje polityczne. Ci ludzie cesarskim rozkazem zostali zmuszeni do opuszczenia pałaców, rezydencji, willi. Rozstali się z marmurami, dywanami, pełnymi wina pucharami, stracili poczucie komfortu. Nieznane środowisko, zaczynające się poza murami miasta, skąd wyruszyli, jest niebezpieczne. Członkowie ekspedycji rozglądają się lękliwie dookoła, lecz ofiarami wilków padają na razie tylko muły i konie. Rozmowy próbują zniwelować strach. Są nieco buńczuczne, oparte na dotychczasowych naukach, które dowodzą, że od lat nie widziano w cesarstwie wilków. Sonet staje się ważniejszy od zagrożenia, a generał rozkazem podnosi moralność już tylko pieszej karawany, w rękach trzymana jest fuzja, zaś przy boku kołysze się szabla. Marsz trwa już wiele lat, ale ekspedycja nadal znajduje się w granicach państwa. Ofiarami ataków groźnej przyrody stają się ludzie. Tymczasem na szlaku nasi eksploratorzy spotykają miejscową ludność. Ich relacje negują dobrobyt będący siłą przekazu cesarskiego. Podobnie, jak z wilkami, przedstawiciele nauki i kultury potrafią się jedynie żachnąć, nie dać wiary, wybrać postawę autorytarną, tym bardziej że rozmawiają z ludźmi z gminu, których opowieści są nie do przyjęcia „politycznie", a propozycje skorzystania z usług kobiecych uwłaczające. Nagle gdzieś spoza sceny pojawia się sardoniczny uśmiech autora zmaterializowany w postaci cyklisty. Rower okazuje się nowoczesnym wynalazkiem, wielkim i ważnym wytworem technicznej myśli państwowej, ale już nie cesarskiej, lecz republikańskiej. Członkowie wyprawy, mimo że znajdują się o lata i kilometry od ośrodka władzy, zgodnie doceniają bicykl i wznoszą okrzyki ku chwale nowego porządku. Kolejne spotkania na szlaku przynoszą wieści o zmianach. Prezydent i parlament zostają obaleni, krajem rządzi dyktator. Wiatr historii co rusz omiata miasto niegdyś cesarskie i dociera do ekspedycji, której okrojony skład nie zamierza poprzestać eksploracji. Każdy z kolejnych obrazów utwierdza czytelnika, że wyprawa stanowi alegorię państwa polskiego, ewoluującego w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku. Pajacowatość bohaterów, ich wyobrażone sceniczne stroje, egzaltowane wypowiedzi, niezwykle historyczne rekwizyty i atrybuty wyolbrzymiają granicę, jaka dzieli Wschód i Zachód Europy owych czasów. W „Podróży do krańca mapy" niesie się pewne człowiecze doświadczenie, które zazwyczaj odrzucamy, gnani ciekawością, nadzieją, potrzebą zmian. Nowości i przemiany zachodzą w świecie, który znamy. Wpływ na przeobrażenia mamy największy tam, gdzie mieszkamy, uczestniczymy społecznie, kulturowo, politycznie. Eksploracja jest pełna niewiadomych, przynosi niebezpieczeństwa, zagrożenie życia, jego utratę. Największym zagrożeniem jest jednak samotność. To ona w obcym środowisku stawia nas pod graniczną ścianą, nad przepaścią, w środku wichury, odziera ze wszystkiego, co było nam dotychczas najbliższe: „Wieje coraz silniejszy wiatr, powietrze gęstnieje od przelatujących suchych liści. Nagły poryw zrywa płaszcz z ramion Vanitusa. Płaszcz odlatuje wydęty jak żagiel. W miejscu, gdzie spoczął Vanitus, siedzi nagi, wyszczerzony szkielet. Ciemność i coraz silniejszy wiatr..." [1].

We wszystkich zebranych dramatach pojawia się, jakby w kontrze do patriarchalnej, męskiej siły, postać kobieca, nabierająca znaczenia w miarę zbliżania się do finału. Świat mężczyzn traci na znaczeniu i ustępuje przed związkiem, partnerstwem, uczuciem lub wytrwałością swojego rodzaju feminizmu. Wyprawę w „Podróży do krańca mapy" kończy Dziewczyna, która jakby cierpliwie czeka, obserwuje. Do pewnego momentu niewidoczna, pojawia się, gdy widzi szansę. Jest zalążkiem czegoś nowego, czego możemy się jedynie domyślać.

W „Wysockim" kobieta również jest przeciwieństwem świata opanowanego przez mężczyzn. Próbuje jednak ratować nie cywilizację, kraj czy społeczeństwo, ale człowieka. Otoczyć opieką, wyrwać z toksycznego, politycznego, wojennego, powstańczego środowiska. I w „Wysockim" dzieje się to trochę inaczej niż w poprzednim utworze, ponieważ Zawistowski ratunek widzi nie w miejscu toczących się przemian, ale daleko poza nim, za granicą. Tutaj wagę przykłada do człowieka, zniszczonego, emocjonalnie rannego, z jednej strony pozostawionego na uboczu dziejących się wielkich wydarzeń, z drugiej cynicznie wykorzystywanego. Czy i w tym dramacie kobieta, hrabina Józefa Karska, nie jest główną bohaterką? Chyba tak, bo postacią najważniejszą jest bez wątpienia Piotr Wysocki, w którego majątku, podarowanym mu przez polskie ziemiaństwo, dzieje się akcja, a on sam w zasadzie nie schodzi ze sceny. Prawie przez cały czas pozostaje w centrum wydarzeń. To o niego trwa bitwa pomiędzy trzema siłami, próbującymi wyrwać go w kwietniu 1863 roku z miejsca opatulonego pamięcią o Powstaniu Listopadowym: zesłaniem, skromnością materialną i alkoholizmem. Władysław Zawistowski po każdej wizycie gości daje bohaterowi czas. Myśli, które wówczas nawiedzają Wysockiego, stanowią podstawę do jego własnych monologów i rzecz jasna prowadzonych dialogów z osobami go odwiedzającymi. Słowa członka obecnego rządu, Sybiraka, ziemianina i Karskiej wynoszą pułkownika na kolejne szczyty, na które on sam bądź niezwykle ciężko i powoli się wdrapuje, bądź nawet nie rozejrzawszy się ucieka, lub po prostu spada, ściągany siłą ciążenia starości i poczuciem, że jego dawna historyczna rola nie może się już powtórzyć. Podczas owych rozmów-bitew i walki wewnętrznej - które przywołują analogię do zmagań Wysockiego w 1830 roku, ale nie tylko militarnych z zaborcą, bo również o władzę w powstaniu, przyszłość Polski, rolę społeczeństwa, kierunek zmian - toczy się kampania narodowa i klasowa o Powstanie Styczniowe. Czytelnik obserwuje ścieranie się co najmniej dwóch poglądów, wizji dotyczących prowadzenia obecnej polityki, lęków obecnych u kierujących powstaniem, aż w końcu - jakby finalnie, jakby byłoby to zwieńczeniem polskiej rewolucji - zakulisowych, cynicznych, wstrętnych walk o władzę, podszytych prywatnym interesem, nienawiścią „ad personam", zasnutych cieniem pieniędzy i śmierci. Tak jak przegrane zostało Powstanie Listopadowe, tak zbliża się do klęski Styczniowe, ale i walka o Wysockiego kończy się przegraną. Bez względu na to, jakie argumenty stoją za każdą ze stron, etycznie i moralnie właściwe, politycznie wskazane, dla dobra Polski, czy wreszcie wielkie uczucia. Pułkownik jest przez dwa akty dramatu rozszarpywany argumentami, poddawany sugestiom, błaganiom, namowom, ofertom, które są jak Akwilon z bajki Krzysztofa Niemirycza z 1910 roku, łamiący tutaj z pozoru silne dęby, które stoją hucząc i skrzypiąc nad niby słabą trzciną, Piotrem Wysockim. Wszyscy odchodzą, pozostaje →

trzcina, która kołysze się ciągle na tym samym wietrze: „Wysocki milczy, można sądzić, że śpi. Żandarm przez chwilę mierzy go wzrokiem, potem obchodzi wolno cały salon, zagląda do sypialni, wraca do Wysockiego. Dostrzega wódkę na stole. Żandarm (z ulgą) Aaaa – wot kakije eto zasiedanija. Nu – ładno! (nalewa sobie kieliszek, wypija) Eto błagonadiożno!" [2].

Ponad dwieście lat później Pułkownika zastępuje Jacek Smulski, znany działacz związkowy i opozycyjny. O nim i jego przyjaciołach, kolegach, współpracownikach na scenie strajku i uczelni opowiada Głos Autora, który jest - co wynika z jego wypowiedzi pojawiających się pod koniec niektórych obrazów dramatu „Stąd do Ameryki" - również uczestnikiem wydarzeń końca lat siedemdziesiątych i prawie całych osiemdziesiątych. Mimo podsumowującego reporterskiego tonu w jego wypowiedziach odczuwa się wielki smutek, pewien żal i chyba nieco tęsknoty za czymś utraconym, być może wspólnym strajkowaniem, podziemną działalnością, które zacieśniały więzy towarzyskie podczas tajemnych spotkań. W takiej scenerii Zawistowski umiejscawia kilkoro młodych ludzi działających w opozycji, mniej lub bardziej radykalnie podchodzących do własnej aktywności dysydenckiej, a prócz nich urzędnika partyjnego oraz nie dość pewną siebie oportunistkę, która jednak odegra znaczącą rolę, gdy komfort świata prywatnego zacznie przeważać w społecznej świadomości w zbliżającej się do demokratycznego przełomu Polsce. Tenże świat istnieje oczywiście i w okresach wzmożonych działań opozycyjnych. Zawistowski pokazuje go na przykładzie rodziny jednego z młodych ludzi związanych z Solidarnością. To tam widzimy zmieniające się poglądy, próby odnalezienia się w ewoluującej rzeczywistości, w której główne role odgrywają Partia, Kościół, kombatanctwo. To tam, w ścianach małego mieszkania, odgradzających „prawdziwe życie" od strajków, pełno jest zarzutów o konformizm, strach, utratę pracy i możliwości wyjazdu naukowego na Zachód, wyrzucenie ze studiów. W Stoczni Gdańskiej dzieją się rzeczy, które zdominują na lata polską politykę, ale opisane są w dramacie jakby enigmatycznie. Nawet rozmowy prowadzone w klubie studenckim w cieniu siedzących obok tajniaków, , niespecjalnie wzbudzają dreszcz emocji. Autor rozmyślnie nie podnosi w tej scenerii atmosfery zagrożenia czy podniosłości. Tutaj priorytety zostały zredukowane. Czy dlatego, że uczestnikami są młodzi ludzie? Fizycy, poloniści, plastycy, chemicy, lekarze… To jest jakiś zarzut, podobny do tego, który pojawił się w „Wysockim"? Że nie można, nie trzeba, należy pozostawić, dać spokój i szansę. Wielka historia nie powinna wciągać wszystkich. A może powinna omijać? Władysław Zawistowski znowu stawia czytelnika przed bardzo ważnymi wyborami dotyczącymi Polski. Politykę, przyszłość, zmiany społeczne przeciwstawia tutaj potrzebie kreowania prywatnego świata, rodzinnego i zawodowego. Na czym ma polegać doskonałość podejmowanych decyzji? Znane szeroko w literaturze rozdarcia przenosi do lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku i pokazuje dwudziestoparolatków tracących w niespokojnym, niedemokratycznym, autorytarnym państwie szansę na rozwój, ale owładniętych nadzieją na „lepsze jutro" Polski. Co jest lepszym wyjściem? Skorzystanie z szansy wyjazdu zawodowego, naukowego za granicę czy przyłączenie się do opozycji? Poniekąd znamienne jest to, że Zawistowski nie pokazuje w dramacie „starych" dysydentów. Nie omawia ich argumentów. Młodzi ludzie muszą sami podejmować decyzję. Bitwa o wybory toczy się zatem w mieszkaniach prywatnych, które pustoszeją. Głos Autora donosi o kolejnych wyjazdach zagranicznych, które są bądź wynikiem ogromnej desperacji, skorzystaniem z „ostatniej szansy", lub decyzji głęboko przemyślanej, ale tak czy inaczej tragicznej. Dwudziestoparoletni pozostali w Polsce są internowani, ukrywają się, kobiety próbują swoim ciałem kupić wolność mężów, albo po prostu nie wiedzie się im najlepiej, jak oportunistce Ewie Rabskiej, niegdyś malarce. Jej wybory, jej decyzje, jej poszukiwania to rozpaczliwe próby znalezienia miejsca u boku partnera (z dzieckiem, jak się później okazuje), realizowania się w pracy, której wykonywanie jest doceniane, która jest zgodna z jej talentem i zamiłowaniem. A świat patriarchalny, jak nieraz bywało w historii w czasie wojen, powstań, rewolucji, upada, zanika. Rabska zostaje sama, straszliwie sama: „Moje życie tutaj… przez te dziesięć lat… było naznaczone zdradą – och, może to zresztą zbyt duże słowo – powiedzmy, niewiernością. Nie dochowałam wierności – sobie, zasadom, ideom, mężowi. Zresztą być może najgorszym rodzajem niewierności jest utrata wiary?" [3]. A co z Jackiem? On, jak i inni, wyjechał z Polski, wcześniej ukrywając się (co można ująć w cudzysłów lub po prostu napisać, że mieszkał) w mieszkaniu Ewy. Tak to u Władysława Zawistowskiego możemy inaczej spojrzeć na mity, nieco, na ile pozwala poprawność historyczna, zwątpić w narodowe posągi i bohaterów, które jakże łatwo kobieta domagająca się własnych praw potrafi strącić z postumentów.

Do tomu 18 serii „Dramat Polski. Reaktywacja" utwory Władysława Zawistowskiego zostały wybrane przez Zbigniewa Majchrowskiego. Spośród sześciu dwa nie dotyczą bezpośrednio historii bądź współczesności Polski, ale są z nimi bardzo związane. Pewnych analogii doszukiwałem się w pierwszym dramacie, czyli „Podróży do końca mapy", chociaż jego akcja dzieje się i poza czasem, i poza znaną nam państwowością, odnosząc się jednakże do zachodzących historycznych i współczesnych przemian politycznych i społecznych. Bliżej mu zdecydowanie do opowiadań Dina Buzzatiego, gdzie ważniejsze, niż określenie czasu i miejsca, jest odniesienie do człowieka, jego lęków i tęsknot w obliczu ciągle powtarzających się dziejowych dramatów, jak chociażby „Siedmiu posłańców" [4].

Czwarty z kolei utwór Władysława Zawistowskiego jest medialną antyutopią, którą w roku 1999 przewiduje jak będzie wyglądała w bardzo niedalekiej przyszłości telewizja, pokazując nie tyle zmiany technologiczne, ale opanowanie czy wręcz przejęcie władzy nad całym światem przez wielkie koncerny medialne. To jednakże nie byłoby chyba aż takim koszmarem, jeśli nie zdalibyśmy sobie sprawy, jakie złe zmiany zaszły w nas, a czwarta władza, zamiast stanąć po stronie etyki, kultury, sztuki, edukowania społeczeństwa uznałaby, że będzie hołdować naszym najniższym instynktom. Dlaczego? Bo jest to medialne. Bliski Wschód (trudno spodziewać się, żeby autor „Witajcie w roku 2002" przewidział agresję Rosji na Ukrainę, czy jakąkolwiek wojnę) od wielu lat koncentruje naszą uwagę z powodu nieustających bądź wybuchających nowych konfliktów. Dzieje się to oczywiście za sprawą mediów, które słusznie informują świat o tym, co dzieje się na pograniczu trzech kontynentów. Ale czy właściwie postępują, że epatują nas obrazami wojennymi dramatami? Zanim jednak przeniesiemy się w przyszłość, dla Zawistowskiego w rok 2002, dla nas chyba chowającą się tuż za rogiem, progiem historii, bądź krawędzią ekranu telewizyjnego czy monitora komputera lub smartfona, zostańmy na chwilę w 2023 roku i spójrzmy na dziecko, nastolatka, człowieka dojrzałego, osobę dużo starszą, siedzących w jakimkolwiek środku komunikacji miejskiej i wpatrzonych właśnie w elektroniczne urządzenie przynoszące najświeższe wiadomości od koncernów medialnych i portali społecznościowych. Nasze oburzenie (bo tak przecież wypada uczynić) zostaje momentalnie zredukowane przez specjalistę zawodowo zajmującego się serwisami internetowymi, ponieważ według niego świat realny istnieje już jedynie cyfrowo. Stamtąd czerpane są wszystkie informacje. Po co zatem odrywać wzrok od monitora i wytężając oczy przenosić na mijany słup ogłoszeniowy, żeby dostrzec na nim interesujące wydarzenie, jeżeli obraz, tekst i wszelkie do niego wyjaśnienia - odnośniki, tłumaczenia i cokolwiek sobie wyobrazimy i wymarzymy- znajdują się w odległości nie kilkunastu metrów i to jedynie przez chwilę, ale kilkanaście centymetrów od naszej twarzy i na zawsze. Żeby świat nas oglądał i ewentualnie troszkę czytał, musimy zapewnić mu nie literaturę antyczną, ale ciągły przekaz zmieniających się wydarzeń. Chór grecki to telewizyjny komentator, najlepiej mówiący do nas pośród huku wystrzałów, wybuchów bomb, rzężenia umierających, krzyków gwałconych. Gdy umierają kolejni rozmówcy, pozostali zdają się nie reagować, nie poruszać. Tak u Zawistowskiego pada etos korespondenta wojennego, którego śmierć nas nie porusza. Dostrzegamy ją kątem oka, właściwy wzrok skupiamy na tym, co dzieje się na środku ekranu. Chór sześciu staruch wykrusza się, groteskowo dogorywa, głosy zdają się imitować mówiące zabawki, którym wyczerpuje się bateria, kobiety poruszają się niczym marionetki na wyrobionych sznurkach. Telewizyjnemu odbiorcy przyszłości Władysław Zawistowski funduje przekaz, w którym rzeczywistość nie musi być realna, dosłowna, teraźniejsza. W didaskaliach miesza się obraz z kamery, znajdującej się na miejscu wydarzeń, z obrazem na ekranie. Raz jesteśmy przed hotelowym telewizorem, za chwilę na ulicach i placach, gdzie toczą się walki. Feeria widoków i iluminacji może być jedynie cyfrowym fantastycznym produktem. A może to widz jest awatarem? Żeby pieścić i obskakiwać odbiorców, światowe koncerny medialne uznały, że dadzą im ich ulubione przekazy. A żeby można je było nadzorować, po prostu je sfinansują. Jeden z bohaterów „Witajcie w roku 2002: Sztuki telewizyjne" twierdzi, że o wiele większe korzyści dla wszystkich przynoszą nie narkotyki i handel żywym towarem, lecz finansowana i kontrolowana wojna w miejscu, w którym mieszkańcy nic już innego nie umieją i nie znają oprócz toczenia bitew, powstań, przewrotów, rewolucji. Spomiędzy absurdalnych dla nas reklam - w których największą rolę odgrywa, jakże inaczej, seks, jakby przypieczętowanie panującego patriarchatu - oraz „dogranego śmiechu z offu" wyłania się nieco przypadkiem miejscowa dziewczyna, wychowywana regionalnie, etnograficznie, antropologicznie, przeznaczona do zamążpójścia za królewskiego syna, który ugania się oczywiście z karabinem i wiązką granatów. Zawistowski

zatem ponownie oddaje w ręce kobiece wybory i decyzje. Tutaj dotyczą one tylko i wyłącznie jej. Ma szansę wyrwania się z patriarchalnej wojennej teraźniejszości i przyszłości do społeczeństwa coca-coli i hamburgerów, do męskiego akademika, miłości lesbijskiej, studiów uniwersyteckich i swobody podróżowania. Wszakże owa sposobność istnieje tylko dlatego, że „(…) jest porządek. (…) Trudno się dziwić, że oni w końcu zrobili z tym porządek. Zamknęli nas jak bydło w zagrodzie. Wymyślili dystrykty wojenne i strefy zmilitaryzowane. Konwencje humanitarne i transportowe, a w końcu transmisyjne. Na początku kombinowali pewnie bez szczególnie złych intencji, po prostu chcieli się od nas skutecznie odgrodzić. Ale kiedy się okazało, że na nas też można zrobić interes, od tej zabawy odsunięto polityków, a wzięły się za nas naprawdę tęgie głowy. (dograny śmiech z offu) (…) Okazało się, że wszystkim najbardziej się opłaca zostawić wszystko tak, jak jest. (…) Tylko że teraz to i tak nie ma już żadnego znaczenia, bo i oni, i my doskonale zarabiamy na transmisjach. To są ogromne pieniądze. Znacznie większe niż te resztki narkotyków i handel żywym towarem" [5]. Krista rzeczywiście rozstrzyga o swojej przyszłości, ale w sposób zaskakujący. Jednak może niekoniecznie? Przecież to bliskowschodnie jutro, patriarchat, wychowanie, przeznaczenie. Innego wyboru nie mogliśmy się spodziewać. Ale czy naprawdę Zawistowski ma na myśli sytuację kobiet w Syrii, Afganistanie, Iranie? Może rzecz w panowaniu mediów społecznościowych, wychowaniu przez cyfryzację, Internet, we władzy nad naszymi opiniami, postanowieniami, osądami?

Brak pracy, trudności ze znalezieniem, kupnem i opłacaniem mieszkania, strach przed wykupywaniem ziemi przez Niemców, kamienic przez Żydów. Ciągłe nadzieje na łatwy zarobek, ale gdy nie trafia się w Totka, pozostaje inny los, nieoczekiwany spadek albo… ukryty w ścianie skarb! W „Dobrym adresie: Sztuce telewizyjnej" znajdujemy się ponownie na polskim Wybrzeżu, tyle że w państwie już demokratycznym, choć nadal targanym przemianami, które nie tyle wpijają się jak szpilki w rodzinne ciała, ile są jak ostatnie gwoździe do trumny. Dobry adres jest dla rodziny Drewiczów potrójnie dobrym losem w tych czasach. Po pierwsze, mieszkanie znajduje się w kamienicy w atrakcyjnym punkcie dużego portowego miasta. Po drugie, nieoczekiwanie zjawia się na jego progu Ewa Grossman, która oferuje za nie bardzo, bardzo wygórowaną cenę i dodatkowo możliwość przebywania w nim, dopóki dotychczasowi właściciele nie znajdą nowego lokum. Po trzecie, Waldek Drewicz wierzy, że w ścianach z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, które niedługo opuszczą, znajduje się schowany majątek. Dramat składa się z dwudziestu scen, ale czytelnikowi narzuca się podział na trzy, może cztery opowieści. Pierwsza, która toczy się przez wszystkie sceny, to dialogi pomiędzy Dorotą i Waldkiem, Remkiem, czyli bratem Doroty oraz ponad osiemdziesięcioletnią sąsiadką. To są historie o trudach współczesności, niejasnościach, próbach wstania na nogi w niekorzystnych czasach, kombinowaniu, możliwościach założenia prywatnego interesu czy ich braku, rezygnacjach, depresjach i… wspomnieniach. Każda z tych osób inaczej widzi swoją przyszłość, ale i wiąże ją z najbliższymi. Jednak mimo poczucia pewnej wspólnoty rozmijają się. Są jak ówczesna parlamentarna wielopartyjność. Sąsiadka, Aniela Kobielowa, wspomina dobrą przeszłość. W pewnym sensie to wstęp do opowieści Ewy Grossman, która pewnego dnia staje na progu mieszkania. Propozycja kupna budzi w Dorocie najpierw zdziwienie, potem złość, w końcu lekceważenie. Warto było zapamiętać didaskalia ze sceny pierwszej, ponieważ wiążą się one z historiami, które czytelnik pozna w scenach od szóstej do jedenastej, a ponadto wpłyną na wnioski wyciągane w zakończeniu dramatu. Władysław Zawistowski najpierw podsuwa czytelnikowi dość mglisty obraz wydarzeń, której świadkiem była kamienica pięćdziesiąt kilka lat wcześniej. Aniela Kobielowa i Ewa Grossman są nitkami, które doprowadzą do kłębka współczesnych właścicieli mieszkania. Obie panie reprezentują dwa źródła historyczne, zaświadczające o najstraszliwszych czasach stalinizmu w Polsce. Autor oddaje im głos, zwraca naszą uwagę, żeby te głosy docenić, słuchać ich uważnie, ponieważ obok literatury i miejsc pamięci to one są świadectwem zbrodni dwudziestego wieku, wcale nie niemym. Tymczasem propozycja kupna mieszkania za atrakcyjną cenę staje się zalążkiem do tego, jaki stosunek mają współcześni do dawnych właścicieli nieruchomości, utraconych w trakcie i po ostatniej wojnie. Z jednej strony pojawia się szaleństwo, wręcz przywodzące na myśl „złote żniwa". Z drugiej, podświadome współczucie, zrozumienie, złość i niechęć do przebywania w miejscu, które zostaje skalane takim postępowaniem: „Czy ty, biedny głupku, naprawdę wierzysz w skarby Grossmanowej? Ona po prostu kupuje mieszkanie. (...) Zachowujesz się jak kompletny oszołom. To już nie moja sprawa... ale na pożegnanie dam ci, Waldek, dobrą radę: skoro ona coś wie, czego ty nie wiesz, a to cię aż tak bardzo dręczy, że świrujesz od tego, to po prostu nie sprzedawaj jej mieszkania" [6]. Zawistowski kończy dramat nie trzaskaniem drzwiami, ale smutną ironią, że może żadna z postaw wynikłych z oferty kupna nie jest właściwa, bo przecież kapitalizm rządzi się własnymi prawami, które zrozumiałe są bardziej przez starszą panią niż owładniętych emocjami młodych ludzi.

Jakże magicznym jest współcześnie słowo „rekonstrukcja"! Przywołuje w wyobraźni turystów, ważnych gości, tłum, hałas, muzykę, grill, kiełbaski, karkówkę, piwo w plastikowych kubkach, szczęk mieczy, wystrzały z armat, karabinów i pistoletów. To recepta miasta i gminy na sukces, podwyższone liczby we wszelakich statystykach, oklaski i schlebianie ze strony mediów. Władysław Zawistowski w ostatnim dramacie wita nas w świecie rekonstrukcji historycznych, które z roku na rok zmieniają nazwę, ideę i przebieg na militarne, narodowe, patriotyczne i religijne ku chwale i zadowoleniu władz politycznych i ideologicznych: „Przecież to ma być uroczystość patriotyczno-religijna. Chciałem zacząć od mszy, wspólnych modłów za dusze poległych. (…) To już pan zupełnie przesadził, młody człowieku. Czyli najpierw modły, potem komunia, oczyszczenie, a na koniec sceny gwałtu, nienawiści i przemocy" [7]. Pokazuje, że gdy z zachwytem wpatrujemy się w nadjeżdżający pod urząd miasta i gminy (co sugeruje bardzo małe miasteczko) samochód z napisem „Media", zapominamy o granicach, których przekroczenie może skrzywdzić mieszkańców nieidentyfikujących się z takim kierunkiem krzewienia kultury. Autor spośród miejscowej społeczności wyławia dla nas bardzo sugestywne postacie, które nie tyle obrazują konflikt pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami patriotyczno-religijnej rekonstrukcji bitwy z końca II wojny światowej, ile są przedstawicielami wydarzeń, których jesteśmy współcześnie świadkami i medialnymi odbiorcami. Dotychczas spokojną miejscowość nawiedzają zatem przeróżne współczesne koncepcje, nurty, inicjatywy i koncepty. Aplauz dla rekonstrukcyjnego pikniku ściera się z rezerwą, niesmakiem i strachem. Ta ostatnia emocja dotyka ludzi, którzy pamiętają wydarzenia sprzed kilkudziesięciu lat. Odwracają się od pytań, które zadają dociekliwi, chcący rekonstrukcję bitwy widzieć przez pryzmat prawdziwych historycznych zdarzeń, a nie reklamowy baner. Tragedia zaczyna zderzać się z podsuwaną miasteczku fikcją. Obiektywne wyjaśnienie wydarzeń sprzed lat to kolejny współczesny problem, na który Zawistowski zwraca uwagę, mianowicie dociekanie prawdy przez historyków, którzy pracują zgodnie ze sztuką, nie potykając się o progi tak zwanej polityki historycznej. Podobnie jak w „Dobrym adresie" najważniejsza w „Bitwie nad jeziorem Smęt" jest opowieść, która płynie z ust kobiecych. Jakby znowu przeciwstawiając się patriarchalnemu szaleństwu, które utożsamione jest z hałasem, rozgardiaszem, przemocą, ruiną, zgliszczami, kłamstwami. I mimo, że każda ze stron traci wiele na tym konflikcie, powstałych antagonizmach, to Władysław Zawistowski obarcza winą mężczyzn za brak delikatności, empatii i zrozumienia, egoizm, agresywne traktowanie otoczenia. W konkluzji nadlatuje odłamek, nie wiadomo, czy z Bliskiego Wschodu, tak straszliwie opisanego w „Witajcie w roku 2002", czy znad jeziora Smęt. Celem jest oczywiście mężczyzna, ale wybuch rani i kobietę…

W sześciu wybranych przez Zbigniewa Majchrowskiego dramatach Władysława Zawistowskiego opisana jest i Polska, i stojąca za progiem światowa dystopia, w której władzę nad duszami dzierżą siły chyba nadal niedoceniane przez wpatrzonych w swoje smartfony współczesnych. Zachodzące zmiany pokazuje autor nie tylko na przykładzie wielkich historycznych wydarzeń, które działy się w naszym kraju, ale sięga i do wyobraźni czytelnika, przenosząc go w scenerię fantasmagoryczną, gdzie ludzkie lęki, przywary, egotyzmy, partykularyzmy, lekceważenia, impertynencje, poniżenia nie są wcale fantastyczne. Na pozór bohaterki i bohaterowie dramatów dzierżą w dłoniach takie same emocjonalne atrybuty, ale nie sposób dostrzec pewnej linii, granicy, przechylającego się ciężaru, które dominują we wnioskach z każdego utworu i odwiecznych pytaniach rodzących się przy lekturze literatury pięknej.

---

[1] Władysław Zawistowski, „Podróż do krańca mapy: Sztuka sceniczna w dwunastu obrazach", w: Władysław Zawistowski, „Dobry adres: Dramaty", Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich, 2021, s. 105.

[2] Władysław Zawistowski, „Wysocki: Dramat w dwóch aktach", w: tamże, s. 194.

[3] Władysław Zawistowski, „Stad do Ameryki", w: tamże, s. 294.

[4] Dino Buzzati, „Sześćdziesiąt opowiadań", przeł. Piotr Drzymała, Jarosław Mikołajewski, Mateusz Salwa, Joanna Wajs, Marcin Wyrembelski, Czuły Barbarzyńca, 2021.

[5] Władysław Zawistowski, „Witajcie w roku 2002: Sztuki telewizyjne", w: Władysław Zawistowski, „Dobry adres: Dramaty", Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich, 2021, s. 329-330.

[6] Władysław Zawistowski, „Dobry adres: Sztuka telewizyjna", w: Władysław Zawistowski, „Dobry adres: Dramaty", Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich, 2021, s. 445.

[7] Władysław Zawistowski, „Bitwa nad jeziorem Smęt. Rekonstrukcja", w: Władysław Zawistowski, „Dobry adres: Dramaty", Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich, 2021, s. 476.

Andrzej Wołosewicz

PERYFERIE JAKO POETYCKI TOPOS, CZYLI BOHDANA WROCŁAWSKIEGO CENTRUM ŚWIATA W KĄTACH RYBACKICH

Wrocławski udowadnia, że poetycki język opisujący świat może być źródłem zachwytu. Oto wiersz „Il Silenzio – studium w szarości" otwierający jego „Wiersze wybrane":

Mężczyzna siedzi przy stole
książki na parapecie przysłaniają mu światło

W półmroku czyta wiersz Roberta Lovella o umieraniu
od dłuższego czasu próbuje zrozumieć
swoją śmierć – rozpisuje ją
niemal w sposób sceniczny
jakby stawiał znaki interpunkcyjne
przy każdym oddechu

już wie że można być scenarzystą reżyserem i aktorem
a gra w każdym akcie komedii
jest niczym wpływanie małego strumienia
w ciszę oceanu

zauważył że znajomi telefonują do niego coraz rzadziej
w gruncie rzeczy
nie przeszkadza mu to – odczytuje jako znak umykającego czasu

W wyobraźni stara się odnaleźć siebie dawnego
słucha grającą na trąbce Il Silenzio Melisse Veneme
aż do tego momentu
w którym orkiestra włącza się w krwiobieg utworu

powraca do książki Lovella
szelest kartek wytrąca równowagę w pokoju
powietrze przepływa spokojnie przez jego wyciągniętą dłoń

i ginie gdzieś w zupełnie nieokreślonej przestrzeni
za otwartym oknem

Kiedyś myślał że śmierć nigdy nie będzie jego udziałem

dziś dostrzega – każdego dnia jakaś maleńka część ciała
opuszcza go
przemierza ogromne przestrzenie kosmosu
pozbawiona jego oddechu
przerażona ginie w ciszy nie do zaakceptowania

to codzienność i jej tło
odczytane jakby znajdowało się za brudną szybą
którą swoją obecnością
pokaleczyły liczne sztormy krzyki mijających pór roku

nadal próbuje odnaleźć nieodległe przecież fragmenty młodości
i dzieciństwa do których chce się uśmiechnąć
ale wargi zaledwie wykrzywiają się
w jakimś niezrozumiałym szaleńczym grymasie niepokoju

mężczyzna odkłada książkę na stolik
przez chwilę zatrzymuje dłoń na jej okładkach – jest w tym czułość
całej biologicznej potęgi wszechświata

powrót do muzyki wydaje mu się zbyt śmiały

dlatego odwraca się do światła
i przez moment kieruje wyobraźnię
do pobytu Norwida w Domu Świętego Kazimierza w Ivry
być może przywołuje kogoś jakiegoś Michała Zaleskiego

czuje narastający ucisk w piersi
próbuje podnieść dłoń na wysokość serca

słyszy coraz głośniejszą muzykę
natrętność grającej trąbki wydaje mu się nie do wytrzymania

Il Silenzio wyszeptuje
chcąc wzrokiem odnaleźć płaszcz którym mógłby się przykryć

trąbka milknie

dłoń podniesiona do serca opada takim gestem
który wyrównuje wszystkie niedoskonałości świata

Właśnie język, nie sam świat, ten wszak pokracznieje nam coraz bardziej i coraz trudniej o wspólne miejsca, one raczej nas różnicują i wcale nie muszą kogokolwiek zachwycać, tylko dlatego, że zachwycają autora. U Wrocławskiego jest inaczej. Jego wiersze same się opowiadają, one są pisane *od człowieka do człowieka*. Jeśli się upieram – a się upieram – że wiersz jest jednostką rozrachunkową w rozmowie poety ze światem, to rozmowa, którą wiedzie Wrocławski jest klarowna, czysta, przepełniona jasnością nawet, gdy widać – a widać – ile siły go to kosztuje, gdy pisze wiersze przerażająco dosłowne, choćby te o swoim odchodzeniu, bo tom pożegnalny i w treści i w nastroju. Widać w tych wierszach, że poeta wie o odchodzeniu więcej niż nam o tym mówi, choć dzieli się przecież przeżywaniem, doświadczaniem odchodzenia dość obficie. Tę jasność, całą prawdę tej jasności otrzymujemy jak na dłoni, doświadczamy jej, możemy jej dotknąć: jeżeli pisze o miłości, to miłość ma imię. Jeśli pisze o dłoni, to czujemy jej dotyk. Bezpośredniość odczuwania, którą funduje nam poeta to jest szczególny dar dla czytelnika. Dawno nie dotykałem tak świata, a tak naprawdę drugiego człowieka poprzez wiersze, Bohdanie. Mógłbym w tym miejscu napisać, że te wiersze są wzruszające, bo są, ale to byłoby zbyt mało. One są poruszające, poruszają te pokłady ludzkich emocji, które są odległe od zgiełku codzienności (choć są w niej głęboko zanurzone, bo to ona nas kształtuje), więc dzielenie się nimi wymaga otwartości i… odwagi, duchowej, psychicznej, międzyludzkiej. Wrocławski w „Wierszach wybranych" na tę odwagę się zdobył już od samego początku, od pierwszych dwóch wierszy – oto drugi:

Ostatnia fala

Bogusi

Już wiem odpłynąłem zbyt daleko od brzegu
abym dał radę abym miał jeszcze siłę powrócić

I ta ciekawość tego co jest za horyzontem

Dlatego proszę nie stój dłużej
w deszczu na brzegu
Nie patrz jak drobinami piasku przelewa się ostatnia fala
i zastyga w świeży kopczyk niepamięci

Wróć do domu
Zaparz gorącą herbatę z cytryną

Wiesz że także ten wiersz został osierocony

Wyciągnij dłoń Zapewne będzie drżała
To szczegół bez znaczenia

Rozłóż palce w ten sposób w który
ja je rozkładałem przed pocałunkiem

Widzisz przepływające w poprzek dłoni
światło

Czujesz ciepły oddech
na opuszkach palców który powoli
przesuwa się wzdłuż dłoni
To płynie ostatnia fala
pełna kolorowego krzyku mew
słońca zapadającego się w głąb szlochu

Morza z dnem otwartym
jak rozłupany sztormem orzech

Spójrzmy na didaskalia. To tylko dłonie, wiatr, ciepły oddech, woda a nad nią (kolorowy!) krzyk mew, okruchy gestów jak okruchy życia - a ile w nich pełni, ile mówią. Wydobyć z normalności wrażliwość i piękno, wydobyć z niej wrażliwość na piękno, to poetycka robota najwyższej próby. Uwrażliwić, upięknić czytelnika wcale mu nie kadząc, pisząc po prostu o sobie i od siebie udaje się mało komu w dzisiejszej literaturze stawiającej na łamańce językowe, na eksplorację często wykraczającą poza komunikatywność poetyckiego przekazu, bo trzeba być oryginalnym, wyróżnić się, zaskoczyć. Nie trzeba, nasz świat jest tak naprawdę pod podszewką codziennej multiplikującej się kakofonii dość prosty, tylko trzeba dojrzeć, by to dostrzec.

Wrocławski ma na to dostrzeganie własny sposób jawiąc nam się jako klasyk, kontynuator klasyki w jej najlepszym wydaniu. „Lepi" bowiem swoje wiersze, swoją rozmowę ze światem z tych samych doświadczeń, sytuacji, momentów, obrazów, spojrzeń, gestów, słów i półsłówek, niedopowiedzeń, rozmów, milczenia, spojrzeń i zamyśleń, które są, bywają udziałem każdego z nas i robi to w naszym języku, nasz w tym sensie, że nie sili się na wymyślanie *poetyckich praw grawitacji* od nowa, nie prywatyzuje swojego poetyckiego idiomu w sposób, który blokuje lekturę, choć przecież ma ów idiom bardzo swój, bardzo zindywidualizowany, niepowtarzalny, charakterystyczny i ciągły, bo taki sam od początku, od „Linii Krat" (Wydawnictwo Morskie, 1967) poprzez „Inny smak księżyca" (Wydawnictwo IBIS, 2006), „Skazanego na peryferie" (Wydawnictwo Pisarze.pl, 2018) aż po „Wiersze wybrane". Wrocławski klasykiem jest, bo.... na nic się nie sili, pisze tak swobodnie, że ta swoboda aż... czytelniczy dech zapiera. I to nader często. Zwracam uwagę na tę swobodę także dlatego, że mówię tu o czytelniczej swobodzie autorskiego pisania, jakby to dziwnie nie brzmiało: chodzi więc o moją, czytelnika swobodę i łatwość odbioru a nie o łatwość samego pisania, której za Wrocławskiego nie orzekam. Więcej nawet, jestem głęboko przekonany o nieprzebranym morzu karpieli duchowych i językowych, które są ukryte za każdą literą „Wierszy wybranych". To wynika z atmosfery narzuconej czytelnikowi przez odchodzącego poetę. Bo - bądźmy uczciwi – to tom pożegnalny. Wróć proszę, Czytelniku, do dwóch pierwszych, zacytowanych tu wierszy. Tak nie pisze się ani na początku poetyckiej drogi, ani w drugiej czy trzeciej młodości, tak się nie układa wyboru wierszy *po drodze*, tak się układa wybór *ostatni*. Odchodzący poeta Bohdan Wrocławski wie, że to, co w życiu najważniejsze nie jest ani krzykliwe, ani nachalne, ani ekstrawaganckie. Wie, że najważniejsze sprawy, rzeczy, sytuacje dzieją się na co dzień, wydarzają się w naszej zwyczajności, dotykają naszej skóry, naszego bólu, naszej gruboskórności (bez której byśmy nie przetrwali) i wrażliwości (dzięki której jesteśmy, a przynajmniej bywamy, bardziej ludzcy), miłości, leku, radości, żalu, śmiechu i łez. To wszystko wyjawiają nam kolejne wiersze Wrocławskiego, ot, choćby takiej jak „Zdjęcie z autografem". Powtórzę jeszcze raz – tylko poezja klasycznie doskonała pozwala dostrzec w codzienności i zwyczajności jej niezwyczajność i niecodzienność. Dostrzec i umieć przekazać tych kilka wartych przekazania spraw np. że jest muzyka, muzyka rangi tej, którą śpiewa Ella Fitzgerald, która śpiewała całą sobą, która śpiewała właściwie całym swoim życiem, do którego głos był tylko/aż dodatkiem:

Zdjęcie z autografem

Zaparkowałem na niewielkim klifie
wszechstronne morze wdzierało się
szarym kolorem
w górę aż do nieba z nisko zawieszonymi chmurami

listopad otwierał swój dwudziesty
pierwszy dzień 2017 roku

W Apollo Theater w nowojorskim
Harlemie 21 listopada
w kulisach niewyraźnie rysuje się postać Chicka Webba
zaplątany między oświetleniowcami i
akustykami z bólem głowy
po wczorajszym przyjęciu

zastanawia się po jaką cholerę przyjechał do teatru
miast siedzieć w domu i szykować
program swojej orkiestry
na sylwestrowe zakończenie wkrótce
mijającego 1934 roku

Wkładam kasetę do samochodowego
radia
Ella Fitzgerald and Her Faumos Orchestra

Tę debiutującą Ellę Fitzgerald
słuchał w kulisach nowojorskiego teatru w Harlemie Chick Webb

mimo bolącej głowy czarna dziewczyna wydała mu się objawieniem
krwią która powinna pulsować najlepszymi rytmami
w prowadzonej przez niego orkiestrze

Po jego śmierci ona przejęła orkiestrę

W dziesięć lat później
w czasie powstania warszawskiego w
nieodległym Milanówku
urodziłem się ja
słuchając zupełnie innych rytmów
brzmiących na zewnątrz

W latach siedemdziesiątych na aukcji
kupiłem zdjęcie Elli z jej autografem
nie było już jej na tym świecie
na fotografii stała prosto z dłonią odstającą od reszty ciała
jakby chciała jeszcze wykrzyczeć wyśpiewać zamkniętą przestrzeń zdjęcia
być może powiedzieć tylko mi coś
bardzo ważnego artystycznie
zaskoczyć tym razem nie śpiewem
ale gestem uskrzydlającym scenę i
jej kulisy

jakiś matowy cień zarysowany na fragmencie kurtyny
ostro kontrastował z sukienką pełną
kolorowych kwiatów
autografem napisanym niedbale cienką
szminką do ust
który wdzierał się na wysokie czoło
w uplecione do góry włosy spięte szeroką jedwabna opaską

W młodości wyobrażałem sobie że odwiedzę kiedyś Newport News pójdę
brzegiem James aż do tego miejsca
w którym wpada ona do zatoki Chesapeake
i małych drewnianych butwiejących ze
starości dokach odnajdę tamten
świat i rytm nieodległej przecież murzyńskiej muzyki

Nie odwiedziłem Newport News ani
Beverly Hills
ani Stanów Zjednoczonych

w licznych przeprowadzkach gdzieś
zginęło zdjęcie Elli

Jest rok 2017 klif na brzegu Bałtyku
pośród sosnowych drzew na parkingu
w starym samochodzie siedzi siwy
mężczyzna
słucha śpiewającej Elli Fitzgerald

i jak mały chłopiec oddaje się ciągle
wszechobecnym w nim marzeniom

Wrocławski też pisze całym sobą, dlatego jego wiersze, każdy z nich, są jakoś totalne, pełne, całościowe. Gdyby nie pisał całym sobą, gdyby nie pisał „bebechami" – przepraszam za to określenie, ale ono jest w tym miejscu uczciwie, niezbędne nawet – też zapewne dostalibyśmy dobre wiersze, ale bardziej ukierunkowane w swoim przekazie, powiedziałbym – bardziej zindywidualizowane, nie totalizujące sytuacji autora i odbiorcy.

Być może ta łatwość czytelniczego odbioru poezji Bohdana Wrocławskiego bierze się z pominięcia tej – zawsze kuszącej – chęci przypodobania się publiczności poprzez odróżnienie, własny język, własne przesłanie, w których poszukiwaniu brniemy czasami zbyt daleko zapominając o tym, co wiedział już Heraklit a przypomniał Wittgenstein: język już u swych źródeł jest społeczny, wspólny, nie jest prywatny. Prywatny język nie istnieje, co dla poetów bywa kłopotliwe o tyle, że chcemy, co normalne, wyróżnić się własnym myśleniem, własnym głosem, własnym idiomem poetyckim, w końcu to my piszemy swoje wiersze a nie ktoś inny. I to normalne, ale stanowi jedynie zewnętrze poetyckiego przekazu. Nie warto na nim się skupiać szukając poetyckich gejzerów i wodotrysków. Warto robić z tego →

inny użytek - tak jak czyni to Wrocławski. Jego wiersze pisane są z poziomu pewnej podskórnej, cielesnej wręcz głębi naszego życia, są pisane z tego poziomu, który jest gatunkowo nam wspólny. I stąd ta łatwość dotarcia do czytelnika ze swoim przekazem, którą widzę - tak Cię czytam, Bohdanie – u Wrocławskiego. Jeżeli jestem na poziomie wspólnoty, także językowej (bo nie ma prywatnego języka i „prywatnych" ludzi, co Arystoteles już określił definiując nas jako istoty społeczne właśnie), to pewien wspólnotowy sposób porozumiewania się, mówienia do siebie i podobieństwo odczuwania, odbierania świata mamy jakoś zagwarantowany, zabezpieczony. I to, moim zdaniem, w sposób naturalny wykorzystuje Wrocławski. Zwróćmy choćby uwagę na to, jak swobodnie w jednym wierszu pojawia się u niego, bezkolizyjnie obok siebie funkcjonując, kilka osobowych sposobów narracji: myślę tu o pisaniu, prowadzeniu wiersza z poziomu „:my", ale i – w tym samym wierszu – z poziomu „ty" czy z poziomu autorskiego „ja". Widać to choćby w wierszu:

Urodzony w nocy

Prawdopodobnie ktoś kto urodził się
w środku nocy
w momencie w którym wiatr przyciska
oddech do ziemi
a stada średniowiecznych czarownic
opuszczają nas
zrozumie
nadszedł czas sztormu

najbardziej intymne sny cofają się w
głąb lądu

śpimy w zdumieniu które charakteryzuje
niemowlęta z zaciśniętymi koło głowy
piąstkami
nikt nie grzeszy grzech pierworodny
został zmazany lub zaginął tak
jak ginie echo wśród oszalałych
piasków pustynnych

powoli wymijamy się z naszymi pragnieniami
potrzebą biegania na bosaka po porannych trawach
osypanych rosą
chęcią trzymania kobiecych dłoni
przy swoich wargach
oddechem
starszym niż groty skalne na obrzeżach Pienin

w gruncie rzeczy
wiecznie budzi się w nas to
co jest najbardziej kruche
jakieś gesty na peryferiach cywilizacji
imperium rzymskiego odłupane fragmenty ceramiki
na których nie zdążyliśmy zapisać
własnego imienia
z nadzieją że odczytają je inni

klucze bocianów
w ciągłej wędrówce między kontynentami
cień nieuchwytnego natchnienia
które czasami odwiedza nas w dni
świąteczne

ale przecież dostrzegamy to aż nazbyt
wyraźnie
umierają wiersze
ich skrzydła trzepocą nerwowo
w poprzek naszej zadumy
i rozwieszonej w kącie pajęczyny
lub odwiedzają nas
pola bitew pełne rudych ruchów
w ciszy tak skondensowanej
że nikt nie może jej odczytać

pragniemy powracać nawet wtedy
kiedy zamarzną w nas
wszystkie nie odczytane myśli

milczysz zafascynowany swoją obecnością
palce w głębinach odczytują ostrość
wrzosów
traw nadbrzeżnych
pawich oczu na skrzydłach
schnącego od wiatru motyla
rdzy rozkładającej nasze wzruszenia

trzeszczą poszycia dachów pęka więźba
niczym bukiet rozlanego mleka
stygnie niebo osypane spróchniałym drewnem
w poprzek naszych ciał otwierają się autostrady
w upalne poranki wysycha krwiobieg

alfabet zbyt ciasny abyśmy mogli w nim
zapisywać nasze zdumienia

być może
tymczasem spadł pierwszy wiosenny deszcz
na krawędzi dachu starego domu usiadł anioł
ruchem pełnym zniecierpliwienia
poprawiał opadające pióra
był garbaty
coś szeptał zbyt jednak odległego
od czasu w którym zabłądził
abyśmy stojący na poboczu jego westchnień
mogli to odczytać i zrozumieć
jego twarz rozkapryszonego dziecka
nieskoordynowane ruchy skrzydeł
krople uderzające w rynnę ich muzyka
w środku gwarnego miasta
dotarły do mnie w tym czasie
kiedy niebo spurpurowiało
od wysiłku zachodzącego słońca
zrozumiałem nigdy nie uda mi się odlecieć
skrzydła nasączone wodą i niespełnieniem
w czasie zamieci śnieżnej przemarzły
strzępią się
z nich kolorowe sny fantazyjne piaskowe wydmy
zamki
ołtarze
składające się do wewnątrz rozgorączkowanego ciała
szkwał oczyszczający maszty
z resztek żagli i naszej zadumy

cóż można czcić bardziej od własnego pogaństwa
i barbarzyństwa

milkną w nas pałace Rzymu
błagania gwałconych kobiet dym pożarów
oczyszczający ulice z zarazy
galerie pełne
wyobraźni starych mistrzów

cóż można czcić bardziej od własnej niechęci
być może nic nie znaczące skrzywienie warg Hamleta
kłus małych tatarskich koników
dochodzący do naszych pragnień
ze środka średniowiecza

stosy palonych przyzwyczajeń
cywilizacji osieroconej z naszej godności
ciał niebieskich wypalonych przerażonych
brakiem światła i tlenu
wiecznie krążący wokół obojętności
wszechświata

jak my spadający ze szkolnych tablic
w głąb własnej dorosłości
wiecznie szukający miłości i spełnienia

Ale żeby nie było tak łatwo z tą łatwością, to powiedzmy od razu, że klasyczność Wrocławskiego, o której już wspomniałem, wynika także z tego, że jest on poetą kultury i to kultury z czasu, gdy była ona – przy całym swoim zróżnicowaniu – czymś jednym: dzieliliśmy wtedy świat na świat kultury i świat barbarzyństwa (także tego „cywilizowanego" barbarzyństwa), prostactwa (nie mylić z prostotą). Wtedy jeszcze zdegenerowanych form życia, a więc i kultury nie nazywaliśmy pop-kulturą, bo kultura w naszym pokoleniu dopiero ledwie zaczynała się pauperyzować, u-pop-kulturniać, dowcip zaczął przegrywać z rechotem, sznyt szarmanckości i kindersztuba zaczęły przegrywać z wulgarnością i chamstwem, także językowym. Wrocławski pisze swoje wiersze w starym dwubiegunowym paradygmacie: kultura – barbarzyństwo, dlatego jego wiersze są m o c n e, bywają p o t ę ż n e, bo stoi za nimi owa kultura i są w y c o f a n e, o d c h o d z ą c e, jakoś przegrane, bo przegrana jest kultura, z której wyrastają. Ale to już nie jest kłopot Wrocławskiego ani mój, chociaż tęsknotę i nostalgię za odchodzącym światem w nich widać aż nadto wyraźnie. Nie martwię się jednak, Bohdanie, pomny przesłania z „Lamparta" Tomassi de Lampedusy, gdy o jednym z bohaterów powiada się tak: „*Myśl o śmierci rozpogadzała go zawsze, tak jak zawsze niepokoiła go śmierć innych ludzi, dlatego że ostatecznie jego śmierć będzie może przede wszystkim śmiercią całego świata.*"

Świat poetycki „Wierszy wybranych" jest ubogacony o wiersze szczególnie mi bliskie, bo dedykowane poetyckim przyjaciołom Wrocławskiego, których miałem zaszczyt znać i ja. Wymieńmy kilka tytułów „Z praskich przedmieść odnotowani", „Wracając do Kątów Rybackich", „Łatanie

żagli", „Ktoś jeszcze łka". Te wiersze też należą do kultury, kultury ludzkiej i poetyckiej wspólnoty dusz i serc, dłoni i spojrzenia, radości i żalu, dumy i lęku – które dzielimy ze sobą. Wiesz, Bohdanie, że ta wyliczanka nie zastąpi tego, o czym myślę i o czym myślisz Ty pisząc i wspominając Andrzeja, Krzysztofa, Jerzego.

Kultura, wszystkie do niej odniesienia dzieją się w tej poezji w sposób naturalny, nie są tylko wtrącanymi błyskotkami znamionującymi erudycję autora – pełnią one funkcję spoiwa intelektualno-emocjonalnego, którego się nie wyjaśnia, bo jest oczywiste jak oddychanie, słuchanie (muzyka), podanie dłoni. Kultura w wierszach Wrocławskiego jest jego intelektualnym DNA, dlatego dzieje się ona w nich w sposób bezkolizyjny, jakby mimochodem, niemal niezauważalnie, niejako przy okazji. Ten sposób operowania kulturą, jej elementami (obrazy, utwory muzyczne, sceny filmowe czy teatralne, literatura) pozwala na coś, czego w takim natężeniu i sposobie nie znajduję nigdzie indziej, pozwala mianowicie poecie przenieść ją na peryferie swego świata, peryferie dwojako rozumiane, raz że na ów nadmorski skrawek *ojczyzny z wyboru* w Kątach Rybackich a dwa że pozwala wyewoluować ją w prywatnym doświadczeniu, które zawsze jest jakoś peryferyjne wobec ogromu świata. Peryferiami i na peryferiach jako poetyckim toposem Wrocławski operuje znakomicie. Dlatego to, co u innych często jest nieprzekraczalne, dwudzielne, kultura i przyroda, tutaj stanowią jedno: spójny kosmos poetycki, kosmos w starym, pierwotnym a zapominanym często znaczeniu - porządku. W „Wierszach wybranych" Wrocławski porządkuje siebie, swój świat, spuściznę życiową i literacką, pamięć, uczucia (przywołane akapit wcześniej wiersze poświęcone żonie i przyjaciołom). To porządna robota, Bohdanie, możesz być zadowolony, Ja jestem wielce.

Andrzej Wołosewicz

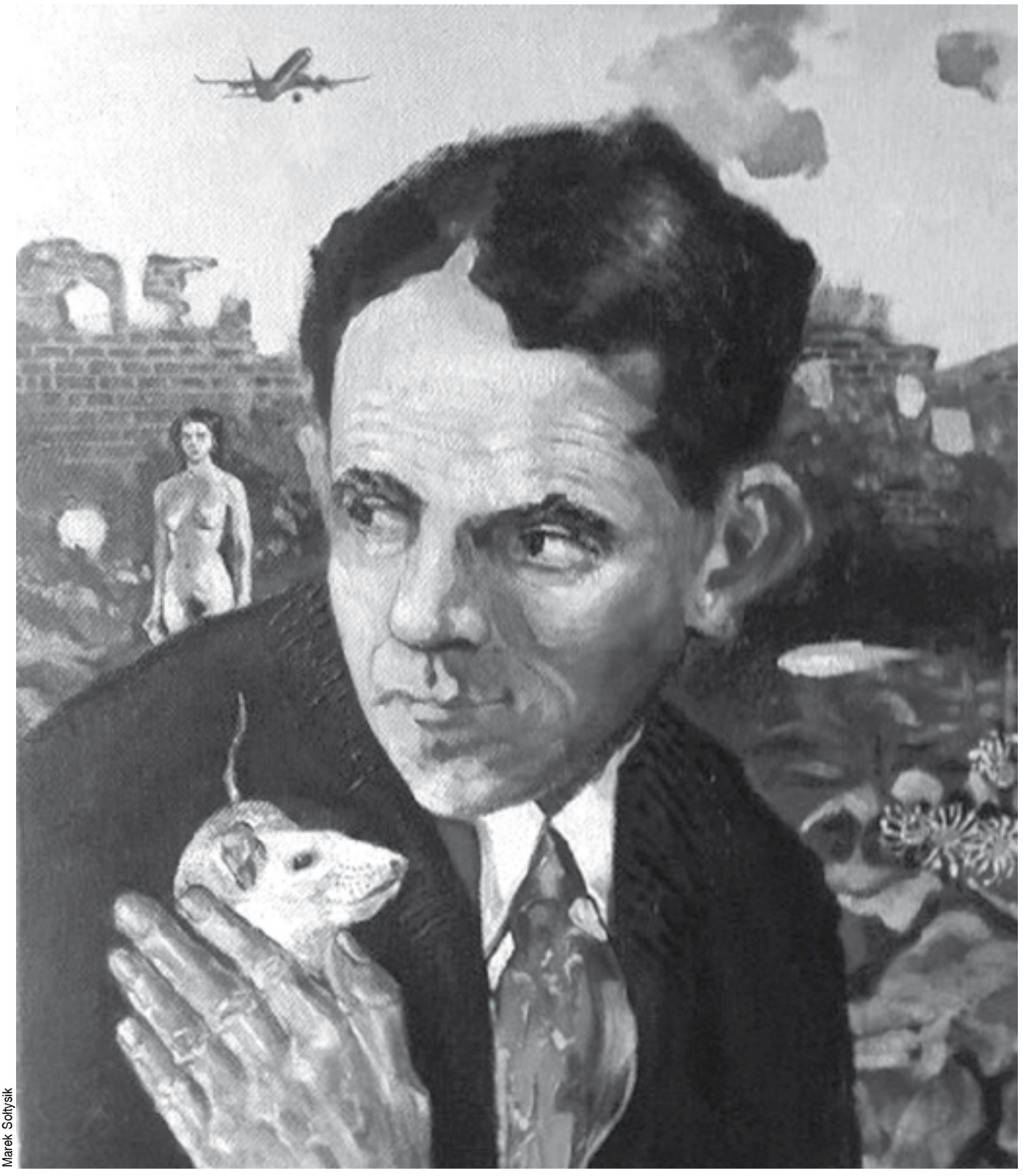

Marek Sołtysik

Paweł Kuszczyński

Poezja ocaleniem świata oraz człowieczeństwa

To szczęście – radość, że możemy spotkać się z taką pasją, entuzjazmem, który jest wszystkim (William Blake). Co jest tego podmiotem, nie przedmiotem, Boże broń najbardziej wartościowym – Poezja właśnie: *Poezja mi wszystko wyjaśniła* (taki optymistyczny tytuł nosi zbiór szkiców i esejów autorstwa Andrzeja Waltera).

Powiedzieć, że to książka bardzo potrzebna, to za mało. Przywołane zostają przymioty, cechy nobilitujące inteligenta: czyta poezję, słucha muzyki klasycznej, szlachetnością postawy się wyróżnia. Tego głosu nie można nie zauważyć. To jest głos pełnej wiedzy o współczesności i o jej uwarunkowaniach kulturowych.

Na początku Autor zadaje pytanie: *Komu potrzebna jest dziś poezja?* Pytanie to stawia zarówno tworzącym poezję jak i czytającym ten gatunek literacki wyrywkowo / dorywczo, bądź stale z nim obcującym. Równolegle z brakiem zainteresowania twórczością wierszowaną zagubiła się kultura słowa. Kto obecnie potrafi, a nawet zamierza mówić tak, że przyjemnością staje się jego słuchanie? Wystarczy przejść się po ulicy, znaleźć w centrum blokowiska i usłyszeć ten „współczesny" język. Nie ma w nim odrobiny piękna. Jakże zubożała jego komunikatywność, pozostawia wiele do życzenia: operowanie dziwacznymi skrótami, nadmiar wulgaryzmów, prymitywne korzystanie z angielszczyzny. Zapomnieliśmy o retoryce, sztuce artystycznej wypowiedzi. Zanika wrażliwość na urodę słowa, podobnie jak otwarcie na drugiego człowieka, jego zagubienie, samotność a nawet osamotnienie (o którym nie decyduje sam człowiek), chociaż pragnienia piękna, dobra i miłości tkwią w człowieku, są jakby właściwością jego natury. Odwiecznym pozostaje oczekiwanie zauważenia, miłości, a także prawdy. Tkwią one w nas, ludziach. Według Waltera poezja zawsze pozostaje mową (kiedyś ją nazywano oryginalnie: *mową wiązaną*) – *formą szlachetnego i zarazem dziwnego przekazu: myśli, uczuć i wrażliwości.* Zamiast słowa „dziwnego" może użyłbym w tym kontekście słowa „szczególnego / wyjątkowego" przekazu.

Nadal poezja zajmuje się sprawami ostatecznymi, ważnymi dla człowieka, sięga nieskończoności, eschatologii. Według Autora odbiór poezji współcześnie przypadł na *fazę milczenia*. Wierzy, że przyjdzie moment olśnienia, który przyniesie zmianę oblicza poezji, podobnie jak zmienia się oblicze Ziemi. Zmienią się również zakres i obszary recepcji sztuki poetyckiej. Obecny czas marazmu zniknie. Pojawić się musi nowe.

Wróćmy do tajemnicy, która ożywia, wzbogaca widzenie świata i człowieka, nauczmy się mądrze i cierpliwie czekać oraz przygotowywać się na zobaczenie owocu w pełnej jego krasie. Nie popadać w niewolę aktualności tego, co przemija (postuluje Anna Kamieńska). Czytając tę książkę przypomniał mi się ważny wiersz zawierający wołanie: Dzielcie się. Dzielenie się przynosi człowiekowi autentyczną radość / satysfakcję: ujrzeć zadowolenie w twarzy obdarowanego płaszczem, suknią, dobrym słowem. Wyjątkowo trafnie charakteryzuje Walter XXI wiek: *Ten wiek, jak na razie* (tu pewien optymizm) *dotyka nas swoją dosłownością, obnaża przed nami wszelkie tabu oraz gwałci nas mało subtelną popkulturą podniesioną do rangi świętości … staliśmy się wulgarnym stadem.*

Jak w tym wieku należy czytać wiersze Zbigniewa Herberta, pyta Autor pełen troski, a szczególnie te frazy:

„idź wyprostowany wśród tych co na kolanach, wśród odwróconych plecami i obalonych w proch / ocalałeś nie po to aby żyć (…) Bądź wierny. Idź. Płynie się zawsze do źródeł, pod prąd. Z prądem płyną śmieci (…) bądź odważny

w ostatecznym rozrachunku jedynie to się liczy".

Ważnymi stają się również w czasach obecnych takie wskazania: „Podstawowym obowiązkiem jest myśleć i mówić prawdę (…) Myśleć, to znaczy zastanawiać się nad tym kim jesteśmy i jaka jest otaczająca nas rzeczywistość. Oznacza to siłą rzeczy odpowiedzialność za słowo."

Bardzo liczy się obcowanie inteligenta z kulturą, ale kto naprawdę nim jest? Choćby jeden znalazł się, gdy tak będzie wołał ludzkość zostanie ocalona. Bertold Brecht przychodzi tutaj z pomocą, gdy mówi:

„Nie trzeba mądrości, nie potrzeba w ogóle mądrości, by wiedzieć, że jeden to więcej niż żaden"

Kultura, literatura w szczególności, to dziedziny od wieków elitarne. Noe był jeden, jedyny w swym przekonaniu, w swej wierze – a uratował świat i ludzi. Podobnie rzecz się ma z naturą. Sosna ma jedną kulminację / jeden wierzchołek. Poezja w naszym kraju ma się całkiem dobrze, o czym świadczą liczby: dwa miliony mieszkańców ją tworzy, wydając ponad pięćset książek w każdym roku. Zatem nadal pozostaje aktualne nazwanie Polski ojczyzną poezji i wolności. Natomiast dla poetów nastały wyjątkowo trudne czasy i tak jak określa Andrzej Walter: *Każdy, kto dziś wydaje poezję wyrzuca pieniądze w błoto. W sensie ekonomicznym. Czy jednocześnie wyrzuca w błoto wartości? Czy nie należy tak czynić wbrew zdrowemu rozsądkowi?... Sądzę jednak, że trzeba. Jeżeli mamy tu przetrwać jako ludzki gatunek.*

Autor nazywa współczesny czas okresem chaosu – stąd też i poezja jest taką poezją. A taka poezja potrzebna jest współczesnemu człowiekowi żeby próbował odnaleźć się w podarowanym losie.

Tezy zaprezentowane we wstępie książki znalazły swoje rozwinięcie / pogłębienie w pomieszczonych szkicach o przywołanych poetach i recenzjach znaczących tomów. Szczególnie bliski i ważny dla mnie okazał się tekst o „Sztucznych światłach" Anny Nasiłowskiej, w *którym dotarła do jądra rzeczywistości i naszej współczesności… tworzy jedyną w swoim rodzaju Odyseję przestrzeni i losu.* Także esej o tomie „Schody do nieba" Piotra Müldnera-Nieckowskiego wydał mi się bardzo interesujący: *To nie są schody, na których beznamiętnie rozkładamy czerwony dywan, aby bożki współczesności w świetle pazernych kamer i potężnych reflektorów majestatycznie wchodziły po swoje judaszowe nagrody… To są, być może, schody naszych polskich losów, schody naszej niszowej determinacji, naszego tragicznego w wydźwięku skazania na postać zachodniego Wschodu, bądź też, jak kto woli, wschodniego Zachodu. Są to schody naszego strachu przed kołem dziejów, które toczą się pomimo naszych buntów i niechęci do podejmowania wyzwań współczesności, których owocem jest jakby ciągły polsko-polski konflikt wyobraźni oraz mimowolnego osadzenia w klatce mitu.*

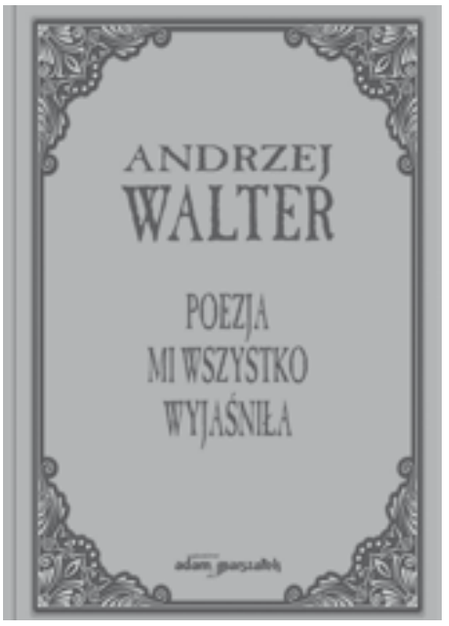

Wyjątkowo trafnie odniósł się do tego odważnego dzieła krytycznoliterackiego Andrzej Dębkowski: „Trzymacie Państwo w swoich dłoniach książkę wyjątkową. Na czym polega ta wyjątkowość? Na PRAWDZIE... Andrzej Walter napisał książkę krytycznoliterację wręcz unikatową w swoim wymiarze, jakiej obecnie trudno szukać na polskim rynku wydawniczym. W swoich rozważaniach osiągnął coś, czego dzisiaj bardzo brakuje współczesnym krytykom literackim – zrozumiał znaczenie słowa POKORA… Andrzej Walter jest krytykiem wyjątkowym, unikalnym, osobnym i niezwykle odważnym, dlatego literatura przez niego przedstawiana, to królestwo dla wrażliwców i nieustraszonych poszukiwaczy duchowej przygody..."

Co zatem pozostaje? Należy po prostu przeczytać potrzebną / wartościową książkę Andrzeja Waltera, która nie pozwala zapomnieć o „świecie poezji", umożliwia znalezienie / odnalezienie się w nim, spowoduje zobaczenie prawdziwej rzeczywistości, wyeliminuje skażenie kultury przez nachalną cywilizację i technologię.

Paweł Kuszczyński

Andrzej Walter: Poezja mi wszystko wyjaśniła.

Wydawnictwo Adam Marszałek. Toruń 2022. Stron 473. ISBN 978-83-8180-653-4

Zbigniew Kresowaty

Jak smakuje chleb od zająca

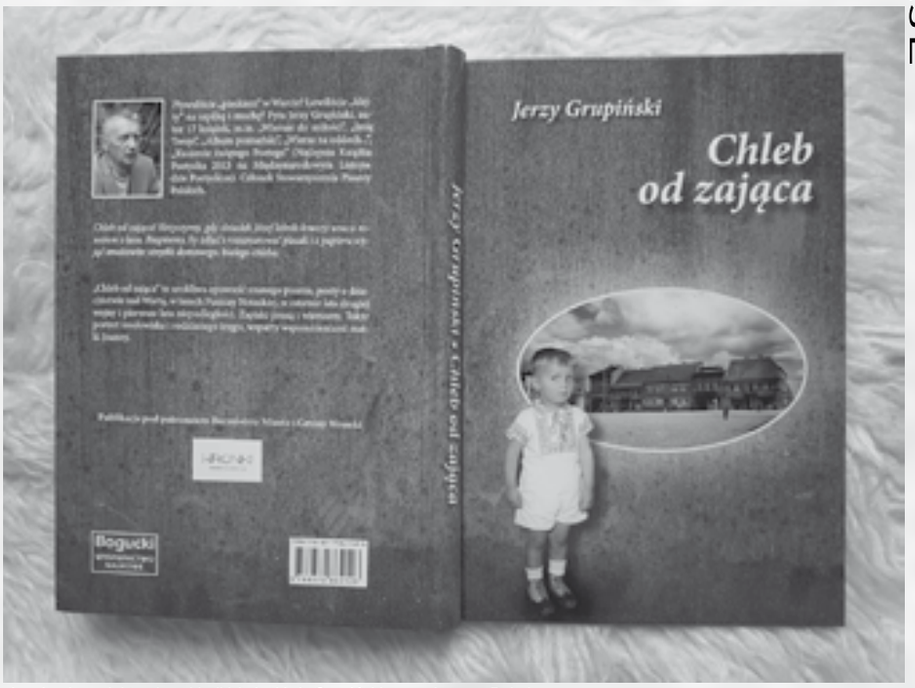

Inspiracja redaktorska okładki książki J. Grupińskiego - Joanna Pakuła.

Nie sposób nie omówić tej urokliwej książki, która jest opowieścią znanego pisarza i poety z Poznania, Jerzego Grupińskiego. Spisana na kanwie własnego dzieciństwa, spędzonego w lasach nad Wartą Puszczy Noteckiej w pierwszych latach powojnia, które jako mały chłopiec spędził we Wronkach. Widać w książce i czuć bardzo czytelnie obrazy poetyckie autora zapach rzeki, ciepło słońca. Jerzy Grupiński dziś poeta i pisarz ze znakomitym dorobkiem literackim (17-stu książek) poczynił szereg opisów prozą i na przemian wierszem. To publikacja znakomicie wydana, pod patronatem Burmistrza Miasta i Gminy Wronki. Notabene ta bardzo ciekawa opowieść wciąga, gdyż dotyczy nas urodzonych w tzw. „wyżu demograficznym". Chociaż pomieścił w niej autor zapisy bardzo osobiste z nutą historyczną z lat poniżej 60-tych, wraz ze znakomitą ikonografią fotograficzną - To okres dzieciństwa poety po drugiej wojnie, przybliża nam „tamte" obrazy tzw. „wyżu" demograficzno – społecznego. Jest to wydanie bardzo szerokiego obrazu, jakby w panoramicznym kinie, opis wielu wrażeń, wiernych, ale i częściowo znakomicie zdystansowanych ku dzisiejszym dekadom, tym bardziej prawdziwych i namacalnych, niosących z sobą widoki i pejzaże, jakby znad **rzeki dzieciństwa** (tytuł wiersza Bogdana Loebla, śpiewał go Tadeusz Nalepa w Blackout)

Wiele tu kolorytu nurtu odsłaniającego „zakryte strony świata " widzianego oczami dziecka, chłopca który uczy się wyobraźni. Książkę naprawdę znakomicie się czyta. Autor, od pół wieku uchodzący za znakomitego poetę, jak piszą krytycy, posługuje się w epickim par excellence gatunku, zdecydowanie lirycznymi strukturami i tropami, a nawet nostalgią, dlatego ta książka jest bardzo oryginalna, wprost piękna i soczysta, bardzo ujmuje i zaciekawia, że żal ją odłożyć, choć na chwilę. Do książki zaglądałem dwa razy. **CHLEB OD ZAJĄCA** to wydanie urodzonej osoby w znakomitej rodzinie, Jurek jako dziecko od dziecka był chrzczony na literata(?). Jakby jego mądrzy rodzice zadbali o przyszły stan aury przyszłego poety i pisarza, krytyka... Jerzy Grupiński, jak wiemy, jest głównym założycielem legendarnego *Klubu Literackiego* **Zamek** w Poznaniu, wieloletni redaktor i animator Konkursów Literackich, Turniejów „O laur Klemensa Janickiego", wydawca periodyków i Arkuszy Literackich w środowisku literackim Poznania i okolic.

Ta książka to bardzo szeroka rzeka, bardzo impulsywna opowieść, sentymentalnie traktująca szczegóły, obyczaj i koloryt jakich dziś mało, choć opowiadająca o czasach szarego klimatu, nieco z wehikułu czasu", powtórzę to jeszcze raz „znad rzeki (wyjątkowego) dzieciństwa", z prozą iście opisowo spoetyzowaną. Natomiast z ożywionych wizualnie obrazków, można usłyszeć melodyjki na harmonijkę i akordeon, jak w piosence **Janusza Laskowskiego pt. „Kolorowe Jarmarki"** - To echo okraszone nutami wyjątkowej pieśni, jakich dziś „najbardziej żal…"- Treści książki, powtórzę ponownie, przeplatane dużą ilością wierszy, bardzo fachowo zapisanych, biją mocno, jak (np. str.78) **„Dzwony"** ***W miasteczku – w moim sercu/już dawno po kościele/Budyń stygnie w zimnej wodzie/Pachnie rosół na cały rynek/ Ojciec leży pod gazetą/w poprzek przez druk czarna mucha/chociaż ani słowa o wielkiej wojnie(…)***

- Otóż, jak się wydaje - tylko poeta, może najwierniej, choć metaforycznie nie tylko w każdym wierszu zebrać echa, których obecnie najbardziej jemu ale i nam bardzo żal, co dygresyjnie ponosi podmiotowość czasu. A piosenka, jej styl i charakter, przywołuje, przeze mnie, echo z Janusa Laskowskiego; „*Kolorowe jarmarki*", oddaje wierność podskórnie, bo najbardziej pewnie podrastającemu chłopcu żal: właśnie takich niezwykłych chwil – żywych, z minionego rubasznego karnawału życia. Przypomnienie „karnawału", jak nazywano ten okres, nastrojów i chwil z łezką w oku, w tak żywo metaforyczny i autentyczny sposób, daje wiele do myślenia i nie tylko, bo jak wiemy czas ten nigdy się nie powtórzy. Widoki, obrazy w chmurnych i słonecznych ramach, bywają zawsze najbardziej wierne oczom, okresowi, kiedy dojrzewa najbardziej wyobraźnia dziecka i ubogaca się już od szkoły podstawowej...

(…) Dziadkowie uroczyście na czarno / poszli po pietruszkę nad Wartę/do ogrodu ciągnąc ogon z naftaliny/Dziadek odpiął sztywny kołnierz/mankiety i spinki/ Bo jest niedziela i nikt/nawet Bóg nie chce by ktoś się męczył/ w obroży.

- Opowieść poety zobowiązuje do wierszy, które dobarwiają i sankcjonują jak ze snu, zapisują pamięć w jaskrawszych kolorach, choć okres to był kaleki. Jest to opowieść senso poetycka – doskonale zapisana fabuła, znakomicie zmetaforyzowanymi słowami, które po prostu dzieją się i niosą podmiot w dal i wzwyż…

- Kończący książkę, osobny, zestaw **3** wierszy (*w tym dwóch poematów od str. 129 do 148 s.)* **pt. *Jeszcze o szkole, osiołku i wronie…*** budzi naszą wyobraźnię i jednoczy z odczuciami autora poety oraz znakomitego narratora(?)…

– Natomiast, co warte do wyróżnienia całego wspomnienia:

Na stronie 81 mały Jurek chce być jeszcze bliżej rzeki, zazdrości tym, „ *którzy mieszkają tuż nad Wartą, jak bracia Sarbakowie, przekroczą próg domu i już są nad wodą(…)"* - To aluzja nie tylko do dotykania nurtu rzeki Warty, ale i miejsca przytaczanego stricte, jako ważnego elementu wychowawczo – estetycznego ku zapamiętaniu wiecznym chłopca, którego wiek bywa wielką wyobraźnią i wielkim oczekiwaniem…To elementarz nauczania widoków i zapamiętywania.

Zajęczy chleb…

„Dom. Święty Dom… Na strychu był pokój. Wieża i twierdza. Okno na wschód. Rano czerwona tarcza słońca nad dachy miasteczka. Mgły nad Wartą podnoszą się… Dalej las, Puszcza Notecka. Lustro rzeki. Codzienne misterium stawania się świata, aktu, którego jestem świadkiem niegodnym tajemnicy, ale i współtwórcą? Bo patrzę…"

Wszystko, jakby uciekło w szybkich skokach zająca – Uciekło, ale widoki zarejestrowane w oczach pozostały jako chleb na później. Jak chleb rozwinięty z papieru… Wszystko co pozostało po tych szybkich widokach, pejzażach, wyświetlanych non stop, to właśnie ów „Chleb od zająca" – Poeta pisarz, bardzo surrealistycznie, a nawet zjawiskowo, nazwał swój zapis, przytoczył opowieść, która wróciła, klatka po klatce, jak porwany, cenny, ale wyraźny film w kinie czarnobiałym ,które przyjechało do miasteczka Wronki objazdowo , i odjechało między okładki tej książki.

- To opowieść dotykająca intrygująco w bardzo szczególny sposób, nie tylko autora, ale i czas, który przytacza iluminacje, choć to szary okres z ruinami po tzw. wyzwoleniu, gdzie radzieccy stupajki szwendali się tu i ówdzie, nawet po wsiach i miasteczkach z oznakami, szukając pożywki i rozrywki… , co pokazuje dobitnie na fotografiach tamten okres... **Chleb od zająca** to opowieść – (nie powieść) – poprzez zmysłowość poetycko narracyjną spisaną z autopsji doświadczoną wchodzimy do ogrodów, dziś doświadczonego poety, który podsumowuje →

bardzo odważnie swoją egzystencję w hołdzie tej Ziemi, która na pewno dała mu wiele, pozostawiła ów suchy chleb pamięci od umykającego czasu, czyli z szybkością umykającego zająca... Chleb – jako wspomnienie, które daje się zawsze nawilżyć, kto wie czy nie łzami? - przełykając gryz po gryzie, siedząc na brzegu „rzeki dzieciństwa" w krótkich spodenkach...

- Warto tu przytoczyć wiersz z początkowych stron publikacji, czasem ze znakiem zapytania, ale o smaku historycznym (s. 10):

Historia o chłopcu

Czy jestem tym chłopcem
który wbrew zakazowi
otworzył
Księgę Ezechiela
i zaczął czytać?
Aż do liter do znaków
których nie potrafi zrozumieć
A gdy pojął wreszcie
że słowo „chaszmal"
znaczy płomień
ogień wyszedł z Księgi
i go pochłonął

Dalej (od strony 13 do 21) następuje kolejny zapis prozą poetycką.

Najpierw jest las. Żywiczne poświaty, poszumy sosen. Dziadek łowczy - Józef Kołoch, zsiada z roweru, otwiera plecak, a w nim czerwone i brązowe listki, sosnowe igiełki, gdy wyjmuje papier, długie, białe skibki, sznytki niezjedzonego chleba, pieczonego w domowym piecu. Chleb od zająca!- krzyczymy (…)

- Po tym bardzo opisowym tekście krajobrazów poetyckiej prozy, jest foto *Józefa Kolocha łowczego u hrabiego Hochberg von Pless, w Goraju,* a później ***Wiersz do matki*** *(s. 13), który trzeba przytoczyć:*

Jeszcze zapłoną w oknie
twe pelargonie
ręka za szybą kwitnie i drzy
Idę i ona za mną idzie
Odwrócę się – i wciąż jesteś
Dłoń twa jak świetlisty anioł
na każdej drodze się tli

Rano
jaki dom ten ciemny i ciężki
ale krok twój już go podnosi
Kołysze odwraca do słońca
Głos dasz mu zaraz i skrzydła
Bo na łąki chwalcie umajone
śpiewa klasztorny dzwon
nad nimi – wizg
jaskółki ostre jaskółki wciąż

Dygresja: Kto wie, czy te dwa wiersze nie powinny się były znaleźć na końcu książki, gdyż podsumowują i najbardziej obrazują uczucia i doznania osobiste Jerzego Grupińskiego, uchwycone we Wronkach. Kto wie? – Ale to już sprawa i zamysł samej redakcji tej barwnej opowieści poetyckiej pt. **Chleb od zająca.**

Zbyszek Kresowaty

Marek Sołtysik

Mateusz Wabik

Powrót do uważności istnienia

W maju 2023 roku ukazał się w Nowej Rudzie poetycki almanach pt. „Z najważniejszych rzeczy". Zamieszczono w nim teksty trzech laureatek IX Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Zygmunta Krukowskiego zorganizowanego przez noworudzką bibliotekę – Marzeny Jaworskiej, Eweliny Cis i Róży Zalewskiej oraz wiersze trzydziestu sześciu wyróżnionych poetów w konkursie. Nie zapomniano także o zamieszczeniu w antologii wiersza patrona konkursu. W wyborze znalazły się zarówno wiersze twórców wydających tomiki poetyckie takich jak Marian Lech Bednarek, Bożena Kaczorowska, czy Mirosław Gabryś, ale także znanych mi tylko z czasopism literackich lub twórców, z którymi wierszami po raz pierwszy się spotkałem.

Jeśli chodziło o wiersze laureatek konkursu to Marzena Jaworska w autotematycznym tekście „Kosmos zatacza coraz szersze kręgi" zauważyła, że mimo, że wiersz pisała „palcem po wodzie", „zataczał coraz szersze kręgi". W kilku słowach ujęła zarówno realistyczny szczegół jak i jego metaforyczne znaczenie. Mimo, że pisała coś nietrwałego, mało ważnego, coś co mogło ulec łatwo zniszczeniu, stawało to się bardzo nośne, gdyż w następnych wersach zwracała się do kogoś i opowiadała tej osobie o istocie pisania, która podobna była do pływania kajakiem. Wiersz momentami był zabawny, frywolny, ale co trzeba przyznać napisany z lekkością i biegłością warsztatową. Chciałbym niebawem przeczytać jej książkę. Ewelina Cis za to w „Lekcji pływania" skupiła się na zdarzeniu z życia codziennego, kiedy kurier przywiózł jej paczkę i podczas płacenia zabrakło jej 40 groszy. Podmiot liryczny wiersza rozmyślał o tym wydarzeniu, a także o przywiezionym stroju kąpielowym i sprzęcie do pływania na basenie. Przebywająca na emigracji w Holandii Róża Zalewska W „Czasie krzepnięcia" zestawiła sprzątanie parkingu, z bólem i ludzką obojętnością.

Poza tym Marian Lech Bednarek w wierszu zalecał komuś pisanie, mimo, że ono nic nie było w stanie zmienić, ale chociaż na chwilę pozwalało zapomnieć o własnej małości i samotności. Filip Brawata ukazywał, że wyjazdy turystyczne do nieważnych miejsc, gdzie nic ciekawego nie było oprócz kościoła, który nie był „warty pocztówki" wcale nie były niedorzeczne. Bartosz Dłubała udowadniał, że dobry wiersz mógł bazować na opisie kopania dołu przy drodze i niesienia worka z ziemniakami, a nie tylko wtedy kiedy poruszano w nim sprawy wagi międzynarodowej. Lidia Karbowska pisała o cierpiących (pewnie przez usmażenie) rybach podczas wigilii. Beata Kołodziejczyk rozważała wyjazd z Polski przez ciągłe kłótnie polityczne i głupotę rodaków, ale sięgnęła do starożytnych mądrości i postanowiła zostać. Tomasz Lorenc w odważnym wierszu (szkoda, że takim krótkim) pisał, że „zagryzł hostię". A Krzysztof Wyrwiński do najważniejszych rzeczy w życiu człowieka zaliczył dzieciństwo i miłość.

Noworudzka antologia ukazywała, że ostatnie czasy pełne bólu i cierpienia związanego z pandemią, wojną w sąsiednim kraju nastroiły poetów bardziej poważnie i egzystencjalnie. Nie było w tej książce ani grama popkulturowego narcyzmu, ani grama egoizmu, poruszano sprawy ważne i błahe, ale w tonach ponurych, poważnych i oschłych. Mało komu było do śmiechu. Eksperymenty formalne w trudnych do pojęcia czasach nikomu nie były potrzebne. Wielu poetów zauważało, że nie byli sami na świecie, pamiętali o znajomych i rodzinie. Znowu odwoływali się do dawnej epifanicznej mentalności polskiej poezji, w której z drobnego zdarzenia próbowano odczytać przenośne przesłanie. Tak jakby Polacy byli nadal jedną nogą w pogaństwie, gdyż pisali znowu mądrzej w trudnych czasach jakby nasz naród przypominał starożytnych Greków, którzy mieli o czym mówić, kiedy bogowie zsyłali na nich nieszczęścia.

Nie licząc ważnych antologii pokoleniowych prezentujących poezję roczników 60-tych (o antologiach roczników 70-tych nie wspominam, bo już dawno zdjęto z anteny program „Śmiechu warte"), ani wyborów wierszy ukazujących jakąś epokę, to mogłem stwierdzić, że jeśli chodziło o jakieś domokulturowe lokalne almanachy, almanachy grup i związków, czy pokłosia pokonkursowe, dawno nie czytałem tak niezłego wyboru wierszy, chociaż tak mało ocalającego i niezbyt pocieszającego. Na koniec należało wspomnieć o tym, że wstępem almanach opatrzył jeden z jurorów konkursowych Karol Maliszewski.

Mateusz Wabik

Z najważniejszych rzeczy (almanach), Miejska Biblioteka Publiczna, Nowa Ruda 2023

Marek Sołtysik

Andrzej Walter

Podróżni bez biletu

Nasze życie jest wędrówką, odwieczną tułaczką i podróżą w nieznane. No, może nie wieczną, ma przecież swoje nieuchronne ograniczenia długością życia stale wydłużaną dziś: tyleż szaleńczo, co nieco bezrefleksyjnie.

Ta wędrówka jednak, to bolesna próba odnalezienia siebie i jakiejś cząstki … boskiej, albo też i innej mocy nieznanej, albo też: ulotności piękna ukrytego we wrażliwości wyobrażania sobie nieznanych światów i … wszechświatów, nowych, przecież wciąż dziewiczych, nieodkrytych i nieznanych, magnetycznie wciągających przestrzeni dla: Twojej i mojej duszy.

Tak też odbieram poezję poetów, którzy mówią, piszą i malują, również moimi myślami, moją wrażliwością, wreszcie moim światem doznań i wartości. Tak postrzegam generalnie siłę literatury, we wchodzeniu w świat kolejnej opowieści, która ubogaci mnie: nową myślą, nowym doznaniem i kolejnym zamyśleniem. Proza, swoją barwnością i sytuacją, która niepowtarzalnie wpłynie na to, kim się staję każdego dnia, a poezja swoją wizjonerską refleksją skłaniającą do obudzenia wszelkich szarych komórek mózgu i wstąpienia na nowy, nieznany szlak słów i światów.

Tak się dzieje na przykład z każdym nowym tomem Stefana Jurkowskiego, który praktycznie zawsze przynosi dozę niepowtarzalnych metafor, nowej przestrzeni pomiędzy słowami i tej niezbędnej do życia pożywki odkrywania nieznanego. Choć niby poeta pisze o tym, co wszyscy widzimy za oknem, o tym czego doświadczamy sami na co dzień, ale pisze jakby *od nowa*, na nowo zastanawiając się nad: losem, czasem i przestrzenią, w której przyszło nam żyć i umierać. W tej wędrówce jest to właśnie „Epizod podróżny". Epizod roku 2023, ale i epizod niewiele znaczący, a znaczący tak wiele, że znaczący niemal wszystko.

Wszystko bowiem dziej się tu i teraz. Niby te same dylematy, stare, odwieczne pytania, bez odpowiedzi, ten sam zgiełk, targowisko próżności, powierzchowność i banału tego świata, a w tym wszystkim my, zdani na łaskę i niełaskę czasu, na przemijania i wewnętrznych rozterek, niby tych samych, ale w jakże innych, wciąż w nowych kontekstach, w nowych szatach, nowej codzienności i oczywiście zawsze powtarzającej się i podobnej, ale jednak subiektywnie naszej, beznamiętnie doznawanej i odbieranej, przetwarzanej rzeczywistości z tym jednym, jedynym bagażem doświadczeń i współczesnej może wręcz chorej wyobraźni. (?)

Przyszło nam bowiem żyć w czasach dynamicznych, negujących stare wartości i porządki, w czasach coraz mocniej nienormalnych jak na standardy minionych wręcz tysięcy lat.

Wszystko już było, i było właściwie to samo, ale niestety nie tak samo. Nowe technologie, nowe hierarchie wartości, negacja wszystkiego, spychanie antropologicznej centrali do wnętrz własnej samorealizacji i rozpad empatii pod pozorami medialnych wspólnot przyniosły: pustkę, samotność i rozpacz. Czy to samo przynosi poezja współczesna. I tak i nie.

Właśnie tutaj widzę szansę na ocalenie nas jako nas. Lektura „Epizodu podróżnego" w kontekście całej poezji, z której dziś jestem zbudowany, z tych wielkich mistrzów i wielkich buntowników, z liryków i z krzykliwych prowokatorów, z całego zmiksowanego doznania przeczytanych wierszy od Reja po Stachurę, od Jerzyny po Gąsiorowskiego, od pana Y do pani X, z banału i z monumentu – cały ten bagaż mówi mi (Jurkowskim między innymi): **pytam wciąż, bo nadal żyję, poezjuję, bo los świata nie jest mi obojętny, los świata, czyli nasz los – Twój i mój i naszych dzieci. I może naszych słów.**

***

nigdy nie spotkałem
własnej twarzy
w tłumie
w eremie
w trawach
w morzu

widziałem różne
niektóre nawet podobne
psychopatyczne zbrodnicze
prymitywne debilne
bestialskie
ale swojej nie spotkałem
choć po części we wszystkich
tkwi moja

więc jeśli ty chcesz ją spotkać
próbuj –
mnie się nie udało

Mnie również. Jedynie to przeklęte lustro. Deformacja i pokuszenie. Tam jednak nie ma naszych twarzy, są podobne. To nie my. To nasze odbicia, a odbicia, jak wiemy podlegają złudzeniom, dążeniom i oczekiwaniom. Podlegają halucynacjom i fatamorganie – zjawiskom i żywiołom typowym dla ludzkiej pychy i samozadowolenia tak obcego prawdziwym poetom.

Stefan Jurkowski zamienił *miasto baczyńskiego na miasto różewicza (…) trzeba zamieniać poetów. Sprzedawać miejsca* (przecież dziś wszystko jest na sprzedaż).

odwiedzam dawne miejsca
wchodzę w nazwy wpadam
w przerwy między słowami spalam się
w znaczeniach i niezrozumieniach

wszystko gwałtownie żyje
- domy drzewa figury świetlne
odnawiają blask i kształty

pory roku
obok siebie

- zieleń wciąż młoda
krematoryjny upał
liście kleją się w deszczu
śnieg nie topnieje –

jednocześnie zatrzymane w ruchu
na sekundę lub dwie

Te dwie sekundy to właśnie nasza szansa. Ucieczka z ciągłego, odwiecznego ruchu, z permanentnej płynności, z losu, który skazał nas na doświadczenie końca, na ból pożegnań, na wspomnienie spojrzenia odchodzącego psiaka, którego przestaje wszystko boleć i odchodzi do krainy wiecznych łowów i szczęścia bez bólu, albo odchodzi gdzieś, w nieznane i nasze czułości pozostają już tylko wzruszającym wspomnieniem. Te dwie sekundy mamy, nic więcej.

To dużo. Dla mnie bardzo dużo. Dla mnie to właśnie wyjaśnia *Wszystko*.

Dla jednych dużo, dla innych niewiele. Na sekundę lub dwie widzimy coś, czujemy i stajemy się poetami. Poetami bez słów, wierszy i poematów. Poetami życia i trwania. W tej optyce każdy rodzi się poetą, ale nie każdy ma odwagę nim się stać. Choć na moment.

Znam nieszczęśników (i nieszczęśnice, przecież wiecie) którym weszło to w krew na dłużej i pałętają się od śmietnika do śmietnika, ubrudzeni, utrudzeni, bezdomni, bezmajętni i piszą te swoje wiersze, a potem je czytają w niemal pustych salach, a jeśli choć trochę wypełnionych, to rodziną i znajomymi. Znam ich, sam stałem się ich częścią, podzieliłem ich los i los ten uważam z jedyny możliwy. Przeznaczenie. Determinacja. Nie ma w tym przypadku. Jest chyba dziejowa konieczność i każdy z nas staje się tym kim mu było pisane się stać. Tylko cóż to za dzieje (dziejowe), w których zwycięża ta powszechna dziś deformacja?

„Epizod podróżny" to kolejny dobry tom współczesnego polskiego poety, jednego z najlepszych poetów w tym kraju, przedstawiciela najwytrawniejszej dziś formy poezji, mianowicie **poezji próbującej ocalić człowieka w człowieku**. Poezja ostatniej deski ratunku, patrząca współczująco na nasze współczesne niewolnictwo na falach pseudo wolności i patrząca litościwie na fałszywe pomniki i cokoły, świadectwa ludzkiej pychy i głupoty. Poezja nadziei bez nadziei, ale z nadzieją w myśleniu i czuciu. Wyzwolony umysł w poezji. I w tej optyce nadal i na nowo

Czucie i wiara silniej mówi do mnie / Niż mędrca szkiełko i oko

Jakie czucie i jaka wiara zapytacie? Bardzo rozsądnie. O to właśnie trzeba pytać. Tak właśnie pobudza Jurkowski – poeta tego świata. Prowokuje do myślenia i do czucia, i do wnikania w głąb istoty i wnętrza. Tak należy czytać Jurkowskiego. Jątrząc wyobraźnię. Śniąc dalej już swoim snem. To poezja dla wybrańców.

przeszłość to jest dziś
tylko cokolwiek za blisko
nawet zaczyna wyprzedzać
kołysze się przed nami niczym przynęta
dopaść ją wsłuchać się w minuty
które jak metalowe kółeczka zdradziecko
wabią martwą kołysanką
zagradzają drogę
dzwonią i dzwonią
trzymają nas na łańcuchu

Tym właśnie jesteśmy. Łańcuchem wspomnień, cieniem zbyt bliskiej przeszłości, aby właściwie ocenić czasy i ludzi, ale szukamy, bywamy niespokojni, niezaspokojeni, wiercimy się na tych swoich miejscach, wciąż chcemy dalej i więcej i nienasyceni szukamy pomimo wzlotów, upadków i porażek, dlatego też wszyscy nadal jesteśmy poetami na tej pustyni słowa dzisiejszego świata bezdusznych i bezmózgich marionetek.

I choć *osacza mnie przerażenie, wlecze się za mną lęk*, wciąż idę wiedząc, że ta wędrówka, to wszystko co mam, ... - spotkania, wydarzenia, epizody podróżne, kolejne wiersze...

napisać długi wiersz
tylko po co

kto przeczyta i pokaleczy
się o metafory

a nawet gdyby –
słowa spełnią przypisane im role
ale szybko
wygasną jak ognisko

biwak dobiega końca
gniją niedopieczone kiełbaski

posiwiałe węgielki
zmieniają się
w śniegi

A śniegi topnieją na kolejnych cmentarzach. Prezes Związku Literatów Polskich Marek Wawrzkiewicz coś o tym wie. Zapytajcie Go sami ilu już poetów pożegnał, na ilu pogrzebach rocznie wygłasza te swoje jakże czułe wspomnienia, które na sekundę lub dwie poruszają zgromadzonych, a potem świat toczy się dalej, toczy się jak zwykle ... dalej i dalej i tak od wieków i bez końca. Z tym, że dziś poeta, to już nie to samo co 40 lat wcześniej. To zbyteczny wybryk ewolucji, którego ogląd i sumienie właściwie przeszkadzają. Niemal wszystkim. Czasami wydaje mi się, że nawet tym bardziej wyedukowanym polonistom, a może zwłaszcza im? Chcą się oni bowiem załapać na karuzelę tego nowoczesnego świata i skamlą żałośnie o oryginalność ponad miarę i za wszelką cenę? Tak to wygląda z perspektywy nagród i wyróżnień, czy nawet odznaczeń.

Wyobraźcie sobie Państwo, że nawet to nasze (ponoć elitarne) środowisko wyhodowało (sic!) frustratów proszących, aby ich powtórnie odznaczono, przy lepszej i szerszej publiczności, gdyż tamta (kiedy faktycznie przyznano to odznaczenie) jak się okazuje była niewystarczająca. Fuj. To się jednak dzieje na naszych oczach. Ludzie, którzy wstydu nie mają i składają takie prośby niemal oficjalnie, mienią się być poetami, działaczami, prezesami, dyrektorami, odznaczonymi tu i tam. Ileż to warte, zapytam, gdyż wszędzie wyżebrane? No, ale cóż, przecież w CV jakże pięknie to się potem prezentuje, a dalej tak zwany ogół ludzki uważa, że ma do czynienie niemal z Bogiem, a co najmniej z omnibusem, erudytą i przypadkiem renesansu – postacią wybitną. Chroń nas panie Boże przed taką „wybitnością". Pycha kroczy przed upadkiem.

Słowacki przecież wielkim poetą był (…). Jak to nie był? – skoro był?! (…)

Wybaczcie Państwo tę dygresję i wróćmy do Stefana Jurkowskiego i jego „Epizodu podróżnego". Dygresja była o tyle a propos, iż takich czasów dożyliśmy. Mieszają nam się wybitni, upadają autorytety, wypaczona młodość narzuca ich brak, mnoży się świat przewartościowań i wątpliwości celowo wzniecanych, aby nadeszło nowe – nowe zapytam – czyli jakie?

Wiersze Stefana Jurkowskiego są między innymi takim sygnałem ostrzegawczym, znakiem przestrogi, czy wołaniem o przynajmniej spuszczenie stopy z pedału przyśpieszenia. Na sekundę albo dwie.

Kolejny dobry tom, chyba już dziewiętnasty, plasuje tego poetę na czele współcześnie tworzących polskich poetów. Oczywiście tych tomów się nie nagradza, bo i po co? Piersi do nagród i orderów wypinają miernoty i ich akolici, gdyż tak jest ten świat zbudowany. Sami go takim budujemy, a potem się oburzamy, że ten i ów trafia w swoisty poetycki niebyt. No cóż – odwaga głoszenia sądów prawdziwych nie jest dziś w cenie, ba, powiem więcej jest dziś bardzo, ale to bardzo passe. Trudno. Niechaj i tak będzie. Poezja mówi na szczęście sama za siebie. Wśród tej garstki czytelników poezji poeta Jurkowski ma zdecydowanie większe grono niż ci nagradzani, zapewniam Was. Zabawne, że dzieje się tak wbrew całej machinie promocyjnej pewnych lepiej umocowanych środowisk, ale dzieje się tak niestety dzięki temu, że dziś w ogóle poezja czytają tylko elity elit i wybrani z wybranych. Zatem z ekonomicznego, czytaj marketingowego punktu widzenia wysiłki i środki przeznaczane na dźwignię promocyjną bełkotu zamiast poezji nie trafia w grupę docelową, gdyż promotorzy po prostu jej nie znają i nie znajdują. Środowisko i tak wie swoje i czyta Jurkowskiego oraz kilku poetów obecnych na naszych łamach, a nie fanaberie językowe nagradzanych, w których nie za bardzo wiadomo o co chodzi, ale na pewno chodzi o oryginalność, tylko za jaką cenę? Za cenę dalszej deprecjacji literatury chyba jako dziedziny sztuki, a poezji w szczególności jako zbyt trudnej, niezrozumiałej i nikomu niepotrzebnej.

Zostawmy to. Tak wygląda dziś świat poezji. Niełatwy to świat.

Stefan Jurkowski kończy tom bardzo mocnymi akcentami. Zdecydowałem się pomijać tytuły utworów. Ukazuję pewne fragmenty, aby płynnie przekazać ferment myśli. Dlatego i ja w swym snuciu refleksji na temat „Epizodu przydrożnego" zdecydowałem się na mocniejsze akcenty.

zdmuchnięte z powietrza dwa tysiące lat
- wszystko jest jak było a miało być lepiej

wciąż ten sam chłód
w grocie wyziębionej leży martwa koza
chmury niczym piwna piana
szumią w nieznanym

języku – znają go nieliczni
a może wyłącznie tych trzech ale
oni też wyglądają jakby nigdy nic nie zrozumieli
idą bez końca bez początku

pewnie znowu spóźnieni

zacznie bombardować grad
drogi przebiorą się w szorstką

biel jak szpitalne kombinezony
hełmy bezbarwne maski
nie do rozpoznania

My, poeci, zaczęliśmy mówić językiem, który znają nieliczni. Dlaczego to czynimy? Nie wiemy. Przecież czeka nas jak wszystkich, biel szpitalnych kombinezonów i śmierć, która już na nas tam czeka, być może pilniej i chętniej niż na innych. Bo to dziś jest jak ... swego rodzaju komedia prawie egzystencjalna

i śmieje się Ten
Którego Nie Ma

Andrzej Walter

Stefan Jurkowski „Epizod podróżny".
Oficyna Wydawnicza STON, Kielce 2023.
Stron 90, oprawa miękka. ISBN 978-83-66538-41-2

Andrzej Walter

Jak namalować mgłę

Proza Anny Pituch-Noworolskiej ma w sobie coś nietuzinkowego, wciągającego, jakiś ukryty element narracyjny, który magnetyzuje czytelnika. Nie ukrywajmy jednak, że jest to lektura: stonowana, intymna, bardzo intelektualna, lektura trudna i dość wymagająca dla wytrawnego, potrafiącego się skoncentrować i skupić czytelnika. Sądzę, że jest to spowodowane dość unikalnym stylem pisarskim, jak na dzisiejsze czasy, nawiązującym w sposób wyrafinowany i jakże szlachetny do słynnej polskiej szkoły pozytywistycznej nowelistyki, która swego czasu, z początkiem ubiegłego wieku ocierała się obficie o najwyższe literackie laury.

Anna Pituch-Noworolska wydaje się kreować własny styl metaforyki swoich *opowieści - obrazów*, opowieści pełnych: nostalgii, empatii, uczuć i przeżyć, którymi zaraża czytelnika w sposób dyskretny i świeży, skłaniając go w sposób nieuchronny do: myślenia, czucia i głębokiego przeżywania opisywanych zdarzeń czy sytuacji. Autorka w wielu opowiadaniach wręcz szarżuje wzbudzając w czytelniku siły wzruszeń na granicy wytrzymałości, a sztuka ta dowodzi jednoznacznie i jedynie wartości tej literatury i jej oczywistego potencjału. Przeczytajcie opowiadanie „Koncert" z tej części książki zatytułowanej „Druga strona dnia". To tekst, który mocno i głęboko zapadnie wam w pamięć i serca. Takich tekstów w tej książce jest o wiele więcej.

„Malowanie mgły" Anny Pituch-Noworolskiej znów udowadnia w polskiej literaturze, że można dziś pisać ciekawie zachowując pewne klasyczne kanony wartości literackich, że można zawładnąć czytelnikiem nie zniżając się do taniej rozrywki, pędzącej akcji, czy nasączonej dialogiem rzeczywistości, że można dziś tworzyć literaturę wciągającą i fascynującą przy użyciu języka klasycznego, pięknego, czasami wręcz staromodnego czy starodawnego, ale jednocześnie tak skoncentrowanego, że wiąże to niejako czytelnika z tekstem do ostatniej kropli krwi i słów, aby użyć poetyckiej metafory chcąc uchwycić właściwie siłę tej nowej prozy. Jaka szkoda, że tacy twórcy i tacy autorzy nie mogą wypłynąć na szersze wody literackie w naszym świecie.

Najnowsza książka Anny Pituch-Noworolskiej jest literacko czysta i niejako przejrzysta. Epickość prozy autorki cechuje bardzo precyzyjna kompozycja, jednowątkowa akcja, wyrazistość punktów kulminacyjnych i ścisła, sensowna puenta. Dopatruję się u Niej wręcz renesansowego klasycyzmu, ale ukazanego w nieco nowej odsłonie. To jeszcze nie eksplodująca, ale już nabrzmiała mieszanka spuścizny romantyczno-pozytywistycznej (może i dziwna konstelacja, ale w Polsce tak właśnie jest) we współczesnej odsłonie doświadczonej lekarki, lekarki naukowca, lekarki pisarza i artysty, czasami poetki, autorki nowych wyzwań i nowych czasów, koncentrującą swobodę poruszania się po świecie szpitalnych korytarzy równie lekko jak po korytarzach sztuki, wielkich muzeów i spuścizny ludzkości, ale i po korytarzach zwyczajnego ludzkiego życia. Jednym słowem proza połączona z szaleństwem – typowo polski wynalazek.

Autorka w swoich nowelach często wyrazistość punktu kulminacyjnego przesuwa do niewypowiedzianej puenty, do puenty, z którą, jak ze swoistą traumą smutku jakiegoś końca zostawia czytelnika z rozmysłem i świadomie. Coś się kończy. Nic nie będzie już takie samo, Autorka dopowiedzenie zostawia czytelnikowi, czytelnikowi, który przecież widział już tak wiele, niemal wszystko, a pomimo to ulega wzruszeniu, emocjom, uczuciom i stanom wyższym. I tutaj jak w soczewce koncentruje się namacalnie talent tej pisarki. Dyscypliną narracyjną, oszczędnym opisem, ale rzetelnym, szczerym i lapidarny stwarza świat emocji i wyobraźni, do którego nas zaprasza bardzo konkretnie, aby nas później zostawić: a to z pytaniem, a to z dylematem, a to z rozstaniem, ze smutkiem, z zamyśleniem. Znakomite opowiadania. Zapadające w pamięć. A to w nowelach i opowiadaniach bezcenne. Opowiadania, które się pamięta to najlepsze opowiadania.

Te teksty to wydaje się dopiero początek działań twórczych na tej niwie naszej autorki. To zaczyn, gdyż autorka wciąż walczy o lepszy świat w dziedzinie medycyny i swą nadaktywność realizuje bardzo obficie. Cóż się wydarzy, kiedy skoncentruje się jedynie na pisaniu, przy takim potencjale? Obym był dobrym prorokiem.

Zachwyciła mnie lektura „Malowania mgły" nie przeczę. To literatura najwyższej próby. Można o tej prozie powiedzieć to, co swego czasu o noweli powiedziała Eliza Orzeszkowa. Znakomicie oddaje to prozę Anny Pituch-Noworolskiej:

„Nowela powinna mieć za prawidło ograniczenie się do jak najmniejszej ilości czasu, przestrzeni i zjawisk oraz do przedstawienia obranego przedmiotu jak najmniejszą ilością jak najściślej skoncentrowanych rysów. Żadnych tłumów, żadnych powikłań i dociekań. Nie lata, ale moment, nie życie, ale epizod z życia, nie świat, lecz jego ułamek- są właściwymi dla niej przedmiotami. W wykonaniu zaś - żadnych szerokich rozmachów pędzla, żadnej plątaniny rysunku, żadnego nastawiania: ani na myśli, ani na obrazie. Krótko, jasno, możliwie najwykwintniej - o rzeczy nierozległej, z możliwą starannością od innych odosobnionej. Rysy mogą tu być silne, ale muszą zawsze pozostać wykwintnymi, w granicach najwybredniejszego artyzmu, mogą dotykać dalekiej głębi przedmiotu, ale czynić to muszą szybko, lekko, niemal przelotnie. Rzeczy, nawet bardzo ważne i poważne, nowela wskazywać może, ale tylko wskazywać i , zaraz umykając, pozwalać umysłowi czytelnika domyślać się, odgadywać, dochodzić."

O tak. To dokładnie o tym, czego doświadczyłem czytając „Malowanie mgły". Czy Anna Pituch-Nowrolska namalowała mgłę przekonajcie się sami zanurzając się w tę wytrawną lekturę. Dla mnie namalowała jednocześnie i świat, którego już nie ma, świat uczuć, dojrzewania, poznawania, świeży świat, znakomicie opisany, rozpoznany i powoli, delikatnie odkrywany, jak i świat nowy, który jest i żyje, świat obecny, ale pokazany z oddalenia, z perspektywy poety, artysty, czułego obserwatora, ale jak się to niniejszym okazało również bardzo czułego i świetnego warsztatowo … narratora.

Andrzej Walter

MALOWANIE MGŁY
(KONSPEKT REFLEKSJI po lekturze)

Część pierwsza MÓJ ŚWIAT

Tańczące cienie liści podoba mi się jako całość. Świat dziecka. Kruchy, wątły, ale bezpieczny i spokojny, z dzisiejszych perspektyw nieco nierealny, wyciszony, odległy. Tego świata już nie ma. Było skromnie, ale głęboko duchowo. Inaczej niż dziś. Lepiej? Gorzej? A może … pełniej? Więcej uczuć, wyobraźni, lektur, ciszy …

Ucieczka z domu ciszy – znakomite ! Opowieść o Mamie często ściska za gardło. Wzrusza, rozczula, mocno działa na emocje. – Są rzeczy ważniejsze (!!!) / Odwaga i ucieczka… wspaniały tekst…

Gazela – opowieść o miłości. O miłości, ale jakże szlachecko, z klasą, z intelektem, o miłości mądrej, wytrawnej, osadzonej na wrażliwości ludzi na poziomie, ludzi ciekawych świata, zachwycających się światem, ludzi renesansu… świetny pomysł z tymi listami…

Dwóch panów i pies – wzruszające, wciągające i ciekawe – kto zrobił zdjęcie

Kasztany – poezja w prozie – rewelacja (!!!)

I przejmujące Odwiedziny – po co tu przyjechałaś? Ale przecież wszyscy wracamy, ciągle wracamy, coś nas przyciąga do powrotów, do … jakaś ucieczka przed przemijaniem, a może lubimy patrzeć jak coś przemija – mieszanina lęku, fascynacji, jakaś perspektywa stałości – złudzenie stałości, że niby my jesteśmy STALI, a reszta PRZEMIJA, … no i często odnajdujemy zniszczenia i zgliszcza… albo pustkę, ale to oczyszczające

Część druga – DRUGA STRONA DNIA

Gra z cieniem (to już znałem, ale to zakończenie z Magnolią – rewelacja) / Nocny dyżur – dylematy / pytania bez odpowiedzi … mocne i dające do myślenia…

/ Koncert - … ciekawe opowiadanie – wiem, że je lubisz, że czujesz i widzisz, ale dla czytelnika dobre, ale są bardziej wzruszające – ale … rozumiem Twoje wzruszenie dolą artysty, sami jesteśmy artystami i nas to porusza

Część trzecia TAMTEN CZAS

Uderza znakomita umiejętność poetyckiego opisania rozstania, jakiegoś końca czegoś, tej nieodwracalnej zmiany w życiu, po której nic nie jest albo nie będzie takie samo… jest jakaś magia w takich chwilach, jakaś inspiracja, ekscytacja, jakiś WULKAN😊

(!!!) Ogrodnik – piękne i wzruszające

(!!!) Krzywy most – jeszcze bardziej wzruszające

Szkice florenckie – dobre, ale dla konesera Florencji

(!!!) Milczący zmierzch – piękne, ciekawe i zajmujące

Wulkan – świetne opowiadanie na zakończenie

Andrzej Walter

Opowieść o tęsknocie

Często zadajemy sobie pytanie czym jest patriotyzm. Zwłaszcza dzisiaj, w niespokojnych czasach, w czasach kiedy na horyzoncie majaczą międzynarodowe konflikty pytanie to urasta niejako do rangi pytania niezwykle ważnego, być może kluczowego ze względu choćby na naszą przyszłość i ewentualne wizje jutrzejszego porządku.

Patriotyzm to przecież pojęcie niebanalne, dyskusyjne i nieco zawiłe. Wbrew pozorom i prymitywnym skojarzeniom nie jest to jedynie tępa siła i zdolność do chwytania za broń i wymachiwania szablą jak onegdaj to u nas bywało. Jeśli jesteście ciekawi poetycznego ukazania tego zjawiska jako kontrpropozycji dla prostego stereotypu namawiam do lektury nieco zapomnianego już tomu Dominika Górnego sprzed trzynastu lat „Poemat o moim Chopinie". To doskonały przykład wyrażenia patriotyzmu, jego postrzegania, jego meandrów, jak również tego, że patriotyzm może wyrażać się tworzeniem muzyki, pisaniem wierszy czy pisaniem powieści, a u innych może być on codzienną pracą dla dobra ogółu. Każdy bowiem jest potrzebny jako drobny tryb jednej maszyny nazwanej Polską.

Ta niebanalna dwujęzyczna propozycja poetycka polsko-angielska przedstawia nam jak patriotyzm i nie tylko można wyrazić muzyką i słowem. Co więcej: doskonale opowiada niuanse muzyki zaklęte w metaforycznie wypowiedziane nastroje i tęsknoty. Autor snuje doskonale swoje rozważania wyczuwając znakomicie ową chopinowską nostalgię, którą chyba zaraziliśmy się wszyscy tworząc ten naród, jakże złożony z przeciwieństw, ze sporów i konfliktów, a jednak naród ten sam w duszy i wizji romantycznie opartej na fantazjach i szaleństwie dążeń i smutków z przeszłości. A przecież przed nami zupełnie nowe wyzwania. Warto więc sięgnąć po tę nieco zapomnianą, a doskonałą książkę Dominika Górnego.

(…)
o duszę Polski
nie pytał gwiazd

uwierzył sonatom

preludiom
nasyconym namiętnością
słowiańskiej duszy

etiudom
których pulsacja
ochroniła polskość

Profesor Jan Miodek ujął to tak: „*Od lat śledzę z wielkim zainteresowaniem i intelektualną satysfakcją twórczość poetycką Dominika Górnego. Podziwiam jego zmaganie się ze słowem, głębię myśli i warsztatową sprawność. Wiem o jego wyjątkowym wyczuleniu na warstwę brzmieniową tekstu poetyckiego – tak jak dobrze jest mi znana jego fascynacja językiem (…) Ktoś zafascynowany muzyką słowa nie może nie może być obojętny na dokonania stricte muzyczne. Między takimi odczuciami zachodzi relacja komplementarności, dialektycznego dopełnienia. (…) Życzę czytelnikom doznań mieszczących się w obszarze nie tylko romantycznej, ale myślę uniwersalnej i wiecznej syntezie sztuk.*"

Otóż owa synteza sztuk uderza bezwzględnie w twórczości Dominika Górnego. On niejako komponuje wiersz, pisze go jak muzykę.

Ufam miejscu / w którym / pierwsze pragnienia / przemieniłeś / w dźwięki poloneza

Otóż to. Ufamy takim miejscom, pielęgnujemy te miejsca, zwłaszcza kiedy owa muzyka poniosła zachwytem cały niemal świat i nieustannie do Polski powracając, choćby jedynie za nią tęskniąc objawiła nam coś, czego przedstawić ani wyjaśnić się nie da, a mianowicie to, że Polakiem jest się wszędzie. Wszędzie i zawsze tam, gdzie niesie się swoje marzenia i swoją tęsknotę. Co to ma wspólnego z Polską zapytacie – zapytajcie samego Chopina. On wam odpowie właśnie taką muzyką. Bez wyraźnych odpowiedzi, bez barokowych wyjaśnień, bez wdawania się w szczegóły, bo my, Polacy w szczegółach potrafimy wszystko zepsuć, aby potem z fantazją odbudować. Świat zdążył już poznać nasze umiłowanie wolności i lekkomyślność jej utraty, lecz świat jest światem dlatego, że ma to głęboko w poważaniu i aby zapewnić sobie dom i miejsce na tym właśnie bezwzględnym świecie musimy codziennie dbać i przypominać na czym zbudowaliśmy ten kraj, że on wciąż coś dla nas znaczy i że zawsze będziemy go bronić do końca. Nawet powołując go ponownie z niebytu. To się chyba kryje w tej muzyce, a co się kryje w tych wierszach? W wierszach kryje się fascynacja. Dobrze zapisana barwa dźwięku i słowa, które łagodnie opisują ile dla nas znaczy Chopin, melancholia tej muzyki, jej dążenia i te momenty, w które zanurzamy się całym swoi jestestwem słuchając brzmienia, jak płynie ku nieskończoności.

Dominik Górny nie zrobił niczego innego jak przywołał pewien fundamentalny autorytet i uczynił to w świecie, w którym autorytety zaczęły wydawać się zbędne tudzież niepotrzebne, albo autorytety te zastąpiono bożkami mediów fałszującymi rzeczywistość. Czy było warto musicie zdecydować już sami, ja jedynie zachęcam do lektury, bo to ważny tom. Do tego napisany przystępnie, ciekawie, zajmująco. Dobrze się czyta te wiersze. Warto przy nich włączyć tę genialną muzykę i już mamy dobrze spędzony czas, w którym kumulacja dwóch wyobraźni: słownej i muzycznej stworzą niezapomnianą mieszankę inspiracji. I przemyśleń.

Największy ból
wybrzmiewa między
uderzeniem w klawisz
a dźwiękiem
co się wydobywa
z pamięci rozległej
jak wszechświat

muzyka to pragnienie

Dominik Górny doskonale opisał tu nie tylko patriotyzm. Doskonale uchwycił napięcie tworzenia sztuki, dzieła artysty, wznoszonego na jego bólu, żalu, tęsknocie i życiu w zasadzie całym nasyconym niespełnionym dążeniem. Spełnienie coś kończy. Niespełnienie to siła napędowa. Siła nienazwana, tajemna i dzika. Jej nieokiełznanie jest niezbędne dla powtarzalności twórczej, do

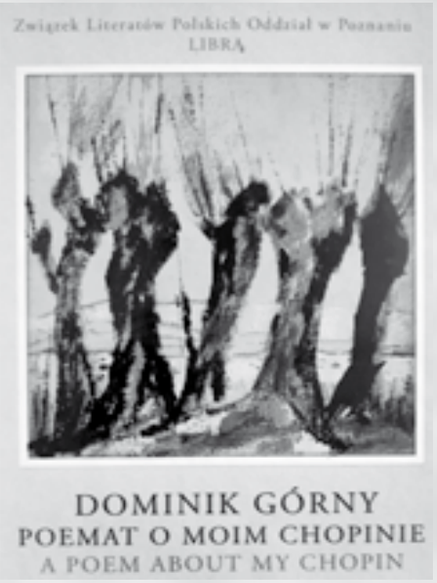

ciągłego poszukiwania nuty idealnej, obrazu doskonałego czy perfekcyjnie złączonych słów, najlepiej wyrażających to, co miało zostać wyrażone. Najczęściej kończy się to Zorbą: ach, jaka piękna Katastrofa. Ponoć Albert Einstein ujął to tak, „*Życie można przeżyć tylko na dwa sposoby: albo tak, jakby nic nie było cudem, albo tak, jakby cudem było wszystko.*"

Dlaczego zdecydowałem się to wszystko napisać? Uważam bowiem, że patriotyzm to tęsknota. Tęsknota za doskonałością. Za takim rodzajem wolności, który da wolność wszystkim, który wreszcie doceni sztukę, jej wymiary, jej wagę i … powagę, aż w końcu jej twórców. Wiem jednakowoż, że nigdy to nie nastąpi, a już na pewno nie w Polsce, którą mamy za oknami. Pozwolę sobie zostawić Was z pytaniem dlaczego? Warto się nad nim w bieżącym roku pochylić dokładniej.

Na koniec jeszcze chciałbym się niejako osobiście pożegnać z Heleną Gordziej, znakomitą poetką, zjawiskiem socjologicznym Wielkopolski, którą dane mi było poznać telefonicznie, a której odejście jest niepowetowaną stratą dla literackiego Poznania. Helena Gordziej, matka poetów, napisała do tego tomu króciutkie posłowie. Oddające jednak idealnie to, co chciałem wyrazić w tym tekście.

„*Autor niniejszego zbioru wierszy, chce wykazać, że muzyka Chopina żyje i powinna coraz silniej zakorzeniać się w narodowym obiegu. Pragnie, żeby zaistniała w świadomości każdego wrażliwego człowieka. Muzyka Mistrza powinna użyźnić wyobraźnię pokoleń, podniecać do wyzwolenia człowieczej godności, nawoływać do odrodzenia etosu, który we współczesności doznał sporego uszczerbku.*

Dominik Górny, poprzez poetycką metaforykę, udowadnia czytelnikom, że muzyka Chopina jest szerokim pomostem porozumienia pomiędzy naszym krajem, a otaczającym światem. Nostalgią strof chce scalić rozluźnioną narodową więź, wprowadzić ją na drogę pojednania i zrozumienia, że ojczyzna jest najcenniejszą, niepowtarzalną wartością."

Doprawdy trudno dziś o mądrzejsze przesłanie w roku, w którym podjęte decyzje zaważą być może na kolejnej dekadzie XXI wieku.

Andrzej Walter

Andrzej Walter

Wszystkim osieroconym

Niebo, do którego odeszły nasze matki najprawdopodobniej jest proste, bardzo zwyczajne i pozbawione naszej wszechobecnej elokwencji, wszelakiej sztuczności i pozerstwa oraz tych wszystkich wystudiowanych min czy nagminnie przybieranych postaw na pokaz. Jest niebem absolutnie czystym i niebem najprostszym, bo złożonym przecież z: czułości, z poczucia jakiegoś braku i z tej gigantycznej tęsknoty, jest niebem: wędrowców, zwykłych, jak najzwyczajniejszych ludzi, tych, którzy czują się osieroceni przez nasze Matki i ich … prozaiczne przecież i jakże typowe dla zwyczajnego ludzkiego życia (taka przecież kolej Rzeczy) odejście …

Pod koniec ubiegłego *(2022)* roku ukazał się tradycyjnie już nakładem Wydawnictwa Adama Marszałka tom jakże niezwykły, tom jakby kompletny, tom dla wszystkich osieroconych - będący wyborem wierszy i refleksji Marka Wawrzkiewicza, a zatytułowany nader skromnie **„Pierwsze i ostatnie**". To tom fenomenalny zarówno w swej prostocie jak i w najzwyczajniejszym na świecie odbiorze. Ostentacyjnie zwracający się, najotwarciej jak to tylko możliwe, do naszych uczuć pierwotnych, do nostalgii elementarnej i do stanów, właściwie podstawowych. Ta, przywołana przeze mnie nieco przekornie, ostentacja, to mimowolne przymuszenie nas do ściągnięcia tych wszystkich masek, oręży czy zbroi i odrzucenia wszelkiej posiadanej broni. Stajemy się oto… bezbronni. Nadzy i bezbronni. Niewinni jak dzieci.

Pozwólmy wypowiedzieć się w tym miejscu Markowi Wawrzkiewiczowi:

(nie chcę być bowiem gołosłowny)

„Przecież przestajemy naprawdę być dziećmi, kiedy umiera matka. Niezależnie od wieku stajemy się sierotami. Tak uważam. Wisława Szymborska napisała:

Syn prawdziwej kobiety
Przybysz z głębi ciała
Wędrowiec do omegi

Wędrowiec jest samotny. To o wszystkich osieroconych" Tak kończy poeta ten swój wyjątkowy i okolicznościowy tom, a zaczyna go wierszem wręcz niesamowitym

Matka

Niebo, w którym 12 grudnia zamieszkała moja matka,
Nie jest przesadnie dostojne. Starawa wersalka
Z wytartych chmur, w kącie błękitnej kuchni
Miniaturowa śnieżyca, w której chłodzi się ambrozja
Przypominająca smakiem mleko lub herbatę.
Kilka ulotnych sprzętów,
Nieziemskie hologramy rodzinnych zdjęć,
Telewizor z białym ekranem i radio
Nadające dobre, spokojne wiadomości.

Stół pływa na ciepłym strumieniu.
Matka unosi się nad nim. Nakrywa go
Kwitnącym lnem, rozstawia przejrzyste talerze.
Musi być gotowa. Pewnie przyjdą synowie,
Może wpadnie Ojciec Pio. Po kolacji.
Zagrają w remika.

Jest mniej zgarbiona. Nareszcie
Odrosły jej włosy. Są jeszcze siwe,
Ale już powoli czernieją. Twarz gładka.
Tylko ręce nie chcą się odmłodzić.
Nie można z nich wygnać zmęczenia.
Ale ogólnie jest nieźle. Przegląda się
w kryształe gwiazdy:
Ładnie jej w tym popielatym sweterku
od Teresy.
Patrzy na telefon.
Ma – nie wiadomo czemu – kształt serca.
A kiedy dzwoni świetlistą nocą
Zapala się w nim coś w rodzaju
Różowego płomyka.

Jeszcze trzeba odgrzać parówki cielęce,
Pokroić chleb niebieski tym co zwykle promieniem,
Powiesić ręczniki z obłoków
Na wierzbie nad stawem

Dobrze, że pogoda się wypogodziła,
Łagodnie słońce świeci z wszystkich stron.
Zdążą. Zdążą przed złotawym zmrokiem.

Już jedziemy Mamusiu.

Tak, Mamusiu. Jedziemy już. Jedziemy grupą, razem. My, wspólnota wszystkich osieroconych. Ja akurat piszę ten tekst 13 marca 2023 roku. Poniedziałek. Imieniny Krystyny. Zawsze, rok w rok, kupowałem mamie tulipany. Kolory przeróżne, ale najbardziej lubiła te żółte. Dziś też są i będą żółte. Przy grobie jest na szczęście taki wazon, lecz płatki marcowego śniegu pokrywają ten kolor swoją bielą. Jest zimno. Mało wiosennie. Może to i lepiej. Kiedy wkracza wiosna ból ocieplony pierwszym słońcem jakoś mocniej doskwiera. Niebo, w którym 17 maja zamieszkała moja mama jest chyba podobne do nieba Mamy Marka Wawrzkiewicza. Krząta się w nim i czeka na mnie, na spokojne wiadomości, na łagodną rozmowę, jak to w tym roku znów zakwitną jaśminowce i siądziemy na tarasie powspominać niesforną rodzinkę. Będziemy tam siedzieć z całym naszym zwierzyńcem oraz krzątającą się Jadwigą, która poda nam jakieś pyszności. Zdążę Mamo. Napisać wiersz, pewnie nie taki jak Marek, ale choć spróbuję za nim podążyć, może nie byłem zbyt dobrym synem, ale chciałem dobrze, a wychodziło, no wiesz, jak wychodziło, ale zdążę… z pewnością zdążę, zaczekaj.

W wierszach Marka Wawrzkiewicza nie odnajdziecie tego *Herbertowskiego* patosu, tych arcyfilozoficznych meandrów zapisu, tego *Miłoszowego* monumentalizmu, ani *Norwidowskiego* tragizmu. Nie odnajdziecie też *Różewiczowskiego* prozaicznego i mocnego opisu rzeczy ważnych, ale jednocześnie odnajdziecie w tych wierszach coś o wiele potężniejszego, coś wręcz na dzisiejsze czasy niesłychanego, coś co czytającego chyba bardziej niż to możliwe przejmuje, jeśli nie najbardziej: ściska za gardło, wznieca wzruszenie, powoduje niejaką suchość w ustach i zatrzymuje choć na chwilę czas wywołując z czeluści sumienia i wspomnień te najczulsze z prawdziwych - dźwięki dzwonów naszego życia. Prawdziwego życia.

To czysta Poezja w swym oszczędnym minimalizmie. Przekraczająca samą siebie. Poezja w detalu, w najprostszym i najmniejszym zdarzeniu, w czynności, w chwili i w dotyku, w spotkaniu, w śniadaniu, w obiedzie czy w kolacji, w drobiazgu, w chwili najmniej związanej z poezją … okazuje się – a jednak to jest najwierniejsza Poezja. To mistrzostwo być może nieuświadomione, wypierane przez konkurencję, stąd tak mało się przez całe lata dostrzegało tego wyjątkowego i świetnego poetę. Potrafił on bowiem w całej swej twórczości niemal niezauważenie przekuć wszystkie te warstwy opiewanej obficie wartości lirycznej wierszy największych polskich poetów we współczesną lirykę zwyczajności w nadzwyczajność poezji najwyższych dziś lotów i do tego bez napuszenia i bez tych wszystkich wspomnianych masek, bez symboli i atawizmów, i bez tych kluczy i wytrychów zaciemniających całość, a ukazując bezpośrednio realną siłę poezji w rzeczach, w sprawach i w uczuciach najprostszych, najmniejszych, a jednocześnie najbliższych właściwie każdemu człowiekowi na tym padole. Nie każdy bowiem zawiesi flagę na Reichstagu, ale każdy zapłacze żegnając odchodzącą matkę. To moment najważniejszy. Być może przełomowy.

Niemal każdy zatem wiersz Wawrzkiewicza to jakaś osobno opowiedziana historia. Jakaś całość, w której banalność zdarzeń, wydarzeń, spotkań, refleksji uwznioślona jest metaforą jakże zaskakującą, delikatną, wyrafinowaną i jaskrawą, czyniącą z naszej … prozy życia - poezję właśnie. W efekcie Wawrzkiewicz czyni nas i nasze życie po prostu lepszymi. Wynosi nas – czasami na siłę, czy chcemy czy też nie – ponad naszą przyziemność. **Ocala nas**. Tak. Nie zwątpię w użyte, tu i teraz, tak odważnie użyte, słowo: - Wawrzkiewicz nas ocala, ocala nas, samych przed sobą, przed naszą, zanurzoną w podłych czasach: przed małością, małostkowością i brakiem wręcz sumienia nadając naszym sumieniom wymiar poezji. Tak działają te wiersze. Nie da się tego nie dostrzec. Działają mocniej niż te słynne już „*ciężkie Norwidy*", ale działają tylko na … szczerych wrażliwców, ludzi na tyle odważnych, aby się tego nie wstydzić, aby się do tego przyznać, po odłożeniu imponderabiliów, po prostu dla prawdziwych kobiet i prawdziwych mężczyzn…

Nasz świat bowiem to dżungla. Coraz bardziej i coraz dosłowniej. Nasz świat to żywioł teatralnie urozmaicony, doskonale wyreżyserowany i skrojony na miarę. Jak pisał dawno już temu Edward Stachura

Ty i ja teatry to są dwa
Ty i ja

Ty ty prawdziwej nie uronisz łzy
Ty najwyżej w górę wznosisz brwi
Nawet kiedy źle ci jest to nie jest źle
Bo ty grasz
Ja cały zbudowany jestem z ran
Duszę na ramieniu wiecznie mam
Lecz kaleką nie ja jestem tylko ty
Bo ty grasz

I tak parafrazując refleksją barda mojego dzieciństwa poszliśmy o wiele za daleko. Gra tak mocno weszła nam w krew, że przestaliśmy odróżniać grę od rzeczywistości. *Zesnobowaliśmy* sztukę do granic pojmowalności, zdenazyfikowaliśmy wartości, pojęcia i znaczenia, wynaturzyliśmy język i rytmikę słowa, nagradzamy kompilacje naśladownictw oraz kicze *zagmatwań* udające wyrafinowanie i elokwencję, a nie posiadające niczego pod warstwą sztucznej patyny elegancji i szpanu. W tym kontredansie pseudoartyzmu zwracamy jeszcze uwagę na to kto bardziej zaszokuje odbiorcę, bardziej go wdepcze w fotel i wręcz narobi mu na głowę, aby to potem wetrzeć i wmówić mu, że go odmłodzi tą jakże świeżą ambrozją ekskrementu. Takich dożyliśmy czasów. Galerii potworności dla zmanierowanych idiotów, czynionej przez idiotów, dla idiotów, dla niepoznaki zwanych elitami. Świat stanął na głowie. Szyderstwa dotknęły już: Herbertów, Miłoszów, Norwidów i Różewiczów. Nie dotknęły Wawrzkiewiczów, gdyż będąc tożsamo utalentowanym poetą nie załapał się na czasy, kiedy książka była podstawowym dokumentem kulturowym, a poezja znacząco wpływała na duchowość społeczeństwa. Załapał się (na etapie docenienia i owocowania) na czasy podziałów i rozliczeń, na czasy przełomu i na czasy dziarskiego pochodu barbarzyńców ponad epoki i historię oraz czytanie jakichś tam książek. Wyprowadził sztandar – fakt: godnie i z podniesionym czołem, ale ten sztandar nowy, bardzo dziś barwny i tęczowy, już czeka w Ratuszu Miejskim na swoją godzinę, czeka aby zająć miejsce tamtego sztandaru, a przy okazji nas wszystkich (SPP, ZLP, PenClub) na Krakowskim Przedmieściu pozbyć się jako reliktu przeszłości. Na pocieszenie to „wrogie przejęcie" odbywa się również bez publiczności. Bez publiczności to dziś znak rozpoznawczy literatury i literatów, lecz skąd ma się wziąć publiczność w nieczytającym społeczeństwie, a nawet pośród niektórych poetów, którzy piszą wiersze samemu niczego nie czytając. Takie to są i wiersze, ale, zostawmy to i

wróćmy do Matek naszych maleńkich mieszkanek …

Mały balkon nasturcja porasta
I trzepocze na wietrze firanka
Świecą zmierzchem w ciemnej ścianie miasta
Naszych matek maleńkie mieszkanka

Pisał kiedyś Wojciech Młynarski, śpiewał Michał Bajor. Wydaje się, że czas takiej poezji nieuchronnie odpłynął. Mamy teraz dosłowność, fakty i liczby, a w nich słowa, które również tracą czar, ale jednak ocalają w nich … poezję. Czy to jest konieczność dziejowa tych czasów? Czego nauczyliśmy się od mistrzów?

Siwienie, łysienie

Moja mama najpierw siwiała, a potem łysiała.
Nie pamiętam czy farbowała włosy.
Jeśli tak
To rzadko. A włosy rzedły. Kiedyś
Kupiliśmy jej perukę w kolorze kasztanu.
Siedziała w niej za stołem i popadła w jakąś
Dziwną, niepodobną do niej, dostojność.
Mniej często się śmiała i mniej cieszyła.

Aż zarzuciła gdzieś perukę. I po dawnemu
Cieszyła się i śmiała.

Była siwowłosa i łysawa.
I taka piękna.

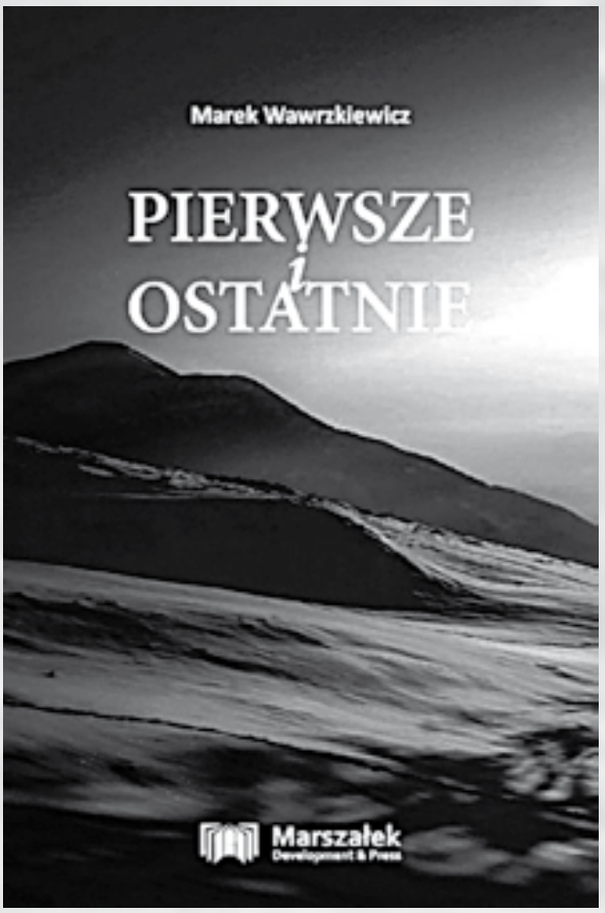

Wszystko już było. Czas epok, czas rozwoju, czas ewolucji i chyba czas poezji. Czas postępu, rewolucji technologii, nowego, wspaniałego świata i czas eliminacji lektur, czas barbarzyńcy bez słów, z kultury obrazka. Człowiek nie łysiał i nie siwiał. Rodził się umierał kiedy chciał, z seksu korzystał kiedy chciał. Śmiał się z piękna, inaczej przedstawiał miłość, nadzieję, a wiarę zamienił w psychoanalityczne doznanie uwolnienia. Samo pojęcie wolności nabrało nowych woni i zabarwień. I człowiek doszedł do ściany. Czy to jest już ten „Mur" Jean Paula Sartre'a?

Mamy dziś w Polsce wielu świetnych poetów. Na poziomie światowym. Dwóch z nich jednak należy jakby osobno wyróżnić. To poeci, którzy odskoczyli swoim epokom, wyszli poza ramy czasów i stylów, kreują swoje pojęcie poezji i swoją prawdę słów. Są poetami bezwzględnie szczerymi, naturalnymi i nie oglądającymi się na zewnętrzny teatr świata. To Józef Baran i Marek Wawrzkiewicz. Jest też oczywiście co najmniej setka poetów dobrych, nawet bardzo dobrych, nawet wyśmienitych, ale to wciąż poszukujący swej drogi, swego głosu, to niczym prawi Szymborska (wielka dama poezji) wędrowcy (kobiety i mężczyźni, ależ to oczywiste), przybysze z głębi ciała, wędrowcy do omegi. Niektórzy już osieroceni.

Ci dwaj poeci wydają się być poetami prawdziwie wolnymi, właściwie napisali już wszystko, to, co mieli napisać, a teraz piszą już jakby tylko swoją prawdę, piszą wolnością i szczerością całkowitą, wyzwoloną z mód, póz i całej tej teatralnej fasady przybranych barw wojowników. To poeci wyzwoleni. Przekroczyli Rubikon spętania środowiskiem i autocenzurą. Piszą to, co chcą pisać – z głębi jestestwa i poezji. Teksty wolne, szczere, autentyczne i prawdziwe. Warte każdego Nobla, tylko im nikt dziś takiego Nobla nie da, bo Nobla dziś dostają „poprawni politycznie" misiowie puszyści, pupilki systemu, zgodne wymową i timbrem z duchem czasów, a to duch wyjątkowo żarłoczny. Jakiż to system ogarnął ten duch zapytacie? Nie wiem. Jeśli pytacie, odpowiedzcie sobie sami, jeśli nie pytacie, to już nie pytajcie, i tak uznacie, że bajki wam tu opowiadam. Pozwólcie mi zatem bajać. Kto zechce wysłucha, kto nie wyśmieje. Bajka to bajka. Prawo i maniera.

Pierwsze i ostatnie. Tom, z którym się już nie rozstanę. Tom, który zasili mój krwioobieg jak Młynarski, Stachura, Szymborska czy Różewicz z Zagajewskim.

Pewnie już do końca będę pytał jakie jest to niebo, w którym czeka na mnie moja Mama, jakie jest niebo, w którym być może i ja się znajdę, moi najbliżsi, moja kochana Żona, moi przyjaciele poetki i poeci, nasze zwierzęta. Wszystkie zwierzęta i ludzie dobrej woli.

Niebo, w którym zamieszkamy będzie starodawne.
Półki z obłoków zmieszczą wszystkie biblioteki świata. Słowo stanie się ciałem
I zamieszka między nami
Każdy pies będzie ze swoim panem, a koty poprowadzą kabaret
Starszych panów. Miski będą pełne, będziemy grać w Ogona, cieszyć się Światłem i wiecznością
A wiersze będą wszystkie bardzo dobre. Będziemy je czytać kojąc duszę
Wieczorami wspominając ludzi, czasy i miejsca
Bez wojen, zimna i strachu
Za to wznosząc toasty winem, którym nie będziemy się upijać
Bo upijać będziemy się tylko Nieśmiertelnością

Andrzej Walter

Marek Wawrzkiewicz „Pierwsze i ostatnie".
Wydawnictwo Marszałek Development Press, Toruń 2022. Stron 48.
ISBN: 978-83-66624-50-4

Andrzej Walter

Pogodzić życie z podarowanym czasem

Dobrze jest czasem podążyć szlakiem myśli człowieka zdystansowanego do świata i okoliczności. Powędrować wraz z Nim ze słowami zapisywanymi: dostojnie, godnie, łagodnie, z wytrawną i właściwą oceną przypadków czy rzeczywistości, ale i z piołunem tego dojmującego echa wydarzeń i z całą rwącą rzeką czasu, który jest przecież jedyny i tylko nasz. Jedyny jaki znany i jedyny nam podarowany, właśnie tutaj i właśnie teraz.

Taki jest najnowszy tom poezji Pawła Kuszczyńskiego, autora czternastu już książek poetyckich, uznanego recenzenta poetyckiego, ale i aktywnego działacza literackiego i żywiołowego miłośnika literatury. Ten poznański twórca już nieraz zaskakiwał nas świeżością swoich przemyśleń i poszukiwań poetyckich, intelektualnymi i filozoficznymi dociekaniami, wartościowymi konkluzjami oraz inspiracją nieoczekiwanych metafor na kartach swoich utworów.

Otrzymaliśmy oto kolejny Jego dobry tom ciekawych tekstów, w których zaprasza nas do wielu refleksji nad życiem, przemijaniem i miejscem piękna we współczesności. Wiersze Pawła Kuszczyńskiego zawsze są impulsem do przemyśleń i dyskursu. To swoiste artystyczne credo stanowiące wyzwanie dla ludzi: nieobojętnych, myślących i poszukujących. Tom zatytułowany adekwatnie do zawartości – „Mądrość dobra" jest po prostu … dobry. To też i dobry tytuł, a całość fantastycznie uzupełniają dyskretnie osadzone monochromatyczne grafiki Józefa Petruka, które szlachetnie pobudzają naszą estetykę wyobraźni podczas tej wartej swojego czasu lektury.

Ten tom zatem, edytorsko znakomity, dopracowany, uszlachetniony, również treściowo dobrze się komponuje z nurtem i dylematami współczesnej polskiej poezji, która próbuje przecież jednoznacznie odszukać sens życia człowieka w nowym czasie, coraz bardziej stężonym czasie aktualnej i chaotycznej rzeczywistości świata deprecjonującego wszelkie dawne wartości i znaczenia. Pytania stawiane przez poetę są tutaj: niebanalne, głębokie, mądre właśnie i przez to czynią ten tom ciekawym w odbiorze, wartym lektury i wespół z poetą powinniśmy podążyć drogą tych wciągających wątpliwości. Przy czym ważny jest też ten pokorny i subtelny punkt wejścia w rozważania. Ta potężna i jakże mężna deklaracja doświadczonego przez życie i czas poety, który otwarcie się przyznaje:

„Ciągle jestem tamten mały chłopiec
ukryty między regałami książek,
oddaję się ciszy, nie pochłania mnie
nachalna rzeczywistość"

Taki powinien być punkt początkowy - zaczynający nasze dociekania. Osadzony głęboko w dziecięcym pokoju, świadomy narodzin i nawarstwiania życiowych doświadczeń, ale na zawsze pozostającym też w tej dziecięcej wyobraźni i świeżości spojrzenia, łaknienia i umiejętności zachwytu najprostszym pięknem tej ziemi. Tej ziemi, powtórzę z sentymentem. Jedynej nam znanej, jedynej darowanej. Nieważne dokąd zmierzamy, choć to ostatecznie przecież bardzo ważne, ale pozostające poza wpływem naszego ja ulepionego z przeszłości, pozostające poza możliwością sterowalnych narzędzi. Jedyną busolą przyszłości są: nasze intelektualne bogactwo, marzenia oraz dążenia wytworzone na gruncie zaczerpniętej wiedzy – a skąd zaczerpniętej? Z przeczytanych książek, z obejrzanych filmów, ze spotkań z drugim człowiekiem, z tej odwiecznej pełnej empatii przygody rodzaju ludzkiego zwanej światem w jego pełni.

Dziś dotarliśmy do czasów wyszydzających tę pełnię, do czasów niwelujących duchowość, karcących poszukujących i odstawiających ich na jakiś boczny, podrzędny tor. Dziś w świetle reflektorów stawia się: krzykaczy, podżegaczy, ludzi jarmarku i sensacji, ludzi bez właściwości. Na piedestały osadza się szokujących pospólstwo skandalistów i klaszczących im ćwierćinteligentów wraz urągającym poczuciem kpiny i pogardy wobec: intymności, subtelności, nostalgii i … poezji właśnie, nawet z poezji czyniąc swoistą prostytucję słowa, w stopni czasami przekraczającym wszelaką percepcję.

Paweł Kuszczyński jawi się tu jako poeta starodawny. Klasyczny wręcz. Z właściwym sobie Herbertowskim dociekaniem oraz Różewiczowskim spokojem nienachalnie i łagodnie wykłada nam swoje wizje świata i dyskretnie namawia do zamyślenia się. Kto chce skorzysta, kto nie chce jego decyzja. To tom dla ceniących „mądrość dobra". Żeby jednak cenić taką mądrość dobra, trzeba najpierw zrozumieć czym jest samo ***dobro***. Cóż jeszcze znaczy to pojęcie, jak go rozpoznać pośród fałszu i uzurpacji, jak go uszanować i cenić pośród krzyków i hałaśliwej propagandy, jak go poczuć i samemu uczynić uwznioślonym wbrew regułom i zasadom tego świata, w którym normą stało się raczej zdziczenie i wynaturzenie w miejsce: prawdy, piękna i dobra.

Co po nas zostanie? Przeczytajcie wiersz „Rachunek wyników". Nie będę go tutaj celowo Wam na tacy wykładał. Przeczytajcie sobie sami, ten i inne wiersze poety.

Bóg będzie nadal milczał. Jedyne co mamy, to odezwanie się bliskiego człowieka. Istota tej najprostszej prawdy życia i rozważania nad duszą ludzką to esencja tego tomu. Tomu ważnego, ciekawego, tomu dla intelektualisty. Tomu eleganckiego jak „niezapisany życiorys"(…)

Za szybko z dzieciństwa wygnany,
ciągle pytam czy było ono naprawdę,
nawet w snach nie znajduję odpowiedzi.
Często ukazuje się obraz:
na łące pełnej dmuchawców
czułem się jak pan, domniemany władca.
Ja decydowałem, kopiąc butami,
którego pozbawić puchu,
zostawała mu żółta główka,
jakby łysina podstarzałego mężczyzny.
Wtedy odnajdywałem się w chwili:
sam ze swoim niedostatkiem i zagubieniem.
To los gra z naszym przywiązaniem do życia.

Nic nie jest tak ważne jak czas –
zderzamy się z paradoksem:
dopiero pojmujemy czas
gdy najmniej go mamy.
Każda emocja wypiera poprzednią,
żadna nie chce trwać długo.
Nastała pora na rzeczywistość
w wielkim skrócie i dotkliwie.
Zabawne jest to nasze milczenie.

Oj zabawne, zabawne. Bóg milczy, my milczymy, milczy świat – milczymy wobec siebie i swoich bliskich, bo czasami nawet nie potrafimy sami sobie powiedzieć, czy chociażby odpowiedzieć, właściwie dobrać słowa, wyrazić myśli, a do tego ten czas, czas zmora, klatka, przesłanie, paradoksalnie pojęcie względne, ale dojmująco wyznaczające rytm życia, trwania i przemijania. I jakby *dotrwania do…* Takie wiersze znajdziecie właśnie w tym tomie. Nieraz wiersze zagadki, do czytania kilkukrotnego, do namysłu, zastanawiania się, do dyskursu wewnętrznego, pytań stawianych wręcz samemu sobie, niekoniecznie, tak jak poeta, acz są to tożsame pytania, pytania logicznie uzasadnione, pytania właściwe z perspektywy drogi, jedynej drogi, z jedynym celem i przeznaczeniem.

Kogo spotkamy na szczycie i czy prawdą jest, że Ktoś nas tam osądzi? Tam, czyli gdzie? Tego nie wiemy i się przecież nie dowiemy. Może po to jest ta poezja? Tylko dlaczego tak nas uwodzą: mądrość dobra i słowa tej poezji? Gdzie w naszym ciele ukrywa się ten samolubny gen słowa zmierzający do: prawdy, dobra i piękna? Może ukrywa się on w samym życiu, które jako takie samo w sobie jest … cudem cudów?

Andrzej Walter

Marek Sołtysik

Mirosław G. Majewski

Z Markiem Sołtysikiem o tym, jak to jest być człowiekiem renesansu rozmawia Mirosław Majewski.

Mirosław Majewski
Dziękuję, Marku, że znalazłeś czas na ten wywiad, dla mnie i nie tylko dla mnie jesteś człowiekiem renesansu, podaję za Wikipedią: pisarz, eseista, wykładowca akademicki, scenarzysta, krytyk sztuki, grafik i malarz. Powiedz mi, czy jesteś konglomeratem tego wszystkiego, czy jest jakaś dziedzina sztuki, z którą identyfikujesz się najbardziej. Albo inaczej, gdybyś miał wybrać tylko jedną rzecz z tej długiej listy, to co by to było?

Marek Sołtysik
„Najpierw trzeba być człowiekiem, a potem dopiero artystą" – tak powiedział mi kiedyś przyjaciel i mentor Ireneusz Iredyński. A konkretna odpowiedź na to pytanie brzmi: – Nie mam żadnego hobby. Wszystko, co dotyczy twórczości, robię jako zawodowiec. Dziesiątkami lat pracowałem nad podstawą, którą jest nie tylko warsztat, lecz także świadomość artystyczna. Tego nikt nie odbierze, choć, jak widać, może odebrać dostęp do publiczności.

MM
Obiła mi się o uszy ta sentencja, ale nie miałem pojęcia, że jest autorstwa Iredyńskiego, ale wracając do Ciebie, ile książek wyszło spod Twojego pióra?

MS
Pięćdziesiąt – na pięćdziesięciolecie działalności twórczej.

MM
Jestem pod wrażeniem, znam kilkanaście twoich książek, a tu taka liczba! Wypadałoby teraz zapytać o ilość obrazów, które wyszły spod Twojego pędzla. Ale o tym za chwilę, muszę się pochwalić, że jestem szczęśliwym posiadaczem jednego z Twoich obrazów z „bananowej" serii, ile tych bananowych obrazów namalowałeś, to po pierwsze, a po drugie, ile ich jest w ogóle?

MS
Okazuje się, że masz moje unikatowe banany. Malowałem je jeszcze tylko w takiej ekspresyjnej martwej naturze, obrazie, który, jak to się u mnie często zdarza, powstawał etapami, odstawiany na całe lata, po jakimś czasie domagał się pieszczot mojego pędzla. Tamten jest za oceanem; spodobał się koneserowi na ścianie w krakowskiej galerii Raven. Banany więc dwa razy, a w ogóle owoce maluję często; to cierpliwe modele. Głównie jabłka, gruszki, ananasy… nie zawsze w dziwnych na pozór zestawieniach. Z warzyw czosnek, cebule, chrzan, dynie. Przede wszystkim maluje jednak portrety i akty. Nie wiem, ile płócien wyszło z mojej pracowni. Pierwszy duży obraz olejny sprzedałem na deptaku podczas słynnego Festiwalu Artystycznego Młodzieży Akademickiej FAMA–71. Uczestniczyłem w festiwalu. Malowałem elementy scenografii, w której potem występowali m.in. Magda Umer, Bogusław Mec, Kabaret Elita, Kabaret Salon Niezależnych, zaprzyjaźniłem się z damsko–męskim zespołem Teatru STU, który wystawiał m.in., rewelacyjne „Spadanie" i „Sennik Polski". No i Marek Jackowski, chyba Jacek Ostaszewski i Tomek Hołuj (w trakcie zawiązywania zespołu „Osjan"), z nimi Olga Jackowska, która jeszcze nie była Korą i na plaży karmiła piersią malutkie dziecko. Po tej sprzedaży obrazów mojego i kolegi poszliśmy wielką koedukacyjną grupą o zmierzchu nad morze, każda osoba z butelką czerwonego wytrawnego wina: algierskie Fatima i Gellala były dostępne i niedrogie. Zrzuciliśmy lekkie letnie odzienie i wszyscyśmy się kąpali zupełnie nago. Mieszkaliśmy podczas festiwalu w jednej willi sprzed I wojny światowej. Niepowtarzalna aura tej naszej oazy na pererelowskiej pustyni, powiedzmy. Musiałem wspomnieć o FAMIE–71 także dlatego, że po powrocie do rodzinnego Olkusza, gdzie jako student krakowskiej ASP mieszkałem u rodziców w czasie wakacji, zarobiwszy naprawdę sporo na FAMIE–71 kupiłem, będąc adeptem malarstwa, książki na własność: beletrystykę i… i m.in. dwa nowiutkie tomiki poezji, które zdobiły witrynę ówczesnej porządnej księgarni w olkuskim rynku. To wydane w ówczesnym PIW: Gdzie indziej urodzonego w Olkuszu Jacka Trznadla i Widnokres Tadeusza Śliwiaka, po latach kolegi redakcyjnego i towarzysza podróży. Te książki zdawały się właśnie na mnie czekać w księgarni. W czas kanikuły.

Wracam do Twojego pytania. Co bym wybrał, gdybym miał wybierać sposób wypowiedzi artystycznej? O tym nie ja decyduję, ani żaden urząd. To się dzieje samo, dzięki możliwości wyboru nie ma mowy ani o przesycie, ani o zacietrzewieniu podczas histerycznego dzierżenia jednego tylko narzędzia. Wspomniałem o pracy w cementowni. Miałem kłopoty przed samą maturą, właściwie już od roku, od wiosny 1968, egzamin z matematyki zdawałem dopiero w sierpniu, rok bez szans na studia, rok w cementowni. Tam nauczyłem się życia, poznałem z bliska byłego lotnika z Dywizji 303, prześladowanego po powrocie do kraju, i jego syna, stolarza modelarza. Bardzo dobrze zarabiałem, oprócz etatu „malarza lakiernika samochodowego", bo etat plastyka nie istniał, popołudniami jeździłem do pobliskich miasteczek i malowałem szyldy dla prywatnych piekarni i barów, wcześniej opanowałem niełatwą technikę malowania na szybach, nie wszystko przehulałem, gdy więc po roku starałem się na studia w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (40 kandydatów na jedno miejsce), mogłem sobie pozwolić na spędzanie wieczorów i nocy w małym, czystym, osobnym pokoiku, gdzie odpoczywałem po trudach każdego dnia egzaminów trwających przez tydzień. Towarzyszyły mi zakupione w pobliskiej księgarni „Muza" (działającej do dziś przy ul. Królewskiej) nowo wydane książki: Upadek Camusa, Przygotowanie do wieczoru autorskiego Różewicza i Mgiełkę Józefa Hena. Środek Krakowa, głęboka noc, otwarte na oścież okno, zapach kwitnących drzew i ja sam. Poczułem przecudowną więź z autorami, w trakcie lektury dopasowały się myśli i uczucia, wiedziałem, że te drukowane słowa napełniają mnie odwaga. Egzaminy zdałem z bardzo wysokim wynikiem, dostałem się na studia.

MM
Upadek Camusa i Przygotowanie do wieczoru autorskiego mają swoje miejsce w moim skromnym księgozbiorze, ale wróćmy do malarstwa, Ile z Twoich obraz jest w prywatnych zbiorach w kraju jak i za granicą, a ile w różnych, nie wiem jak to ująć, instytucjach kulturalnych, muzeach, itp.?

MS
Nie wiem. Prowadzę ewidencję bieżącą dopiero od dwóch lat. Sprzedawałem poprzez galerie sztuki i niekoniecznie mnie obchodziło, kto kupił. Ważne było, że obraz poszedł. Teraz, gdy istnieje Internet i FB, przypomina się ze Stanów Zjednoczonych, z Danii, z Izraela i Holandii wiele ciekawych osób, które przed trzydziestu, czterdziestu laty kupiły za pośrednictwem marszandów moje obrazy. Duże wystawy: indywidualna w krakowskim Pałacu Sztuki, w Galerii BWA Jaki w Nowym Targu, w Domu Doktora w Zakopanem, wreszcie w Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie i w Muzeum Romantyzmu w Opinogórze. W Polsce kilkaset płócien wisi w zbiorach prywatnych, nie mówiąc o portretach na zamówienie, niekiedy naturalnej wielkości. Jeden z miłośników nie tylko mojego malarstwa ma na Florydzie małą stałą wystawę moich prac. U reżysera Janusza Majewskiego wisi moja Ławeczka, obraz olejny z ducha Bruna Schulza. Kompozycja „Przedmurze" znajduje się w zbiorach Biblioteki Głównej Akademii Sztuk Pięknych im Jana Matejki w Krakowie. W archiwach tejże Akademii mój Autoportret symboliczny. Juwenilny portret mojej babki Bronisławy z Rauków Mikodziny, olejny, malowany w 1963 roku, posłany jako praca przedegzaminacyjna, jest w zbiorach Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie, a portret Iredyńskiego i komplet ilustracji autorskich do mojego tomu opowiadań Intymne zwierzenia kilkunastu osób – w zbiorach Biblioteki Narodowej w Warszawie.

MM
To bardzo, bardzo interesujące co mówisz, tym bardziej, że Pan Janusz Majewski ma również w swojej kolekcji jeden z Twoich obrazów, wspominam o tym dlatego, ponieważ prowadziłem długie, telefoniczne rozmowy z Panem Januszem, i posiadam wszystkie książki jakie napisał, rzecz jasna z dedykacją. I tu też była analogiczna do Twojej historia. Janusza Majewskiego najpierw, co jest raczej naturalne, znałem jako reżysera, dopiero później jako pisarza. Marka Sołtysika znałem jako pisarza, o tym, że jesteś artystą malarzem dowiedziałem się wiele później, i muszę przyznać, że byłem zdziwiony Twoją wszechstronnością. Moje pytanie brzmi, czy jesteś bardziej odbierany jako pisarz, czy jako artysta-malarz, a może jest to w jakiś sposób uwarunkowane środowiskiem w którym przebywasz.

MS
To skomplikowane. (Śmiech). W pewnej chwili musiałem sam przed sobą się opowiedzieć. W wymarzonym Krakowie ukończyłem elitarne Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych, pięcioklasowe, liczące wówczas około stu uczniów, potem przez rok „praktykowałem" w Cementowni Jaworzno w Szczakowej i jako plastyk zakładowy malowałem plansze behapowskie, a także napisy na całej długości autobusów lakierem nitro (!), potem ukończyłem Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, litografię u Włodzimierza Kunza, grafikę książkową u prof. Witolda Chomicza, przez całe pięć lat uczęszczałem oczywiście na zajęcia rysunku aktu najpierw →

pod kierunkiem wielkiego drzeworytnika Stanisława Wójtowicza, który mnie wyróżniał i z którym się zaprzyjaźniłem, potem pod okiem wybitnego artysty miedziorytu Jacka Gaja, u którego zostałem asystentem zaraz po ukończeniu studiów. I oczywiście pracownia malarstwa przez cały czas trwania studiów – tu, u prof. Jana Świderskiego, nie miałem żadnych problemów. O rezultatach świadczyła ilość ukradzionych moich obrazów przez publiczność wystawy tzw. końcoworocznej w salach Akademii. Największy kłopot był w tym, że podczas studiów, latem 1972, napisałem powieść, rok później drugą i opowiadania. Wydrukowano mi wiersze w „Dzienniku Polskim", a Rozgłośnia Polskiego Radia w Krakowie emitowała moje debiutanckie słuchowisko Odległości w reżyserii Romany Bobrowskiej (wtedy jeszcze pod nazwiskiem Belczyk), po czym słuchowisko zostało zakupione przez Warszawę do Programu 1 Polskiego Radia i tak się to zaczęło… Studio nagrań w obecnym Radiu Kraków nosi obecnie imię Romany Bobrowskiej, już nieżyjącej, podobnie jak wielu świadków mojego wchodzenia do literatury. (Od tego się zaczęło: Polskie Radio emitowało kilkadziesiąt moich słuchowisk w znakomitej obsadzie aktorskiej). Ale wracając do zagadnienia: kim jestem? W czasie tych moich tryumfów literackich, złudnych, jak się okazuje pod koniec życia, kiedy w dniach przygotowań do dyplomu biegła do mnie przez długi, starodawny korytarz Wydziału Grafiki koleżanka, wtedy już zamężna, ta sama dziewczyna, która mnie kilka lat temu rzuciła – wiesz, po co tak biegła w połowie maja 1975 roku? Żeby mnie pocałować w usta!!! Ona wiedziała, z gazety, a ja jeszcze nie, że przy olbrzymiej konkurencji zdobyłem nagrodę w konkursie „Czytelnika" na debiut powieściowy. Pogratulowała mi w ten wymyślny sposób. (Człowiekowi, który był od roku w innym związku). Co z tego, skoro wciąż byłem grafikiem i malarzem. Jak to rozdzielić, zwłaszcza że poprzedniej nocy zobaczyłem w rozświetlonej witrynie „Desy" na Floriańskiej mój ogromny obraz w fantastyczna wedutą, a gdy przyszedłem w południe i obrazu już tam nie było, pomyślałem, że się opatrzył i zaniesiono go do magazynu, okazało się jednak, że obraz został sprzedany. Co najmniej trzy przeciętne wynagrodzenia miesięczne. Mogłem więc tak trzymać. Zwłaszcza że dostałem wyróżnienie honorowe w ogólnopolskim konkursie pod hasłem „Portret współczesny". Ale literatura ciągnęła mocniej. Nagrodę za debiut otrzymała powieść Domiar złego. Pisałem ją przez rok w byłej kaplicy sióstr Augustianek na styku żydowskiego Kazimierza i chrześcijańskiej drugi na Skałkę. Na XVII-wieczny dom rzucał szlachetny cień gotyk niemal przylegającego kościoła św. Katarzyny Aleksandryjskiej. Z „niemalowania" ocknąłem się po dziesięciu latach. Żeby nie było wątpliwości, rysowałem zawsze. Pozostało pół tysiąca ilustracji książkowych i prasowych.

MM

Czy jeszcze w jakieś mierze czujesz się Olkuszaninem, czy już raczej obywatelem świata?

MS

Z Olkusza wyszedłem i chyba już do Olkusza nie wrócę. Teraz tam taki tłok jak kiedyś w dni targowe, w piątki. Czy Olkusz mnie ukształtował? Odpowiem nie wprost. Gdyby nie Olkusz, nie miałbym o czym pisać. Powieści Aż do odejścia nocy i Domiar złego to krzyk o uwolnienie nas z pozornego zamknięcia, utwory metaforyczne, które dzieją się w scenerii dawnego, tuż powojennego Olkusza, w willach i zapuszczonych ogrodach starej inteligencji, ale akcja obserwowana jest przez pryzmat krakowskiej bohemy, którą poznałem i do której przynależałem, z niezbędnym apendyksem smaku i zapachu progresywnych ruchów młodzieżowych, także z inteligencji. Olkusz więc, Kraków, Warszawa i reszta świata. Wyciera się niebezpiecznie moja podszewka prowincjusza.

MM

Gdybyś miał zabrać jedną przez siebie napisanych książek na bezludną wyspę, to którą byś wybrał?

MS

Tę wciąż jeszcze nie napisaną.

MM

No to sprytnie wybrnąłeś! (Śmiech). Pracowałeś przez wiele lat w krakowskim oddziale telewizji polskiej, współpracując z Kazimierzem Kutzem, i zapewne z wieloma innymi ludźmi szeroko rozumianej kultury, czy mógłbyś powiedzieć coś więcej o tym okresie twojej twórczości.

MS

Kazimierz Kutz, dyrektor naczelny i główny reżyser w Ośrodku TVP Kraków zatrudnił mnie nazajutrz po tym, jak zlikwidowano „Życie Literackie". Wcześniej, od 1989, zapraszał mnie na komisje kolaudacyjne spektakli teatralnych TVP. Cenił moje zdanie, mieliśmy podobne gusty i zapatrywania na sztukę. Potem w mig zrozumiał moją sytuację, zostałem zatrudniony jako bezpośrednio mu podległy pracownik, rozpisałem konkurs na scenariusz stuodcinkowego fabularnego serialu „Kraków", zamówionego u Kutza przez BBC, wspólnie z Panem Kazimierzem i z utworzonym jury wyłoniliśmy dzielną ósemkę laureatów-scenarzystów. Byłem ich szefem. Pracowaliśmy wspólnie w nowym studio w Łęgu, którego byłem pierwszym pracownikiem, o czym uprzejmie doniosło „Echo Krakowa". Po roku „oddolnie" wyrzucono Kazimierza Kutza, nazajutrz oczywiście wyrzucono mnie, po zespole scenarzystów, także brutalnie rozwiązanym, pozostał treatment całości. Tak toczy się światek. Setki szczegółów na pazerność i nielojalność trzech kolegów z byłej redakcji „Życia Literackiego", którzy natychmiast wcisnęli się na moje miejsce, a także dwóch kolegów: pisarza i krytyka, którzy cichcem i za pieniądze nowej dyrekcji sporządzili recenzję dyskredytującą wartość naszego treatmentu. Pozostały w dobrej pamięci obserwacje cudu artystycznego, czyli m.in. uczestnictwo w charakterze kibica w powstawaniu arcydzieła Kutza, przedstawienia Kolacja na cztery ręce Paula Barza, wcześniej otwarta gęba, że tak wspaniale można, podczas kolaudacji Opowieści Hollywood Christophera Hamptona, podglądanie na bieżąco roboty reżyserskiej przy produkcji nawet takiej, powiedzmy, galanterii, ale z udziałem Jerzego Radziwiłowicza, jak Traugutt Franciszka Ziejki. Poznałem dobrze znakomitego reżysera, realizatora telewizyjnego, czułego profesjonalistę Stanisława Zajączkowskiego i urzędującą w tym samym pokoju, co my, Marię Guzy–Czyżewską, która nakręciła rewelacyjny film Ciemna słodycz na podstawie mojego nagrodzonego słuchowiska pod tym samym tytułem. To był film dyplomowy (z Radziwiłowiczem, podobnie jak w słuchowisku i chyba z Beatą Paluch) zdobył najwyższą ocenę u prof. Janusza Majewskiego podczas obrony dyplomu reżyserskiego Marii Guzy-Czyżewskiej.

MM

Miałem przyjemność przeprowadzić wywiad z Kazimierzem Kutzem, z 30 przyznanych mi na ten wywiad minut zrobiło się prawie 90, czytałem też biografię Kutza, tak, że wiem w czym rzecz kiedy mówisz, o tej atmosferze "zmian na lepsze". Może zakończmy ten wątek? Jak myślisz?

MS

Myślę, że o kłach i pazurach wystarczy. Dodam, że wśród współautorów bezmyślnie odrzuconego treatmentu scenariusza, do których należałem, byli m.in. Lucyna Mielczarek, późniejsza laureatka V Ogólnopolskiego Konkursu Dramaturgicznego w Łodzi, reżyserka w krakowskim teatrze Bagatela i aktorka; Mirosław P. Jabłoński, świetny dziś tłumacz, scenarzysta i pisarz SF; poeta i człowiek teatru Jerzy Sitarz; jedna z najwyższych figur w telewizji Polsat Piotr Fajks.

MM

Popraw mnie jeżeli się mylę, ale z tego co wiem, przejąłeś pałeczkę po Wisławie Szymborskiej w Życiu Literackim, czy miałeś dużo pracy w związku z napływem wierszy od młodych poetów? (być może byłem jednym z nich).

MS

W „Życiu Literackim" pracowałem od 1978. Jako autor dwóch wydanych powieści i kilku książek w druku przejąłem dział prozy po zmarłym na serce podczas przemówienia do młodych Stefanie Otwinowskim. Przez dwa lata na pół etatu, miałem bowiem pełny etat asystenta w Akademii Sztuk Pięknych. Musiałem się zdecydować. Wybrałem redakcję ogólnopolskiego tygodnika. „Pocztę Literacką" po Wisławie Szymborskiej (ocena wierszy) i prof. Włodzimierzu Maciągu (ocena prozy) prowadziłem nieco później: regularnie przez prawie 10 lat – do roku 1991 włącznie, czyli do likwidacji „Życia Literackiego". Ukazały się przy okazji jakichś wywiadów w innych pismach moje zdjęcia ze stosami maszynopisów po lewej stronie redakcyjnego biurka i pod ścianą. Udzieliłem odpowiedzi w druku co najmniej 2 500 młodym piszącym (52 numery naszego pisma rocznie pomnożyć przez dziesięć lat), kilkunastu tysiącom odpowiedziałem „Pretekstów do dialogu brak", a przesyłki z wierszami i prozą wciąż nadchodziły. W tamtym czasie wyłącznie ja zajmowałem się „Pocztą Literacką" (wydrukowane felietony liczyły w sumie co najmniej 1000 stronic maszynopisu), prowadząc równocześnie nieprzerwanie dział prozy. Dział poezji prowadził Tadeusz Śliwiak. Ciekawszych autorów zapraszałem, organizowałem im debiuty. Moje odkrycia (lub współodkrycia) prozatorskie to Jan Rybowicz, Mariusz Maraszkiewicz, Jerzy Pilch, który przypomniał o tym fakcie czytelnikom „Twórczości" w czerwcowym numerze 2018 roku, Andrzej Łuczeńczyk, Stanisław Mikke, Artur Ilgner, Waldemar Bawołek, który pamięta, że go wyróżniłem i zachęcałem do pracy twórczej, choć nie zdążyłem wydrukować z powodu katastrofy „Życia Literackiego", a poetyckie – przede wszystkim Jadwiga Nowak.

MM

A to ciekawe, Janka Rybowicza „odkryłem" jako nastoletni amator pochłaniający Nowy Wyraz, na których łamach Rybowicz debiutował jako prozaik, wspominam o tym w mojej debiutanckiej powieści Performance.

MS

Przez kilka lat widywałem się z Janem Rybowiczem mniej więcej raz na kwartał.

Gdy odwiedził mnie w redakcji po raz pierwszy, przeczytałem jego opowiadanie w maszynopisie i już wiedziałem, że choćby nie wiem co, będę walczył, żeby ukazało się w „Życiu Literackim". Jeż wtedy wystarczyło, że raz spojrzałem na odświętnie ubranego przybysza z Lisiej Góry i już miałem pewność, że w kwestii pokrzepienia pozostaniemy przy dobrze zaparzonej herbacie. I tak było do końca... w Krakowie. Na tydzień przed śmiercią otrzymałem od niego dramatyczny list, będący odpowiedzią na moje zaproszenie do udziału w konkursie na scenariusz serialu Kraków. Widział co się dzieje, likwidowano czasopisma kulturalne. Szczerze mi gratulował, że odnalazłem się w telewizji, rozumiał, że po tym, jak nas, członków redakcji, zostawili na lodzie, nie zdołałbym utrzymać rodziny (nie wiedział, że mam większe kłopoty i zrzekłem się mieszkania), podziękował na zaproszenia, ale stwierdził, ze nie ma już siły na daremne buksowanie. Kiedyś zamierzałem opracować i wydać kilkadziesiąt listów Jana Rybowicza do mnie, ale zrozumiałem, że teraz, kiedy autorzy marnych, papierowych biografii w gonitwie za sensacją odgryzają sobie wzajemnie ogony, nie ma to najmniejszego sensu. Listy Rybowicza, wraz z częścią mojego archiwum przekazałem jesienią do Biblioteki Narodowej.

MM

Dygresja goni dygresję, wróćmy do tematu, przeczytałem twój, o ile się nie mylę, jedyny tomik wierszy, i pierwsza myśl, która mnie naszła, to, że ty „malujesz" wiersze. Zgodzisz się z tym?

MS

Komponuję powieści, maluję wiersze, wszystko to być może. Korytarz nie jest moim jedynym tomikiem. Minęło kilka lat od ukazania się pierwszych wierszy z tego gotowego już cyklu w dwóch ratach w „Twórczości", w „Miesięczniku Literackim", „Życiu Literackim", do wydania książki w ekskluzywnej „Serii z Pegazem" „Czytelnika". Drugi tomik poetycki to Małe wiersze wieczorne. Za tę książkę, wydaną w szczecińskim „Globie", w roku 1986 otrzymałem prestiżową Nagrodę im. Stanisława Piętaka. Niektóre wiersze z tego tomu Artur Sandauer określił jako rewelację. Poglądy na Małe wiersze wieczorne ujawnił w wywiadzie w dwutygodniku „Morze i ziemia", piśmie o niewielkim zasięgu.... Do wydania drukowanych w czasopismach i leżących od czterech lat w manuskryptach Małych wierszy wieczornych skłonili mnie Mirosław Lalak, uczony i krytyk literacki (zginie w katastrofie samochodowej) i Józef Krzyżanowski, krytyk, dyrektor wydawnictwa „Glob". To samo wydawnictwo wydało w roku 1986 moją powieść Aż do odejścia nocy – piętnaście lat po jej napisaniu. To był mój prawdziwy debiut prozatorski, ale z powodów cenzuralnych nie mogłem marzyć o jej wydaniu. W 1972 czytali ją w maszynopisie z entuzjazmem Jan Bolesław Ożóg, Michał Sprusiński, wybitni artyści Jerzy Panek i Stanisław Wójtowicz, wpływowy malarz i ceramik Leszek Dutka, skrzypaczka i poetka Halszka Podgórska. Niedawno znalazłem teczki z wycinkami prasowymi (dziś już takich nie składam): kilkaset recenzji, niektóre z nich to rozprawy naukowe. A jakie nazwiska recenzentów!

MM

I pytanie, które mnie dręczy od początku tego wywiadu, ile jeszcze planujesz wydać książek? A dokładniej rzecz ujmując, ile już ich napisałeś, i tylko czekają na zainteresowanie wydawców?

MS

Mam wrażenie, że od kilku lat wydaje się w Polsce głównie to, co nieodżałowany Stanisław Barańczak określał jako „Książki najgorsze". Działa niewątpliwie prawo Kopernika–Greshama. Ambitnych, oryginalnych książek nie starcza dziś nawet na lekarstwo. Komuś zależy na tym, żeby czytelnik zapomniał, co to jest dobra książka. Po perturbacjach z wydawcami straciłem motywację do czynu nazywanego wydawaniem własnych nowych książek. Jako zawodowiec – nie tylko jako pisarz, ale jako recenzent, jako wieloletni redaktor – wiem, że jeśli autor nie z własnej woli na zbyt długo znika z rynku, przestaje istnieć. I o tym doskonale wiedzą ci, którzy opóźniając wydanie książek doświadczonych pisarzy, jednocześnie podpisują umowy z debiutantami w momencie, kiedy ich książki nie są jeszcze gotowe. Mam osiem gotowych książek, napisanych w ostatnim dziesięcioleciu. Obszerne i liczne ich fragmenty były drukowane w najlepszych czasopismach. Dla wydawnictw najwidoczniej nie jest to żaden argument. Poza tym od czasu, gdy – tylko z pomocą żony, pisarki Jadwigi Nowak – przygotowałem do druku, przepisawszy z rozsypujących się stronic listy doktora Wacława Kraszewskiego, opatrując je tytułem Miłosne listy medyczne i polityczne, z setkami rozbudowanych przypisów, z oryginalnym zdjęciami, moim projektem okładki, gdy więc wydałem te osiemset stronic dużego formatu, myśl o jakichś moich papierach z drukarki zamienionych w książkę już mnie nie podnieca.

MM

Muszę przyznać, że tego też nie rozumiem, przychodzi mi na myśl jakieś drugie dno, ale obawiam się, że tego w tak krótkim, chociaż bardzo bogatym wywiadzie nie rozwikłamy. Wiem, jak bardzo jesteś zajęty, tym bardziej dziękuje Ci za czas, który dla mnie wygospodarowałeś.

MS

Dziękuję Ci również. Piszę wprawdzie wspomnienia, które może się kiedyś ukażą, a może raczej nie – zważywszy na to, ze ostatnio między funkcyjnymi ludźmi od kultury trwają walki o gumkę myszkę, ale Twoje pytania pozwoliły mi uporządkować pewne ciągi przyczynowo-skutkowe i wydobyć z pamięci fakty, z których najmłodsi twórcy będą mieć, być może mimo woli, jakiś pożytek.

PS

Wywiad z Markiem Sołtysikiem przeprowadziłem z myślą o kwartalniku Migotania.

Marek Sołtysik

Marek Sołtysik

W numerze prezentujemy prace Marka Sołtysika

gazeta literacka

Migotania

www.migotania.pl

ISSN 2083-2494

numer 2 (79) 2023

Redakcja:
Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**
Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska (Warszawa)**,
Zbigniew Kresowaty (Lądek Zdrój)
Roman Warszewski (Gdynia),
Małgorzata Dorna (Wendrychowska),
(Piła - Sopot)

Stale współpracują:
Anna Frajlich (Nowy Jork),
Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),
Leszek Szaruga (Warszawa),
Olga Śmiechowicz (Łódź),
Marek Wawrzkiewicz (Warszawa),
Krystyna Śmiechowicz (Łódź),
Aleksandra Naróg,
Urszula M. Benka,
Andrzej Walter,
Mateusz Wabik,
Jerzy Lengauer,
Marian Lech Bednarek
Andrzej Wołosewicz

Dział fotografiki: **Sybilka Storie**

Dział tekstów, redakcja i korekta:
Agata Foltyn

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:
Baltox Artur Rakowswki

Wydawca: Fundacja Światło Literatury
Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,
ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
tel. 601-840-302
joa@migotania.pl,
joalike@gmail.com

Fundacja ŚwiatłoLiteratury

Migotania.
Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e–mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres:
joa@migotania.pl

WOJEWÓDZTWO POMORSKIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej "Migotania":

– Przekazując materiały do redakcji Pisma:
– autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
– autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
– autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
– autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
– autor zezwala redakcji na dokonywania skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań" zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety
Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.
Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 601-840-302 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
   Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
   "Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przesłanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866

Leszek Szaruga

WYPRASOWANIE (43)

W tygodniku "Sieci" (nr 20/2023) Bronisław Wildstein opublikował quasi recenzję książki Andrzeja Zybertowicza *Cyber kontra real. Cywilizacja w techno-pułapce*. Kawaler Orderu Orła Białego skorzystał przy okazji z możliwości dodania do omawianego dzieła perły myśli własnej. Napisał oto, że być może „niekontrolowana eruppcja nowych technologii ze swoim destrukcyjnym potencjałem (...) jest skutkiem rozmontowywania kultury zachodniej przez lewicowo-liberalne ideologie". Dopełnia zaś swe refleksje pytając o „środki zaradcze, które przyjąć trzeba wobec cyber zagrożenia" i sugeruje, że „powinniśmy się skupić na odbudowie znanej nam, a więc tradycyjnej cywilizacji".

Może warto przy okazji wspomnieć, że „tradycyjna cywilizacja" Słowian nie jest nam w zasadzie zbyt dobrze znana, zaś zniszczenie jej przez inwazję chrześcijaństwa - o czym interesująco pisał Tadeusz Miciński w zbiorze szkiców *Do źródeł duszy polskiej* (1906) - nie odbywało się bynajmniej w sposób, który można by nazwać cywilizowanym. Ale Wildsteinowi nie o tradycje słowiańskie przecież chodzi (a warto, by przeczytał *Barbarzyńską Europę* Karola Modzelewskiego), lecz o okres rozkwitu średniowiecza zapewne, bo potem już zaczęły się te wszystkie „erupcje nowych technologii" (*vide* poszukiwania Leonarda da Vinci) aż doszło w Anglii do rewolucji przemysłowej i do zgoła nieludzkiej wymiany ludzi na maszyny, co owocowało w początkach XIX stulecia ruchem niszczycieli maszyn *(luddite*). Wydaje się, że Wildstein, Bronisław Wildstein należy do niezniszczalnej sekty tworzonej w ciągu wieków przez tych wszystkich, których ideą życiową była walka z „nowinkami", które wszak – ponieważ są czymś, czego nie znamy – stanowią siłą rzeczy zagrożenie. Rzecz wszakże w tym – co członkom owej sekty trudno pojąć – że natura wszelkich „nowinek" polega na tym, iż są niekontrolowane, kwestią zaś zasadniczą nie jest ich zwalczanie, lecz odpowiedź na pytanie, jak z nimi żyć. Wildstein natomiast skupia się na tym, jak je zwalczać, co raczej jest niezisziczalne, i nimi straszyć. To zresztą bardzo tradycyjna, chrześcijańska postawa – wzbudzanie lęku: *memento mori*!

Cała ta zabawa zapowiedziana była już wcześniej. To wszak sam premier RP w początkach swego urzędowania ogłosił, że ma zamiar zająć się reewangelizacją Europy, co jest jednym z wariantów „powrotu" do „znanej nam, a więc tradycyjnej cywilizacji". To dość wyrafinowana wersja hasła „powrotu do Europy" – tej, z której zostaliśmy wykluczeni w końcu XVIII wieku: być może ówczesne realia to cel wszelkich reform dokonywanych przez obecne władze. Stąd też powracająca wizja najpierw Międzymorza przekształcona pod patronatem lubiącego „tradycyjną cywilizację" prezydenta Trampa zmierzającego do rozsadzenia UE w wizję Trójmorza, do niedawna klejona we wspólnocie z Orbanem. Stąd też powtarzane hasło konieczności „wymiany elit", które próbuje się od kilku lat wprowadzić w życie dążąc do ograniczania wolności słowa przez eliminowanie bądź przejmowanie – czy to za sprawą zabiegów administracyjnych, czy przez obcinanie funduszy – nie sprzyjającym władzy instytucji kulturalnych a ostatnio (choćby w zapowiedziach ministra edukacji o ograniczeniu finansowania IFiS PAN jako karze za wypowiedzi badaczki holocaustu profesor Barbary Engelking) także naukowych: dość wspomnieć o „skokach" na muzea, teatry czy redakcje czasopism (ostatnio afera związana z narzuceniem redaktora naczelnego w „Dialogu"). Myślę, że warto te działania dokumentować.

Warto też od czasu do czasu zanurzyć się w potoku logorei prawicowej – choćby dla zorientowania się w przestrzeni mentalnej, jaką wytwarzają mentorzy obrońców „tradycyjnej cywilizacji" Przykładem klinicznym jest tu pomieszczone w piśmie „Do Rzeczy (Tygodnik Lisickiego)" (nr 20/2023) omówienie (klawiatury Tomasza Rowińskiego) redagowanej przez Jakuba Zgierskiego *Encyklopedii antykultury*, która wydana została właśnie nakładem Fundacji Cor Dei, bez wątpienia oficyny godnej dotacji przeznaczanych na naukę i kulturę przez tandem ministrów Czarnka i Glińskiego, choćby tylko za opublikowanie w 2022 roku zbioru *Pisarz wobec nicości i kłamstwa. Szkice o twórczości Bronisława Wildsteina*. W relacji o haśle Michała Pytla dotyczącym koncepcji zjednoczonej Europy sformułowanej przez Altiero Spinelliego, jednego z ojców integracji europejskiej, pisze Rowiński: „Zatem neomarksizm, neokomunizm czy też marksizm kulturowy i związane z nim zjawiska, takie jak promocja prawnego uprzywilejowania tzw. mniejszości seksualnych czy normalizacji zaburzeń psychicznych jak transgenderyzm, osłabianie państwa narodowego i rodziny to faza przygotowawcza do zaprowadzenia i umocnienia nowej „dyktatury proletariatu" jako wyższej formy demokracji. Skoro Europa nie ma swojego demosu, to należy zniszczyć te wspólnoty, które jeszcze istnieją, by, niejako odgórnie, władza europejska mogła uformować nowy zupełnie, nieznany historii „naród". A to oznacza wedle Rowińskiego: „Koniec wolności politycznej, wolności słowa, fasadowość demokracji, a w dalszej perspektywie koniec wolności osobistej w formie, którą uważamy za godną współczesnego obywatela zachodniego świata". Uff – powiedzieć, że to bełkot, to jakby obdarzyć te wywody komplementem z najwyższej półki.

Ale, oczywiście, „podkładka" dla tych bredni jest, był albowiem Spinelli członkiem Włoskiej Partii Komunistycznej – tyle, że w roku 1937, gdy siedział w kazamatach Mussoliniego, został z tej partii usunięty za krytykę stalinizmu, a ponieważ więzienie dla wielu stało się okazją do zrewidowania swych postaw, także i jego późniejsza aktywność w Parlamencie Europejskim (zmarł w roku 1986) raczej z komunizmem niewiele miała wspólnego. Ale dla Rowińskiego, jak dla wszystkich radykalnych rzeczników „znanej nam, a więc tradycyjnej cywilizacji", nie do pomyślenia jest przypuszczenie, że ktoś może – czy choćby ma do tego prawo – zmienić poglądy. Może zatem panowie Pytel z Rowińskim zechcą prześwietlić życiorysy wielu prominentnych polityków, ale także i twórców związanych dziś z ich ideową bańką? Pewnie kiedyś i do tego dojdzie, ale obawiam się, że dla mnie, miłośnika politycznego kabaretu, będzie to zbyt późno, a pewnie ci, którzy doczekają, poskręcają się ze śmiechu.

Zastanawiam się jedynie, jak to jest – żyć w świecie do bólu znanym, nie zaskakującym nowymi odkryciami i nie poddającym się jakiejkolwiek transformacji i jednocześnie zmierzać ku temu, by ten świat wymodelować na wzór, który się uważa za jedynie możliwy? Jeśli już naprawdę chce się coś przemodelować, to znaczy chyba, że zmiana jest nie tylko możliwa, ale i pożądana. Można oczywiście być i płaskoziemcą, i kreacjonistą, wierzyć, że świat został stworzony takim, jakim jest, uważać, że w akcie stwórczym wszystko, jak w harmonii wprzódy ustanowionej Leibniza, nawet wykopaliska archeologów, jest powołane aktem boskiej kreacji, ale nawet wtedy wypadałoby uznać, że w owym porządku jego twórca przewidział, skoro są, istnienie wyznawców nieco innych światopoglądów i że chyba nie jest dobrze, by ich wizje ładu miały likwidować spojrzenie konkurencyjne. Może więc warto przyjąć, że miejsca starczy dla wszystkich i nie używać określeń typu „tzw. mniejszości", bo sami – zapewne uważający się za większość – nie bardzo byliby zadowoleni, gdyby ich określano jako „tzw. katolików", choć sądząc po ich czynach nie do końca zgodnych z nauką człowieka uznawanego przez nich za Mistrza, trudno ich uznać za wiernych wyznawanej ponoć doktrynie. „I od pogardy strzeż mnie, Panie"...

Ja tu gadu, gadu, a tymczasem Siedlecka, Joanna Siedlecka w cytowanym już numerze „Tygodnika Lisickiego" walnęła z grubej rury wypracowaniem pt. *Laicka Jasna Góra*. Doszła mianowicie do wniosku, że trzeba skompromitować lewaka, który podstępnie wciąż zajmuje nienależne mu miejsce w narodowej pamięci. Autorka swego czasu pracowicie tropiąca pisarzy współpracujących ze służbami peerelii wdrapała się dzielnie na nieistniejącą górę (laicką) i huknęła: „Zrażał też do „Kultury" obsesyjny wręcz antyklerykalizm Giedroycia. Kościół katolicki uważał on za główne zagrożenie dla Polski, atakował na swoich łamach prymasa Wyszyńskiego, potem Glempa. Przemilcza się też jego niechętny stosunek do pisarzy nielewicowych – zerwał współpracę z Tyrmandem (...), odmawiał druku „bezrozumnej" publicystyki Józefa Mackiewicza, po śmierci Wańkowicza zamieścił paszkwil Tadeusza Katelbacha, po śmierci Lechonia, choć sam swoje życie osobiste otaczał tajemnicą, zamieścił tekst Mariana Pankowskiego, nazywającego poetę „tragikomiczną ciotą" (...). Lansował Giedroyc polityków z lewej strony naszej sceny politycznej, najpierw rewizjonistów, Kuronia i Modzelewskiego, potem ekskomunistów, Krzysztofa Wolickiego, Leopolda Ungera". Jak rozumiem, zrażona do „Kultury" Siedlecka pisma owego nie czytała. Ojejku! I co teraz.

Teraz należałoby cierpliwie tłumaczyć dlaczego państwowiec, jakim był Giedroyc, był antyklerykałem (w odniesieniu do kapłanów kościoła katolickiego, podobnie zresztą jak Bismarck), co wyjaśniać katolikom jest dość trudno, niewielu z nich albowiem zdaje sobie sprawę z okoliczności, że w razie konfliktu interesów między Warszawą a Watykanem muszą zadecydować, wobec której ze stolic należy pozostawać lojalnym. Obawiam się, że mieliby kłopoty ze zrozumieniem o co chodzi, choć przecież lansowany jest pogląd, że, przynajmniej ci na „prawicy" uważają się za państwowców. Otóż należy jasno i otwarcie powiedzieć, że antyklerykalizm Gideroycia umocowany był na przekonaniu, że kler katolicki zbyt natarczywie dąży do decydowania o polityce państwa polskiego, co zresztą dziś widać w próbie kształtowania przez jago funkcjonariuszy - a wszak są, chcąc nie chcąc, księża katolicy funkcjonariuszami państwa kościelnego – polskiego prawa, w szczególności obejmującego kwestie obyczajowe. Ale obawiam się, że Siedlecka, Joanna Siedlecka, może mieć kłopot ze zrozumieniem tego, o co tutaj chodzi. W każdym razie warto ją uświadomić, że nie był Giedroyc osobistym wrogiem Pana Boga, zaś w kwestiach swego wyznania nie zwykł się afiszować, uznając, że to sprawa osobista, a nie publiczna.

Leszek Szaruga

ESEJ

WZRUSZENIE, CZYLI... DUPA BLADA

Emil Pisarz

Szanowni Państwo, niech ktoś mnie głupiemu łaskawie wytłumaczy, dlaczego ktoś światły, empatyczny, kreatywny, świadomy nader spraw świata tego, ktoś kto ma stosowny oręż do pisania, ba, do tworzenia literatury, ten ktoś maniakalnie, uporczywie i nader zawzięcie eksponuje explicite swą etniczną odrębność, swoją narodowościową przynależność/nieprzynależność (niepotrzebne skreślić), jakby to była rzecz arcyfundamentalnie definiująca jego tożsamość, tak istotna że bez jej ustawicznego podkreślania nie mógłby swobodnie oddychać polskim/śląskim (niepotrzebne skreślić) powietrzem. Zupełnie jakby groziło mu unicestwienie, gdyby nagle przestał dookreślać się w tym względzie należycie dobitnie, gęsto i możliwie jak najczęściej. Mędrcy świata tego, powiedzcież mi proszę, czemu Szczepan Twardoch (bo o nim mowa) uparcie robi to także w roku 2023, gdy za polskim progiem dzieją się okropieństwa bezprzykładne, gdzie za samą deklarację narodowościową morduje się kobiety i dzieci, a pretekstem do zabijania jest właśnie przynależność etniczna (jak było zresztą zawsze na świecie). Cóż to za jakiś straszliwy w swej niszczącej sile imperatyw sprawia, że tyle dookoła na świecie zła, z tego jednego powodu? Z powodu narodowości, lub przynależności etnicznej. Tymczasem Europa od dwudziestu ponad lat unifikuje się w mękach, mozolnie próbując zacierać podziały narodowościowe, stawiając, zamiast na to co nas dzieli i odróżnia, na to co łączy i czyni podobnymi. Odpowiedzcie mi zatem, czemuż wciąż na tym świecie ludziom tak trudno zostać braćmi, tak niewiarygodnie trudno się porozumieć, nauczyć mówić wspólnym językiem, by zrozumieć innego? Czemu zamiast się szanować, my wciąż uparcie chcemy się postrzegać przez pryzmat narodu, geografii, flagi. Jakbyśmy się uparli by na siłę się odróżniać, wyróżniać, wyodrębniać i separować. Kiedy wreszcie pisarze, naukowcy, politycy, robotnicy z hut i kwiaciarki zrozumieją na tym pełnym łez padole, że narodowość nie jest na tyle istotna, by o niej wspominać, że powinna być zupełnie obojętna, podobnie jak orientacja seksualna, albo imię. Może by tak odpuścić te wszystkie narodowo-etniczne podziały. Marzy mi się, mnie naiwnemu idiocie, że narodowość mogłaby funkcjonować w relacjach międzyludzkich gdzieś na marginaliach, zupełnie nienachalnie, całkiem tak jak imię. Czy kto widział bowiem, by na przykład z powodu imienia, ktoś komuś wypowiedział wojnę, by naród napadł na naród dlatego, że król tego pierwszego narodu, ma na imię, dajmy na to Ryszard. Przynależność etniczna nie powinna prowadzić do czegokolwiek innego poza zdrową ciekawością drugiego człowieka, zwykłym zainwestowaniem odmiennością. Czy świat współczesny, otwarty i spleciony Internetem, nie jest wystarczająco dostępny, by wreszcie tak się stało. A bądź Ty sobie człowieku dwudziestopierwszowieczny Chińczykiem, Bułgarem, czy Finem na zdrowie i cóż nam do tego. Bądź sobie Polakiem, Ślązakiem, Kaszubem, Góralem albo Mazurem. A niechże i na zdrowie, panie Szczepanie, Ślązaku, Niepolaku. Niech nas Pan już prosi żebyśmy panu mówili Rysiek (wszak wszystkie Ryśki to fajne chłopaki), bo Pan się czuje Ryśkiem, choć w dowodzie ma Szczepan. Mnie to niespecjalnie interesuje, Panie Szczepanie to Twoje w kółko powtarzanie żeś Ślązak. Ty nie krzycz nam, ty sobie nim bądź i tyle. Bo co mnie to obchodzi żeś Ślązak? No chyba, że z tego że jesteś Ślązakiem chcesz oręż uczynić i mnie swoja śląskością po mordzie prać, albo tylko kulturalnie po głowie mnie pukać, swoją gwarą, swoją historią, swoimi przodkami epatować, albo domagać się rekompensat. Do czego ci potrzebne, to publiczne wołanie: jam Ślązak, nie Polak. A czy Cię kto zmusza być Polakiem, czy Ci kto broni być Ślązakiem? No chyba, że chcesz ze Śląska państwo oddzielne utworzyć, z armią, policją, budżetem i rządem, to co innego, ale jeśli nie chcesz, to o co chodzi? Bo ja góral świętokrzyski jestem, scyzoryk, no i co z tego? Mam o tym wołać każdemu i trąbić publicznie, mam się tym puszyć, podniecać, albo cierpieć z tego powodu, przy okazji męcząc wszystkich i wymachując moim scyzorykiem. Litości! A gdybym był Łemkiem albo Tatarem, to co? Powinienem latać ze swoja łemkowszczyzną niezagojoną, albo tatarszczyzną jak złamaniem otwartym i wrzeszczeć na pola i lasy, żem nie Polak, tylko Łemek, żem nie Polak, a Tatar?! No i git żeś Ślązak, a nie Polak, no i na zdrowie. Czy nie imaginujesz sobie, że jak długo ludzie będą się zacietrzewiać, prężyć się i napinać tymi przynależnościami, tak długo priorytety będą ustawione na podział, na różnicę, na rewanż i konflikt, człowieczeństwo będzie gdzieś na szarym końcu. Bo jak już tylekroć, znów okaże się że to że jesteś Ślązakiem ważniejsze będzie od tego, że jesteś człowiekiem. Dla mnie ważne zaś jest żeś człowiek, a czy stąd, czy też stamtąd, naprawdę przysięgam solennie, całkiem drugorzędne. Im mniej podziałów, granic, kresek w głowach, w umysłach szlabanów w postrzeganiu innego, tym uważam lepiej. Osobiście wolałbym wreszcie roztopić się zupełnie, niczym w „Imagine" Lennona, w homogennej ludzkiej masie, living life in peace. Wiem, naiwne. Czyżby? Wszyscyśmy ludźmi i żebyśmy nie wiem jak starali się różnić, jesteśmy cholernie jednacy, bo podobni to za mało powiedziane, jesteśmy tacy sami. Różnimy się naprawdę bzdetami, kolorami, zwyczajami, imionami, to wszystko człowiecze didaskalia, reszta zaś, ta zasadnicza, egzystencjalna, wspólna każdemu z nas, zupełnie taka sama. Najwyższy już czas żebyśmy to zrozumieli i na okrzyk: To Niemiec! Bić Niemca! To Ruski! Bić Ruska! reagowali obojętnym wzruszeniem ramion. I żaden Putin, Hitler, albo Napolen nie zdołałby więcej wykoleić świata. Jeśli tego nie pojmiemy, to w końcu i tak, prędzej czy później, przylecą kosmici i wtedy nam wszystkim z pewnością majtki spadną. I opadną te majtki tak samo Ślązakom jak Żydom, gojom, ceprom i hanysom, Polakom i Niemcom, Rosjanom i Chińczykom i ukaże się obcym jeno nasza ludzka (proszę wybaczyć kolokwializm) dupa blada. U wszystkich jednakowo blada, ze strachu i zdziwienia. Ot co!

Dlatego z sympatią i troską pokornie proszę Panie Szczepanie, daj już spokój z tym Śląskiem, proszę o to w tych trudnych czasach. Takie domaganie się uznania swej śląskości w sytuacji gdy rzeczywistość w kraju i w mediach kreują nam „prawdziwi patrioci", to woda na ich młyn. Woda na młyn dla wszystkich tych, dla których te przynależności są tak fundamentalne, że usprawiedliwiają najgorszą podłość. Pozwalają Tuska smagać dziadkiem z Wermachtu i robić folksdojczem. Panie Twardoch! Nie teraz! To nie czas na takie wojny. I jeśli chce pan śląskiego jako oficjalnego języka etnicznego, nie ma sprawy. Niech politycy to przegłosują jeśli Śląsk tego potrzebuje, ja się zgadzam. Przestańmy tylko machać tymi etnicznymi chorągwiami, bo od tego machania robią się strasznie nieciekawe wiatry, które niejedną już burzę wywołały. Jak Ty śląskością, tak oni polskością będą machać i Gombrowicz w grobie nigdy nie przestanie się obracać. Litości! Oni tylko na to czekają by nam zrobić w Polsce jesień średniowiecza (już robią). Nie dodawajmy im dodatkowego oręża, pokornie proszę. Oni gotowi na wszelkich tych etnicznych, narodowościowych, czy jakichkolwiek innych podziałach, zbijać kapitał, nabijać sobie słupki poparcia i dalej generować zupełnie nowe, sztuczne i idiotyczne wojny. Oni tego potrzebują jak kania dżdżu, po to by rządzić naszymi emocjami i wieść nas na sznurku. Dlatego im bardzo na rękę, by żadna wojna nigdy się nie kończyła. Każda ma się wciąż odradzać, za każdym razem pod inną banderą, lecz pod tym samym hasłem: bić obcego. A ja chcę od Ciebie byś Ty tylko wzruszył! Wzruszył tylko obojętnie ramionami, ot tak zwyczajnie, po ludzku. Nie po polsku, ani po śląsku, ale po ludzku wzruszył ramionami, kiedy ktoś krzyknie głośno żeś Polak.

Emil Pisarz

Marek Sołtysik

Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania, jeszcze wiecej, *** Mig

Mateusz Wabik

Ucieczki, kurczenie

Kontrolerka wkurzona wyszła z autobusu
krzycząc „złodziejskie nasienie". Wcześniej
pasażerowie pomogli zwiać jednemu
gapowiczowi zastawiając przejście.

Chwilę pogadałem o tym z nieznajomym,
ale zacząłem zaraz myśleć o płytach
w outlecie biedronki i się odwróciłem
do okna. Biało-zielone drzewa jak zwykle

wyglądały bajkowo. A potem okazało
się, że kolejka była bardzo długa, a towar
przebrany. W mieście kupiłem płyty. Choć
kurczyły się miejsca gdzie je można zdobyć.

grudzień 2022

Wyścig Śmierci

Najlepiej byłoby rozegrać nową edycję Wyścigu
Pokoju: Kijów – Moskwa – Berlin. Zamordowani
cywile, martwi żołnierze i wstający z grobów Niemcy.
Szkielety i trupy z rozkładającym się mięsem na

zdezelowanych, zardzewiałych rowerach. Lotne
premie pod atakiem rakiet, wyścig na czas w ucieczce
przed kolumną czołgów. I gromady trupów
z wyłażącymi robakami z oczodołów stojące

wzdłuż trasy i chórem wykrzykujące „Idźcie w
chuj". A w budynku parlamentu Unii przyjmowane
byłyby zakłady, kto wygra, kto ucieknie, w jakie miasto
spadnie rakieta, kto ostatni pomoże Ukrainie.

Albo pomyśli się o nowych zawodach
w ilości organizowanych marszów pokojowych
w stolicach Europy.

Pomruk

Wydobywający się pomruk na cmentarzu z grobu nie
zwrócił niczyjej uwagi. Na pewno zaplątał się między
groby pijak, albo jakieś zwierzę. Wszyscy szli dalej
ze zniczami i chorągiewkami w dłoniach.

Pomruk dochodził niezidentyfikowanego autorstwa,
bo trudno było przypuszczać, że wydawał go nagle
obudzony trup rozkładający się z dnia na dzień.
Nie były to czerwie połykające zaśmierdziałe mięso,

ani zjawa, bo zjawy nie wydawały głosu. Ani diabeł,
bo był bardziej w głąb. Był tylko pomruk. Ryk
ni to nieludzki, ni to niezwierzęcy. Śmierć może
zaplątała się, albo ktoś chciał przeleźć z innego

wymiaru. Nikt się niczego nie dowiedział. Na drugi
dzień, nie było grobu. Czarna ziemia była w tym miejscu
i trawa wzrastała jakby niczego nieświadoma. Nikt
sobie tym głowy nie zawracał. Pojawi się nowy grób i trup.

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Test

Zrobiłem sobie test na koronawirusa,
bo moja matka zachorowała. Mi wyszedł
dodatni, ale przetłumaczyłem
sobie niemieckie objaśnienia z ulotki.
Okazało się, że mogłem być chory na
to lub na coś innego.

Z katarem nie było żartów…

Tęga Murzynka

Jakaś tęga czarnoskóra studentka
weszła na jedno z siedzeń z czterech
koło siebie. Musiałem nogę dać między
jej nogi, a drugą lekko wygiąć, żeby
jechać. Mruknąłem, że „jestem we własnym
kraju i nawet jechać autobusem wygodnie
nie mogę". Wstałem. Przedstawiciel
młodzieży zaczął mnie rugać za to, więc
stwierdziłem, że wychowało go skurwiałe
lewactwo.

On mi współczuł myśli, a ja mu
istnienia.

Wysiadłem z autobusu.

Ukraińska kamienica

Przed giełdą na chodniku stał
gość, co był dobrze poinformowany
w sprawie wojny na Ukrainie:

„Na Ukrainie walczą tylko studenci.
A bogaci kupili se kamienicę
w Krakowie i rozkręcają biznesy.
Bo wie Pan bogaci myślą, że będą
żyć wiecznie".

marzec 2023

Problem

Wracałem przez plac Wolnica ze slamu
z Piotrem Smolakiem i rozmawialiśmy

o wojnie na Ukrainie, bo czytane wiersze
o niej przeze mnie nie porwały publiczności.

Chyba to ja powiedziałem, że ta wojna to problem.
Na co napataczający się pijak stwierdził, że on

ma tylko jeden problem: „nie mam za co pić".

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

ROZMOWA

Roman Warszewski

TAJEMNICA MANUSKRYPTU Z PURI

Z dr. Janem Witoldem Suligą, byłym dyrektorem Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie, tarocistą i indologiem, tłumaczem „Kodeksu z Puri", rozmawia Roman Warszewski

Dr Jan Witold Suliga był entografem i przez wiele lat przebywał w Indiach, gdzie zgłębiał tajniki lokalnych kultur plemiennych. Pracował w różnych placówkach naukowych, a także był wieloletnim dyrektorem Muzeum Etnograficznego w Warszawie. Jest autorem kilku książek, a także spolszczył i zbeletryzował „Kodeks z Puri" – jedno z najbardziej zagadkowych i kontrowersyjnych dzieł renesansowego piśmiennictwa. Z powodzeniem zajmował się też tarotem, dzięki czemu – jak mawiał – wielokrotnie udało mu się dotrzeć na drugą stronę rzeczywistości, gdzie był konfrontowany z wieloma emanacjami zła i okrucieństwa. Zmarł pod koniec stycznia 2023 roku. To ostatnio wywiad jakiego udzielił. Został przeprowadzony jesienią 2022 roku.

– Pana nazwisko nieodmiennie kojarzone jest z „Kodeksem z Puri". Co to za tekst?

– To dokument odkryty w 1986 roku w świątyni Dżaganatha w Puri, w Indiach, w stanie Orissa, przez amerykańskiego indologa Petera Newmanna. Z manuskryptu tego wynika faktów, które całkowicie podważają nasza dotychczasową wiedzę na temat wielkich odkryć geograficznych, a przede wszystkim na temat życiorysu Krzysztofa Kolumba.

– Co w „Kodeksie z Puri" jest aż tak bulwersującego?

– Po pierwsze z „Kodeksu" dowiadujemy się, że Kolumb wcale nie umarł w 1506 roku w Valladolid, lecz że jego śmierć zainscenizowano po to, by mógł on bezkarnie wymknąć z coraz szczelniej omotującej się sieci trzech wywiadów i by mógł wyruszyć jeszcze raz na ocean – w swą ostatnia piatą wyprawę. Po drugie – z „Kodeksu z Puriu" wynika, że w czasie tej ekspedycji Kolumb dotarł do Indii (a nie jak w czasie swych czterech poprzednich wypraw, na Karaiby i do ujścia Orinoko) i że przez pewien czas przebywał w przyświątynnym klasztorze w Puri, gdzie jednemu z hinduskich skrybów podyktował prawdziwa historię swego życia, nazywaną dziś właśnie „Kodeksem z Puri".

– Prawdziwą historię? Czy oba stwierdzenia, które przed chwila z Pana ust nie są wystarczająco fantastyczne, by z góry stwierdzić, że mamy do czynienia z fałszerstwem i mistyfikacją, a nie z prawdziwym odkryciem?

– Historia odkrycia „Kodeksu z Puri" jest prawie tak samo nieprawdopodobna, jak zawarta w nim relacja, co stało się zarzewiem przyszłego skandalu.

– Skandalu?

– Tak. Odkrycia tego manuskryptu dokonano w czasie, kiedy pod koniec XX wieku naukowcy skupieni w odpowiedniej komisji, intensywnie badali kompleks świątynny w Puri. Mieszkali poza świątynią i codziennie na miejsce pracy dowożeni byli mikrobusami. Przed wkroczeniem do świątyni poddawano ich skrupulatnej rewizji, a wieczorem – po zakończeniu pracy – czynność tę powtarzano. Procedura ta została ustalona w porozumieniu między rządem indyjskim, który patronował tym badaniom, a kolegium kapłańskim. Nadto – wszyscy uczestnicy badań podpisali zobowiązanie, zgodnie z którym nie było im wolno niczego wynieść poza teren świątyni. W tym – notatek, szkiców, fotografii, nie mówiąc o jakichś przedmiotach. Moim zdaniem te drakońskie, a jednocześnie anachroniczne ustalenia te w dużej mierze zaważyły na dalszych losach „Kodeksu z Puri".

– Rozumiem, że Peter Newman, odkrywca „Kodeksu", był członkiem tego zespołu, tej komisji?

– Tak, jako specjalistę od spraw gospodarczych interesowały go przede wszystkim dokumenty świeckie – umowy handlowe, testamenty, akty darowizny. W sierpniu w 1984 roku, w stosie pokruszonych manuskryptów natknął się na rękopis zawinięty w zetlałą tkaninę. Składał się on z kilkuset kart wykonanych z liści palmowych, pokrytych literami „karani", co wskazywało na jego świecki, a nie sakralny charakter. Jednak w odróżnieniu od pozostałych, dokument ten w kilku miejscach ozdobiony był wyobrażeniami hinduskich bogów. Zaintrygowany tym faktem, Newman postanowił dokładniej przyjrzeć się bliżej dokumentowi i zapoznać się z jego treścią.

– Domyślam się, że nie było to proste?

– Początkowe próby deszyfracji tekstu rzeczywiście spełzły na niczym. Jak się bowiem szybko okazało, badany przez Newmana dokument nie został napisany w żadnym ze znanych mu indyjskich języków. Nie wiedząc co począć, zwrócił się o pomoc do hiszpańskiego orientalisty Carlosa Montoyi, który także przebywał w Puri. Montoya przeczytał na głos urywek manuskryptu i ze zdumieniem orzekł, że najbardziej przypomina mu to język… hiszpański! Nie muszę chyba mówić, jak bardzo obah uczeni tym faktem byli zaskoczeni…

– Pan również w 1984 roku przebywał w Indiach. Czy właśnie wtedy poznał pan Petera Newmana?

– Tak, ale nic mi wtedy nie wspominał o swoim zagadkowym odkryciu. Najprawdopodobniej sprawa była wtedy jeszcze zbyt świeża. Treścią rewelacji, na które się natknął podzielił się ze mną dopiero dwa lata później, w czasie naszego kolejnego spotkania, tym razem w Szwecji. Do tego czasu miało się jednak bardzo wiele wydarzyć…

– Właśnie. Czy dalsze studia nad manuskryptem potwierdziły opinię Montoi?

– Tak. Po pogłębionych studiach and manuskryptem Montoya był w stanie stwierdzić co następuje: **po pierwsze** – rękopis otwiera inwokacja, która w skazuje, że autorem dokumentu był chrześcijanin; **po drugie** – „Kodeks" spisany został w języku hiszpańskim; dyktowano go skrybie, który zapisywał obco dla niego brzmiące słowa tak, jak je słyszał i jak pozwalały na to reguły alfabetu „karani"; **po trzecie** – dokument stanowił relację podróży do Indii; **po czwarte** – w relacji wielokrotnie pojawiało się imię i nazwisko Krzysztofa Kolumba!

Informacje te uświadomiły Newmanowi, że w jego ręce wpadł dokument o niezwykłej wartości. Co z nim począć? Oddać indyjskim braminom? A przecież prace nad dalszą analizą tekstu winien przeprowadzić zespół badaczy dysponujący odpowiednią aparaturą! W tej sytuacji w głowie amerykańskiego orientalisty zrodził się szalony pomysł. Postanowił manuskrypt wykraść!

– To właśnie ten skandal, o którym Pan wspominał?

– Otóż to. Korzystając z pomocy swego kolegi z uniwersytetu w Waranasi, Ashoki Mahapatry, Newmanowi udało się wydostać manuskrypt poza obręb świątynnych murów i wywieźć do Delhi. Fakt ten jednak szybko wyszedł na światło dzienne i bramini z Puri wszczęli straszliwy zgiełk. Za Newmanem rozesłano listy gończe; jeśli chciał wywieźć „Kodeks" z Indii, jedyna możliwa droga wiodła przez zieloną granicę… Desperacki plan powiódł się prawdopodobnie tylko dlatego, że w tamtym okresie separatyści sikhijscy zamordowali Indirę Gandhi i w cały kraju powstał ogólny chaos. Za 500 dolarów, ukrywający się w Amritsarze Newman, Gorskim szlakiem został przeprowadzony przez miejscowych przemytników Dio Pakistanu. W tydzień później był w USA.

– Indyjskie władze nie dały jednak za wygraną…

– W lutym 1985 roku rząd indyjski wystąpił o ekstradycję Newmana i zażądał zwrotu „Kodeksu". W związku z tym, że między USA a Indiami nie ma umowy ekstradycyjnej, ostatecznie do procesu doszło w Atlantic City w Stanach Zjednoczonych. Władze indyjskie oskarżyły Newmana o nielegalne przekroczenie granicy i kradzież bezcennego dokumentu. Rpozprawa skończyła się wyrokiem skazującym. Newman otrzymał 2 lata w zawieszeniu i zobowiązano go do zwrotu „Kodeksu" kolegium kapłańskiemu z Puri. Najpierw miano go jednak dokładnie przebadać na ternie USA.

– Wyrok iście salomonowy… W praktyce oznaczało to, że odstąpiono od wymierzenia kary i że „Kodeks" mógł przez bliżej nieokreślony czas pozostać na terenie USA. Było wszak oczywiste, że specjalistyczne badania będą trwały bardzo długo…

– Rzeczywiście. Rękopis zdeponowano w Narodowym Towarzystwie Geograficznym w Waszyngtonie, a badania nad nim trwały przez długie lata. Wynikało to m.in. z tego, że po opublikowaniu treści „Kodeksu" w języku angielskim, w naukowym światku rozgorzał zażarty spór na temat jego autentyczności. Wszak manuskrypt ten opowiada m.in. o nieznanej – piątej – wyprawie Kolumba, którą miał on odbyć w latach 1506–1510. To niemożliwe – orzekli biografowie Wielkiego Genueńczyka, bo Kolumb umarł w roku 1506! W Indiach nigdy nie był, a „Kodeks" najpewniej został spreparowany przez żądnego sławy Newmana.

– Pan zna osobiście Newmana. Czy – Pana zdaniem – byłby zdolny do tego rodzaju fałszerstwa?

– Znałem. Peter Newman zginął w wypadku samochodowym; niestety, sam już nigdy więcej nie zabierze głosu w tej sprawie. Wprawdzie natura ludzka jest niezgłębiona, lecz mimo to wydaje mi się, że nie byłby on zdolny do czegoś takiego. Dla mnie był on przede wszystkim nadzwyczaj skrupulatnym – przez to niekiedy aż nudnym! – naukowcem. Nie, nie sądzę, iż mógłby dopuścić się tego rodzaju mistyfikacji.

– To chyba ta wrodzona dokładność kazał mu we wstępie do polskiego wydania „Kodeksu z Puri" (spolszczonego przez Pana)

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

stwierdzić, iż język książki nie do końca oddaje ducha epoki…

– Cały Peter! Tak, spieraliśmy się przez pewien czas na ten temat. Ostatecznie przekonałem go, choć… – jak widać – nie do końca. W porównaniu z wersją oryginalną, nie wyeliminowałem z tekstu, ani nie dodałem żadnych faktów, a jedynie pominąłem sążniste, typowe dla epoki, opisy oraz, żeby tekstowi nadać pewnej potoczystości i życia, wprowadziłem dialogi. Książce wyszło to niewątpliwie na korzyść. Zaryzykuję wręcz stwierdzenie, że bez tych zabiegów dla przeciętnego czytelnika całość byłaby nie do przełknięcia, natomiast „moja" „Tajemnica z Puri" (to ukazał się właśnie pod tym tytułem) jest książką, którą czyta się co najmniej dobrze, a miejscami nawet bardzo dobrze.

– Jako czytelnik potwierdzam. Ale jak doszło do tego, że podjął się pan przetłumaczenia „Kodeksu" na polski?

– Prosił mnie o to sam Newman. Miało to miejsce w czasie naszego drugiego spotkanie w 1986 roku, jak wspominałem – w Szwecji. Właśnie wtedy opowiedział mi niezwykłą historię „Kodeksu"(poprzednio nie miałem o niej pojęcia) i zaproponował jego przełożenie na polski. Wtedy tez zwrócił uwagę, że zewnętrznie jesteśmy do siebie bardzo podobni; dla Petera miało to duże znaczenie. Twierdził, że jesteśmy „kosmicznymi bliźniakami" i że w związku z tym jestem mu winien tę drobna przysługę… Dla mnie – szczerze mówiąc – też nie było to bez znaczenia, bo jestem bardzo wyczulony na tego rodzaju synchroniczności i paralelizmy. Wykształciła się między nami silna więź psychiczna, a że zbliżała się 500. Rocznica odkrycia Ameryki, pomyślałem, że nie mam wyjścia i muszę się podjąć tego niezwykłego zadania…

– Wierzy pan w coś takiego, jak „kosmiczne bliźniactwo"?

– Hm… mimo, że jestem przede wszystkim naukowcem, czuję wielką sympatię i predylekcję Dio myślenia obrazowego, a nie linearnego – takiego, jakiego mógłby sobie życzyć Kartezjusz.

– Jak wiadomo, nie rozstaje się pan także z talią tarota…

– Tarot to cała filozofia, wielki myślowy gmach. Spośród książek, które wydałem, większość dotyczy właśnie tej tajemniczej doktryny. Byłby to temat na osobny wywiad.

– Lubi pan tajemnice – rzeczy, które nie słuchają stereotypów, które wyłamują się ze schematów…

– To oczywiste. Któż tego nie lubi? Każdy normalny człowiek to lubi. Jedyna różnica między ludźmi polega na tym, że niektórzy szybciej o tym zapominają, a inni w swej sympatii do tajemnicy i tajemniczości są bardziej wytrwali. Ja na szczęście należę właśnie do tych drugich.

A tu nawinęła mi się gratka nie lada! Po zgłębieniu całego „Kodeksu" zdałem sobie sprawę z tego, że jest to naprawdę niezwykły dokument! Dla mnie posiadał on wręcz cechy traktatu alchemicznego, a jego wielowarstwowość i bogactwo ukrytych znaczeń kazały się domyślać, iż opowiada on dużo więcej niż zdradzają zawarte w nim słowa. Przykładem może być tu historia „Imago mundi", przewijająca się przez całość relacji domniemanego Kolumba. „Imago mundi" to legendarna mapa świata, która zgodnie z opowieścią zawartą w „Kodeksie" miała niegdyś stanowić obrus w czasie Ostatniej Wieczerzy. Obrus, na którego odwrocie miała zostać spisana Piata Ewangelia św. Tomasza.

Kolumb ponoć dysponował jednym fragmentem tej mapy – tym, który później

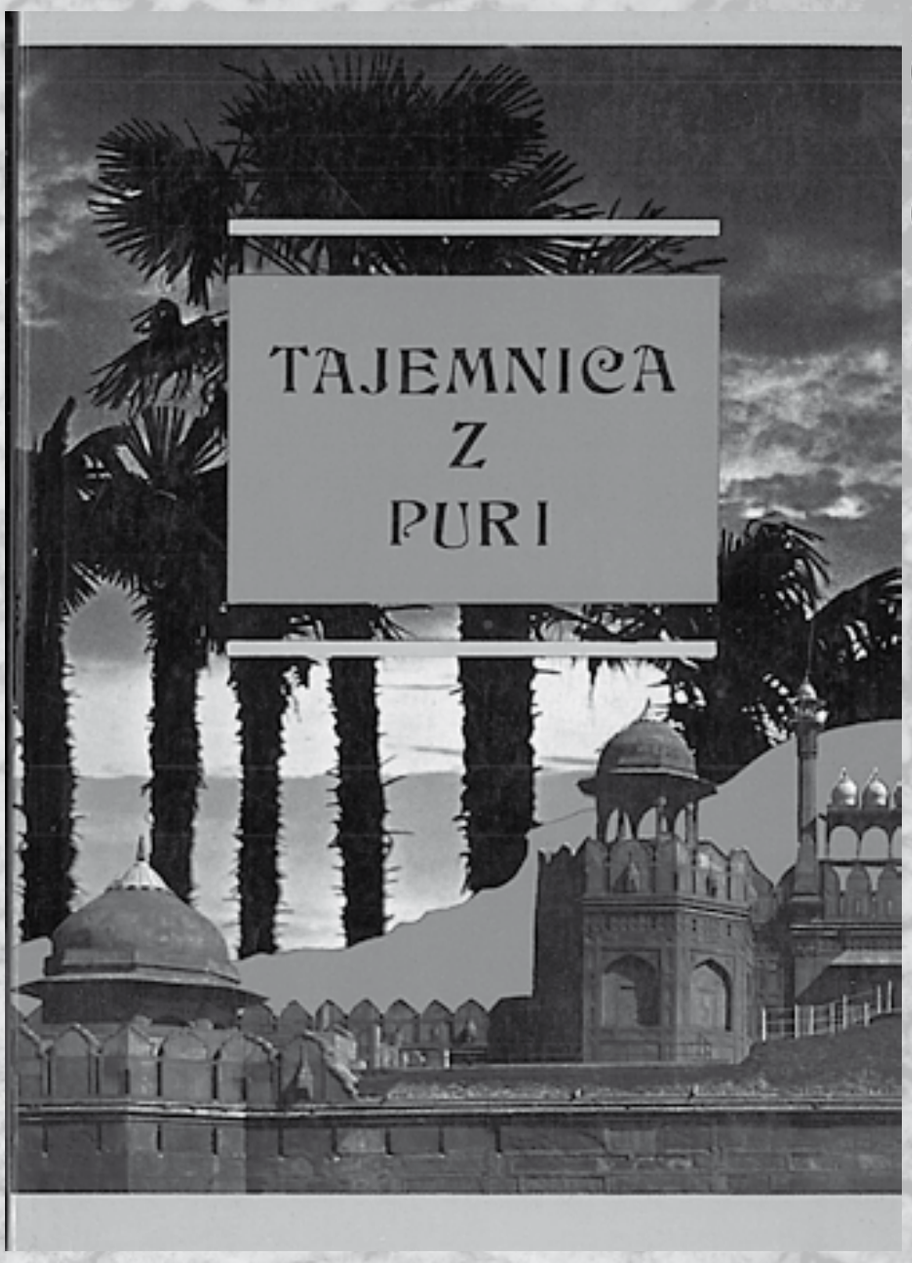

wpadł w ręce Piri Reisa, korsarza z Morza Czerwonego. Dla mnie opowieść o „Imago mundi" posiada wręcz walory archetypiczne. Uznałem ją za co najmniej równorzędną z legendą o św. Graalu – naczyniu, do którego miała spływać krew ukrzyżowanego Chrystusa. Myślę, że właśnie ta wielowymiarowość ostatecznie zadecydowała o tym, że podjąłem się tego przekładu.

– Jaki wizerunek Kolumba wy łania się z „Kodeksu"?

– Z jednej strony jest to Kolumb, którego bardzo dobrze znamy z przekazów historycznych; z drugiej – nieco inny, A więc Kolumb mistyk i człowiek głęboko wierzący w swoje posłannictwo, a jednocześnie ktoś bez przerwy prześladowany, ścigany, omotany wieloma sieciami intryg.

– „Kodeks" sugeruje, że Kolumb był agentem trzech zwalczających się średniowiecznych wywiadów. Lustracji najpewniej by bez szwanku nie przeszedł…

– Ha, ha, ha! Nie, na pewno nie~! Ponad wszelką wątpliwość Kolumb pozostawał na usługach Bractwa Św. Jakuba – wywiadu kupców genueńskich, wywiadu portugalskiego oraz Torquemady, czyli hiszpańskiej inkwizycji. I nie należy się temu zanadto dziwić. Interesowało go przecież to, co dziś swój odpowiednik ma w najwyżej rozwiniętej technologii. A więc – nowe szlaki handlowe, mapy, najnowsze konstrukcje statków. Ludzie pokroju Kolumba na pewno bez przerwy byli inwigilowani, szantażowani, skłaniani do współpracy raz jednymi, kiedy indziej zaś z całkiem innymi… Zresztą Amerigo Vespucci, Florentyńczyk, od którego imienia swą nazwę wzięła ziemia odkryta przez Kolumba, także był szpiegiem, agentem. Pod pretekstem kolekcjonowania map zbierał informacje na temat najnowszych odkryć geograficznych.

– Czyli – ta część relacji zawartej w „Kodeksie" jest jak najbardziej zgodna z prawdą historyczną… Z najnowszych badań wynika zresztą, że np. Mikołaj Kopernik – człowiek mniej więcej tego samego formatu i czasu – też uwikłany był w pracę na rzecz kilku ówczesnych wywiadów.

– Mało tego. Relacja ta jest zgodna nawet ze stylistyką, jaką w swych pismach zwykł stosować Genueńczyk. NASA przeprowadziła komputerowa analizę słownikową „Kodeksu" i w sposób jednoznaczny wynika z niej, iż dokument ten całkowicie oddaje specyfikę Kolumbowego słownictwa. To niezwykle ważki argument przemawiający za autentycznością manuskryptu z Puri.

– A inne dowody?

– W hiszpańskich rejestrach osobowych →

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

z epoki udało się zidentyfikować kilku członków załogi, którzy – zgodnie z „Kodeksem" – mieli wziąć w owej hipotetycznej piątej ekspedycji Kolumba. Natomiast w Panamie natrafiono na ruiny małego osiedla, które dokładnie odpowiada opisowi warowni, jaką Kolumb miał wznieść w czasie tej wyprawy.

– Co przemawia zatem przeciw?

– Przede wszystkim powszechnie znany fakt, że Kolumb zmarł w 1506 roku. Wersja o sfingowaniu jego śmierci w obawie przed zemstą chcących go dopaść trzech siatek różnych wywiadów, rzadko komu przypada do przekonania. Ponadto – sam fakt piątej wyprawy zdaje się być zbyt rewolucyjny, by mógł uchodzić za prawdziwy. Intelektualnie – wbrew pozorom – świat nauki nie jest zbyt mobilny. Często jest wręcz przeciwnie.

– Obchody kolejnych rocznic odkrycia Ameryki, w tym tych okrągłych, niewiele pomagają...

– Jest na odwrót. One wręcz umacniają zaakceptowany schemat. Żadna z nich, niestety, nie stała się okazją, by w sposób pogłębiony zająć się kontrowersyjna piątą wyprawą. Po śmierci Petera, moja działalność na tym polu, to zdecydowanie zbyt mało – tym bardziej, że, jak widać, sił mi coraz bardziej ubywa.

– A czy możemy pokusić się o jakieś przypuszczenie, co z Kolumbem stało się po jego pobycie w Puri?

– Istnieje kilka teorii na ten temat, najciekawsza została sformułowana przez jednego z nielicznych moich sojuszników – Patricka Longa. Sadzi on, że Kolumb powrócił do Euro[py i nie mogąc pojawić się w Hiszpanii, udał się do Norymbergii, do Niemiec.

– Kolejna analogia z przed chwilą wspomnianym Kopernikiem, który przecież właśnie tam polecił drukować swoje wiekopomne dzieło!

– Kolumb chciał ponoć tam odnaleźć Martina Beheima – konstruktora pierwszego globusa, by odwieść go od pomysłu nazwania na tym globusie odkrytego przez siebie lądu Ameryką na cześć jego konkurenta – Amerigo Vespucciego.

– Czy jest to tylko spekulacja myślowa, czy tez istnieją jakieś poszlaki mogące sugerować jej prawdziwość?

– Proszę sobie wyobrazić, że istnieje coś, co może uchodzić za cień dowodu. Otóż na podstawie danych, jakimi dysponujemy na temat wyglądu Genueńczyka, Hermanowi Ventzy'kemu udało się zrekonstruować przy pomocy komputera domniemany wizerunek Kolumba. Kilka lat później portret do złudzenia przypominający owa rekonstrukcję, odnaleziony został w Lichtensteingalerie w Augsburgu (niecałe 200 km od Norymbergi). Datuje się go na lata 1510-1515. W związku z uderzającym podobieństwem hipotetycznego portretu Ventzky'ego Patrick Logan twierdzi, że obraz, którego autorstwo przypisuje się Ulrichowi Aptowi Starszemu, przedstawia Kolumba po jego powrocie do Europo, po wyprawie do Indii – po piątej wyprawie.

– Jest pan zwolennikiem tej hipotezy?

– Powiem szczerze, że jest w niej coś, co mnie do niej przekonuje.

– Zatem Kolumb–agent ze wszystkich sił próbuje zwalczyć innego agenta – Amerigа Vespucciego... Jest pan zwolennikiem spiskowej teorii dziejów?

– A zna pan jakąś inną teorię, która równie przekonywująco i rozsądnie wyjaśniałaby historię?

Rozmawiał: **Roman Warszewski**

Komputerowy „portret" Krzysztofa Kolumba wykonany przez Hermana Venzky'ego (Logan P., *The Truth Story on the Last Travel of Christophorus Columbus*, Oxford 1989)

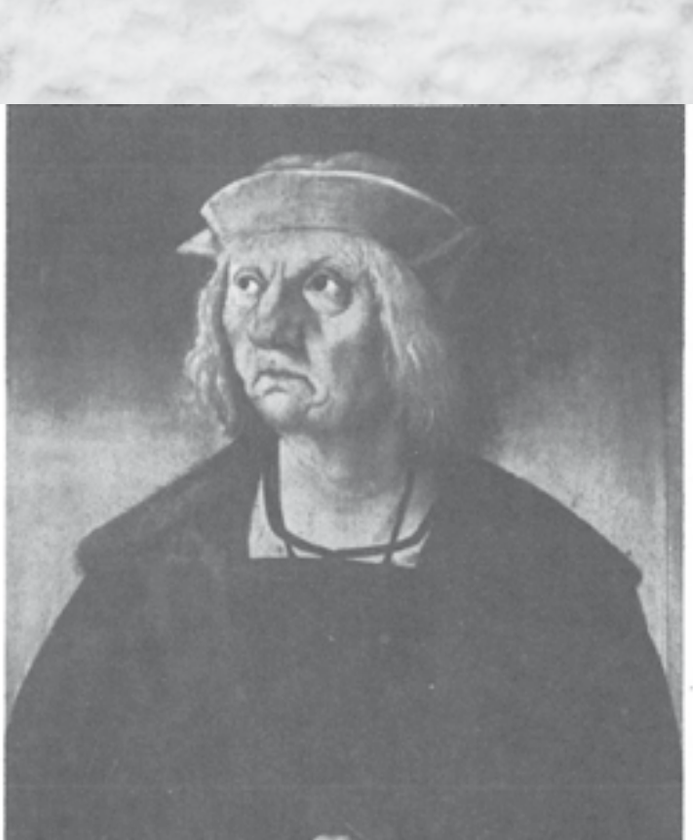

Obraz Ulricha Apta Starszego datowany na lata 1510—1515, wyobrażający nieznanego z imienia starca. Czy był nim Krzysztof Kolumb? (rep. z książki P. Logana, *The Truth Story...*)

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Zdzisław Drzewiecki

55033

Numer. Ciemny tusz nie zdobi przedramienia. Jak się przytulić do ręki, którą
zbezczeszczono wielokroć ? Bito, łamano. Do ręki, która omal nie spłonęła
w krematoryjnym piecu. Jak tchnąć w nią czucie? Uczucie. Czy wzdrygnie się
przed pieszczotą?
Kobieta, do której należy ta ręka, stoi przy oknie. Bezradna. Wpatruje się
w lustro szyby, widzi w nim czarne niebo.
Nigdy nie odsłania firanki, zostawia sobie tę drobinę intymności.
Już ją kiedyś odarto ze wszystkiego.
Patrzy jak dzieci gonią hitlerowców z drugiego podwórka.
Bawią się w wojnę. Wojnę, która ją naznaczyła.
55033. Stygmatyczka z KL Auschwitz i KL Ravensbruck.
Rozsypuje cukier słodząc herbatę i natychmiast zbiera z obrusa
białe kryształki. Szklą się jej oczy, kiedy kroi chleb.
Surowe wargi odzywają się rzadko, nie silą się na jakąkolwiek puentę.
Uśmiecha się do mnie, bierze na kolana i częstuje ciastem.
Anioł stróż mojego dziecięcego serca.
Opowiada mi historie bez ciemnych cieni przeszłości.
Często zastyga wpół słowa i wpatruje się
w dal, jakby pragnęła odzyskać coś, co przecież bezpowrotnie utraciła.
Jakby czekała, że ktoś nadejdzie z tamtej, fioletowej strony wieczoru.
Stygmatyczka z KL Auschwitz i KL Ravensbruck.
Numer 55033.
Babcia Henia.

List do Andrzeja Garczarka

Andrzeju drogi, gdzież mnie, z anioły Twymi pić likiery,
kiedy tak siedzą i mamroczą, jak panny ślubne na wydaniu,
co je chłopaki bałamucą pod bladożółtą blaszką słońca,
a więc żałosny śpiew mój milknie w subtelnych echach okaryny.

Środa paskudna w październiku, na dworcu piją cienkie wino
chłopcy, co ledwie się wyrwali w podbrzusze miasta na rozpustę.
A my siedzimy z wujem we dwóch, pod kinem, co jest objazdowe.
Wujo kapuśniak siorbie z miski, muskając wzrokiem panny wiotkie.

Ze światem zgodzić się nie sposób, kiedy w kieszeni trzy złocisze,
a pokus wszelkich po tancbudach, aż nadto, by je filozofia
ogarnąć mogła w swych proroctwach i tęsknych pieśniach sygnaturek,
a więc uśnijmy choć na chwilę, dajmy wytchnienie naszym trzewiom.

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

PROZA

Marian Lech Bednarek

KONIEC ŚWIATA

Ponieważ wszystko zależy od trzęsącego się z różnych powodów brzucha, pomyślałem co bym zrobił, gdyby świat miał się skończyć. Zapewne spojrzałbym na wszystkie dookolne drzewa, posłuchał jeszcze raz śpiewu ptaków – o co im naprawdę chodzi?, czy tylko o śpiew?, a czego prawdopodobnie nigdy się nie dowiem. Ucałowałbym moją drugą połowę, żeby z kolei ona dalej się martwiła o swoją drugą połowę, czyli o mnie. I gdyby brzuch dalej dygotał, zerknąłbym na wypite piwa, szelontające na patykach wbitych w ziemię między malinami, poziomkami i pomidorami, co podobno odstrasza nornice. Te żarłocznice wtranżoliły mi wszystkie malinowe korzenie. Liliom holenderskim, przywiezionym w reklamówce z Lemmer, różowej i żółtej, podziękowałbym za szczere uśmiechy, a rowerowi za to że zawsze na mnie czekał, aż do upadłego – aż mu powietrze wylazło.

Kamieniom rzecznym powiedziałbym że miały rację – tak niewzruszenie spoglądać na ten przepływający świat, niezależnie od tego co powiedział Heraklit. A innym kamieniom, na przykład gruzom, powiedziałbym, że też miały rację, tylko że szarą, taką która najczęściej nas otacza. Muchy na pożegnanie najchętniej bym skopał, bo one zawsze przybliżały mi ten koniec świata. Bocianowi ze wzruszeniem powiedziałbym żeby zmykał stąd, gdzie brzuch za bardzo się trzęsie, żeby zmykał tam, gdzie jeszcze nikt nie myśli o końcu świata, gdzie nadal trwają historie wielkie i małe, żeby zmykał, bo zaraz nadlecą helikoptery z pobliskiego lotniska w Gotartowicach i ta sielanka szybowania skończy mu się. Zataczanie kół przez bociana jest okej, nawet sympatyczne i z pewnością przedłuża istnienie naszego świata, któremu trzęsie się brzuch przeciw innym brzuchom. Jednak bocian już zniknął. Brzuszek trochę posmutniał.

Przechodzę do resztek tego co po bocianie zostało. Pozostały jeszcze tuptające kultury w mojej głowie, ich obrazy w kształcie chmur i obłoków, przepływające po niebie. To dryfujące muzeum to jedyne zwierciadło dla tego cośmy przeżyli w świecie malarstwa i wszystkich sztuk plastycznych. Te wszystkie kształty można dopatrzyć się w ciągle zmieniających się obłokach – od sztuki prehistorycznej po współczesną. Miro, Picasso, impresjoniści, surrealiści, ekspresjoniści, Pollock, wszyscy młócą tymi pędzlami i walczą by wyrazić sedno trzęsącego się brzuszka. Jeden wielki informel na tym niebie i poetycka abstrakcja. Kończynie biało-kwiecistej powiedziałbym: – miałaś niezły seks z pszczołami. Fakt, udrękę z kosiarką mojej ogrodniczki także. Chwała ci za to męstwo, którego byłem świadkiem. Tam gdzie zniknę, gdzie przetransferuje mnie trzęsący się brzuchal, wystawię ci pomnik, pomnik trójlistnej kończyny, pod którym będą się odbywać różne odlotowe imprezy kończynowe, choć podobno czterolistna jest bardziej pożądana, bardziej na topie.

A moje kończyny też będą wywijać i tupać bez żadnych tam drętwych przemówień. Koziołkom drewnianym podziękowałbym chętnie za nadstawianie swojego zmasakrowanego grzbietu do różnych moich prac, i że jak takie osły musiały stać pod krzakiem w deszczach, mrozach i upałach. A wszystko po to, bym trzymał się rzemieślniczego fachu. Motylowi podarowałbym mój testament, bez żadnego podziału na osoby drugie i trzecie. I tak brzuszek się trzęsie, więc trzeba patrzeć realnie – żadnych obciążeń pokoleniowych. Widać że mi nieźle odbiło. Jasne że widać.

Chciałbym jeszcze pożegnać dźwięki fortepianu pisząc ten tekst na stojąco, jak na pogrzebie. Koniec świata jest bez sensu, ale za to rodzi cichy dźwięk innego sensu, może głębszego? Nie wiem jakbym się pożegnał z moim jedynym niespełnionym marzeniem, którym jest taniec z butelką na głowie. Postawić ją na głowie i powiedzieć „cześć" to za mało moim zdaniem. Zawsze chciałem zatańczyć z tą butelką. Nie tam jakieś tetryczenie i topienie się w knajpach - w tej dostojewszczyźnie i w nihilizmie, tylko taniec z butelką na głowie, do połowy wypitej, bez trzymania ręką, wzdłuż całej ulicy zatańczyć, aż ludzie klaskaliby jak przy wyzwalaniu miasta spod okupacji wroga. Brzuszek by się trząst, do mych stóp padałyby bukiety kwiatów a ja bym tańczył z butelką na głowie jak prawdziwy wariat. Otóż to, jak prawdziwy wariat. Nieprawdziwi są nudni i szkoda na nich pióra i papieru. Nieprawdziwi spośród nas to prawdziwy koniec.

MARIAN LECH BEDNAREK, SIERPIEŃ 2014

Marek Sołtysik

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

SPOJRZENIE Z MARSA

W relacji przestrzeń - kamienie, gdy ego zmniejsza się do malutkiego ziarenka materii, które tylko milczeć może w największym wypadku, czyli prawie że nie być, świetlna otulina jedyną jego matką jest. Takie właśnie zobaczyłem ego na Marsie. Przyznać jednak muszę, że słowo "matka" jest tu jakieś nie matkowate bo to jakby matka niematek to światło zza widnokręgu. Ale jednak światło. *Milczenie małych kamyczków, ziarenek i pyłu* – oto co język może wyrazić, tylko tyle, zupełne bezjęzykowo i cisza. Żadnego zaczepienia w naturze, żadnego Genesis, żadnego początku. Gdzież na tej pustyni iskierka ego? Jedyną iskierką to te fotki "Curiosity" i kawałki jego sprzętu. A gdyby tak tam zamieszkać?, pomyślałem nie myśląc. Ale kim my właściwe jesteśmy po tym Wielkim Wybuchu? My istoty żyjące na tej pustyni bezmiaru, między tymi galaktykami?, uzależnieni od szukania sensu życia, bo szukanie to nasze jedyne zajęcie, alfa i omega istnienia, początek jego i koniec jak powiedział nasz Bóg, bo nie wiem czy Mars ma Boga.

Kultura żywego kamienia – to jedyna prawdziwa kategoria żywej istoty na planecie Ziemia, pomyślałem, patrząc na przemian raz na Ziemię wokół, raz na fotkę Marsa. A gdy spojrzałem na listę *„Najważniejsze wydarzenia na planecie Ziemia 2012"*, zobaczyłem Księżną Kate w ciąży. Od razu podświadomie złapałem się za brzuch i urodziłem 1000 wiecznych piór w mojej głowie, a wszystkie mówiły (a może pisały?) "tata" i "mama", bo wszystko było takie ludzkie, obsrane, ozdobione czymś. A gdy znowu spojrzałem na fotkę Marsa a potem na kolejny temat *"Zaskakująca porażka Pawlaka"*, odbiło mi się blachą starej konserwy i przydrożnym słupem betonowym z lat 60, który od dawna pożegnał się z przepływem prądu i teraz tylko straszy tymi ślepymi oczkami z betonu. Te obrazy wywołały we mnie skojarzenie, że kamienie Marsa mają zdolność przemieniania Ziemskich szpitali psychiatrycznych w pasieki pszczół, w ule, bo jakiś transfer pozytywnej energii popłynął z tego zestawienia NIC - Mars i COŚ - Ziemia. NIC swym nicestwem podkreśliło COŚ, te nasze podwórka podkreśliło, pełne suszącej się bielizny na sznurkach i wałęsających się kundli, i podskórnie wysłało informację, że pan wicepremier Pawlak na pewno zostanie w przyszłości matką królową pszczół. No to niech tak będzie, pomyślałem. Wracam na Marsa. Obiektywy Łazika, lasery i "paluszki" w pełnej aktywności grzebią w ziemi. To znaczy w jakiejś marsówce, bo nie wiem jak tą jego glebę nazwać. Gramolą się, gmerają w rudawych pyłach i kamieniach. Znów odlot na Ziemię, a tam nowe wydarzenie *"Przewrót w PZPN"* (Boniek został prezesem). No to dopiero odpał. Jakbym się napił paliwa statku kosmicznego, zmieszanego z kwasem z kiszonej kapusty, bo losy polskiej piłki nożnej można porównać jedynie do kiszonej kapusty, którą się tylko depcze i depcze, no bo co z nią zrobić?, przynajmniej folklor nie upadnie. A potem jak po naciśnięciu guzika startu, beczką przyszłości (bez żadnej kapusty) wyleciałem w powietrze i znowu się gapię co stalowe kończyny Łazika wynalazły? Czerwony laser uderza o skały "puk, puk, puk, puk", jest tam kto? NIC. Może kiedyś zagnieździ się tutaj COŚ? Na razie wszystko jest ukryte. Znów patrzę na Ziemię, a tam *"Kolejowa katastrofa pod Szczekocinami"*. Przez chwilę zwątpiłem w sens trzymania pióra w dłoni. A pióro zawsze było dla mnie drogowskazem, wentylem bezpieczeństwa. Bo można wywalić przecież wszystko na kartkę, wylądować na niej ręką jak samolot na białym lotnisku, z brawami na pokładzie jak dobrze pójdzie. Bo jeśli człowiek ma gdzie lądować, to jest to już pół sukcesu. Prawdziwy sukces to dobre lądowanie – chyba to nowy paradygmat najbliższej przyszłości, no ale pod Szczekocinami nie było dobrego lądowania. Ten wulkan bałaganu kolejnictwa wybuchł kolejny raz czołowym zderzeniem i trzeba było zbierać trupy. Znowu spojrzałem na listę najważniejszych wydarzeń na planecie Ziemia 2012. A tam co? *"Proces i skazanie Andersa Breivika"*, szaleńca z Norwegii. Strzelanie w ostateczności zamienia ludzi w pył. Ale życie planety to także uśmiech ty psychopato, pomyślałem. Zostaw ich. Niech się opalają na tej wyspie i pieprzą się, bo to ich młodość.. Widzę że nie wiesz po co są kamienie. Zacznij od kamieni. Rozmawiaj z kamieniami. One ponoć znają prawdy boskie, jeśli już chwytasz się za robienie porządku. Ja bym go skazał na 30 lat rozmowy z kamieniami w jakichś kamieniołomach. Żeby jednak wzbogacić jego język, zaopatrzyłbym go w najlepsze narzędzia rzeźbiarza, najlepszy sprzęt. Niech rzeźbi. Niech przemienia materię na język formy. Tak bym zakończył tę sprawę. Po odsiedzeniu wyroku (jeśli by oczywiście przeżył) zorganizowałbym mu wystawę. Może pokraczną, mniej lub bardziej udaną, ale byłby to jego 30 letni dorobek. Rzeźby byłego świra Andersa Breivika. A tytuł wystawy by brzmiał "Odpowiedź Kamienia" . Tak by wyglądał mój wpierdziel Najwyższy Sądzie, bo nie lubię trywialnych kar.

Znowu patrzę na Marsa, ale na inną fotkę. Tym razem złotawe skaliste góry i złotawy piach. Kamiory podobne do ziemskich. Srebrnawy 6 kołowy Łazik "Curiosity" jak nabzdyczona laska pozuje do zdjęć. Szpanerski gest jakby dłoni poszukującej, rzuca przed siebie, podobny do naszego, słoneczny cień. Metalowe oka i różne czujniki szukają rozgrzebanego, jeszcze ciepłego łóżka. Ale na łóżko jeszcze za wcześnie, oj za wcześnie, nadal dla nas tylko pustka, muldy, piach, pył Krateru Gala, kamienie. A u nas na Ziemi umiera Szymborska, w pełnym rozkwicie planety, a nawet w pewnym przesycie, gdyż życie straciło dla niektórych wartość, jak zauważyłem, wisielce pod sufitem kołyszą się jak wymierające pająki.

A Mars wprost przeciwnie, czeka na piewcę swej planety, na swojego pierwszego poetę, na swój pragenesis. Czy to znowu po przeprowadzkach będziemy my? Czy ktoś inny?

Marian Lech Bednarek
28.XII.2012

PRZESTRZEŃ – OKRUSZYNA PRZYZWOITOŚCI

Tylko robaki nie potrzebują przestrzeni mentalnej. Takie czasy, że szuka się tylko worków dowcipów, a okruszyny przyzwoitości nie znajduje się. Pytanie co daje więcej przestrzeni, dowcip czy owa okruszyna przyzwoitości? Ja myślę że dowcip daje tylko na moment i to ten dobry. Przyzwoitość jednak daje przestrzeń stałą. Jest dobrze gdy i dobry dowcip i przyzwoitość chodzą w parze, ale niestety, to rzadki przypadek. Nie wiedziałem że jeśli się lubi przestrzeń, to zaraz za tym musi stać i przyzwoitość i dowcip, tak bym przynajmniej chciał. Ale obojętnie, co za tym stoi, ja lubię przestrzeń. Nie wiem, czy można z tego wykrzesać jakiś dowcip, ale mnie w dzisiejszych czasach bardziej brakuje przyzwoitości niż dowcipów. Starzeję się? Hi hi. A dlaczego tak jest? Dlatego, że w dzisiejszej walce szczurów unosi się tylko w powietrzu stres. Rzeczywistość jest stresem, więc szuka się tylko dowcipów, by się rozładować. Dowcip to wentyl bezpieczeństwa, dlatego wybieramy dowcip a nie przyzwoitość. A jakie konsekwencje? Ano takie, że będziemy coraz mniejsi duchowo, bez poczucia przestrzeni przyzwoitości, jak te robaczki. Będziemy tylko czekali aż ktoś nam w dupę wbije szpilkę dowcipu, żeby na chwilę odreagować, spuścić powietrze, ale za moment atmosfera ciasnoty, więzienia i kurczenia się powraca. Chciałbym żeby te kilka słów było tylko moim „kiepskim" dowcipem. Rączka mnie zaswędziała, to napisałem.

Marian Lech Bednarek

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Marcin Wróblewski

GRA ŚWIATEŁ

czarno-biały Bodo
wykłóca się z czarno-białym Dymszą
o święty spokój.
prastare mistrzostwo,
starożytna precyzja,
klasyczne proporcje.
genialna gra...

upłyną wieki, zanim powstaną:
telefon, radio, auto,
traktat o nieagresji...
już za chwilę ich przyjaciele,
znajomi i wielbiciele staną się
kolorowym bydłem.

powiozą ich wagonami,
zmieszanych z kałem i uryną,
do miejsc, które wymyślą
dopiero za wiele stuleci.
genialna gra...

od zawsze popularna,
naznaczona sławą i bogactwem.
- pani Helenko, teraz całuje pani Gienia.
- teraz całuje pani trupa...
tego świata już nie ma,
nigdy go nie było.
on dopiero nadejdzie.

ŚMIERĆ LEŚMIANA

stokrotki wszędzie stokrotki
i słoneczne mlecze
zatopione w przydługiej już
soczystej trawie przystanąłem
na chwilę pośród tego kwiecia
podchwyciłem refren drozda
odetchnąłem
nawet się uśmiechnąłem
i poszedłem zniszczyć to wszystko

ŁYKEND

gruby Henio ukrzyżował się dziś
alpagą za wasze i nasze
zmartwychwstanie jak zwykle

o świcie zbudzi go anioł
ze zmęczoną twarzą sklepowej

już za chwilę wniebowstąpi
i na tej samej co wczoraj ławce
siądzie po prawicy ojca

LATO

jego woń niczym duch spowija miasto
gładzi zmysły mieszając się
wieczorną porą z piekarnianym kadzidłem

wierni obsiedli murek przy kiosku
ktoś zaraz skoczy po świeże ciało Chrystusa
krew już jest i będzie też później
wylana i przelana

rozpoczęło się nabożeństwo
na pamiątkę matek żon i dzieci
na pamiątkę ślubów i dobrych posad
na pamiątkę raju utraconych lat

grzmią tubalne zawodzenia
odbijają się od betonu i błądzą
gdzieś po osiedlu
zlewają się w chóralne akty strzeliste
przez które czasem przebijają się
pojedyncze gwoździe okrzyków

wyczerpawszy cały kurewski psałterz
i butelkowaną zaledwie wczoraj krew Pana
kończą misterium cisi i pokorni
błogosławiąc sobie ognikami lichego życia
na zeszyt

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

NIWA

czarne ptaki obsiadły bruzdy
dziobią i drapią
trochę boli gdy grzebią
ale wolę je od białych
białe szybko się brudzą

PUNKT ZWROTNY

po wojnie
nic już nie będzie takie samo.
gołębie zaczną srać tylko raz w tygodniu.
psy przestaną biegać za sukami.
sarny i dziki nauczą się
korzystać z przejść dla pieszych.
koty skończą z mordowaniem ptaków.
ludzie powieszą flagi. po wojnie
wszystko będzie takie samo.

WSTRZĄSY

lubię usiąść przy oknie, gdy pada.
przynajmniej coś się dzieje.
w słoneczny dzień nic się nie dzieje,
bo słońce i tak świeci ponad chmurami.
47-letni krzysztof r. – ratownik medyczny –
spędzi 9 lat w więzieniu za molestowanie
seksualne dziewczynki oraz gwałt na żonie.
jego czyny wobec dzieci są tak wstrząsające,
że nie można ich opisać w prasie. proces,
ze względu na ohydę szczegółów, odbędzie się
za zamkniętymi drzwiami.
deszcz pada, gąbka szaroburych chmur
wyżyma się w błotniste kałuże ziemi.
tej ziemi... wiem, że niczego nie spłucze.
przyniesie tylko życie...

WOLNA POLSKA

stare żółwie
z wizerunkiem czarnej madonny
na skorupach składają
w swych błotnych kryjówkach
jaja lecz tylko pozornie
tak naprawdę je replikują

KONTAKT

boli mnie twoja głowa
weź chociaż aspirynę
powiedziałem
to moja głowa
odparła
i wyszła do drugiego pokoju
zostałem
lecz przecież nie sam

ALIHEART

kiedyś uczucia były dobrej jakości
dziś majfrend wyśle ci podróbkę
z darmową przesyłką

Marcin Wróblewski (Sparrovsky), ur. 1980. Pochodzi ze Zwolenia, obecnie mieszka pod Nałęczowem Jest mężem i ojcem dwojga dzieci. Ukończył filologię polską na UJK w Kielcach, przez czternaście lat pracvował jako nauczyciel. W życiu zawodowym i artystycznym pisał felietony, wiersze, opowiadania. Interesuje się muzyką disco-polo, malarstwem na biało, filozofią na bani, psychologią i kotologią. Wydał dwa zbiory wierszy, „Zimne Ognie", wydawnictwo Mamiko, 2023. „Brama", wydawnictwo Białe Pióro, 2023.

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

ESEJ

Mateusz Wabik

POETYCKIE NOTKI BIOGRAFICZNE

Pod koniec maja 2023 roku trafił do empików w całej Polsce nowy numer „Toposu" z dołączoną do niego książką poetycką Stefana Rusina pt. „Bez retuszu". Jak można było przeczytać na ostatniej stronie okładki w notce biograficznej – poeta miał na koncie kilkadziesiąt książek poetyckich, pracował w Hucie Aluminium w Koninie, w którym także prezesował Konińskiemu Klubowi Literackiemu w latach 1977-1998. Na pewno spotkałem się z poezją twórcy w jakimś czasopiśmie literackim, ale nowa książka „Bez retuszu" była pierwszym jego tomikiem jaki przeczytałem. Poeta w swojej nowej książce pisał wiersze, których tytuły składały się przeważnie z imion i nazwisk sławnych pisarzy, poetów, kompozytorów, zakonników, filozofów, dramaturgów itp., co nie było niczym nowym, gdyż takie wiersze pisali i Leopold Staff i Tadeusz Różewicz, choć w mniejszej ilości. Niekiedy w tytułach wierszy Rusina pojawiały się przyimki „do" i „o" i imiona i nazwiska twórców w odpowiednich przypadkach. Jednak musiałem przyznać, że nie czytałem jeszcze takiego tomiku wierszy, w którym prawie wszystkie wiersze dotyczyły innych twórców, zakonników, filozofów i innych myślicieli.

W swoich wierszach poeta odnosił się do biografii twórców i innych myślicieli, polegał na anegdotach, a także niekiedy próbował wyjaśnić fenomen czyjejś twórczości, czy ukazywał czyjąś postawę polityczną. Rusin nie skupiał się tylko na polskich twórcach, ale wierszy im poświęconych było najwięcej jeśli chodziło o narodowość twórców. Tu uwzględnieniem polskich Żydów, których zaliczyłem do polskich twórców. Rusin poświęcał swoje wiersze głównie twórcom i myślicielom żyjącym w XX wieku, ważnym dla okresu przedwojennego i powojennego. Jeśli trzymać się starego podziału na epoki literackie, który według mnie był dosyć czytelną kompozycją - gdyż nowsze konstruowane przez naukowców jakby pod dyktando profesorów związanych z Nową Falą spychały na margines twórców po 1989 roku ukazując, że to co działo się w literaturze po 1989 było tylko jedną z odnóg twórczości wcześniejszej - to głównie wiersze Rusina dotyczyły twórców z epoki zimnej wojny, 20-lecia międzywojennego i modernizmu. Nie zapomniano o baroku, średniowieczu, ale właśnie zapomniano o literaturze po 1989 roku, ponieważ wiersze odnoszące się do Edmunda Pietryka i Wojciecha Kawińskiego to nieco za mało. Można to zapomnienie było rozumieć jako celowy zabieg, żeby ukazać, że wielu twórców debiutujących po 1989 roku zbyt ważnych nie było, albo przypadek, gdyż Rusin omawiał głównie biografie i twórczość dawnych twórców już nieżyjących. Z początku właśnie myślałem, żeby przeczytać tomik wierszy ostatnio dodany do „Toposu" jako zbiór napisów na nagrobki, jako takie epitafia poświęcone zmarłym twórcom. Jednak po przeczytaniu notek w Wikipedii okazało się, że kompozytor Jan A. P. Kaczmarek i brytyjski zoolog Richard Dawkins żyli, więc porzuciłem ten funeralny pomysł na przeczytanie tomiku wierszy Rusina. Nic nie wskazywało na to, że poeta się pomylił, albo przygotował poetyckie nekrologii żyjącym. Więc pewnie wybór twórców i innych postaci z historii i współczesności do opisania ich w wierszach, był wyborem związanym z subiektywnym docenieniem ich twórczości i fascynacji jego biografią przez autora i pewnie niezbyt cenił Rusin twórców współczesnych po 1989, doceniając współczesnych po 1945-ym. Autor „Bez retuszu" doceniał przede wszystkim twórców mających jakieś powiazania z egzystencjalizmem, albo duchowością, awangardyści i lingwiści go nie interesowali, ale także satyrycy, komediopisarze, czy rysownicy komiksów. Nie interesowali go także jazzmani, bluesmani, gwiazdy popu i herosi rocka, czy twórcy związani z innymi muzycznymi subkulturami. Jeśli chodziło o twórców muzycznych oprócz kilku kompozytorów pojawiał się jedynie folkowy bard Leonard Cohen, którego płyty sobie kiedyś odegrałem od ojca, ale dawno nie słuchałem. Nie interesowała go sama twórczość, ale często połączenie literatury i biografii jakby biografia jakiegoś twórcy, czy myśliciela miała zaświadczyć o autentyczności jego twórczości. (Jednak często oddzielam twórczości od autorów, których istnienia nigdy nie negowałem, bo wychowałem się także na cyklu Nienackiego „Pan Samochodziku..." i raczej nie negowałem nigdy przygód pana Tomasza.)

Nic od strony warsztatowej i tematycznej wierszom Rusina się na dało zarzucić, może zapomniał o tonie żartobliwym w niektórych przypadkach, albo jakichś mało znanych szczegółach biograficznych. Niektóre jednak odczytania znaczenia twórczości wydawały mi się chybione. Niektóre wiersze czytało się jako nieco bardziej literackie wersje notek biograficznych z „Literatury na Świecie". Wybór z wszystkich epok twórców nie pokrywał się zbytnio z tym co bym sam wybrał. Nie zapomniał poeta o najważniejszych polskich poetach XX wieku – Różewiczu, Herbercie i Miłoszu. Dokooptował do tria Zagajewskiego, ale także zapomnianych przez krakowskich i warszawskich krytyków Stachurę i Jerzynę. Zapomniał jednak o Barańczaku. Zapomniano w o polskich romantykach i młodopolskich twórcach, jakby Rusin uprawiał mimo wszystko jakiś okrojony projekt literaturoznawczo-poetycki. Pojawił się Rimbaud, ale nie Baudelaire. Jeśli chodzi o duchowość był św. Franciszek, Boehme, nie było Buddy, ani Swedenborga. Zabrakło także omówienia twórczości kobiet, choć motyw twórczej kobiety pojawił się w wierszu „Do Teda Hughesa", gdyż wspomniano w nim o żonie Hughesa, poetce Sylvii Plath. Na pewno na plus należało zapisać Rusinowi wiersz „Naoczny świadek" odstający tytułem od innych, gdyż w nim nie pojawiło się imię i nazwisko, ani wspomniane przyimki, który dotyczył dominikanina Hieronima Savonaroli'ego uznanego za heretyka, powieszonego i spalonego przez inkwizycję w 1498 roku. Działalność Kościoła jak tłumaczyli Michael Baigent, Richard Leigh, badacze historii Kościoła z nim nie powiązani, którzy także nie byli związani z uniwersytetami powiązanymi z Kościołem - na przestrzeni wieków Kościół udowadniał w swojej inkwizycyjnej i antyekumenicznej działalności, że nie interesowała go duchowość i wyjaśnianie *Biblii*, historii związanej z Jezusem Chrystusem, ale zagarnianie majątków, podważanie odkryć nauki, zabranianie używania prezerwatyw i wtrącanie się w sprawy głodujących ludów Afryki itp. Także Kościół lubował się w paleniu heretyków, ściganiu i ekskomunikowaniu księży, biskupów i arcybiskupów, którzy napisali artykuły niezgodne z aktualną wersją doktryny katolickiej zaakceptowanej przez aktualnego papieża i jego kolegów w sutannach, których obdarzył stanowiskami.

Kilka wierszy mnie szczególnie zaintrygowało i zainteresowało w tomie wierszy poety z Golina koło Konina. Po pierwsze wiersz „Do Hansa R. Gigera", skierowany do wybitnego szwajcarskiego artysty plastyka i projektanta filmowych scenografii, którego prace plastyczne pojawiały się także na okładkach płyt zespołów rockowych (Emerson, Lake & Palmer) i metalowych (Celtic Frost, Triptykon, Danzig). Poeta w wierszu nawiązywał do biografii szwajcarskiego artysty, którego katolickie przedszkole wychowało na piewcę artystycznego mroku i obrzydliwości. Wydało mi się jednak, że w przypadku dekoracji do filmów z cyklu *Obcy*, poeta nie zrozumiał filmu, kiedy pisał:

> Świat w twoich projektach do filmu *Obcy*
> Wypełniają wylęgarnie bestii. Film obejrzałem.
> Wróciłem do domu emocjonalnie posiekany.

Obrzydliwe i groźne ksenomorfy zaprojektowane przez Gigera nie miały żadnego satanistycznego i diabolicznego podtekstu, choć wielu krytyków filmowych odczytywało *Obcego* jako horror przeniesiony w kosmos. Jednak należało pamiętać, że horror zawsze wiązał się z duchowością, zaświatami, z których przybywał Szatan, albo inne istoty piekielne, a ksenomorf pojawił się na statku Nostromo w pierwszej części amerykańsko-brytyjskiego cyklu „Obcy – pasażer Nostromo" z 1979 roku w reżyserii Ridleya Scotta roku lub w drugiej części „Obcy – decydujące starcie" w reżyserii Jamesa Camerona z 1986 roku przybył na księżyc LV-426, z innej galaktyki. Ksenomorfy były straszne i groźne, ale jakby ludzkie ciało, w których rozwijały się te istoty pasowało do ichniego łańcucha pokarmowego (tak jak pasowało pasożytom), choć w żyłach ich płynął żrący kwas. Były tym samym co groźne zwierzęta, pasożyty czy wirusy tylko w większych rozmiarach. Kino jakby nas przygotowywało od lat, że nie było sensu poznawać kosmosu, bo w nim mogła tkwić tylko groza jakiej jeszcze nie zaznaliśmy, a zamiast nawiązać kontakt z obcymi, traktowało się ich w filmach SF płomieniami lub spychało ze statku w głąb kosmosu. Na pewno wizje reżyserów *Obcego* były antropocentryczne. Dziwne było to, że tak pomysłowe istoty nie wykazywały żadnej chęci do porozumienia się z człowiekiem. Jeżeli my żyliśmy dzięki pożywieniu roślinnemu i zwierzęcemu, trudno było nam zaakceptować, że ktoś mógł żyć dzięki nam. A jedyny członek załogi statku w drugiej części cyklu, który był zainteresowany przewiezieniem martwego lub żywego ksenomorfa na Ziemię w celu jego przebadania, co było niebezpieczne,

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

był ukazany jako terrorysta i zdrajca rodzaju ludzkiego. W młodym wieku oglądałem drugą część *Obcego* w kinie i oglądałem ten film jako film fantastyczny, nie byłem przerażony, ani zdruzgotany i przez wiele lat uważałem tą część za najlepszy film fantastyczno-naukowy jaki kiedykolwiek powstał. Byłem raczej zdumiony rozmachem filmu, wojennymi machinami, zafascynowany doskonałym projektem ksenomorfa, którego tak doskonale zaprojektowano, że potwory z polskich filmów SF wydawały się przy nim tylko zabawkami. Także powalał mnie wisielczy humor w filmie i to było niesamowite, że zwykła kobieta uratowała ludzkość, a nie jakiś Superman. Poza tym Ellen Ripley walczyła z samicą - królową obcych i taki kobieco-samiczy pojedynek był pewnym novum w filmach SF. Do tego królowa ksenomorfów była tym samym co królowa mrówek i pszczół, które były matkami wszystkich osobników w ulu i kopcu. W bardzo dziwny sposób w filmie zabito coś co było nam bardzo bliskie. Zabito w filmie matkę potworów!!! I zrobiła to kobieta bezdzietna. Ludzie zostali zaatakowani w *Obcym* nie przez obcych bardzo różnych od zwierząt na Ziemi, ale przez dalekich kuzynów mrówek i pszczół.

Drugim z wierszy, który mnie zaintrygował w „Bez retuszu" był wiersz o incipice „*** idzie człowiek…", który dotyczył jednej pracy plastycznej pt. „AA 72" Zdzisława Beksińskiego, na której przedstawiono wysoki wąwóz, przez który szedł człowiek pochodnią rozświetlający mrok. W dalszej części wiersza poeta polemizował z twórcą, który „był przeciwny/odczytywaniu, doszukiwaniu się alegorii w jego obrazach", a poeta twierdził, że będzie chciał „dotrzeć do źródeł jego obsesji". Dziwiła mnie trochę postawa poety, gdyż działał na przekór intencji artysty. Raczej powinno się zastanowić nad powodami, dla których Beksiński nie chciał by jego twórczość figuralną pełną symboli, wizji rozpadu, śmierci, niesamowitości, próbowano zrozumieć, czy zinterpretować niż to robić na siłę.

Beksiński porzucił cenioną przez krytyków twórczość awangardową i fotografię na rzecz niesamowitych obrazów jakby z makabrycznych snów. Wydało mi się, że był świadomy symboliki swojej twórczości, ale po pierwsze konstruował swoje obrazy tak, żeby raczej oddziaływały na widza swoimi przeraźliwymi wizjami niż wyjaśniały podświadomość artysty. Po drugie jego twórczość wpisała się w twórczość współczesnych malarzy fantastycznych, była robiona często na zarobek i ocierała się popkulturę. I wyjaśnianie obrazów malowanych dla francuskich galerii, które dobrze się sprzedawały było pozbawione sensu. Sam podczas targów książki w Krakowie w 1999 roku lub 2000 zagadnąłem Beksińskiego o to, czy jego obrazy przypadkiem nie wiązały się z koszmarem wojny jaki przeżył w dzieciństwie. On się tylko uśmiechnął i powiedział „jak byłem mały bardzo lubiłem jak wybuchały bomby". I jeżeli obrazy Beksińskiego były robione na handel i opierały się na konstruowaniu i przesadzonych kształtach rzeczy, postaci ludzkich, szkieletów i pomysłowości, przerażały swoimi wizjami bardziej niż odnosiły się do przeżyć wewnętrznych artysty to nie było sensu doszukiwać się w nich wyrazu obsesji artysty, który grany przez Andrzeja Seweryna w „Ostatniej rodzinie" okazywał się trzeźwym i pogodnym starszym panem, a nie młodopolskim twórcą siedzącym nocami w knajpach nad absyntem i szukającym wszędzie dookoła i w sobie demonizmu. Być może Beksiński porzucił artystowskie mity awangardowe i przestało interesować go tworzenie dla grupy wtajemniczonych, by tworzyć dla zwykłych ludzi. I to tak, że interesowało to zarówno laików jak i wytrawnych znawców. Chciał odejść od psychologizowania prawdopodobnie dlatego, gdyż jego obrazy były i wieloznaczeniowe, ale też jedynie fascynującymi, przeraźliwymi dekoracjami, jak scenografie w horrorach, czy okładki płyt zespołów metalowych, a nie zapisem obsesji, depresji, schizofrenii, załamań, wizji po halucynogenach czy podczas delirium. Mi to łatwiej zrozumieć, bo obejrzałem ponad 200 horrorów i przesłuchałem kilka tysięcy płyt, kaset, epek zespołów metalowych. Po załamaniu się ruchu hippisowskiego na Zachodzie pod koniec lat 60-tych i na początku lat 70-tych odżyły zainteresowania okultyzmem, horrorami i satanizmem o czym pisał niegdyś Krzysztof Teodor Toeplitz w „Kulturze w stylu blue jeans". A w Polsce Gierek zakazał heavy metalu by zapewnić młodzieży rozrywkę na poziomie w postaci dożynek i dyskotek. W samej Polsce kilku grafików od okładek płyt metalowych inspirowało się pracami Beksińskiego jak Jerzy Kurczak (mniej), czy Mariusz Lewandowski (bardziej), więc oni też na pewno byli dalecy od tego, żeby ich prace odczytywać jako wyraz obsesji.

Wiersz „O Leopoldzie Tyrmandzie" Rusin przywoływał dawno zapomniane spory o zaangażowanie twórców polskich w socrealizm i przypominał o tych twórcach, którzy tworzyli w tych samych czasach co Putrament, Żukrowski, Konwicki czy Przymanowski i nie ulegli naciskom PZPR-u jak Herbert, Jasienica, czy Parandowski. Rusin ciekawie ukazywał w wierszu także emigracyjne losy Tyrmanda, który w USA także miał problemy z drukiem, gdyż jego natura buntownika także godziła w amerykańską kulturę.

Największą zaletą tomiku Rusina było zaproszenie do dyskusji o dziełach twórców pochodzących z wielu epok i ich biografiach. Jednak nigdy nie przekonywały mnie książki poetyckie oparte na jednym koncepcie i uważałem, że coś takiego było zbyt mechaniczne, by przy takiej propozycji się na dłużej zatrzymywać. Myślę, że faktycznie biografie autorów były bez retuszu na co wskazywał tytuł tomiku, ale jakby nic nowego nie ukazywały, nie wskazywały nowatorskich odczytań tych dzieł i poezja Rusina nie wywracała świata do góry nogami, a tego wymagało się od poezji. Raczej ocalały od zapomnienia pewną konstrukcję kulturową z lat 70-tych i 80-tych kiedy czytało się Witkacego, dyskutowało o postawach politycznych, zwracało się w kierunku różnych ścieżek duchowych, przypatrywano się naukowcom mówiącym coś innego niż wymagał tego paradygmat oparty na matematyce i fizyce. Jednakże po wejściu do Unii Europejskiej przez kilka lat najbardziej aktualną w moim przypadku krakowianina literaturą była literatura Młodej Polski, kiedy Reymont okazał się bardziej współczesny niż Miłosz i Herbert i dziwne było to, że żaden młodopolski twórca nie został przywołany w „Bez Retuszu". Anachroniczność i przecenianie literatury z lat 45-89 dotowane przez państwo wysypywało się z tomiku Rusina niczym ziarna piasku w klepsydrze. Mimo, że ten tomik jak na dzisiejsze warunki był bardzo dobrze napisany, to brakowało w nim nieoczywistości. Według Rusina przez ostatnie 30 lat w polskiej literaturze niewiele ciekawego się stało, a to nie była prawda. Gdyby więcej było w tomiku twórców ala Cohen, Beksiński czy Giger zyskałby on wiarygodnością.

Mateusz Wabik

Stefan Rusin, *Bez retuszu*, Gdynia-Kraków 2023

Marek Sołtysik

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Migotania polecają

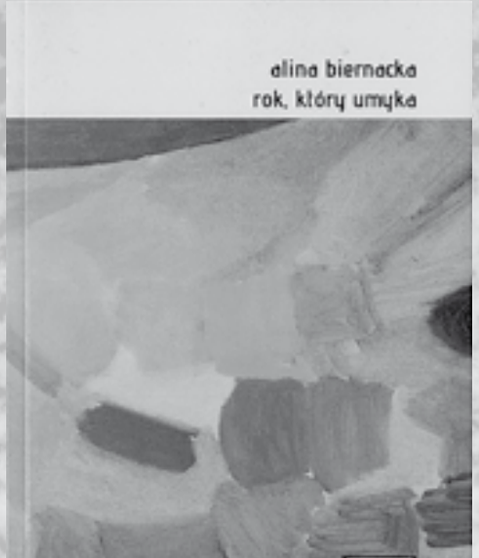

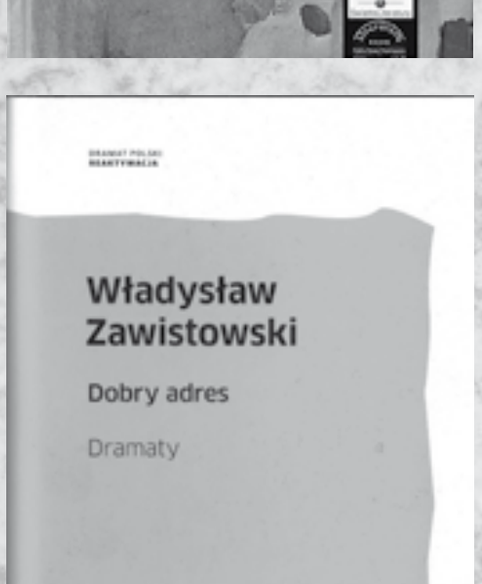

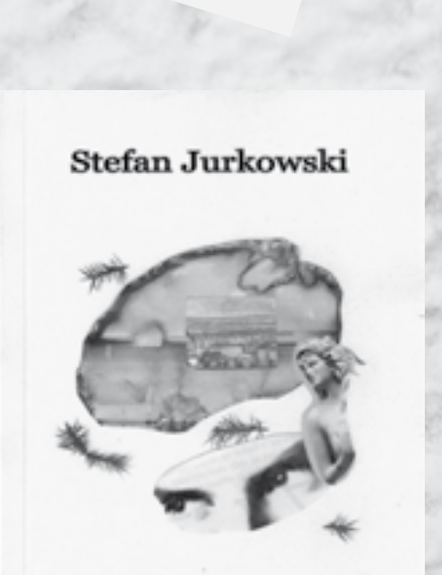

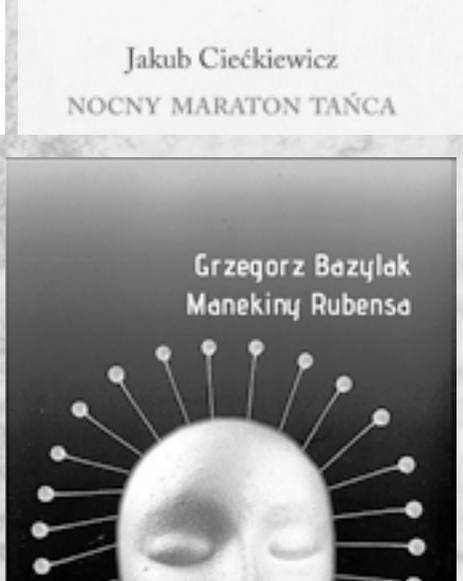

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

PLAKAT POETYCKI

JONASZ

O zmierzchu
rybacy patroszyli wieloryba
wielkiego jak cała ich wyspa
w jego wnętrzu
pod żebrowym sklepieniem katedry
znaleźli kaplicę wątroby
siedział w niej Jonasz
przy lampce z rybiego tłuszczu
pisał odezwy o nawrócenie świata
na widok rybaków
zerwał się z miejsca
owinął brodę
sześć razy wokół szyi
i zaczął czytać
w proroczym natchnieniu
przerwali mu rybacy:
„To już nieaktualne
nie ma już kogo nawracać
niedawno był koniec świata
oddzielono ziarna od plew
nam pozwolili łowić wieloryby
bo tylko to kochamy
ale o panu ktoś chyba zapomniał”
„A to pech”
rzekł Jonasz
i skoczył do wody
zdążył jeszcze na pokład
błękitnego płetwala
który odpływał powoli
w nieprzeniknioną noc

Monika Milewska

Fundacja ŚwiatłoLiteratury
Migotania

PLAKAT ARTYSTYCZNY

Marek Sołtysik

Fundacja
ŚwiatłoLiteratury
Migotania